



EWA OSTROWSKA



ABONENT

CHWILOWO NIEDOSTĘPNY

TLLR

Bognie

CZEŚĆ PIERWSZA: RANA

– Mamo? Czemu mi się tak krytycznie przyglądasz? Ubrudziłam sobie nos?

Wyskoczył na nim wstrętny pryszcz?

– Zaraz krytycznie! Po prostu patrzę i zastanawiam się, jak jutro wypadniesz.

– Aha. No cóż, mamo, do jutra nie zdążę z operacją plastyczną. Nos musi pozostać na swoim miejscu.

– Ja mówię poważnie, a ty kpisz.

– Nie ośmieliłabym się kpić. Rozumiem powagę sytuacji.

– Powinnaś jutro szczególnie dobrze wyglądać, Marta.

– Postaram się, mamo.

– Rozumiesz chyba, że tak dłużej być nie może.

– Oczywiście, mamo. Nie może.

– To niemoralne, aby dwudziestodwuletnią kobietę utrzymywali rodzice.

– Masz rację, mamo. Niemoralne.

– Przerwałaś studia, nie chcesz na nie wrócić, twoja decyzja, twój wybór.

Wolisz być nikim, zerem bez wykształcenia. Zmarnowałaś swoją życiową szansę...

– Tak, mamo.

– Z tobą się nie da nawet rozmawiać!

– Przykro mi, mamo.

– Wyobrażasz sobie, że tylko ty cierpiałaś? A ja? A twój ojciec.

– Ojczym – poprawiła.

– Ojciec! On ciebie wychował!

- To prawda: wychował.
- I kochał jak własną córkę.
- O tak, mamó, kochał.

Brał na kolana. Lubił brać na kolana. Głaskać po śmiesznych, cienkich warkoczykach. Całować w szyjkę. Całując, mówił: jaka śliczna, gładziutka szyjka. Wtedy nie wiedziała, co to takiego robi się u niego w spodniach, ale to coś uciskało mocno i twardo, wbijało się w pośladek. Tato, puść. Nie puszczaj. Moja mała dziewczynka, mówił. Jeszcze tylko chwilkę, maleńka. Posapywał. Wciskał ją mocniej w to coś twardego i kującego jak kijek. Posapywał coraz głośniej, już nie całował, lecz lizał jej szyję. No, nie wrywaj się, przecież nic złego ci nie robię. Kocham moją małą, śliczną dziewczynkę.

– Załatwił ci, dzięki swoim znajomościom, dobrą pracę. Rozmowa kwalifikacyjna to jedynie formalność. Twój przyszły szef jest przystojnym mężczyzną, dlatego jego nowa sekretarka musi wyróżniać się prezencją. Kwalifikacje masz marne, na komputerze prawie nic nie potrafisz zrobić. A przecież kupiliśmy ci taki z monitorem najnowszej generacji, żebyś nie narażała wzroku i siebie na promieniowanie, lecz ignorowałaś nasze dobre rady, nie poszłaś na kurs komputerowy. Gotowi byliśmy ponieść jeszcze i te koszty. Wszystko z myślą o twojej przyszłości, którą ty lekceważysz. Szczęście, że posyłał ci do liceum z rozszerzonym angielskim. No i te dwa lata lektoratu, przy twoich niewątpliwych zdolnościach lingwistycznych, coś ci dały. Język masz opanowany w stopniu dostatecznym, żeby rozmówić się jako sekretarka z zagranicznymi kontrahentami. Ale ty nie dbasz o siebie, te włosy chociażby! Dam ci na fryzjera. Niech ci dobierze jakąś podkreślającą twoją urodę fryzurę.

- Dzięki, mamó.

– A tu, spójrz, kupiłam ci elegancki kostium – matka zaszeleściła papierem, rozwijając paczkę. – Akurat na wiosenną porę, z żakardu, twój rozmiar: trzydzieści sześć. Oprócz tego – tu matka zaszeleściła kolejnym papierem zdzieranym z następnej paczki – bluzka. Z prawdziwego jedwabiu. Do tego, pod kolor, torebka – matka rozwinęła następną paczkę. – Przynajmniej zaprezentujesz się elegancko. Pozwolimy ci również całą swoją pierwszą pensję przeznaczyć na zakup odpowiednich ubrań. Będziesz pracować wśród bywałych w świecie ludzi, nie możesz wyglądać jak kopciuch.

– Jesteście po prostu niewiarygodnie hojni, mamó. Mam w akcie dziękczynnym paść na kolana?

– Jezus Maria, Marta! Z tobą nie da się rozmawiać!

– Skoro się nie da, to czemu rozmawiasz?

– Bo pragnę twego dobra! Żebyś, na przykład, wreszcie przestała nosić te swoje koszmarne czarne spódnice i swetry! Wyglądasz w nich, jakbyś była stale w żałobie. Marta, kochanie. Ja wiem, że niełatwo ci zapomnieć. Ale najwyższy czas powrócić do normalnego życia.

– Tak mamó, najwyższy czas.

Nim jeszcze skończył się wystawny obiad, na który zaproszeni zostali jedynie matka Pawła oraz świadkowie, sąsiedzi z tej samej klatki schodowej, państwo Kozłowski. Do nich matka i ojczym mieli zaufanie. Wiedzieli, iż nawet, jeżeli cokolwiek podczas ceremonii ślubnej dostrzegą, to nie zostanie ujawniona wstydliva, rodzinna tajemnica. Od czasu, gdy jej brzuch zaokrąglił się podejrzanie, dostała szlaban na wychodzenie z domu, a nawet na balkon. Wszelkie pytania sąsiadów, w tym również Kozłowskich, co dzieje się z Martą, matka zbywała stwierdzeniem, że Marta jest chora. Więc tak: Kozłowski byli odpowiednimi ludźmi jako świadkowie i jako goście, a dodatkowy argument

stanowiła ich zależność. Pan Kozłowski pracował jako woźny w szkole ojczyma, natomiast matka wynajmowała panią Kozłowską trzy razy w tygodniu do sprzątnia. Więc nim ten cholerny obiad się skończył, przestała czuć ruchy dziecka. Ślub kościelny nie wchodził w grę. Na taki ślub nie zgodziła się matka Pawła. Po co w to wciągać Pana Boga – powiedziała. – Chyba zdajesz sobie sprawę, iż mój syn żeni się z tobą wyłącznie z przyzwoitości? A to, co przed Bogiem zawarte, jedynie Bóg ma prawo rozwiązać, natomiast ślub cywilny? Sama wasz rozwód przeprowadzę. Odbędzie się szybko i dyskretnie. Mój syn jest o wiele za młody na zakładanie rodziny. Nie jesteś dla niego odpowiednią partnerką. Nie o takiej synowej marzyłam.

– To dlaczego nieustannie się zadręczasz, Martusia?

– Nie wiem, mamó.

– Martusia. Zadręczasz siebie, zadręczasz nas.

– Tak, mamó.

– Tym swoim potakiwaniem doprowadzasz mnie do szału!

– Przepraszam, mamó.

Paweł powiedział: niech ją pani czymś ściśnie, żeby nie widać było brzucha. Oczywiście, oczywiście, zgodziła się pospiesznie matka: nie będzie widać. Mnie zależy nie mniej niż panu. To żadna przyjemność wydawać za mąż córkę z brzuchem. Jestem i tak ogromnie zobowiązana. Panu i pańskiej matce. Pozory zostaną zachowane. Dziecko i córka dostaną pana nazwisko, to dla mnie i mego męża wielka ulga. Przynajmniej nikt nas nie weźmie na języki, a tego biednego dziecka mojej biednej córki nikt nie nazwie bękartem. I tak jak uzgodniliśmy: po ślubie cywilnym zobaczycie się dopiero na sprawie rozwodowej. Ona nie pozwie pana o alimenty. Może pan być spokojny. Wcale nie jestem spokojny! – wybuchnął Paweł. – Ona w ogóle nie powinna była zająć w

ciążę! Zapewniała, że przyjmuje pigułki! Drogi Pawle, proszę się nie denerwować, ona dała słowo honoru, a mnie z mężem jeszcze jest, chwala Bogu, stać na utrzymanie wnuka. Bo to miał być syn. Płeć dziecka określiła lekarka z rejonu podczas ostatniego badania USG. Na to i wszystkie wcześniejsze chodziła sama. Paweł zostawił ją dokładnie w tym dniu, w którym go poinformowała, że spodziewa się dziecka. Matce o ciąży powiedziała dopiero pod koniec czwartego miesiąca, kiedy dłużej nie można było zaokrąglającego się brzucha tłumaczyć uporczywymi wzdęciami. Nie ufała matce. Bała się, że zaprowadzi ją na skrobankę. Owszem, zaprowadziła, ale lekarz stanowczo odmówił. Chłopczyk, powiedziała lekarka. Duży, silny, zdrowy, prawidłowo rozwinięty chłopczyk. Czemu pani płacze? To z radości, odpowiedziała. Nie chciała dziewczynki. Od dawna nie chodziła do kościoła, od bardzo, bardzo dawna. Ostatni raz była na mszy, mając lat trzynaście. Tak prosiła, tak prosiła w modlitwach, żeby ojczym przestał z nią robić to, co robił. Niestety, jej modlitwy nie zostały wysłuchane, a matka wytrząsała po twarzy, wołając, że jest podła, wymyślając o ojcu podobne brednie. Z kolei ksiądz, któremu podczas spowiedzi wyznała, że tata przychodzi do jej łóżka, aż wychylił się z konfesjonału; spojrzał na nią ze wstrętem i krzyknął, że to nie tata, tylko ona ma grzeszne myśli, bo pewno ogląda te wszystkie nieprzyzwoite filmy w telewizji. Chociaż potem, w święte niedziele, matka albo krzyczała, albo biła po twarzy, nie pozwoliła się zaciągnąć więcej do kościoła. Gdy zaszła w ciążę z Pawłem, przypomniała sobie o Bogu i do Niego zwróciła się o pomoc. Nie prosiła, żeby Paweł z nią się żenił. Chodziło o dziecko, które urodzi. Oby nie dziewczynka, oby nie, Panie, ponieważ być dziewczynką to koszmar, to męka.

– Martusia, rozumiem, ale bądź pragmatyczna. Spójrz na swój dramat z innej strony: po co ci dziecko? Miałabyś życie związane na supeł, i my również.

Mieszkanie zaledwie trzypokojowe. Dwoje młodszych dzieci poza tobą. Co prawda ojciec ma znajomości i obiecali mu, że dadzą ci jakiś lokal z listy społecznej po waszym rozwodzie. No, ale sama wiesz, jakie to są te mieszkania socjalne. Bez jakichkolwiek wygód, bez podstawowego standardu. No i o męża byłoby ci o wiele trudniej z dzieckiem.

– Tak. O wiele trudniej.

– Martunia, jesteś taka młoda i taka ładna. Wyjdiesz za męża, założysz rodzinę, urodzisz dzieci.

– Oczywiście, mamó. Wyjdę, urodzę...

Ścisnęła ją gorsetem tak mocno, że prawie nie mogła oddychać. Ja się duszę, mamó. Nie trzeba było się puszczać, więc teraz cierp. Ty zdajesz sobie sprawę, przez ile upokorzeń musiałam przejść, żeby tę wredną babę, tę panią sędzinę i jej synalka, przekonać, aby się raczył z tobą ożenić? Nie prosiłam cię o to, mamó. Milcz! Na kolanach powinnaś mi dziękować! Za to, co dla ciebie zrobiłam i za to, co jeszcze dla ciebie i twego bachora będziemy musieli razem z ojcem zrobić. Kosztem dziewczynek! Z naszych nauczycielskich pensyjek! Wyżywić, ubrać jeszcze jedną gębę! I ciebie, z którą nie wiadomo teraz co począć, gdzie schować, żeby się znajomi nie dowiedzieli.

– Dobrze, że chociaż tyle rozumiesz. Jednak, kiedy pomyślę, że moja najstarsza córka, moja pierworodna, ukochana i wytęskniona tak bardzo mnie zawiodła... Porzuciłaś studia, udawałaś przez cały rok, że chodzisz na zajęcia. Gdyby nie moja intuicja, która kazała mi sprawdzić u dziekana, czy aż do tego stopnia się zaniedbałaś, że nie otrzymujesz stypendium rektora, to do tej pory oszukiwałabyś i mnie, i ojca, który ciebie jak własną córkę...

– O tak, mamó. Jak własną.

Poczula go obok siebie. Cichutko, maleńka, ja nic złego, ja tylko poleżę przy tobie. Był wielkim, barczystym, śmierdzącym potem facetem o byczym karku. Przytłoczył ją ciężarem swego ciała, coś sztywnego i twardego wbijał w jej brzuch. Kocham cię, maleńka. Jesteś taka wiotka i śliczna, szeptał, i masz takie małe cycuszki. Pozwól mi je dotykać. Och, och, zasapał, i z tego czegoś twardego wytrysnęło czymś lepkiem, ciepłym. On zsunął się z niej i powtarzał: Moja maleńka dziewczynka. Moja, tylko moja. Zawsze będziesz moją dziewczynką. Pocałował jak córkę w policzek, pogłaskał po głowie. Kiedy dorośniesz, powiedział, zrozumiesz, jakie to przyjemne. I będziemy to robić inaczej. Teraz możemy tylko w ten sposób. Daj łapkę, maleńka. No, dajże, nie wrywaj, nie szarp się. Czujesz? Czujesz? Jaki on jest duży? A twoja cipcia za mała, abym ci go w nią włożył. Mógłbym ci sprawić ból, a nie chcę ci sprawić bólu, moja śliczna dziewczynko.

– Mówisz to z takim sarkazmem. Jakby ci twój ojciec...

– Ojczym.

– Dobrze, ojczym, który ciebie wychowywał od ósmego roku życia i dbał bardziej niż o własne córki. To ty byłaś i wciąż jesteś oczkiem w jego głowie. Nie zapominaj o tym.

– Na pewno nie zapomnę, mamó. To niemożliwe.

– Za co ty go tak nienawidzisz? Powinnaś Bogu dziękować, że dał ci takiego ojca.

– Ojczyma, mamó.

– Przestaniesz wyskakiwać z tym obraźliwym, upartym nazywaniem go ojczymem!

– Kiedyś ci usiłowałam, mamó...

– A tam! Ja ci powiem, Marta. Od dziecka miałaś rozbuchany temperament, niezdrową wyobraźnię i dlatego poszłaś do łóżka z pierwszym lepszym, który ci się nawinął. Mało razy musiałam ciebie – o Boże, co za wstyd – trzynastoletnią, czternastoletnią prowadzić do lekarza, ponieważ ciągle i ciągle te stany zapalne pochwy... Lekarz radził mi, żebym ci na noc wiązała ręce, ponieważ się onanizujesz i to dlatego.

Potem, gdy była starsza, rozsuwał zaciśnięte uda. No, moja maleńka, daj się tam popieścić, tylko troszeczkę, odrobinę. Och, och, stękał, sapał, wbijając członek w jej brzuch i jednocześnie grzebiąc tym grubym, niemytym paluchem. Nie lubił myć, kąpał się raz na tydzień, a do matki, narzekającej od czasu do czasu, że cuchnie, mówił, śmiejąc się, że to jest naturalny zapach każdego prawdziwego mężczyzny, każdego samca. Matka była pedantycznie czysta, talerze w obawie przed zarazkami parzyła wrzątkiem, a ojczyma dopuszczała do siebie tylko dwa razy w tygodniu. W sobotę, ponieważ w sobotę się kąpał, oraz w niedzielę, bo w niedzielę jeszcze tak bardzo samcem nie cuchnął. Przez pozostałe pięć dni tygodnia matka spała razem z bliźniaczkami w stołowym, ojczym zajmował drugi pokój, zaś ten najmniejszy, trzeci, podobny do dziupli, należał do niej. Więc przez dwa dni w tygodniu miała spokój, nie musiała leżeć w ciemności, zaciskając z całej siły uda, ociekająca ze strachu strugami potu, nad słuchującą skradających się kroków ojczyma, a każdy najmniejszy szelest, każdy szmer dochodzący z głębi mieszkania powodował wzmożoną falę mdłości i takie trzepotanie serca, iż cieszyła się tym w nadziei, że zaraz umrze. Jęki matki, słyszalne przez cienkie działowe ścianki blokowego mieszkania, początkowo ją przerażały i myślała, że ojczym robi matce coś bardzo bolesnego. Pewno to samo, co obiecywał z nią robić, gdy będzie starsza. Jednak następnego dnia twarz matki jaśniała, uśmiech nie schodził z ust, oczy promieniały i zawsze po takiej

nocy, pełnej jęków, matka mówiła do ojczyzna kochanie, kupowała na poobiedni deser jego ulubiony tort orzechowy, przytulała się, ocierała o niego jak kotka, powtarzając: Kocham cię, wiesz? Ach, jak ja ciebie kocham, Piotrusiu.

– Mamo. Przestań. Przynajmniej nie mów nic na ten temat.

– Niby dlaczego? Po prostu z nienawiści do ojca chciałaś z premedytacją zniszczyć moje udane, szczęśliwe małżeństwo. To jest cała prawda o tobie. I o twoich urojeniach. Czasami wprost nie mogę na ciebie patrzeć. Dobrze, że poza tobą mam Dagę i Patrysię, które mi w najmniejszym stopniu nie sprawiają zawodu.

– Jakie to szczęście, mamo, że poza mną masz swoje prawdziwe dzieci, które ci w najmniejszym stopniu, w przeciwieństwie do mnie, nie sprawiają zawodu ani kłopotu.

– Są grzeczne, dobrze się uczą, szanują swoich rodziców.

– No właśnie. A ja od dziecka was opluwam, taki jestem potwór.

– Po cóż ten sarkazm, Marta? Chyba nie powiesz, że byłaś łatwym dzieckiem.

– Byłam potworem w ludzkiej skórze. Powtarzałaś mi to niemal każdego dnia.

– Marta, uderz się w piersi. Chociaż raz postaraj się być sprawiedliwa. To ty ze mnie robiłaś przed ludźmi potwora. Od czasu, kiedy wyszłam po raz drugi za mąż, stałam się nagle w twoim mniemaniu wyrodną matką. Boże mój, ileż razy zastanawiałam się, co się z moim dzieckiem dzieje? Co z moją Martusią? Początkowo sądziłam, że to dziecinna zazdrość o mnie. Swój czas, dotąd poświęcany jedynie tobie i pracy, musiałam częściowo oddać mężowi, człowiekowi, który nadał sens mojemu samotnemu życiu. Bo powinnaś wiedzieć, Marta, że samotnej, młodej matce nie jest łatwo. Miałam wtedy dwadzieścia

cztery lata i wydarzył się cud: ja, która skreśliłam ze swego życiorysu wszystkich mężczyzn i wszystkich przez te lata odrzucałam, obawiając się kolejnego cierpienia, zgorzkniała do cna, spotkałam Piotra. Nagle, jakby otworzono przede mną wrota raju, pokochałam go, a co najważniejsze, Piotr pokochał mnie i potrafił zrozumieć moje obiekcje, czekał na mnie do nocy poślubnej. Odtąd tworzymy szczęśliwą rodzinę.

– No cóż, przykro mi, że to twoje szczęście od lat zakłócam.

– Właśnie, Marta. Dlaczego? Ciągłe zadaję sobie to pytanie: dlaczego? Bo stałaś się taka w kilka miesięcy po naszym ślubie. Pamiętasz, co mu raz zrobiłaś? Jadł obiad. Ty podeszłaś i wbiłaś mu w plecy igłę.

– Należało się wtedy zastanowić, mamo, nad powodem, dla którego zadałam mu ból. Ale wrzasnął. Spuściłaś mi niekiepskie lanie, mamo.

– Igłę wbiłaś tak głęboko, że chirurg musiał ojca ciąć.

– Biłaś i krzyczałaś: mała sadystka.

– Pamięć masz doskonałą. Chyba pamiętasz również swoje listy, wypisywane do babci i dziadka? Nawet do tej Malinowskiej z Gałkowa pisałaś, jak cię bez przerwy krzywdzę, znęcam się nad tobą.

– Do pani Malinowskiej nie pisałam mamo.

– Kłamiesz. Jak zawsze kłamiesz.

Była połowa września. Przed szkołą i po szkole miała obowiązek odbierać bliźniaczki z przedszkola. I z domu, i ze szkoły: jednakowo daleko. Musiała przejechać tramwajem, bo to taniej niż autobusem, niemal przez pół miasta, ponieważ dzieci koniecznie musiały chodzić do przedszkola prywatnego i koniecznie prowadzonego przez siostry zakonne. Jedyne siostrzyczkom mogę je powierzyć. W przedszkolach publicznych nie wpajają zasad wiary, nie uczą modlitwy, dekalogu, co dobre a co złe, tłumaczyła matka znajomym, którzy

pytali, dlaczego, na Boga Ojca, Basiu, wysyłasz Patrycję i Dagmarkę prawie na koniec świata, podczas gdy pod nosem, na osiedlu, są przynajmniej ze dwa dobre przedszkola? Toteż rano, aby zdążyć ze wszystkimi obowiązkami: pójść do sklepu po mleko, chrupiące bułeczki, bo tylko takie lubiła matka, grahamki, bo tylko grahamki jadał ojczym na śniadanie, oraz obowiązkowo „Gazetę Wyborczą”, ponieważ miał zwyczaj przeglądania prasy podczas śniadania, wstawała bladym, świtem zaraz po piątej. Cichutko puszczała wodę w łazience, gdyż nie wolno zbudzić małych sióstr ani tym bardziej matki. Wiedziała, że do późna w nocy albo poprawiała zeszyty uczniów, albo przygotowywała się do lekcji, albo coś tłumaczyła na zlecenie. Rano jej skóra była szara jak popiół, ołowiane powieki, wyostrome bruzdy przy ustach. Dopiero po nałożeniu makijażu ta twarz stawała się znów młoda i piękna. Myśląc ze współczuciem o tej zmalretowanej twarzy swojej matki, biegła do sklepu spożywczego, który na szczęście był blisko, potem biegła do kiosku po gazetę, który na nieszczęście był aż za skrzyżowaniem, potem pędziła do domu. Szykowała matce i ojczymowi kanapki do pracy. Mleko szybko na gaz, czajnik szybko na gaz. Zdążyć, zdążyć, nie zapomnieć o niczym, żeby mama była zadowolona. Niestety, przeważnie nie była. Rozcierając palcami skronie, pokrzykiwała: Mleko przypaliłaś! Ile razy powtarzałam ci, że mleko masz gotować w tym emaliowanym na biało garnku, a ty, chyba na przekór, gotujesz w pierwszym lepszym, jaki ci się pod rękę nawinie! I trzask, prast! Gdzie popadło, czasem w kark, czasem w ramię, lecz najczęściej trzask prast trafiało w cel, jakim były jej policzki. To mają być chrupiące bułeczki? To są jakieś blade zakalce! Chyba mi robisz na złość, bo wybierasz najgorsze, niedopieczone, po których boli mnie wątroba! Co tak stoisz, rozdziawiasz gębę, jakbyś żabę chciała połknąć? Nie słyszysz, że dzieci chcą siusiu? Boże drogi, daj wytrzymać, założyłaś Dadzi sweterek na lewą stronę! I trzask–prask! Pospiesz się, jest po

szóstej, spóźnisz się z dziećmi na tramwaj! Za piętnaście siódma musiała być na przystanku. Tłok. Bliźniaczki, budzone bez litości przed szóstą, łykające w pośpiechu kaszkę mannę na mleku, ziewały niewyspane. Rozpychała ludzi łokciami, broniąc pojękujące siostry przed zdeptaniem. Potem wyszarpywała je z tramwaju, biegła, ciągnąc brutalnie za rączki. Szybciej, szybciej! Znowu przez was nie zdążę do szkoły! Spóźniała się zbyt często. Przez dwie ostatnie klasy powszechniaka, dopóki ojczym nie kupił malucha, którym odwoził dzieci do sióstr urszulanek, jedynym dobrym stopniem na cenzurkach była piątka z angielskiego. Reszta to same naciągane dostateczne, a ze sprawowania nieodmiennie dostawała mierny. Za to spóźnianie się właśnie. Matka na wywiadówkach udawała Greka, usprawiedliwiała się, że córka zapewne gdzieś się włóczy, bo to do niej podobne. Po szkole też nigdy nie wraca zgodnie z rozkładem lekcji. Córka ma trudny charakter. No to i wszyscy matce bardzo współczuli. Więc połowa września. Wpadła do domu spocona, potargana, w przekręconej na bok spódnicy, z urwanym guzikiem, bo tego dnia tłum ludzi nawalił do siódemki. Tłum szarych, zrozpaczonych kobiet, którym znowu nie wypłacono w fabryce zaliczki. Tłum kobiet umęczonych, przerażonych, bo zapowiedziano dalsze zwolnienia. Tłum kobiet z wypalonymi od udręki sercami, nieskłonnyymi zauważyć rudej, szczuplutkiej, niewysokiej trzynastolatki, osłaniającej dwie płaczące, bo zbyt ściśnięte dziewczynki. I, o Jezu! – zdążyła z tramwaju wyszarpnąć jedynie Dagę, a szlochająca Patrycja została w tym tłumie. Co robić, co robić? Więc krzyczała za odjeżdżającym wraz z siostrą tramwajem: Na litość boską! Ludzie, pomóżcie! Pomóżcie! I nie myślała wcale o tym, że jeśli pojawi się w domu bez Patrycji, matka ją zbije jeszcze mocniej niż wtedy, kiedy Daga, bawiąca się w piaskownicy, gdzieś się zapodziała, a odnalazła się dopiero po dwóch upiornych godzinach poszukiwań, u koleżanki w sąsiednim bloku i bardzo blada matka

kazała położyć się, zdjąć majtki i biła w gołe pośladki sznurem od żelazka na milcząco, bez wyzwisk, biła i biła, i pewno biłaby jeszcze, gdyby nie pojawił się ojczym, nie wyrwał matce z ręki sznura, nie krzyknął: Zwariowałaś? Posiekałaś Martę do żywego mięsa, przecież to też tylko dziecko! I to był jedyny moment w jej życiu, w którym kochała ojczyma jak swego tatę, swego prawdziwego tatę, którego nigdy nie poznała, swego tatę, o którym dopiero miała się przypadkiem dowiedzieć, że był ostatnim lajdakiem. Na razie jednak nic o nim nie wiedziała, więc mogła kochać go do woli, tęsknić do niego, płakać po nim, wyobrażać sobie, jakby wyglądał i jakby ją kochał, gdyby nie umarł. Toteż nie, nie myślała o czekającym ją laniu. Myślała o tym, co musi czuć w tym tłumie pozostawiona bez opieki czteroletnia siostra i była pewna, że słyszy bezradny płacz, rozpaczliwe wołanie: Marta! Gdzie jesteś, Marta? I nagle stał się cud. Tramwaj zazgrzytał hamulcami. Jakaś kobieta o szarej, trudnej do zapamiętania twarzy, wyprowadziła siostrę. Biedne dziecko, powiedziała do niej, obejmującej płaczącą Dagusię. Nie masz matki czy co? I pogłaskała ją po włosach tak czule, jakby była jej matką. Więc rozplakała się, zaś obca kobieta przytuliła ją do siebie: No, dziecko, no, już dobrze, a nie płacz tak, bo się serce kraje. Wówczas pokochała tę nieznaną kobietę, która ofiarowała jej dobre słowo wraz z gestem pocieszenia i zapragnęła, aby to ona właśnie, mimo swojej szarej twarzy, zmęczonych oczu, wypłowiałego ubrania, była jej matką. Tak ścisnęło się jej gardło z powodu tego pragnienia, że nie powiedziała nawet: dziękuję, a kobieta oddaliła się. Zniknęła w tłumie innych, wracających z pracy, dźwigających ciężkie siaty z zakupami, zmęczonych kobiet. Marto! Martusiu! Nic nie powiemy mamie, nie chcemy, żeby cię biła, wołały siostry i też ją objęły mocno. Dwie małe istotki, takie ledwo odrośnięte od ziemi, a już rozumiejące, a już współczujące. Przysiadła z nimi w objęciach na schodkach prowadzących do małego sklepiku warzywnego, w

którym często robiła zakupy i płakała razem z nimi, ona nad sobą i nad nimi, one zaś wyłącznie nad nią. Potem należało trochę odczekać, żeby zniknęło zaczerwienienie powiek, bo matka mogłaby się domyślić. Wpadła więc do domu, zapominając o przekręconej na bok spódnicy i urwanym guziku przy bluzce, wołając: już jesteśmy mamó, przepraszam, ale tramwaj nam uciekł, i czekała na to, co zwykle. Matka wyjdzie z pokoju do korytarza, pochwyci swoje dwie córki w ramiona, zapyta o obiad w przedszkolu, czy był smaczny, pomoże ściągać buciki, podsunie domowe pantofle, całując każdą a to w kolanko, a to w policzek, w uszko, w czarne loczki. Matka jednak nie wypadła. Coś się stało, coś się wydarzyło, bo oto z tego dużego pokoju – w którym śpią małe na swoich tapczanikach i stoi szeroki, gotowy na przyjęcie ojczyma w sobotnią i niedzielą noc szeroki tapczan (dlatego na każdą sobotnią i niedzielą noc ona musi przenosić się na rozkładane łóżko ustawiane w kuchni, bo na jej tapczan w dziupli wędrują wtedy spać siostry)– dochodzi głos: dziewczynki zaprowadź do swego pokoju, a sama przyjdź tutaj, natychmiast! Pójdziemy z tobą, wyszeptaly przerażone małe, mama będzie cię na pewno biła, bo znowu krzyczy. Więc pocałowała pocieszająco każdą z nich w te przerażone oczy. Nie będzie biła, a jeśli nawet, to tylko trochę, nie bójcie się, siostrzyczki. Kochała je. Każdą z nich wyniańczyła, każdą nosiła na rękach, kołysała do snu, karmiła butelką, bo żadna tak zwana pomoc domowa nie potrafiła wytrzymać, nie wiadomo, czy z powodu wiecznie zdenerwowanej, pokrzykującej matki, czy z powodu ciągle chorujących bliźniaczek, dłużej niż dwa, trzy miesiące. Nim matka znalazła kolejną gosposię, ona zostawała z nimi. Czasem nie chodziła do szkoły nawet miesiąc, ale w takich wypadkach matka zawsze wypisywała usprawiedliwienie: „Z powodu długiej i przewlekłej choroby moja córka, Marta Stańczyk, nie była obecna w szkole w dniach od... do... Barbara Stańczyk”. Marta! Ja czekam! Popchnęła łagodnie

siostry do swojej dziupli. Weszła do pokoju. W szeroko otwartym oknie z widokiem na blokowy czworokąt podwórza, opierając się szerokimi biodrami wiejskiej kobiety, która urodziła siedmioro dzieci, stała pani Malinowska. Jak zwykle, w białej chustce, długiej do kostek bawełnianej spódnicy, z czerwonymi od pracy, szorstkimi rękami zaciśniętymi na czarnej wyjściowej torebce, z którą pani Malinowska wędrowała co niedziela trzy kilometry piaszczystą drogą świerkowym lasem na sumę do kościoła w Galkowie. Przez dwa miesiące wakacji, które matka ze względu na słabe zdrowie bliźniaczek, zgodnie z zaleceniami profesora Krycińskiego, najlepszego w tym czasie pediatry w Łodzi, spędziła, wynajmując letnisko u pani Malinowskiej. Letnisko idealnie położone: na tak zwanej odległej kolonii, daleko od śmierdzącej wsi, pośrodku rozległej polany leśnej, i, co dla matki miało znaczenie, bardzo czyste letnisko. Nawet mleko matka pozwoliła bliźniaczkom pić „prosto od krowy”, nieprzegotowane, ponieważ pani Malinowska przed udojem myła wymię ciepłą wodą z mydłem, później je splukiwała, wycierała idealnie białą ściereczką do sucha. Wiadro również było aż lśniące i ręce pani Malinowskiej do dojenia umyte, i w ogóle, jak zachwycała się matka, gdy na weekendy wpadał ojczym, który prowadził gdzieś za Łodzią letnie kolonie. Bo wiadomo: każdy grosz więcej się przyda. Więc słuchaj, Piotruś, u tej Malinowskiej do obory możesz wchodzić w domowych pantoflach. Taka gospoia, jak ona, by mi się przydała, a bliźniaczki, tylko popatrz, Piotruś, w jakich zdrowych rumieńcach, i kaszel im się skończył, i Dagusia nie miała ani razu ataku astmy. Nawet siedmioro dzieci pani Malinowskiej matce nie przeszkadzało. Były czyste, bez insektów we włosach, co matka osobiście sprawdziła, mówiąc: Niech się pani nie boczy, pani Malinowska, ale moje bliźniaczki takie chorowite... Bawić się z pani dziećmi również nie powinny... Ale dzieci pani Malinowskiej nie miały czasu na zabawy, od rana do

wieczora pomagały w gospodarstwie. Ciche, posłuszne i aż dziwne, Piotrusiu, jak dobrze ułożone. Ty wiesz, Piotrusiu? TA MALINOWSKA nawet książki czyta, wypożycza je z biblioteki w Galkowie. I pomyśleć, że to zwykła, wiejska baba! Więc w szeroko otwartym oknie stoi pani Malinowska, ściskająca czarną, niedzielną torebkę, zapłakana, natomiast matka siedząca przy stole, dysząca jakby zaraz miał ją powalić atak serca, z ciemnoceglanymi plackami wypieków na policzkach, szyi, dekolcie. Jak śmiałaś, powiedziała matka załamującym się głosem, pisać do tej kobiety, prosić, aby cię zabrała ode mnie. Niby jestem taką wyrodną matką, z którą nie możesz wytrzymać? Już pani powtarzałam, że nie Martusia, to ja, sama z siebie, odezwała się pani Malinowska, lecz matka pisnęła: Niech jej pani nie broni! O, ja ją znam i wiem, jakie z niej ziółko! Wcześniej wypisywała podobne bzdury do mojej matki, do ojca! To intrygantka! I pani jej uwierzyła? Pani, u której mieszkałam całe dwa miesiące! Pani, która widziała, jak się obchodzę ze swoimi dziećmi? Właśnie dlatego, że widziałam, powiedziała cicho pani Malinowska. Przepraszam cię, dziecko. Chciałam jak najlepiej, a tymczasem widzę, że wyrządziłam ci krzywdę. Wybacz.

– Nawet po tylu latach kłamiesz. Ja wiem, czasem mnie ponosiły nerwy, wymagałam na pewno od ciebie zbyt wiele, bo ty najstarsza, ale żeby skarżyć się jakiejś wiejskiej babie – matka otarła łzę. – Za co ty mnie tak nienawidzisz?

– Zawsze cię kochałam, mamó. Mimo wszystko kocham cię, mamó, nadal.

– Co to znaczy: mimo wszystko?

– Och, mamó. Przestańmy rozdrapywać nasze rany.

– To ja jestem poraniona, obita przez ciebie. Nigdy nie zastanawiałaś się nad tym, co czułam, kiedy na przykład musiałam poniżać się przed matką Pawła.

– Już ci mówiłam: nie musiałaś.

– Musiałam! – krzyknęła matka. – Nie życzyłam sobie mieć wnuka bękarta! Modliłam się, aby ten twój Paweł, któremu wlaźłaś do łóżka, przestał choćby na taki poniżający, bo fikcyjny, związek!

– Nie wlaźłam mu do łóżka. Sądziłam, że go kocham.

– Sądziłaś? Nawet nie byłaś pewna? Dlaczego w takim razie mu się oddałaś? Pewno on nie był twoim pierwszym. Boże, moja córka po prostu się puszczała!

– Uspokój się, mamó. Nie miałam innych facetów poza Pawłem. A Paweł był przez pewien czas dla mnie dobry, czuły, opiekuńczy i troskliwy.

– To ma być wystarczający powód, żeby się z nim szlajać po lasach, rozkładać nogi pod jakimś krzakiem? O, Paweł nie oszczędzał mi szczegółów, szczery aż do bólu, opowiadał o tym waszym kochaniu się! Byłaś łatwa. Nie musiał się trudzić. Sama szybciotko wyskoczyłaś z majtek. Czy on, ten twój Paweł, powiedział ci, że cię kocha? Powiedział?

– Masz obsesję, mamó. Ciągłe i ciągłe powracasz do tego, co było, co minęło. To jest chore.

– Bo to mnie boli!

– A mnie, mamó, nie boli?

Moja śliczna, mówił Paweł. Ruda sarenko ze smutnymi oczami, uśmiechnij się, mówił. Moja biała łanio, mówił. Czy wiesz, jak białą i jak delikatną masz skórę? Gdybym był poetą, pisałbym dla ciebie wiersze, mówił. Gdybym był malarzem, malowałbym twoje portrety, mówił. Gdybym był rzeźbiarzem, rzeźbiłbym twoje ciało, mówił. Jesteś jak figurka z saskiej porcelany, taka krucha i taka wiotka. Jesteś jak śmigła, srebrzysta jaskółka, mówił. A potem płakał, bo był jej pierwszym. Ścierał ślady krwi z jasnobrązowej skóry, jaką była obita staroświecka kanapa w gabinecie jego nieżyjącego od czterech lat ojca, znanego

prawnika, który na Julianowie kupił jednopiętrową willę otoczoną ogrodem. Dopiero te łzy Pawła, kiedy już po stosunku leżała przed nim naga, znowu mimowiednie zaciskając uda, pozwoliły jej przeżyć radość i tklivość z fizycznego zbliżenia. Bo ani radości, ani wzruszenia, ani tym bardziej podniecenia nie czuła, gdy Paweł powoli ją rozbierał, całując każdy odsłonięty skrawek ciała, ponieważ szept Pawła: moja maleńka, kojarzył się z szeptami ojczyma i jego paluchem, gmerającym wokół jej pochwy. To niewiarygodne, ty się boisz, zdumiewał się Paweł. No, moja maleńka, nie udawaj, że nie chcesz. Przecież czuję, jak bardzo tego pragniesz. Krzyknęła, nie z rozkoszy, jak to się wydało Pawłowi, gdyż zaszeptał: a widzisz, a widzisz, jak ci ze mną dobrze, lecz z bólu. Ojczym miał rację, to bolało, to tylko i wyłącznie bolało. Nic więcej. Przygryzła wargę, aby nie jęczeć i zastanawiała się nad tymi namiętными okrzykami matki w sobotnie i niedzielne noce. Ona nawet nie potrafiła oddawać Pawłowi pocałunków, ponieważ nie umiała pozbyć się wrażenia, że to nie z Pawłem się kocha, lecz że ją gwałci ojczym. Dziewczyno, powtarzał ze łzami Paweł, gdybym wiedział, iż ty nigdy dotąd z nikim, byłbym czulszy, nie tak brutalny, ale kto by przypuszczał? Kto by się domyślił tego, że w dzisiejszych czasach spotkam dwudziestoletnią, piękną dziewczynę, która nie była nigdy z facetem? Przepraszam cię, moja sarno, moja łanio białoskóra. To dla mnie zaszczyt, że jestem twoim pierwszym, powiedział, ale nie powiedział tego, czego wtedy, już ze wzruszeniem i nadzieją, oczekiwała: moja jedyna, moja kochana. Tego nie powiedział. Tego nigdy nie powiedział. Nie rozumiała, dlaczego tego nie mówi, że jest tą jedyną dla niego, kochaną teraz i na zawsze. Oddawała mu się, przeważnie na tej skórzanej kanapie, nie czując pożądania ani przyjemności, za każdym razem mówiąc mu, że było jej wspaniale, gdyż dopominał się pochwał. Pytał za każdym razem: dobrze ci ze mną, prawda, prawda? Jednak któregoś dnia, mimo pigulek, które jej kupował,

spóźnił się okres i przytulona do jego boku, z głową na jego ramieniu, powiedziała: Paweł, dwa tygodnie temu powinnam była mieć swój czas, chyba jestem w ciąży. Pochylił się nad nią. Zobaczyła jego oczy. Zawsze się jej wydawało, że najbardziej w Pawle kocha jego oczy. Takie łagodne, czułe, dobre. Teraz nie były ani dobre, ani łagodne, ani czułe. Były wściekłe. Po oczach kochała w Pawle jego usta, takie delikatne, takie miękkie. Teraz usta Pawła nie były ani delikatne, ani miękkie. Były, jak oczy, wściekłe. Po oczach i ustach kochała w Pawle jego uśmiech, taki ujmujący, taki trochę nieśmiały, a trochę przekorny. Teraz był wykrzywiony grymasem złości. Po oczach, ustach, uśmiechu kochała głos Pawła, taki ciepły, taki melodyjny, gdy mówił: moja sarno, moja biała łanio. Teraz ryczał: W ciąży? Ze mną? Przestałaś brać pigułki? Patrzcie, jaka cwana! W ciąży! I pewno myślałaś, że ja padnę na kolana i zawołam: ach, jakie to dla mnie szczęście zostać tatusiem? Aż tak spodobał ci się mój dom i kasa mojej starej? Czy ja ci kiedykolwiek cokolwiek obiecywałem, krzyczał.

A ona pospiesznie, z zamkniętymi oczami, na ślepo ubierała się. Za wszelką cenę nie chciała widzieć oczu, ust Pawła; żeby jeszcze tak nie słyszeć jego głosu, kiedy wezbrany wściekłością wrzeszczał, że nawet na skrobankę nie da, jej, dziwce jednej. I niech sobie nie wyobraża, że jeśli postanowi urodzić, to wydebi od niego chociaż złotówkę alimentów. Tuzin kolegów przed sądem zaświadczy, że z każdym się puszczała.

– Twój ból. Wiem, co czułaś, odrzucona przez Pawła. Potraktował cię nikczemnie. Ale czego mogłaś się spodziewać? Nie zachowywałaś się godnie. Sama mu dałaś powody do takiego traktowania – powiedziała matka. – A nie zastanowiłaś się nigdy, że to kara za wyparcie się Boga? Za prowadzone przez ciebie życie, też bez Boga? Muszę unikać księdza proboszcza. Byłe go nie spotkać, powtarzam sobie za każdym razem, wychodząc po mszy z kościoła. I,

cholera, jak na złość wiecznie na niego wpadam. Modlę się za pani najstarszą córkę, powtarza, a ja się spalam ze wstydu. Modlę się, żeby wróciła na łono Kościoła. Nie, nie, droga pani Stańczyk, proszę mi się nie usprawiedliwiać, że pani jako matka nic nie może. Pani również ponosi winę. Nie nauczyła pani swojej Marty pobożności. Więc nic dziwnego, że dziecko, które przestało być w domu Bożym już w wieku trzynastu lat, ostatecznie zeszło na manowce, wykoleiło się. Proszę dać na mszę za nawrócenie córki, pani Stańczyk. Bóg jest łaskawy. Zawróci zbłąkaną owieczkę ze złej drogi. Daję mu i daję, zaś on stale wyciąga rękę, coraz drożej liczy za mszę, cholera. Ostatnio kazał dać dwieście złotych, a ja za godzinę korepetycji biorę trzydzieści. Marta, błagam cię, co ci szkodzi pokazać się na mszy w kościele? Nawet modlić się nie musisz. Wystarczy jedynie poruszać ustami, przyklęknąć kilka razy, przeżegnać się, chyba nie zapomniałaś, jak się przeżegnać?

Nie, nie zapomniała. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen. Ukrzyżowany Syn spoglądał na nią w pół otwartymi oczami, z których zakrzepłe w czerni krople łez, czy może krwi, od wieków trwały na wychudłych policzkach, a usta od wieków wydawały ten sam, niemy krzyk. Wołały, że to boli, boli. Choć mam być Synem Bożym, lecz jeszcze Nim się nie stałem, cierpię jak śmiertelny człowiek, któremu przebito przeguby rąk i stopy. Tylko popatrz, spójrz tylko, jak bardzo grubymi gwoździami. Ojcze mój, okaż mi miłosierdzie śmierci, zanim stanę się Twoim Synem i nadejdzie dzień mego zmartwychwstania. Sama nie wiedziała, dlaczego zawsze wybierała właśnie Jego, powieszzonego okrutnie nad ołtarzem w bocznej nawie, zamiast jasnoniebieskiej, różowawej, złotawej, lekko uśmiechniętej Matki Bożej. Jakże spokojnej, jakby nieświadomej losu Syna, połyskującej jak ogon pawia tęczą różnokolorowych votów. Do Niej nie szła z modlitwą, chociaż w jej, lekko już wypukłym brzuchu rósł płód, którego nie

chciał Paweł i który matka nazywała bachorem, ubolewając, że nie można go wyskrobać, bo ten płód, niestety, za duży na wyskrobanie. Skrobię nielegalnie, za duże pieniądze z powodu ryzyka, ale za największe nie wyskrobię czteromiesięcznego dziecka, bo to byłoby morderstwo, ze zdenerwowaniem krzyknął lekarz. Ma pan rację, sądziłam, że to dopiero trzeci miesiąc, pospieszyła z odpowiedzią matka. Ja również aż takim grzechem swego sumienia nie obciążę. Po wyjściu od ginekologa, którego ogłoszenie znalazła w dzienniku: „Porady, konsultacje oraz inne usługi ginekologiczno-położnicze, kontakt wyłącznie telefoniczny”, napadła na Martę. Okłamałaś mnie. Naraziłaś na wstyd! I co ja z tobą i z twoim dzieckiem pocznę? Musisz urodzić, nie ma wyjścia. Lecz nie dopuszczę do tego, aby ten twój Paweł się wyłgał. Ma się z tobą ożenić, dać dziecku nazwisko. Poniżę się, padnę przed nim i przed jego matką na kolana. Mamo, nie rób tego. Milcz! Nie wiesz, bo skąd niby możesz wiedzieć, co przeżywa odtrącona, samotna kobieta! I co może przeżywać jej dziecko. Chcesz, żeby twoje dziecko nazywano bękartem? Mamo, jest dwudziesty pierwszy wiek. I co z tego, kretynko! Aż tak bardzo nie zmieniła się mentalność ludzi! To twoja się nie zmieniła, mamo, tkwisz w średniowieczu. Marsz do swego pokoju i nie pokazuj mi się na oczy! Jesteś zepsuta i pozbawiona godności. Jedyne lekarka z rejonu uśmiechała się życzliwie: o, niech pani popatrzy w monitor. Widzi pani, widzi? To, co tak rytmicznie pulsuje, to serce dziecka. Pewno już mocno kopie, prawda? No pokaż się, pokaż, kim jesteś? Chłopczykiem czy dziewczynką? Kogo by pani wolała – chłopczyka czy dziewczynkę? Ach, byle nie dziewczynka, byle nie, krzyknęła i sama się swego krzyku przestraszyła, Dlaczego nie dziewczynka? Dziewczynki są takie śliczne... Boże, dziewczyno, ty płaczesz? Bo ta lekarka była niemłoda, siwa i chyba wiele rozumiejąca. Przyglądała się jej, tak głupio szlochającej z tego ogromnego strachu, że jej dziecko może okazać się

dziewczynką, długo i uważnie nagle posmutniałymi oczami, i odezwała się po chwili: musiałaś wiele przecierpieć i pewno potrzebujesz pomocy. Dam ci adres domu dla samotnych matek, gdzie odrzucone przez swoich chłopaków i wyklęte przez swoich rodziców dziewczęta znajdują kąt do spania, jedzenie i dobre słowo. Dziękuję, powiedziała i objęła lekarkę, a ta ją przytuliła mocno, jak własną córkę. Odwagi, dziecko, odwagi, powiedziała. Najważniejsze, że pragniesz dziecka, a gdy je urodzisz, przekonasz się, że to bez znaczenia, chłopiec czy dziewczynka, po prostu twoje maleństwo. Wtulając się w ciepłe ciało obcej kobiety, żałowała, iż nie jest to ciepło ciała jej matki i prosto z rejonu poszła do tego kościoła. Tego strzelistego kościoła, w którym od wieków umierał Syn, zaś Jego Matka mieniła się kolorami palety barwnej.

Poszła do tego samego kościoła, do którego udała się od Pawła, z jego spermę w sobie, gdyż tak bardzo spieszyła się, aby uciec, że nie wzięła prysznic. Przeraził ją ten zupełnie nowy Paweł, zamieniony w Mr Hydea, dla którego nie była już jego białą łanią, smukłą sarną o smutnych oczach, ale dziwką, ponieważ ją zapłodnił niechcianym przez siebie nowym życiem. Biegła ulicami do Tego, który może zechce ją objąć swoimi cierpiącymi ramionami i obdarzy ją łaską obietnicy, że nikt jej tego życia nie odbierze. Nie rozpacziała z powodu Pawła. On nagle przestał dla niej istnieć, jakby go w ogóle nie było. O tę łaskę jej wyłącznie chodziło oraz siłę, aby przetrwać piekło, jakie ją niewątpliwie czekało w najbliższej przyszłości. Nieomal przypadając czołem do stopni ołtarza, prosiła Ukrzyżowanego, żeby to rozpoczęte w niej życie okazało się synem, synkiem, syneczkiem. Niech się urodzi zdrowy, niech zdrowo rośnie, bo dzięki niemu wreszcie przestanie być sama, poniżana, odpychana. Chociaż nie wie, co robi z nią matka, przetrzyma wszystko, więc proszę Ciebie, do Ciebie się zwracam, Ukrzyżowany, ochroń nas: mnie i mojego syna. Ale nie pomógł, nie ochronił.

Ściśnięta elastycznymi bandażami tak, że jej brzuch stał się prawie płaski, z trudem łapiąca oddech, czując na sobie wrogość spojrzeń Pawła i jego matki, chwiejąc się na osłabłych, pozbawionych krążenia, lodowato zimnych nogach, podała Pawłowi lodowato zimny palec, na którym zalśniła fałszywym złotem ślubna obrączka. Matka uznała, iż skoro ślub jest fałszywką, to szkoda pieniędzy na obrączki z prawdziwego złota. Tam, w Urzędzie Stanu Cywilnego, byłaby zemdląca, gdyby nie podtrzymująca ją dłoń wściekłego Pawła. Obrączka z tombaku, ślub fikcyjny, za to obiad wystawny. Matka powiedziała, niech to babsko nie myśli, że mnie, skromnej nauczycielki języka angielskiego, nie stać na prawdziwie elegancki obiad. Toteż najpierw były zimne przystawki, pasztet z dzika, ozory cielece w galarecie, owoce morza, białe i czerwone wino do wyboru. Potem na stół wjechały wazy z zupą: rosół z kury z pulpetami. Na drugie danie indyk w winie, sałaty, podsmażane z czosnkiem kartofle. Deserów: surówki ananasowej z pomarańczami i lodów z koniakiem nie zdołała doczekać. Poczula, jak po udach spływa jej coś mokrego. Powiedziała: przepraszam i starając się utrzymać w pionie, wyszła z dużego pokoju, z którego na czas obiadu poślubnego z pomocą państwa Kozłowskich wyniesiono wcześniej tapczany bliźniaczek na strych, natomiast ustawiono wypożyczony przez ojczyma, duży, rozsuwany stół. Tak duży nie z powodu liczby gości, ale ze względu na ilość przygotowanych potraw, wazoników z kwiatkami, świeczników ze świecami, i trzeba przyznać, iż stół prezentował się imponująco. Nawet matka Pawła w niekontrolowanym odruchu zawołała: nie spodziewałam się, naprawdę piękny! Nikt specjalnie nie zainteresował się, dlaczego nagle, przygryzając wargę, wstaje od tego tak wspaniale i takim kosztem przygotowanego stołu. Dowlokła się do swojej dziupli. Zadarła spódnicę i zobaczyła, że to mokre, że śladami krwi wciąż z niej wypływa, a od krzyża ciągnie do dołu brzucha ból nieznośny, gwałtowny, jakby ktoś ją

kroił nożem. Zrozumiała, że rodzi przed czasem swego syna, który od kilku godzin przestał kopać, bo zadusił się, ściśnięty razem z jej brzuchem elastycznymi bandażami. Martwego rodzi. I nie ma nadziei na zmartwychwstanie, bo nie jest Synem Bożym, lecz człowiekiem. Nigdy go nie obejmie. Nie przytuli. Nie pozna nawet. Ból rwał ciało. Ból pozbawiony sensu, niedorzeczny. Ból, który wypchnie z niej martwy płód. Z dużego pokoju głosy podchmielonego nieźle ojczyma, pana Kozłowskiego, chyba i Pawia. Do deserów bowiem matka miała podać, poza kawą, dwa gatunki francuskich koniaków. Tych z najwyższej półki, których nazw nie pamiętała, ale pamiętała cenę: butelka tysiąc dwieście pięćdziesiąt, ponieważ tę cenę za butelkę matka wymieniała jęcząco kilkanaście razy, jakby domagając się wdzięczności, wyrażonej padnięciem na kolana albo czołganiem się po podłodze.

– Mamo. Zmień płytę. Nie będę się ani żegnać, ani modlić, ani chodzić do kościoła. Niepotrzebnie marnujesz pieniądze na msze w intencji mego nawrócenia.

– Idę do pracy, a tam w szkole, wszyscy przyglądają mi się współczująco. Obgadują za plecami. Nie udało się utrzymać twego stanu w tajemnicy. Ślub, niestety, tylko cywilny, ale jednak ślub. Te wredne plotkary, uśmiechając się, pytają: Jak tam twoja najstarsza? Nie znalazła sobie nowego „narzeczonego”? Właściwie, Basiu, dlaczego tak szybko się rozwiodła? A może, he, he!, za bardzo figlowali oboje i stąd poronienie? Och, często mam ochotę je po prostu opluć, a muszę się do nich uśmiechać, rozmawiać, szukać wymijających odpowiedzi.

– Przykro mi, mamo. Naprawdę.

– Marta. To akurat nie twoja wina. Ale tak bardzo pragnę, aby tobie i nam również ułożyło się życie. Bo w moim coś się psuje. Piotr się zmienił w stosunku do mnie od tamtego wypadku. Stał się oschły, urządza mi z byle powodu

awantury, czasem aż nie chce mi się wracać do własnego domu, a nie mam dokąd pójść.

– Dopiero mówiłaś, że jesteście szczęśliwi, mamó. Sama sobie zaprzeczasz.

– Przecież chyba widzisz, masz oczy, Martusia. Tak, staram się udawać, że nic się nie zmieniło, wmawiam w siebie, że mój Piotruś kocha mnie tak samo jak dawniej, łudzę się, bo nie wiem, czy potrafiłabym żyć bez niego.

Już od wielu miesięcy nie musi spać w kuchni na rozkładanym łóżku. Matka nie jęczy z rozkoszy w sobotnie i niedzielne noce. Ojczym powiedział: Zdradziłaś mnie z takim chłystkiem, a ja tak czekałem, tak bardzo czekałem, kiedy do końca staniesz się moja. Szanowałem twoją niewinność. Byłaś moją małą, śliczną dziewczynką, moją córeczką. Ale teraz już nic nam nie stoi na przeszkodzie. Już wiesz do końca, na czym polega seks. Do twojej matki więcej się nie zbliżę, ona mnie od dawna nie pociąga fizycznie, spełniałem jedynie swój małżeński obowiązek, nic więcej. Pragnę tylko ciebie. Przyjdę dziś w nocy i nawet się wykapię. Porównasz moje kochanie z kochaniem tego swego chłystka. Przekonasz się, jak to robi prawdziwy mężczyzna. Zamierzał jeszcze mówić dalej, lecz uderzyła go mocno w jego miękkie, wypukłe, niemal kobiece usta tak mocno, że z górnej wargi pociekła krew.

– Wszystko zaczęło wymykać mi się z rąk. Czasem myślę, że to przez ciebie mój mąż mnie zbywa. Dajesz mu na każdym kroku do zrozumienia, jak bardzo go nie znosisz, nawet pogardzasz nim. Dlaczego, Marta? Nie potrafisz się zdobyć w stosunku do ojca na jakiś gest dobrej woli. On wpatruje się w ciebie jak w obrazek...

Biedna, ślepa mama... ciągle ślepa...

– To dobry człowiek, Marta. Wierzę w to. Muszę wierzyć. Wiele zależy od ciebie. Wiele spraw dałoby się wyprostować, naprawić.

– Niczego już nie da się wyprostować ani naprawić, mamó.
– Ponieważ ty nie chcesz!
– Mylisz się. Chcę. Pragnę. Stracić pamięć. Dostać całkowitej amnezji. Nie urodzić się w ogóle. Nie być.

– Bardzo melodramatycznie. A jaki wyraz twarzy! Oto ja, Marta Stańczyk, lat dwadzieścia dwa, dręczona od dziecka. Patrzcie na mnie i płaczcie nade mną.

– Od czasu, kiedy odeszli dziadek i babcia, nikt nie zapłacze nade mną.

– Uważasz, że ja zbyt mało łez wylałam z twego powodu? Ileż to razy pytałam Boga, dlaczego nie ulitował się nad moją pierworodną i nie zawrócił jej ze złej drogi?

– I co ci Bóg odpowiedział, mamó? Czy może powiedział ci, że zostawiłaś mnie samą, leżącą na podłodze, z porodowymi skurczami? Powiedziałaś mi: Takie bóle często się zdarzają kobietom w ciąży i nie świadczą o poronieniu, to wyłącznie histeria, Marta, i bądź mi tu cicho. Zaraz goście skończą deser i wyjdą, ja sama ledwo trzymam się na nogach. Cena, jaką płacę za twoje sypianie z Pawłem, jest wysoka. Muszę się do tego zarozumiałego szczeniaka i do jego wrednej matki uśmiechać i mówić: ach tak, oczywiście, oczywiście, pani sędzino, ma pani rację, chociaż każde z wypowiedzianych przez nią zdań jest jadowitą szpilą, wbijaną mi prosto w serce. W moje serce matki, w moje cierpiące serce matki. Ona się nawet nie krępowała obecnością Kozłowskich, wbijała te swoje szpile bezlitośnie i przy tym żarła, och, jak żarła moje owoce morza, mego indyka, moje sałaty, surówki, pieczone kartofle. I gdzie ta baba tyle żarcia w sobie zmieściła. Musi mieć solitera albo co. Teraz pochłania trzecią porcję surówki ananasowej i wypija już pewnie piątą albo szóstą lampkę koniaku. Nawet język jej się nie płacze. Ten zarozumiały to szczeniak, upił się jeszcze przy tobie, więc musiałam znieść jego obślizgłe, pijackie pocałunki w

rękę i jego szydercze toasty: pani zdrowie, szanowna teściowo. Toteż ty mi tutaj, Marta, nie odwalaj cyrku z przedwczesnym porodem. Poboli cię trochę i minie. Wstawaj z podłogi, no, co się tak chwiejesz? Możesz odwinąć się z tych bandaży, przedstawienie skończone. Nie sądzę, aby twój mąż, z którym za kilka miesięcy się rozwiedziesz, miał ochotę na czuły, pożegnalny całus, a i na tkliwe pożegnanie swojej teściowej również nie licz.

– Nagrałaś moje słowa na dyktafon i nauczyłaś się ich na pamięć? – Matka gwałtownie zbladła. – Kłamiesz! Jak zwykle zresztą. Nic takiego nie mówiłam. Wszystko zmyśliłaś, chcąc mnie zranić. Od czasu twego nieszczęsnego poronienia ranisz mnie codziennie słowem, a wzrokiem wręcz zabijasz. Jakbym ponosiła za cokolwiek winę. Bóg jeden wie, ile przeżyłam, czekając na pogotowie, a potem, w szpitalu, gdy rodziłaś.

Uchwyciła się tych słów matki, dających nadzieję, że to nie poród, tylko coś takiego, co się przydarza wielu kobietom. Matka przecież się zna. Nim urodziła bliźniaczki, trzy miesiące przeleżała w szpitalu na tak zwanym podtrzymaniu ciąży. Przez trzy miesiące, co wieczór, dysząc z wysiłku, Marta ustawiała z biurka zaporę pod drzwiami do swojej dziupli. Słaba to była zaporę, ojczym pokonywał ją w ciągu kilku minut: moja niedobra, śliczna dziewczynko, mówił, tylko troszeczkę cię popieszczę, odrobinę. Więc któregoś wieczoru, gdy wszedł, z krzykiem rzuciła się na parapet okna i krzyczała, że wyskoczy, jeżeli się jeszcze raz do niej zbliży. Przestraszył się nie na żarty. Nie wiedziała, czy boi się groźby, której spełnienie musiał odnaleźć na jej twarzy, czy też tego krzyku, jaki późnym wieczorem głośno niósł się z trzeciego piętra wieżowca między ustawionymi w czworobok blokami, ponieważ wraz z jej krzykiem nieomal natychmiast w innych oknach pojawiły się postaci ludzi ciekawych, kto tam tak krzyczy. Przestań, kochanie, powiedział, wycofując się. Już dobrze, dobrze, maleńka, błagam cię,

zejdź z parapetu, obiecuję, że będę grzecznym chłopczykiem. Nie zbliżę się do ciebie, i słowa dotrzymał dotąd, dopóki matka nie powróciła do domu z bliźniaczkami. Potem, pod pozorem, że okno w jej dziupli grozi wypadnięciem, zabrał klamkę do otwierania. Musiałaby wybić szybę, żeby wyskoczyć. Cóż na to poradzę, maleńka moja, śliczna, skoro cię kocham, szeptał, przychodząc o różnych godzinach w nocy. Każdy wieczór, zapowiadający noc, stał się jej śmiertelnym wrogiem. Przynosił ze sobą strach, wymiotowała każdego wieczoru długo. Powtarzam ci, Marta, abyś myła często ręce, jesteś po prostu brudaska.

U tyłu lekarzy byliśmy, łącznie z gastrologiem, miałaś USG jamy brzusznej, wszystko tam w porządku, więc to twoje wieczne rzyganie jest wynikiem nieprzestrzegania higieny osobistej, gniewała się matka. W szkole gniewali się nauczyciele. Marta, piszesz jak kura pazurem, karcily panie od polskiego, od historii, przyrody, a jej bezustannie dygotały ręce. Jak takimi rękami stawiać proste, równe, ładne literki? Marta, nawet na najprostsze pytanie nie potrafisz odpowiedzieć! Ty się w ogóle nie uczysz! Ależ się uczyła, uczyła, lecz nie udawało się niczego zapamiętać. Jakby głowa była wielką dziurą, z której wyciekało wszystko poza jednym: obrazem ojczyma wsuwającego się pod kołdrę. Powinnaś powtarzać klasę, Marta. Tylko przez wzgląd na twoją biedną matkę, która sobie oczy wyplakuje i błaga nas o tolerancję dla ciebie, otrzymujesz promocję. Po każdej wywiadówce matka płakała. Twoja wychowawczyni mówi, że jesteś opóźniona w rozwoju, a ja muszę się upokarzać, prosić, żeby ci podciągnęli choćby na mierny, ty oślico, nieuku jeden! Powiem mamie, zagroziła sapiącemu ojczymowi. Nie uwierzy ci, wysapał ojczym i wypuścił to coś lepkiego na jej brzuch. Miał rację: nie uwierzyła. Lanie było dotkliwsze, siniak pod podbitym okiem nie schodził przez tydzień. Ksiądz wychylił się z konfesjonatu, obejrzeć bezwstydnice, z takimi szczegółami opisującą to, co rzekomo robił jej

ojczym. Miała trzynaście lat, najmniejsza w klasie, najchudsza w klasie, ze sterczącymi spiczasto ramionkami, z oczami rozszerzonymi strachem przed nieuchronnie mającym przyjść wieczorem. Spowiadała się podczas mszy, a ksiądz wychylił się i krzyczał. Uciekała z kościoła, ścigana spojrzeniami wiernych. Mimo że matka próbowała ją zmusić krzykami albo laniem przed mszą w każdą niedzielę, więcej do kościoła nie poszła. Przestała też odmawiać tę przez tyle lat od dziecka powtarzaną, coraz bardziej żarliwie odkąd zaczął przychodzić nocą ojczym, modlitwę: „Aniele Boży, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy...”. Nie stał przy niej żaden Anioł Stróż. Bo gdyby stał, nie pozwoliłby ojczymowi jej tego robić. Więc rozumiała, że wierzyła w bajkę. Że nigdy żadnego Anioła Stróża nie było. Ktoś go wymyślił, żeby oszukiwać takie dziewczynki jak ona, niewyrośnięte, chudziutkie, rzygające wieczorem. Takie dziewczynki, których matki oślepyły i niczego nie widzą. Nie dostrzegają ani rozszerzonych strachem źrenic, ani dygotu rąk, niczego. Teraz również nie wyrażają niepokoju. To normalne, mówią, takie bóle u kobiet w ciąży. Jednak teraz, nareszcie, po tylu latach chce im wierzyć, bo przynoszą pocieszenie i jest swojej matce wdzięczna za to pocieszenie. Chociaż bóle w krzyżu i podbrzuszu coraz ostrzejsze, to nic, ty żyjesz, synku, nie udusiłeś się, nic ani tobie, ani mnie nie grozi, odwijam ostatni bandaż, brzuch znowu jest duży. Masz w nim dość miejsca, możesz oddychać, bo i ja mogę oddychać. Wraca mi nareszcie krążenie w nogach, mija lodowaty chłód w dłoniach. Wiem, potrzebujesz więcej powietrza, synku, już otwieram okno. Ach, jakie świeże, mroźne, styczniowe powietrze. Chwytam je szeroko otwartymi ustami, wciągam do płuc jak najwięcej, bo ty synku oddychasz moimi płucami. No, proszę cię, porusz się, kopnij, jeszcze dziś rano, zanim mnie i ciebie ściśnięto bandażami, tak żwawo wierzgałeś. Urodzisz zdrowego, silnego chłopczyka. Jest

duży jak na szósty miesiąc. Słyszysz, synku? Tak powiedziała nam nasza pani doktor, dobra, kochana, mądra pani doktor; pani doktor zna się na małych, sześciomiesięcznych chłopczykach. No, synku, daj znak, wciągam i wciągam to zbawcze powietrze do płuc, a ty nic, ani drgniesz. Tylko ból nie do wytrzymania, ale mam być cicho, więc cicho sza. To zaraz minie, przejdzie. To jakaś drobna komplikacja, nic więcej, synku, pewno zabiorą nas do szpitala i tak jak matkę, u której też wystąpiły przedwczesne skurcze, będziemy sobie leżeć na szpitalnym łóżku aż do czasu, kiedy zdrowy i silny wyjdiesz ze mnie i staniesz się mój. Mój na zawsze. Ach, wytrzymaj jeszcze chwilkę, zaraz nam pomogą. Słyszę głosy w korytarzu, śmiechy, niekiepsko sobie, łącznie z fałszywym mężem oraz fałszywą teściową i Kozłowskimi, że nie wspomnę o ojczymie, popili. Najpierw wino, potem różową finlandię, na końcu koniak, ach, przypomniałam sobie nazwę, martell, chyba tak: martell? A może jednak inaczej?

– Nie wątpię mamo, że chwile w szpitalu nie należały dla ciebie do przyjemnych. Ale na moim serdecznym palcu prawej ręki złociła się tombakowa obrączka, znakomicie imitująca złotą, nie nazywałam się też Marta Stańczyk, lecz po mężu Marta Domańska. Nie musiałaś się wstydzić, że twoja córka rodzi bachora.

– Bóg mi świadkiem, że i ja pragnęłam zdrowego, ślicznego wnuka. Obdarował mnie trzema córkami, dziękowałam i dziękować nie przestanę, że ty i bliźniaczki urodziłyście się zdrowe, nieokaleczone, nieupośledzone. A przecież obie moje ciąży były zagrożone i nieobce mi ani strach, ani ból, ani rozpacz. Dopadały mnie zwłaszcza w ostatnich tygodniach ciąży, wsłuchiwałam się w każde drgnienie mego dziecka, liczyłam kopnięcia, czy silne, czy aby nie słabną. Godzinami modliłam się, Boże, daj zdrowie memu dziecku i nigdy tak gorąco, tak żarliwie nie wierzyłam w Niego, kiedy nosiłam swoje dzieci pod sercem.

Prosiłam Co również, żeby to był syn, nie dziewczynka, chciałam syna, Marta, wyznaję to szczerze. Chłopcy mają lepiej w życiu, nie muszą tyle cierpieć. A twoje dziecko jedynie w chwilach złości nazywałam bachorem.

– Widocznie bez przerwy złościłaś się, ponieważ nie pamiętam innego określenia poza bachorem albo bękartem.

– Może nie chcesz pamiętać, Marta? Nie pamiętasz na przykład, jakie ładne łóżeczko kupiłam dla twego dziecka? Z materacykiem? Z poduszczką? Kocyki wygotowane, wyprasowane czekały na półce... Kaftaniki w niebieskim kolorze. Śpioszki. Piotr mówił: chyba zwariowałaś, Basiu, przecież Martusia rodzi dopiero za kilka miesięcy.

To prawda. Ale tej prawdy nie rozumiała ani wtedy, ani teraz nie zrozumie. Bo jak tę prawdę pogodzić z wyszukiwaniem anonsów w prasie o ginekologach? Jak z nią jest, z tą prawdą matki, której nie ufała, której powiedziała o ciąży, gdy już było za późno na aborcję, i która wrzeszczała: nie życzę sobie zostać babcią nieślubnego bachora! Czy ktoś, kto kupuje łóżeczko, materacyk, poduszczkę, śpioszki w błękitnym kolorze, kaftaniki i zabaweczki dla niemowlaka, tak by wrzeszczał? Wstydził się rosnącego w brzuchu wnuka tak bardzo, że nie pozwalał wychodzić z domu, nawet na balkon? Owinąłby brzuch bandażami elastycznymi aż do utraty tchu?

– Kupowałaś te rzeczy mamó, z tego samego powodu, dla którego na siłę wydałaś mnie za męża. Ze względu na opinię. Żeby potem móc powiedzieć: patrzcie, jaka ze mnie troskliwa babcia, w wyprawce nie brakuje niczego, o wszystkim pomyślałam.

– Naprawdę tak sądzisz, Marta? I myślisz, że to ze względu na opinię postanowiliśmy z ojcem przemeblować mieszkanie? Ciebie z dzieckiem umieścić w dużym pokoju, bliźniaczki przenieść do pokoju ojca, a my, ja z ojcem,

zamierzaliśmy się zadowolić twoją, jak ją nazywałaś, dziuplą? Zapomniałaś, że przynajmniej przez rok miałaś wraz z dzieckiem mieszkać tutaj? Z nami? Ponieważ te lokale zastępcze bez wygód, zagrzybione, mogłyby zaszkodzić twemu dziecku? Zapomniałaś, że nawet opiekunkę do twego dziecka mieliśmy w planie zatrudnić, wierząc, że powrócisz na studia?

To prawda. Tak planowali. Łącznie z opiekunką i studiami. A korepetycje, pytał matkę ojczym, gdzie je będziesz udzielać? Choćby w kuchni, odpowiadała matka, mogę również wziąć uczniów z chodzeniem do ich domów. W ogóle, Piotr, trzeba mi znacznie więcej prywatnych lekcji. Rozpowiedz wśród znajomych ci dyrektorów. Nasze potrzeby materialne wzrosną. Marta musi wrócić na studia. Trzeba będzie dziecko albo oddać do żłobka, co według mnie nie wchodzi w rachubę, ponieważ dziecko, żeby rozwijało się prawidłowo emocjonalnie, musi wychowywać wśród bliskich. Poza tym, już ja wiem jak to jest w tych żłobkach: brud i wieczne choroby. Więc żłobek zdecydowanie nie. Jako alternatywa zostaje nam znalezienie opiekunki. Odpowiadałaby mi Kozłowska, do niej mam zaufanie, ona swoich wychowała czworo, nie skrzywdzi nam wnuka, a poza tym jest bardzo czysta, odpowiedzialna, no i jest blisko, na każde zawołanie. Porozmawiam z nią o tym po ślubie Marty, mówiła matka. Tak planowała, to prawda. Ale jednocześnie mówiła, że po porodzie należy Martę z dzieckiem przez kilka miesięcy przechować w domu, nawet na spacer ani na balkon lepiej, żeby nie wychodziła. Potem dałoby się sąsiadom wmówić, że urodziła wyjątkowo duże, szybko rosnące dziecko. Ojczym złościł się na matkę: A co zrobisz z jego płaczem? Zapomniałaś, jak głośno niemowlaki płaczą? Założysz mu knebel czy jak? Czy ty nie przesadzasz z tymi ludźmi i tym, co oni powiedzą? Matka odpowiadała, że zbyt wiele doświadczyła na własnej skórze upokorzeń z takiego właśnie powodu i nie chce więcej ich znosić, pragnie również oszczędzić swoją

córkę. Ty, Piotruś, mówiła, jesteś zacnym, prostolinijnym człowiekiem, nawet nie wiesz, do czego są zdolni ludzie. Są niczym hieny, niczym szakale, żerują na ludzkim potknięciu, słabości. Basia, mówił, świat poszedł o dwadzieścia lat do przodu... I co z tego? Świat sobie poszedł, ale ludzie są stale tacy sami, ich mentalność nie poszła za światem, odpowiadała.

– Czemu milczysz, Marta? Uwierz mi wreszcie, że pragnęłam twego dobra. Kochałam mego nienarodzonego wnuka. Cierpiałam razem z tobą, gdy go martwego rodziłaś. Cóż, widocznie tak było pisane. Bóg tak chciał.

– Och tak, Bóg! Słyszałam o tym chceniu Boga od ciebie setki razy! Czy opowiedziałaś, mamó, swemu Bogu, jak ścisnęłaś na wiele godzin mój brzuch bandażami? Jak krzyczałaś do mnie: wciągnij go bardziej, no, wciągnij, wciągnij, nie udusisz się, to zaledwie kilka godzin; Paweł kazał, żeby nie było widać; ja również spaliłabym się ze wstydu, gdyby było widać. Bóg! Wygodnie mieć takiego Boga, na którego można zwać każdy swój grzech, każde świństwo, każdą zbrodnię. Biłaś mnie wiele razy po gołych pośladkach pasem przed pójściem do kościoła, również z imieniem swego Boga na ustach. Gdybym w Niego wierzyła, przestałabym, ponieważ to twój Bóg, mamó.

– Nie mogę tego słuchać! Zamilcz, na litość boską!

– To boli, prawda, mamó? Boli jak cholera. Dobrze, że ciebie potrafi jeszcze cokolwiek boleć. Ale twój ból, mamó, jest zupełnie inny od mojego. Mój mnie otepia tak, że gdyby nawet człowiek, którego nazywasz moim ojcem, przyszedł nocą do mojej dziupli zgwałcić mnie naprawdę, byłoby mi to obojętne.

– Ojciec ciebie nigdy nie zgwałcił!

– To prawda: nie zgwałcił. Tego nie zrobił. Za to robił ze mną różne inne rzeczy. Byłam przecież jego maleńką, śliczną kochaną dziewczynką.

– Powiedziałam: milcz – głos matki załamał się powstrzymanym szlochem. – Nie mam zamiaru słuchać wymysłów twojej chorej od nienawiści wyobraźni. Już sama nie wiem, co z tobą począć. Pójdiesz do pracy i zaczniesz komuś, na przykład, opowiadać o swoich urojonych krzywdach!

– Albo o tym, jak zabiłaś mego syna, mammo?

– Jezu Chryste! Ja go nie zabiłam! Ja chciałam jak najlepiej!

– Ślady po bandażach odcisnęły się sinymi pasami na moim brzuchu, mammo. Lekarz zapytał: Co to? Co to? Chyba muszę zawiadomić prokuratora, to mi wygląda podejrzanie. Jakby cię ktoś skopał, pobił, znęcał się. Ale powiedziałam szybko: panie doktorze, wychodząc od koleżanki, spadłam ze schodów i od razu odeszły mi wody. A że już te bóle od krzyża, więc długo wracałam do domu, bardzo długo, zaś ludzie przyglądali mi się podejrzliwie, gdyż pewno sprawiałam wrażenie pijanej. Mama rozplakała się na mój widoki od razu wezwała pogotowie. Spóźniła się, powiedział lekarz, rodzisz martwe dziecko. A wiesz, mammo, dlaczego tak powiedziałam? Ponieważ kocham swoje siostry. To je starałam się ochronić, nie ciebie mammo ani nie twojego męża, przed śledztwem, przed sprawą, jaką by wam obojgu, a zwłaszcza tobie, mammo, wytoczono. Gdybym powiedziała lekarzowi prawdę, moje siostry, które niczemu nie są winne, cierpiałyby, prześladowano by je w szkole, pokazywano palcami: patrzcie, te czarnulki, to przyrodnie siostry tej kobiety, która brzuch swojej najstarszej, ciężarnej córki skrepowała tak silnie bandażami przed ślubem, że zabiła jej dziecko.

– Oskarżasz mnie nie po raz pierwszy – odezwała się cicho matka, nie odsłaniając twarzy. – Ale ja wszystko robiłam dla twego dobra, na litość boską! A twego dziecka nie skrzywdziłam. Takie skrepowanie brzucha nie miało znaczenia.

– Nie? Skąd wiesz, mammo? Z autopsji?

– Boże, ulituj się! – krzyknęła krótkim, załamującym się głosem.

Mamo, dlaczego nie mam swego tatusia, pytała, bo wszystkie dzieci w przedszkolu miały, a ona jedna – nie i nie mogła się nim pochwalić, że jest inżynierem albo panem doktorem, albo kimś tam innym, może nauczycielem jak mama? Martusia, tyle razy cię prosiłam, nie pytaj o tatę. Przecież wiesz, że tata umarł, a nie pamiętasz go dlatego, ponieważ wtedy byłaś malutką dziewczynką, tak małą, iż nie zdołałaś go zapamiętać. To był dobry, kochający i mnie, i ciebie, tatuś. Kochanie, spójrz, to ja z tatusiem. Bierzemy ślub. Ładnie wyglądamy, prawda, Martusiu? Byliśmy tacy szczęśliwi, młodzi. Przed nami całe życie. Tatuś tak się cieszył, gdy przyszłaś na świat. Moja Martunia, tak ciebie nazywał. Było nam ciężko, ja na studiach, tatuś na studiach. Mieszkaliśmy we troje w jednym, małym pokoiku, marzyliśmy o dwupokojowym mieszkaniu w blokach, o meblach, jakie tam wstawimy. Ach, Boże, Boże, za co mnie tak ukarałeś? Dlaczego musiał odejść? I matka zaczynała płakać rozpaczliwie, rozpaczliwie ścisnąć, całować, przytulać: ale ty mi zostałaś, jesteś moim wszystkim, moim życiem, Boże, Boże, wybac mi, wybac, córeczko. Nie rozumiała, co ma do wybaczenia płaczącej matce Bóg.

Babciu, zapytała, dlaczego mamusia zawsze, opowiadając o tatusiu, płacze, potem ścisnąć mnie tak mocno, że prawie dusi, a potem prosi Pana Boga o wybaczenie? Zrobiła coś złego, babciu? Babcia chrząkała tak jakoś dziwnie, jakby się czymś dławiła, a dziadek mówił: chodź Martusiu na spacer, obejrzymy kwiatki w ogrodzie. I nikt jej nie chciał powiedzieć, co takiego złego zrobiła mamusia, że wciąż i wciąż prosi Boga o wybaczenie? Jesteś jeszcze zbyt mała, nie potrafisz zrozumieć, Martusiu, mówiła babcia. To pytała inaczej: Dlaczego tatuś z mamusią i ze mną musieli mieszkać w jednym, ciasnym

pokoiku? Dlaczego, babciu, dlaczego, dziadku, nie zamieszkali u was, w waszym domu, w którym jest sześć dużych pokoi i ładny ogród, którym się zbiega wprost na brzeg jeziora, i do miasta tak blisko, że można dojechać tramwajem? Och, Martusia, idź się bawić do ogrodu, nie marudź, wykręcali się od odpowiedzi babcia i dziadek.

A potem matka poznała ojczyma. Ślub odbył się huczny, wszystkie światła w kościele zapalone, organy grały, matka promieniała uśmiechami. Wyjechali daleko, do innego miasta, które nazywało się Łódź. Było brzydkie, szare i nie leżało nad jeziorem tak jak Iława. Nowe mieszkanie w blokach miało pokoje jak klatki. W domu babci i dziadka kuchnia była większa od największego w tym mieszkaniu pokoju. Jej pokój urządzone w najmniejszym, wchodziły tam tylko biurko, jedno krzesło i tapczanik. Ojczym coraz częściej brał ją na kolana, całował w szyję. Kiedy matka po dwóch latach zaszła w ciążę, dźwigając na opuchniętych nogach olbrzymi brzuch z bliźniakami, przychodził nocą, wsuwał się pod kołdrę, szepcząc: moja maleńka, śliczna dziewczynka.

Matka zmieniła się nie do poznania. Krzyczała, gniewała się o wszystko, biła, gdzie popadnie. Ty już mnie nie kochasz, mamusiu? Wolisz ode mnie tego pana, którego każesz mi nazywać tatusiem, a który wchodzi do mnie pod kołdrę i dotyka mojej pipki, bo wtedy właśnie powiedziała matce o ojczymie po raz pierwszy. Do końca życia chyba nie uda się zapomnieć oczu matki, rozbłysłych atakiem wściekłości.

To napisała do babci, żeby przyjechała po nią, bo jest jej źle, bardzo źle. Mama ciągle bije takim skórzanym, szerokim pasem, babciu, i krzyczy, że jestem zakalę i jeszcze gorzej krzyczy. Ona krzyczy, babciu, że czasem żałuje tego, że mnie urodziła, bo wydała na świat takiego potwora, co to tylko zmyśla, kłamie,

dokucza, przeszkadza. A co będzie, babciu, kiedy mama urodzi nowe dzieci, co ze mną wtedy, babciu, dziadku?

Babcia przyjechała. Jej kazano zamknąć się w dziupli i nie wychodzić, dopóki nie zawołają. Początkowo rozmawiali cicho, ale potem zaczęli krzyżeć. Matka z ojczymem na babcię, że nigdy nie oddadzą jej nikomu, a ten list, który napisała, jest stekiem kłamstw i pomówień, wynikiem perfidnej wyobraźni. Adoptowałem Martusię, całkowicie, nazwisko i imię tego łajdaka, który ją spłodził, a potem porzucił, zostało wymazane na zawsze z metryki i akt. Jestem prawnym ojcem Martusi i niech mi tu mama głowy nie zawraca, że Martusię krzywdzimy, krzychał ojczym. Mama sobie wyobraża, co by ludzie powiedzieli o nas, gdybyśmy oddali Martę wam na wychowanie, krzychała matka, zapominając, że ściany w blokowych mieszkaniach są cienkie i słycać każde słowo. Dla ciebie zawsze liczyło się tylko to, co ludzie powiedzą, krzychała babcia, więc najpierw zamierzałaś usunąć ciążę, a kiedy ci nie pozwoliłam, wyjechałaś zebrać u tego łajdaka, czołgać się przed nim na kolanach, żeby zechciał się z tobą ożenić! No i tak, tak! Czołgałam się, błagałam, nie chciałam zostać panną z dzieckiem, krzychała matka. Bo to niby taki wstyd?, pytała babcia. Najgorszy, jaki może spotkać dziewczynę, odpowiadała matka. No i co miałaś z tego ślubu? Odszedł od ciebie, zanim urodziłaś! Brałaś z nim ten swój podły ślub w zaawansowanej ciąży, krzychała babcia. Ale tak się obścisnęłam bandażami, że prawie nie było widać! I omal nie zabiłaś swego dziecka, krzychała babcia. Matka odpowiedziała: Jakoś nie zabiłam, urodziłam zdrowe, a Bóg mi wybaczył i dał mi szczęście spotkać mężczyznę mego życia, krzychała matka. Dlatego nie pozwolę nikomu, nawet tobie, tego szczęścia zakłócać i żeby mi więcej twoja noga w naszym domu nie postąpiła. Nie potrzebuję takiej matki, która mnie wiecznie potępia. Bóg wybaczył, a ty nie! A o Marcie zapomnijcie! Babcia

krzyknęła: *Nie zrobisz nam tego! Martusia jest dla nas jak córka. Zapomniałaś już, że to nam ją przywiozłaś wprost ze szpitala na wychowanie i zostawiłaś, ponieważ z tego wstydu i strachu, co by ludzie powiedzieli, wyjechałaś do Łodzi. Wynajęłaś tam pokój, rozpoczęłaś studia, dopiero po trzech latach ją zabrałaś. Dziecko cię nie znało, bało się ciebie, ponieważ do swojego dziecka przyjechałaś zaledwie kilka razy w ciągu tych trzech lat... Matka się broniła: Bo nie mogłam! W dzień uczyłam się, wieczorami do późnej nocy pracowałam w knajpie, odkładając każdy zaoszczędzony grosz do banku, odmawiając sobie wszelkich przyjemności, na wpół głodując, właśnie po to, aby móc wreszcie być ze swoją córką! Proponowaliśmy ci z ojcem pomoc, krzyczała babcia. Miałam dość honoru i godności, odpowiedziała matka, żeby wam odmówić! Nie potrzebowałam waszej jałmużny! A odtąd ze swoją ukochaną wnuczką możecie się pożegnać na zawsze! Nawet na wakacje do was nie będzie przyjeżdżać!*

Nagle za ścianą gwałtownie wyciszyło się, jakby tam za ścianę i matka, i ojczym, i babcia zaniemówili. „Aniele Boży, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój” .Ja chcę do babci! Aniele, stróżu mój: babcia płacze! Bo z uchem przy ścianie usłyszała najpierw cichutki płacz, który przeszedł w wołanie: na kolana przed wami padnę, tylko nie zabierajcie nam Martusi, pozwólcie jej nadal, jak co roku, przyjeżdżać na wakacje! I chyba przed nimi uklękła, ponieważ matka krzyknęła: przestań się zgrywać, wstawaj, wstań! Basiu, usłyszała ojczyma, nie tak gwałtownie, proszę. W końcu to twoja matka i babcia naszej córki. Trzeba przyznać, że wiele dla Martusi zrobili razem z twoim ojcem. Matka wrzasnęła: Akurat! Głównie ją buntowali przeciwko tobie, przeciwko mnie! Basiu, odpowiedział ojczym, nie zezwalając Martusi na odwiedzanie jej dziadków, których kocha, skrzywdzisz przede wszystkim ją! Skoro tak sądzisz, Piotrusiu... Naprawdę? Skoro tak, niech jeździ, pod warunkiem, że ty, mamó, wraz z ojcem

przestaniecie mi dziecko buntować. Potem usłyszała babcię: Dziękuję ci, Basiu. Tacy jesteśmy samotni z ojcem, odkąd odeszłaś od nas. Cała nasza radość to Martusia. Och, Boże, mamó, nie płacz już. Wybacz. Nie bierz moich słów do serca. Gadałam byle co w złości, ale tak mnie zabolął list mojej córki, tak zabolął, mamó. Ja przecież się staram być dobrą matką, tylko że Marta jest takim trudnym dzieckiem, mówiła matka.

– Mamó?

– Zostaw mnie samą. Wyjdź. Wystarczająco długo już się nade mną znęcałaś.

– Zadam ci tylko jedno pytanie, którego nigdy dotąd wprost nie zadałam, chociaż w myślach zadawałam je setki, tysiące razy. Mamó, czy ty mnie kiedykolwiek kochałaś?

– O mój dobry Boże! Ona jeszcze o to pyta! Jakby codziennie nie miała dowodów mego uczucia!

– Mamó. Ja nie cierpię na amnezję. Pamiętam swoje dzieciństwo spędzone z tobą, zanim spotkałaś ojczyma.

– Ojca! Ojca! Nosisz jego nazwisko! Masz w metrykę urodzenia wpisane jego imię!

– Kiedy jeszcze byliśmy tylko we dwoje, ja i ty, wydawało mi się, że mnie kochasz. Że jestem twoim jedynym celem w życiu. Byłaś dla mnie wtedy dobra. Nie pamiętam cię krzyczącej, wściekłej, walącej, gdzie popadnie.

– Dzięki ci i za to. Niewiele twego dobrego pamiętania, ale chociaż tyle staje się pociechą.

– Lecz potem, mamó? Potem? Dlaczego i za co mnie odrzuciłaś? Odepchnęłaś?

– Nigdy ciebie nie odrzuciłam. Nigdy, Marta. Postaraj się wysilić swoją pamięć wybiórczo utrwalającą wyłącznie to, co złe. Czy naprawdę tylko biłam i krzyczałam? Marta, zawsze o ciebie dbałam, chodziłaś ładnie ubrana.

Ładnie ubrana...

– Nie brakowało ci niczego...

Poza twoją miłością, mamo, bo ją zabrał ojczym...

– Pracowaliśmy z ojcem jak szaleni, żeby utrzymać dom na odpowiednim poziomie. Było w nim wszystko. Kolorowy telewizor, wideo. Marzyliśmy o większym mieszkaniu, ale zamiast jednego dziecka, urodziłam bliźniaczki i obie takie chorowite. Ten wieczny niepokój, ciągle kosztowne wizyty u profesora, drogie leki. Dagusia z astmą, Patrysia kilka razy do roku w szpitalu, bo chroniczne zapalenie oskrzeli, przechodzące w zapalenie płuc. Te kopertówki dla lekarzy, te koniaki, więc skończyło się na marzeniach. Jedyny luksus to maluch, którym jeździliśmy przez wiele lat, zanim wreszcie na raty ojciec nie kupił matiza. Wychodziłam do szkoły o siódmej rano, brałam wszystkie możliwe nadgodziny, wpadałam do domu, żeby sprawdzić, co z wami, jak się macie, czy was co nie boli, nie dolega, nie dokucza. Często nawet herbaty nie zdążyłam dopić i prędko do drugiej szkoły, wieczorowej. Stosy zeszytów do poprawiania, każda noc zarwana, a w sobotę od dziesiątej rano na korepetycje, do prywatnych uczniów i w niedzielę, po kościele, również. Tyle wytchnienia, ile czasu podczas mszy w kościele, a na wakacje brałam prace zleczone, tłumaczenia. I tak w kółko, dzień w dzień, i niewiele się zmieniło...

To prawda. Wieczorami ojczym przynosił miednicę z ciepłą wodę wraz z jakimiś pachnącymi solami, wsypywanymi ze szklanego słoika. Matka, pojękując, zanurzała opuchnięte stopy. Jak dobrze, Piotrusiu, mówiła, a ojczym stał za nią i rozmasowywał jej plecy. Już lepiej, pytał, mniej boli kręgosłup? Musisz

koniecznie przestać tyle pracować, to cię zabija. Nie mogę, sam wiesz, Piotrusiu, odpowiadała matka, dzieci rosną, to i rosną ich potrzeby.

– Ty się usprawiedliwiasz, mamó. Ja nie potrzebuję usprawiedliwienia. Zadałam ci proste pytanie i oczekuję prostej odpowiedzi.

– Próbuję ci wytłumaczyć...

– Że tłukłaś mnie z powodu przepracowania? Dagi i Patrysi nie tłukłaś.

Wszystko skończyło się, gdy wyszłaś za swego ukochanego Piotrusia!

– Marta, to nie tak...

– A jak, mamó? Dorastając, stałam się zbyt podobna do swego biologicznego ojca? Patrząc na mnie, widziałaś jego? Odpowiedz. Zrozumiem.

– Wcale nie jesteś do niego podobna! Ani trochę! – krzyknęła histerycznie matka, otarła łzy. – Wyjdz! Wyjdz natychmiast! Zostaw mnie samą!

– Jak sobie życzysz, mamó. Dziękuję ci za nowe ubranie. I za kasę na fryzjera. Postaram się nie skompromitować ani ciebie, ani ojczyzna podczas jutrzejszej rozmowy kwalifikacyjnej.

– Nawet twoja ukochana babcia wraz z twoim ukochanym dziadkiem twierdzili, że potrafisz być wredna! Szkoda, że nie żyją! Dopiero teraz przekonaliby się oboje, z jaką premedytacją potrafisz zadawać ból! Mnie! Swojej matce! A na ich pogrzebie nie uroniłaś jednej łezki!

Zginęli w wypadku. Dziadek prowadził. Jadącego z naprzeciwka tira zarzuciło. Nie mieli żadnych szans. Leżeli w trumnach obok siebie. Pogrzeb mieli wspaniały. Cmentarna kaplica nie była w stanie pomieścić wszystkich, którzy zamierzali odprowadzić ich w ostatnią drogę. Grób zamienił się w wysepkę różnokolorowych kwiatów. Matka ścisnęła ją za rękę: Dlaczego nie płaczesz? Podobno kochałaś babcię i dziadka.

– Za to ty, mamó, szłochałaś za nas obie.

- Ulituj się, Marta. O czym ty znowu?
- O kochaniu, mamó.
- Nie, Marta. Ty stale o nienawiści.

Dwunastopiętrowy biurowiec wyrastał ponad inne budynki niczym wąski, otynkowany na trupiosiny kolor komin. Długi szereg tablic różnych wielkości z nazwami firm oznajmiał, że to one władają tym budynkiem ze szkła i stali. Marcie wydał się on ponury, nieprzyjazny dla pracujących w nim ludzi i równie nieprzyjazny dla odwiedzających klientów. Ścisnęła w dłoni wizytówkę: Textil Export Import Spółka z o.o. Wiceprezes mgr Michał Wierzbicki, tel... faks... e-mail... Była jej osobistą przepustką do tego sezamu pilnowanego przez dwóch ochroniarzy, ubranych, jakby byli żałobnikami, na czarno. Czuła na sobie ich uważne spojrzenie i śledzące każdy jej ruch podobne do bazylijska oko ruchomej kamery, co jeszcze bardziej pozbawiało ją pewności siebie.

Zanim matka nie wykryła oszustwa ze studiami, wychodziła na rzekome zajęcia. Jeśli była pogoda, godziny spędzała, siedząc na ławce w odległym miejscu: parku Helenowskim, podrzucającym zielony cień dębem, osłonięta nim jak woalem przed ludzkimi spojrzeniami. Czasami, tak się jej przynajmniej wydawało, nie myślała o niczym; czasami nie potrafiła nadążyć za płataniną myśli, z których nie rozumiała ani jednej. Poza powtarzającą się jak refren: nie chcę żyć, nie chcę, nie chcę. Często ni z tego, ni z owego zaczynała płakać, ponieważ, przynajmniej tak się jej wydawało, że zamiast siedzieć na ławce leży w swojej dziupli. Targana bólami, słyszy głosy podpitych, wychodzących z domu gości i krzyk matki, ostry jak cięcie noża: Piotr, dzwoń po karetkę, ona rodzi! A potem ich głowy, matki i ojczyma, pochylone nad nią. Później tylko szept: Boże, ratuj moją córkę! Tyle krwi, tyle krwi. Boże, wybac mi grzesznej. Może Bóg ci wybaczy, ale ja nigdy, mamó – czy tak jej wtedy powiedziała?

W każdym razie, okryta cieniem dębu, powtarzała, też jak refren, te słowa: nigdy, mamó, nigdy. Chociaż tam, w szpitalu, gdy rodziłam martwego syna, zabitego syna, uduszonego syna, trzymałaś mnie za rękę, ocierałaś pot z mego czoła. Chociaż powtarzałaś: córeczko, córuniu moja, jeszcze urodzisz niejedno dziecko, jesteś taka młoda, spotkasz jak ja mężczyznę swego życia, założysz rodzinę, zaznasz szczęścia. Co za słowa głupie, słowa nie do wybaczenia, słowa okrutne, jak wrywanie kawałkami z jej macicy dziecka, bo je wrywano, kawałek po kawałku. Nie da się tego zapomnieć. Nigdy, nigdy.

Zimą chodziła na Dworzec Fabryczny. Obserwowała nadjeżdżające i odjeżdżające pociągi i myślała, że to byłaby łatwa śmierć: skoczyć z peronu pod koła. Stawała tuż nad jego krawędzią, grzmot pociągu coraz bliższy: nie poczuję nawet i też będę w kawałkach jak mój syn. Lecz ją przyuważono, policjant zażądał dowodu, wziął za narkomankę. Zagroził, że jeśli przyjdzie tu się szlajać na haju raz jeszcze, odwiozą wprost na odwyk.

A potem matka odkryła oszustwo. Trzeba było siedzieć w domu jak w więzieniu. Bliźniaczki szły do szkoły, chrobot klucza w zamku, wszystkie klamki z wszystkich okien pozabierane, gaz centralnie zakręcony, pani Kozłowska, przychodząca co godzinę na przeszpiegi. Bo masz takie oczy, Marta, że się boję o ciebie, powiedziała matka. Głupia jak zawsze. Istniało sto innych niż zatrucie gazem czy skok z okna sposobów na odebranie sobie życia. Bardzo szybkich sposobów i czasami o nich myślała, sprawdzając ostrość noża, wytrzymałość haka, na którym wisiała lampa lub napętniając wannę do pełna wodą. Trzeba się było bać, kiedy obwijalaś nas bandażem, mamó, myślała. Zima minęła, pani Kozłowska dostała nowe zadanie: wyprowadzać ją na spacer. Jakbym była psem, brakuje jedynie kagańca i smyczy, myślała. Wreszcie matka, pewno po naradzie z ojczymem, uznała, że jej córka przestała zagrażać sobie samej i pozwoliła

wychodzić z domu, do kina lub na spacer. Siostry wołały: *My z tobą, Martunia, my z tobą!* Będziemy ci opowiadać przeróżne historyjki rozśmieszające, bo jesteś taka smutna. Taka smutna! Matka powróciła również do tematu studiów, lecz oznajmiła jej, że w żadnym wypadku, nigdy, nie! Powrót na studia oznaczał przebywanie wśród młodych, wesołych, zadowolonych, ciekawskich, zadających pytania ludzi, a ona bała się ich nawet na ulicy, przemykając pod ścianami kamienic. Na studiach nie wytrzymałaby ani jednego dnia, wiedziała o tym, zwariowałaby ostatecznie. Po jakimś czasie matka napomknęła coś o podjęciu pracy. Pomięła tę uwagę milczeniem. Nie powiedziała ani tak, ani nie. I oto teraz stała przed biurowcem, z wizytówką mężczyzny, do którego miała się zgłosić.

Dwaj ochroniarze, barczyści faceci, wymieniali między sobą jakieś uwagi, chyba sprośne, na jej temat. Tak dłużej stać nie mogła, musiała się zdecydować, wejść albo stąd uciec. A potem spróbować wyjaśnić matce, że nie jest jeszcze gotowa i że to ponad jej siły odzywać się do obcych ludzi. Potrzebuje trochę więcej czasu, aby przestać myśleć o *tamtym*: mamó, ja się nie wygoiłam, ja wciąż krwawię.

– Proszę pani! W czym mogę pomóc? – usłyszała.

– Słucham? Słucham?

– Pani słabo?

– Słabo?

Jeden z ochroniarzy podtrzymał ją pod ramię. Widziała jego twarz mgliście.

– Przynieś jej wodę. Nie jest pijana.

– Pijana?

– Przepraszam, ale tak się nam wydawało. Kręci się tu pani od dobrych piętnastu minut. To podchodzi pani do drzwi, **to** się cofa, zatacza, coś mówi do siebie – twarz ochroniarza wyostrzyła się. Miał duży nos, pryszcz na brodzie.

– Dziękuję za wodę. Już mi lepiej – spróbowała się uśmiechnąć – to ze strachu. Przychodzę w sprawie pracy. Bardzo się boję, że mnie nie przyjmą. Może mi pan zechce powiedzieć, gdzie w tym labiryncie znajdę tę firmę?

Podawała wizytówkę.

– Gratuluję. Największa firma, zajmuje dwa piętra i dobrze w niej płacą. No, no. Do samego prezesa. Musi mieć pani niezłe dojścia. Podłapać robotę w Textil Export to świetna fucha – ochroniarz zwrócił wizytówkę.

– Dziesiąte piętro, pokój 108, wejście przez sekretariat – odezwał się ten drugi, a za chwilę zarechotał – i niech się pani nie boi. Takich ładnych dziewczyn faceci nie odwalają. – Zarechotał ponownie. Miał małe oczka, jakby dolepione do grubego nosa. Świńskie, obmacujące oczka; pod tym lustrującym obleśnie spojrzeniem poczuła się naga.

Oszklone drzwi biurowca rozsunęły się bezszelestnie i równie bezszelestnie zamknęły za nią, jakby były olbrzymią, drapieżną rybą, pochłaniającą w okamgnieniu swoją ofiarę.

Rzuciła się ku windowi, słysząc ciągle rechot tego drugiego.

To przez matkę. Należało ubrać się w dżinsy i czarny, rozciągnięty sweter. Wystroiła mnie w bluzkę z dekoltem i spódnicę, cóż z tego, że do kostek długą, skoro jest wąska, obciska biodra i ma rozcięcie do pół uda. Wyglądasz olśniewająco, powiedziała matka. Moja śliczna dziewczynka, powiedział ojczym, ponieważ wczoraj wieczorem matka kazała jej ubrać się w te nowo kupione ciuchy. Chciała sprawdzić, czy dobrze leżą. Leżały dobrze. Aż za dobrze. Świadczyło o tym pożądanie w głosie ojczyma. A włosy, powiedział ojczym, włosy

rozpuść. W żadnym wypadku, sprzeciwiła się matka, ma je mieć skromnie związane. Rozpuszczone wyglądają nieprzyzwoicie, wręcz wyzywająco. Ona ma piękne włosy, krzyknął z nagłą złością ojczym. Matka jęknęła: Dlaczego się złościysz? Co tobie? Piotrusiu, kochanie ty moje... Mnie? Nic. Nie czepiaj się. Ostatnio ciągle się czepiasz, odpowiedział. Boże, Piotrusiu, przecież ja tylko... Ty tylko! Ty tylko, wściekł się ojczym, ty tylko jej nie upilnowałaś! Zadała się z byle chłystkiem! Moja śliczna dziewczynka, moja córeczka! Boże, Piotrusiu, ty znowu o tym? Niby jak miałam ją upilnować, zdenerwowała się matka. Ojczym wrzeszczał: Jasne, że dla ciebie to normalne, że twoja córka z pierwszym lepszym idzie do łóżka! Ponieważ sama siebie nie potrafiłaś upilnować i urodziłaś Martę zaraz po maturze, również zadając się z byle draniem!

Ojczym trzasnął drzwiami i wypadł, zatupał wściekle, zbiegając po schodach. Biedna matka. Nie wie, na swoje szczęście, tego, co ja wiem. Że ma męża pedofila, zbrozonego faceta, który szaleje z zazdrości, bo nie on mnie rozdziewiczył.

Winda w niby–marmurach, złożone guziki z numerami pięter. Też bezszelestnie otwierająca się i zamykająca. Korytarz długi, bezszmerowy, bo wykładany ciemnobordowym, grubym dywanem. Mijała ciąg błyszczących politurą drzwi, oznaczonych numerami i mosiężnymi tabliczkami. Nawet nie usiłowała czytać, co na nich jest napisane. Kręciło się jej w głowie i zbierało na wymioty. Za późno jednak na ucieczkę. Za nic nie zjedzie z powrotem na dół, bo tam na nią czekają małe, świńskie oczka ochroniarza i jego rechot. „Wiceprezes, mgr Michał Wierzbicki. Wejście przez sekretariat”.

Nie wiedziała: zapukać, czy po prostu pchnąć drzwi i wejść? Lecz kto usłyszy pukanie, skoro te drzwi potężne, jakby prowadziły do fortecy?

Nie przejmuj się, maleńka, tę pracę u Wierzbickiego masz w kieszeni. Twój kochający cię tatuś, mimo że go zdradziłaś, załatwił wszystko i zawsze ci pomoże. Tylko, moja maleńka, bądź dla niego dobra, zaszeptał, pochylając się nad nią. Poczwała oddech cuchnący wódką tuż przy swej twarzy.

Matka do późnych godzin sterczała w oknie, wyglądając swego Piotrusia. Nie rozumiem, co mu się stało, co go gnębi, nigdy się w ten sposób nie odnosił do mnie, dlaczego do tej pory nie wrócił, płakała. Mamo, idź spać, przestań płakać. Zostaw mnie! To twoja wina, bo twój ojciec nie może pogodzić się, że Paweł ciebie skrzywdził!

Co powiedzieć tej głupiej, niedobrej matce? Tak ślepo kochającej swego Piotrusia: Piotruś, kochanie ty moje, moje życie, moje szczęście. Matce gotowej modlić się do niego, całować ślady jego stóp. Wrócił w środku nocy. Cuchnął, ładował się pod kołdrę, szeptał, bełkocząc: już nie muszę uważać, dawałaś jemu, dasz i mnie. Wielkie ciało ojca przygniotło, broniła się milcząco, bo siostry z matką za ścianą. Matka kocha ojczyma, siostry kochają tatusia. Zwłaszcza siostry nie mogą poznać prawdy o swoim tatusiu. Moja maleńka, moja śliczna, podniecająca, cuchnący szept na twarzy, więc wbiła temu szeptowi palec w oko i szept zamienił się w chrapliwy jęk. Ciało ojczyma zsunęło się z niej, a zza ściany natychmiast dało się słyszeć skrzypnięcie starego tapczanu, pospieszne kroki matki. Ledwo ojczym zdążył zamknąć drzwi od jej dziupli, słysząc przerażony szept matki: Och, Piotrusiu, co z twoim okiem? Ktoś cię pobił? Pobił! Pobił! Boże, Piotruś! Ty jesteś pijany, ledwo trzymasz się na nogach. Co robisz? Puść mnie, zostaw, dziewczynki się obudzą, a potem stłumione: och, jak dobrze, och, proszę cię, jeszcze, jeszcze.

Zapukała, po chwili weszła. Sekretariat był dużym pokojem, zastawionym oszklonymi szafami, na półkach ustawione jak w bojowym szyku segregatory;

pod oknami pięły się ku górze olbrzymie bananowce; jakieś dziwaczne maszyny, jedna z nich to chyba kserokopiarka, funkcji innych nie znała, biurko zastawione monitorami, drukarką, telefonami. Za nim stała blondynka. Ładna, młoda, w zaawansowanej ciąży. Szczęśliwa. Urodzi zdrowe, duże dziecko. Nikt nie dusił jej brzucha bandażami.

Za każdym razem, gdy spotykała kobietę w ciąży, musiała siłą powstrzymać się, aby do tej obcej kobiety nie podbiec, nie powiedzieć: proszę pozwolić mi przez moment potrzymać dłonie na pani brzuchu, chcę przypomnieć sobie, jak dziecko kopie, bo tak kopałby mój syn, gdyby mi go nie zabito. Łzy leciały same, jeśli na ulicy lub w parku widziała wózek z dzieckiem, lub spotykała dzieci bawiące się w piaskownicy. Tak właśnie, za rok, dwa, bawiłby się jej syn. Czemu, myślała, przeklełam tylko Boga, a matkę oszczędziłam?

– Pani w jakiej sprawie?

Ile ma czasu do rozwiązania? Chłopczyk czy dziewczynka, zastanawiała się.

– Proszę pani! Dlaczego pani mi się tak przygląda? – zdenerwowała się blondynka.

Wzięłabyś mnie za wariatkę, myślała, gdybyś wiedziała, że przyglądam się twemu schowanemu w twoim brzuchu dziecku i widzę je. Jest śliczne, zdrowe, ma jasne jak ty włoski i niedługo już poczujesz jego ciepło i zapach. Pamiętam doskonale takie rozkoszne ciepło małego ciała, lekko słodkawy zapach. Tyle razy przewijałam swoje siostry, a potem czekałam na własnego, wyłącznie mojego synka.

– Pani płacze? – zdumiała się blondynka.

– Ależ skąd. Mam zapalenie spojówek. Zapomniałam dziś rano wpuścić krople do oczu. Przepraszam, ja do pana Wierzbickiego.

– Pana prezesa Wierzbickiego – z naganą w głosie poprawiła blondynka. – Jest pani z nim umówiona? Proszę podać nazwisko. Sprawdzę w terminarzu.

– Marta Stańczyk.

Bo po błyskawicznej sprawie rozwodowej, jaka odbyła się w miesiąc po poronieniu, ku zadowoleniu Pawła, zyskującego pewność, że na pewno nie zostanie zaskarżony o alimenty, pani sędzia sama zadbała, aby Marta, broń Boże, nie nosiła nazwiska syna. Ach, powiedziała matka Pawła, lepszego rozwiązania nie mogliśmy sobie wymarzyć.

– Marta Stańczyk? Chwileczkę. Rzeczywiście jest: Marta Stańczyk. Godzina: dziesiąta. Obawiam się jednak, że nic z tego nie będzie. Pani się spóźniła ponad pół godziny. Zaraz zapytam pana prezesa, kiedy ponownie, i czy w ogóle, zechce panią przyjąć. Pan prezes bardzo sobie ceni obowiązkowość i punktualność.

Patrzy na mnie podejrzliwie, bez życzliwości, widać, że pragnie, aby mnie ten jej prezes odwalił. A może ja jej w czymś zagrażam? To ty mi zagrażasz. Ty ze swoim brzuchem pełnym szczęścia, do którego mam ochotę przytulić twarz.

– Przyjmie za dziesięć minut – powiedziała blondynka i pochyliła się nad klawiaturą komputera. Jej lekko opuchnięte palce ze złotym krążkiem obrączki jakby rozpoczęły wyścig, z taką zawrotną szybkością dotykały klawiszy.

Nie powiedziała: niech pani spocznie. Stała więc pokornie, czekając na wezwanie. Duży zegar wystukiwał minuty. Pięć. Dziesięć. Piętnaście. Dwadzieścia. Czy to ona, ta ładna, szczęśliwa blondynka, czy raczej pan prezes zamierzają mnie upokorzyć? Jaką pracę mogę tu podjąć? Piszę na komputerze jedną stronę dziesięć albo i więcej minut. Nie mam bladego pojęcia o prowadzeniu sekretariatu, nadaję się jedynie na sprzątaczkę. Sprzątaczką, wystrojona w jedwabną bluzkę z dekoltem, spódnicę, ukazującą nogi do pól uda,

nie zasługuje na szacunek ani sekretarki, ani tym bardziej samego pana prezesa firmy zajmującej aż dwa piętra wieżowca.

– Prezes prosi. Nie te drzwi, tamte!

Gabinet przypominał wielką salę konferencyjną. I też wygłuszony, wykładany ciemnym, w kolorze zgniłej zieleni, dywanem. Meble prawie czarne, rzeźbione, chyba gdańskie. Do olbrzymiego biurka dostawiony długi stół otoczony antycznymi krzesłami. Bogata firma, skoro funduje sobie takie meble.

– Przepraszam, zaraz się panią zajmę – odezwał się mężczyzna. Nawet nie podniósł głowy znad rozłożonych papierów. Źle go widziała z tej odległości. Rozważała w myślach, czy zostać tu, kilka kroków za wyłożonymi dźwiękochłonnym korkiem drzwiami, czy może podejść bliżej? Jak blisko wolno mi się zbliżyć do tego, mającego mnie gdzieś, ważniaka.

– Proszę usiąść.

Gdzie wolno usiąść? Na tym ostatnim krześle na samym końcu konferencyjnego stołu? Nadmiar uprzejmości dla przyszłej sprzątaczkii. Przyszła sprzątaczkii postoi.

– Pani się spóźniła, a mój czas jest cenny.

– Ile jestem winna?

– Co? Co?

Nareszcie spojrział na nią. Matka mówiła prawdę: przystojny. Może za bardzo. Miękkie, jakby kobiece rysy, ładnie wykrojone usta, mały nos, proste czoło, wyraziste brwi i oczy, niebieskie, nawet błękitne. Niemłody. Po czterdziestce. Ale dobrze zakonserwowany.

– Skoro pana czas jest cenny, a ja się spóźniłam, jestem skłonna pokryć koszt – powiedziała.

Pracę sprzątaczkę znajdzie. Niekoniecznie w Textil Export Import Spółka z o.o. Aż takich ambicji nie ma. Roześmiał się. Miał ładne, białe zęby.

– Pani ojciec nic mi nie wspomniał o szczególnym poczuciu humoru swojej córki – wstał.

Był wysoki, opalony. *Solarium czy krótki wypad do Tunezji? Gładka skóra, prawie bez zmarszczek. Masaże czy lifting? Szeroki w ramionach, bez brzucha. Siłowania? Pływanie? Rower?* Wyszedł zza biurka. Krok miał sprężysty. Podszedł, wyciągnął pulchną rękę z krótkimi palcami. Na małym nosił duży sygnet. *Ważny dupek z sygnetem.* „Jego garnitur z pewnością więcej kosztuje, niż wynosi nauczycielska pensja mojej matki”, pomyślała.

– Nie wspomniał mi również, że ma tak atrakcyjną córkę – pochylił się nad jej ręką, ucałował. – Bardzo, bardzo atrakcyjną – pocałował po raz drugi.

„Odwal się. Nie znoszę facetów w ogóle, zaś facetów liżących po rękach w szczególności”, myślała. Ujął ją pod ramię, podprowadził do biurka, odsunął krzesło przy stole. Głupi dupek, przyzwyczajony do łatwych zdobyczy, nosi sygnet, ale obrączki nie, podstarzały playboy, pożeracz serc.

– A ja usiądę naprzeciwko i będę się pani przyglądał.

– I na tym będzie polegała moja praca?

„Idiota”, dodała w myślach, a on roześmiał się znowu.

– Zaraz porozmawiamy, na czym – przechylił się w stronę biurka, nacisnął jakiś guzik czy coś tam, powiedział: – Pani Janeczko, dwie kawy proszę.

Ciężarna blondynka, jakby z tą kawą czatowała pod drzwiami, wniosła na tacy filiżanki, dzbanek, śmietankę, ciasteczka. Nawet nie wysilała się na służbowy uśmiech. Spojrzała na Martę wrogo.

– Czy tak dobrze, panie prezesie?

– Świetnie, doskonale. I proszę mnie z nikim nie łączyć przez najbliższe piętnaście minut.

– Oczywiście, panie prezesie – w głosie blondynki Marta dosłyszała ironię.

Ale kozetki tu nie widzę, przelatuje kandydatki do pracy na biurku czy na stole, zastanawiała się.

– Pani Marto? Dobrze zapamiętałem imię". Marta, tak? Więc, Marto, kawa ze śmietanką? – Wypełnił prawie przezroczystą filiżankę czarnym płynem. – A kostek cukru ile? Jedna? Dwie?

Mam chody. Pan prezes osobiście nalewa oraz słodzi kawę. Palant.

– Bez śmietanki i bez cukru. Dziękuję. Więc jaką pracę ma mi pan prezes do zaoferowania?

– Dobrą. Widziała pani moją sekretarkę? Jest w zaawansowanej ciąży.

– To wbrew przepisom firmy spodziewać się dziecka?

– Oczywiście, że nie. Jednak sekretarka w takiej firmie, jak nasza, przyjmującej często zagranicznych kontrahentów, jest jak gdyby jej wizytówką, zaś wizytówka musi prezentować się nieskazitelnie. Pani Janeczka, podejmując u nas pracę, znała warunki. To ona je zerwała, nie my. I długo, powiem dobitniej, o wiele za długo tolerowaliśmy panią Janeczkę, doceniając jej kwalifikacje oraz umiejętności. Dłużej jednak nie możemy. Kobieta w ciąży w ogóle prezentuje się nieestetycznie. Sekretarka w ciąży jest nie do zaakceptowania. Rozumie już pani, Marto, jaką pracę zamierzam pani zaproponować?

– Rozumiem. *Ty cholerny esteto z cholernie dbającą o wizerunek firmy.*

Mam cię w nosie. Ciebie i twoją zakichaną pracę.

– Doskonale. Pani ojciec uprzedził mnie, że nie jest pani wprawna w obsłudze takich urządzeń jak faks czy kseropiarka. Nie szkodzi. Przeszkolimy

panią szybciotko, to nie jest skomplikowane. Najważniejsze, że zna pani angielski oraz pisze na komputerze.

– Bardzo słabo znam angielski i jeszcze słabiej piszę na komputerze.

– *I like your modesty, Marta. Taste some biscuits, please. They are delicious. Would you like a glass of good cognac?*

– *I'm sorry. I dont drink alcohol at all and I really hate cognac* – odpowiedziała machinalnie.

Roześmiał się. „Cholera, dałam się podpuścić temu dupkowi”, zgañła się w myślach.

– Koniec rozmowy kwalifikacyjnej. Jest pani przyjęta, Marto. Umowa o pracę czeka na panią w sekretariacie. Na początek dwa tysiące brutto, jednak może pani oczekiwać rychłej podwyżki. Zaczyna pani od jutra. Proszę stawić się punktualnie. Moja dotychczasowa sekretarka otrzymała zadanie przeszkolenia pani. Bardzo się cieszę, Marto, że u mnie będzie pracowała taka śliczna dziewczyna.

– Ale ja nie powiedziałam, że się zgadzam – zaprotestowała.

– A nie zgadza się pani? Naprawdę, na razie nie mogę oferować wyższej gaży.

– Nie chodzi o gażę.

Wpadłam. Śliczna dziewczyna, cholera. Jeszcze nie zatrudnił, a już się dostawia. Trudno: najwyżej jutro nie podejmę pracy.

– Nie podoba się pani, Marto, jej nowy szef? – zapytał, całując ją znowu w rękę. – Szef obiecuje daleko idącą tolerancję. Będzie pani z niego zadowolona. Ma tylko jedną prośbę. Osobistą. Prosiłby, aby nie katowała pani swoich włosów, wiążąc je nielitościwie w węzeł. Niech je pani nosi rozpuszczone. A

teraz pójdziemy do sekretariatu, gdzie złoży pani obok mego swój podpis na umowie o pracę.

Umowa w trzech egzemplarzach. Opatrzona stosownymi pieczętkami. I podpisem Wierzbickiego.

– Na czas nieokreślony, jak pani widzi – zaznaczył z naciskiem, jakby wyświadczał jej szczególną łaskę.

– Chyba, że zajdę w ciążę i stanę się nieestetyczna – odgryzła się. Ładna blondynka po raz pierwszy spojrzała na nią życzliwie. Nawet się uśmiechnęła. Za to ta uwaga najwyraźniej nie spodobała się prezesowi. Przystojna twarz stała się sucha, oficjalna.

– Mogą być inne powody zwolnienia. Na przykład niedostateczne wywiązywanie się ze swoich obowiązków, brak dyspozycyjności albo... arogancja – powiedział, kładąc nacisk na słowo arogancja.

Sam mi podpowiedziałeś, dupku. Prędko mnie zwolnisz, a ja nie będę musiała kręcić przed matkę, dlaczego tej pracy u ciebie nie przyjął.

– Proszę jutro stawić się punktualnie. Ma pani tydzień na przyuczenie. Nie więcej. Mój sekretariat musi funkcjonować bez zakłóceń. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

I nie czekając na odpowiedź, zniknął za drzwiami swego przepastnego gabinetu. No proszę, jak się zeźlił. Pokazał pazurki. Dobrze, że mi nie zależy.

– Dziękuję, ale mu dogryzłaś – odezwała się blondynka. Westchnęła. – Będzie nam teraz ciężko z mężem. Zaciągnęliśmy kredyt na mieszkanie i nie wiem, jak go spłacimy. Miałam jednak wybór – uśmiechnęła się ze smutkiem – albo przerwać ciążę, albo stracić pracę. Jak widzisz: wybrałam to drugie.

– Drań.

– Nie, on jest nawet w porządku. To tylko jeden z wiceprezesów i ma też nad sobą szefa. Są reguły, których musi się trzymać, inaczej jego pogonią. Staraj się mnie wybronić. Na ile mógł, na tyle przeciągnął okres mego zatrudnienia. Odprawę również mam obiecaną niezłą. To dobra praca. Nie stawiaj się. Tu pokora wpisana jest w etat. Po okresie próbnym podniosą ci pensję do trzech tysięcy netto. Gdzie w dzisiejszych czasach taka młoda dziewczyna jak ty tyle zarobi? Przepraszam, że „tykam”. Lubię bezpośredniość. Nie uraziłam cię?

– Ależ skąd! Działasz jak balsam na moje stargane nerwy. Okropnie byłam spięta.

– Wiem, co czujesz – roześmiała się blondynka. – Też przechodziłam podobne katusze. A Wierzbickiego bałam się gorzej niż diabła.

– Jaki on jest?

– Różny. Czasem do rany go przyłoż, a czasem jakby kij połknął, zależnie od aktualnego humoru. Nie przejmuj się. Nauczę cię wszystkiego. To proste urządzenia, faks czy kserokopiarka. Nasza praca polega przede wszystkim na spolegliwości oraz posłuszeństwie. Co szef mówi, to święte. Szef się nie myli nigdy, więc nawet jeśli plecie dyrdymały, zgadzasz się pokornie. Tak jest, panie prezesie. Przepraszam, panie prezesie, to się więcej nie powtórzy. I uśmiechasz się, nawet, gdy masz zapalenie okostnej. Główny problem pracy tutaj polega na czymś zupełnie innym. Goście z zagranicy, nasi kontrahenci, przeważnie uważają, że zaproszenie ładnej sekretarki na kolację do hotelu, a potem przespanie się z nią, to dla niej zaszczyt. Tu się dopiero trafiają typy! Obleśne i namolne, a ty przecież musisz być uprzejma, uśmiechnięta, udając, że ależ tak, tak, to rzeczywiście zaszczyt dla mnie.

– O Boże – powiedziała i popatrzyła z przerażeniem na ładną blondynkę. – Za nic nie chcę tu pracować!

- Spokojnie, bez paniki, Marta. Masz ładne imię. I w ogóle jesteś ładna.
- Tobie również niczego nie brakuje – zrewanżowała się. – Cieszę się z naszego poznania.
- Wybacz, że krzywym okiem na ciebie patrzyłam. Wiedziałam, że odchodzę i ktoś musi przyjść na moje miejsce, a jednak coś mnie ugryzło. Byłam nieuprzejma, kazałam ci czekać na stojąco.
- Głupstwo. Pewno zachowałabym się identycznie na twoim miejscu.
- W każdym razie: *I'm sorry*, Marta. Wracając do panujących tu zwyczajów, taki gościu ciebie podrywa, ty się uśmiechasz grzecznie i tak masz trzymać. Potem idziesz do Wierzbickiego. Mówisz mu: panie prezesie, jest problem z panem takim to a takim. Więcej nie musisz. Nie wiem, jak on to załatwia, ale najważniejsze, że załatwia. Masz gościa z głowy. To tak jak z ciążą. Sekretarka jest wizerunkiem firmy, który ma pozostać nieskazitelny. Przedemną była tutaj taka jedna, przyjmowała zaproszenia, prezenty, może nawet kasę, nie wiem, ale wiem, że wywalono ją z hukiem. Załapujesz Marta, w co tu jest grane? Firma nie życzy sobie komplikacji. Z sypiania sekretarki z kontrahentem mogą wyniknąć plotki, skandal nawet, sekretarka dużo wie, wiele ważnych papierów przechodzi przez jej ręce, może chlapać coś, co firma pragnie zachować w tajemnicy. Firma dba więc o naszą moralność. Bardzo dba i pilnuje naszej cnoty.
- A Wierzbicki? Wydaje mi się, że jest lepki.
- Lubi ładne dziewczyny, prawi im komplementy i to wszystko. Ma piekielnie zazdrosną żonę i nie odważy się na romans ze swoją pracownicą. To raz. A dwa to niepisana reguła. Wiadoma jednak wszystkim, zajmującym tu ważniejsze stanowiska: żadnych bliższych kontaktów z podwładnymi. Znasz słowo mobbing?

– No pewnie. To obecnie modne słowo. Firma pewnie boi się o własny tyłek, dlatego taka cnotliwa.

– Trafiłaś w dziesiątkę, Marta – zaśmiała się Janka. – Chyba rozwiałam twoje obawy. Przyjdiesz jutro, prawda?

– Chyba tak...

– Nie wygłupiaj się. Przyjdź. Taka okazja już ci się nie zdarzy. Musisz mieć potężne plecy, skoro szef zamierza cię zatrudnić, nie obraź się, bez kwalifikacji.

Trzy tysiące miesięcznie. Wolna od matki. Wolna od ojczyma. Wolna od swojej dziupli, od podłogi, na której leżała, jeszcze z nadzieją, że to nic takiego, te bóle. Wolna od kozetki, zalanej krwią, moją i twoją, synku. Zamknę za sobą drzwi i więcej ich nie otworzę, pozostawię za nimi wspomnienia, zachoruję na amnezję. Urodzę się na nowo. Z kupowanych kalendarzy wyrwę kartkę z dniem siódmego stycznia, datą mego fałszywego ślubu i datą twojej śmierci, synku. Nagle zobaczyła siebie na noszach, obok biegnącą matkę z poszarzałą twarzą, powtarzającą kłamliwie: wszystko będzie dobrze, córeczko, i przypomniała sobie swoją myśl, że jeżeli wytrzyma ten ból bez wydania jęku, oznaczać to będzie, że syn urodzi się żywy. Duże dziecko, powiedziała przecież lekarka na rejonie, silne, zdrowe. Więc to nie szkodzi, że zaledwie sześciomiesięczne, teraz medycyna ratuje i takie przedwczesne, niedonoszone maluchy. Od tego ma inkubatory, respiratory. Tyle razy w telewizji pokazywano maleństwa, niewiele większe od ludzkiej dłoni, oplatane siecią zbawczych rurek, więc trzeba bez jęku wytrzymać. Krzyczeć zaczęła dopiero wtedy, gdy lekarz wziął kleszcze i tymi kleszczami wyciągał kawałek po kawałku jej syna, lecz nie krzyczała z bólu. Krzyczała w proteście, a matka wycierała jej pot z czoła, tak blada, że sama podobna do śmierci, jaką zadała memu synowi.

– Marta?

Nawet za trzy tysiące netto, nawet zmieniając tamto przeklęte mieszkanie na inne, przy innej ulicy, w innej dzielnicy miasta, nie uwolni się od pamięci. Nie ma takiego miejsca, nigdzie, nigdzie!, w którym mogłaby zacząć tak zwane nowe życie, odrzucając przeszłość.

– Marta? Co się dzieje?

Jeżeli chcę żyć, muszę się pozbierać. Czy jednak chcę żyć? To jest pytanie, które zadaję sobie nieomal codziennie, na razie bez odpowiedzi. Będziesz miała jeszcze dzieci, powiedział ten lekarz od kleszczy i patrząc na obrączkę, dodał: ze swoim mężem. Nie rozpaczaj. I to byś donosiła szczęśliwie, gdyby nie twój wypadek. Dobrze, że nie zapytał o męża, o jej fałszywego męża, który kazał matce ścisnąć brzuch, ponieważ się wyparł i syna, i jej, chociaż zapewniał, że jest jego sarenką ze smutnymi oczami, jego białą łanią. Ale nie była ani sarenką, ani łanią. Pewno tak mówił wszystkim dziewczynom, z którymi sypiał: ani swojej sarenki już nie chciał, ani syna i nie zamierzał nas nigdy oglądać. Z wielką ulgą odebrał wiadomość, że poroniłam martwego. Kłopot z głowy, jednego dnia rozprawa niby godząca, za cztery miesiące merytoryczna, trwająca dziesięć minut. A nie zapomnij przy wymianie dowodu, usłyszała od fałszywej teściowej, powrócić do swego panińskiego nazwiska, na wszelki wypadek napisz pisemne zobowiązanie. Nasze nazwisko zbyt porządne dla ciebie. I dobra rada na przyszłość: nie próbuj więcej łapać męża na ciążę, nie każdy okaże się tak uczciwy jak mój syn.

– Chyba mi tu nie zemdlejesz? Marta?

– Przepraszam. Zamyśliłam się.

W ładnych oczach ładnej blondynki: źrenice rozszerzone lękiem. I współczuciem.

– Wyglądałaś tak, jakbyś zobaczyła nagle upiory. Przestraszyłam się.

Powiedzieć jej, że trafiła w sedno? Że tak: widziałam upiory, i tak: widuję je od siódmego stycznia dwa tysiące czwartego roku i codziennie. Że jeden z tych upiorów ma twarz mego ojczyma, który załatwił mi tę pracę i który wczorajszej nocy wpakował mi się do łóżka, przygniótł mnie sobą i uważał, że może już robić ze mną to, co robił Paweł.

– Jeszcze raz przepraszam. Jestem trochę szurnięta. Ale nie zagrażam nikomu.

Poza sobą...

– Oj, zaraz szurnięta! Każdy ma coś, co go dręczy. Jesteś fajna dziewczyna. Praca na twój stres stanie się terapią.

– Dzięki za rady. Dzięki w ogóle za wszystko.

– A może odwiedziłabyś mnie dzisiaj? Będę w domu na pewno po siedemnastej, więc, powiedzmy, o szóstej. Udzielę ci pierwszych teoretycznych korepetycji, jak być „niezastąpioną” sekretarką w firmie. Napijemy się dobrej herbaty, a mój mąż, jak ten z reklamy telewizyjnej, upiecze w pół godziny pyszne ciasto. Dla niego to pestka, bo jest cukiernikiem. Pokażę ci wyprawki dla dzieci, jedne są w różowym kolorze, drugie w niebieskim – poklepała się po wielkim brzuchu – bo to będą bliźniaki. Wszystkie dzieci od razu sobie fundnęliśmy: chłopca i dziewczynkę... Marta!

Uciekła od wołającej za nią Janki: „Marta, poczekaj, naprawdę jesteś stuknięta!”. Wszystkie dzieci, chłopiec i dziewczynka, wyprawki, jedne w kolorze niebieskim, drugie w różowym, bo chłopczyk i dziewczynka, chłopczyk i dziewczynka, chłopczyk i dziewczynka, chłopczyk i dziewczynka...

Początki nie były tak łatwe, jak zapewniała Janka. Dobra dziewczyna. Zostawiła swój numer, i stacjonarny, i komórkowy. Dzwon w razie najmniejszych wątpliwości, powiedziała do niej, nie krępuj się, pomogę ci w każdej awaryjnej sytuacji. Z wieloma drobiazgami nie potrafisz na początku sobie poradzić, ale mimo twoich pleców, lepiej nie drażnić Wierzbickiego. Ceni dobrze wykonaną robotę. Jest jeszcze coś, Marta. Wybacz, ale muszę ci o tym powiedzieć. Przez tydzień obserwowałam cię uważnie, a że nie wszystkie blondynki, jak te z dowcipów, są idiotkami, więc wiele pytań, dotyczących ciebie, przychodziło mi do głowy. Zastanawiałam się nad twoją, nieomal paniczną reakcją na zwykłe przecież zaproszenie na popołudniową herbatkę z ciastem. Wcześniej również zaobserwowałam moment, w którym jakbyś tylko ciałem była obecna, natomiast tak naprawdę przeniosłaś się gdzie indziej, jakbyś była w jakimś przerażającym cię i wywołującym strach miejscu. Z trudem wracałaś do rzeczywistości, zaś wyrazu twoich oczu, Marta, nie potrafię zapomnieć. Widziałam takie oczy u mojej zmarłej babci, zanim je przykryto powiekami. Nie zapytam ciebie, Marta, co tam w sobie chowasz, jaką bolesną tajemnicę, bo i tak mi nie odpowiesz. Zresztą, odpowiedź masz jakby wypisaną na twarzy. Z pozoru zwykła, ładna dziewczyna, jakich wiele. Niegłupia, szybko ucząca się. Okej, w porządku, ale nie, Marta, jednak nie w porządku. Czy wiesz, że nawet, gdy się uśmiechasz, twoje oczy pozostają martwe? Kiedy natomiast patrzą na mój brzuch, jest w nich taki ból, że razem z tobą chce mi się płakać. Przecież to nieprawda z tym chronicznym zapaleniem spojówek, Marta. W tobie jest śmierć, ty grzebiesz nieustannie kogoś ci bliskiego, po stracie którego nie potrafisz się odnaleźć. Nie wiem, kto ci umarł. Nie wiem, kiedy umarł, Marta. Nie zamierzam ani też zapewne nie potrafiłabym cię pocieszyć, bo nie doświadczyłam w życiu żadnej traumy. Miałam szczęśliwe dzieciństwo, dobrą

młodość, kocham i jestem kochana. Nie mogę wprost doczekać chwili, w której zobaczę swoje dzieci. Ale wiem też, że człowiekowi jest lżej, jeśli może się wygadać przed drugim człowiekiem. Najlepiej zupełnie obcym, takim jak ja właśnie. Ty, Marta, jesteś sama jak palec i założę się, że rozważasz alternatywę: żyć czy skończyć ze sobą. Tak więc dzwoń do mnie nie tylko w sprawach biurowych. O każdej porze dnia. W nocy również. Miej świadomość, że jest taki numer telefonu, pod którym odezwie się głos i powie: hej Marta, cieszę się, że dzwonisz.

Dobra dziewczyna. Zanim się nauczyła swojej pracy, dzięki jej telefonicznej pomocy uniknęła wielu pomyłek. Zrozumiała też prędko, dlaczego tyle tu płacą. Pojęcie etat w Textil Export Import należało do względnych. Musiała być w firmie na w pół do ósmej, lecz nie wychodziła jakże zwykłego biura po siedmiu lub ośmiu godzinach pracy. Cały jej czas był do dyspozycji szefa, on zaś pracował – bo i tak się zdarzało – nawet do dziesiątej wieczorem.

Wracała do domu na „ostatnich nogach”, marząc jedynie o prysznicu i łóżku. Nastawiała budzik na szóstą i zasypiała natychmiast. Senne koszmary wyparły zmęczenie i stres, związane z pracą. Spała tak twardo, że gdyby ojczym wszedł do niej nocą, nie usłyszałaby. Ale ojczym odpuścił. Widocznie zapamiętał jej palec w swoim oku, które go bolało i ropiało tak, że musiał szukać pomocy u okulisty. Zresztą, poza weekendami i porankami, podczas których wszyscy spieszyli się do swoich zajęć, prawie go nie widywała. To matka czekała na nią z kolacją, kręciła się po ciasnej kuchni, podgrzewała kakao, smarowała bułkę masłem, obkładała grubą porcją szynki.

– Sama sobie potrafię podgrzać kakao – protestowała, dziwiąc się równocześnie tej nagłej, wręcz podejrzanym troskliwości.

– Akurat! – burczała matka, owijając się szlafrokiem. – Kanapek do pracy też byś nie wzięła, gdybym ci nie włożyła do torebki. Ta twoja praca to jakiś wyzysk.

– Jaka z ciebie wzorowa mamuśka! Bo zaraz się rozplaczę – mówiła, spodziewając się agresywnej odpowiedzi. Ale matka albo milczała, albo wychodziła z kuchni.

Co z nią? Powinna się stawiać. Krzyczeć o mojej niewdzięczności. Mówić o swoim poświęceniu. Wzdychać o Boże, mój Boże, za co mnie to spotyka? Jęczeć, och Martusiu, przecież mi zależy na twoim zdrowiu. I temu podobne odzywki, które znam na pamięć. Na wrywki. Naprawdę, będę szczęśliwa, gdy szef podwyższy mi pensję i wyprowadzę się stąd. Matka dbająca o mnie jest trudniejsza do zniesienia, niż matka wrzeszcząca: ty paskudna dziewucho!

Wierzbicki był uprzejmy, tolerował wpadki. Mówił: nie szkodzi, nauczy się pani. To kwestia czasu. Lubię na panią patrzeć, Marto. Nie jestem skłonny pozbyć się tak ładnej sekretarki.

Przykry zgrzyt nastąpił w drugim tygodniu pracy. Do sekretariatu wtargnęła bez pukania, bez „dzień dobry” wysoka, dobrze ubrana, z ostrym makijażem kobieta po czterdziestce. I od razu skierowała się prosto do gabinetu.

– Proszę pani! Tam nie wolno wchodzić. Pan prezes jest zajęty. Muszę panią zapowiedzieć, zapytać, czy zechce przyjąć. Jak pani godność? I w jakiej sprawie?

Kobieta zareagowała oburzeniem.

– Jestem żoną prezesa! Mogę wchodzić do mego męża, kiedy mi się żywnie podoba! Natomiast pani, młoda osobo, zachowuje się bezczelnie. I, jak widzę, nowa. Oczywiście ładna. Pewno licząca na szybkie zrobienie kariery!

Co za babsko. Patrzy na mnie, jakbym nie siedziała za biurkiem, lecz stała pod latarnią, oczekując na klienta.

– Przepraszam, skąd miałam wiedzieć, kim pani jest? Na czole brak napisu: uwaga, żona prezesa.

Najwyżej mnie wywali. Nie pozwolę sobą pomiatać.

– Bezczelna, złośliwa, arogancka. Postaram się, abyś tu długo miejsca nie zagrzała – podniosła głos do krzyku.

Ciekawe, czy na Wierzbickiego też się tak wydziera.

– Jakoś przeżyję ewentualne zwolnienie. Fakt, że jest pani żoną mego szefa nie upoważnia pani ani do podnoszenia głosu, ani mówienia do mnie per ty.

Wyprowadzał potem tę swoją żonę z gabinetu pod rękę, jakby ciągnął siłą. Widać było, że ledwo nad sobą panuje.

Biedny szef. Jak on wytrzymuje z taką babą, zastanawiała się. Pewno dlatego został pracoholikiem i przesiaduje w firmie do późnych godzin.

– Przepraszam, Marto, za żonę. Choruje na ciężką nerwicę. Potrafi być nieprzyjemna.

O, i to bardzo nieprzyjemna. Ogromnie panu współczuję.

– Chciałbym wynagrodzić pani doznaną przykrość. Na przykład zaprosić na dobrą kawę w jakimś zacisznym, ustronnym miejscu.

Ustronnym, powiada. No proszę, jaki odważny. Czy on ma mnie za idiotkę? Ustronne, zaciszne miejsce, przyjemniaczek. Najpierw jedna kawa, potem druga, potem kolacyjka z koniakiem albo szampanem. Może mały prezencik, jakieś perfumy, potem motelik, w równie ustronnym a zacisznym miejscu, i romansik rodem z harlekina gotowy. Nawet cię rozumiem, facet: mając taką żonę, musisz od czasu do czasu odreagować skokiem w bok. Lecz nie ze mną. Obrzydliwe; mógłbyś być moim ojcem. Teraz rozumiem powody twojej wielkiej tolerancji w

stosunku do mnie, przymykania oczu na fatalne pomyłki, jakie mi się zdarzały i te niby komplementy, prawione tak gładko. To był wstęp, przygrywka, szykowanie odpowiedniego gruntu. W myśl zasady: ładna dziewczyna – łatwa dziewczyna, która zapewne przewinęła się już przez wiele łóżek.

– Pani Marto?

– Oczekuje pan prezes mojej odpowiedzi? Pozwoli pan jednak, że zadam jedno pytanie: w jak ustronne miejsce mnie pan zaprasza? Na przedmieściu Łodzi czy już może poza Łodzią?

– Pani mnie źle zrozumiała – a jednak się zmieszał, poczerwieniał nie jak ważny wiceprezes, lecz uczeń, przyłapany na paleniu papierosów w kiblu. – Szkoda. Sądziłem, że ma pani do mnie zaufanie.

I tu się fatalnie mylisz. Nigdy żadnemu facetowi nie zaufam. Nigdy.

– Szkoda – powtórzył. – Przepraszam.

Gdy wyszedł, wzburzona zadzwoniła do Janki. Ta ją zwyczajnie wyśmiała. On nie zdradzi swojej żony, Marta. Nie wiem, czy jest aż tak moralny, czy raczej aż tak się jej boi. Jestem przekonana, że musi się przed nią rozliczać z każdej minuty spędzonej poza domem. Marta, odpuść. Nie każdy facet od razu ciągnie ładną dziewczynę do łóżka. Masz na tym tle jakiś uraz czy co? Mnie Wierzbicki także czasem zapraszał na kawę i tylko kawę. Też mi prawił komplementy. Pracowałam z nim ponad pięć lat, zdążyłam go poznać. Nie rwie swoich sekretarek. Bądź dla niego miła, zasługuje na to. Ma stresującą, odpowiedzialną pracę i upierdliwą żonę.

Więc z kolei ona poszła Wierzbickiego przeproszać.

– Dziękuję – odpowiedział po prostu. – Nie zamierzam kłamać: pani mi się podoba. Lecz nie w ten sposób, o jaki mnie pani podejrzewa. Patrzę na panią jak na piękny obraz, bez żadnych podtekstów erotycznych. Nie rozbieram pani

wzrokiem. Mam staroświeckie zasady, dotrzynamy wierności żonie. A jeśli mówię o pani oczach, że są nieprawdopodobnie zielone... czy sprawiam tym pani przykrość?

Zawahała się. Paweł też mówił: masz oczy jak wiosenna trawa o poranku.

– Pani Marto, dobrze. Odpowiedź znalazłem na pani twarzy. Jeżeli jednak zdarzy mi się z czymś wyskoczyć, z góry proszę o wybaczenie.

– Wolałabym, aby pan prezes ograniczył się do uwag na temat mojej pracy. Tylko i wyłącznie.

Odtąd bardzo się pilnował. Jego żona więcej nie pojawiła się w firmie. Widocznie dostała srogi zakaz od męża. Za to dzwoniła kilka razy dziennie. Nie przedstawiając się, ostrym głosem mówiła: z mężem proszę! Często miała ochotę podsłuchać, o czym rozmawiają, będąc przekonana, iż Wierzbicka za każdym razem urządza przez telefon scenę zazdrości o nową sekretarkę. Jeśli akurat Wierzbicki nie siedział przykuty łańcuchami do fotela w swoim gabinecie, jego „znerwicowana” żona rzucała pozbawioną wszelkiego sensu uwagę: Ale pani jest i nie wychodzi nigdzie? Tak? Po czym, nim minęła godzina, dzwoniła ponownie: Jeszcze nie wrócił? Ale pani cały czas w biurze? Słyszając potwierdzenie, że cały czas, wyłączała się.

Wredna baba sprawdza, czy mnie ze sobą nie zabrał, ona jest naprawdę chora. Na głowę. On ją powinien zapakować do Kochanówka. To nienormalne, taka zazdrość. A może ją kiedyś, mimo swoich staroświeckich zasad, zdradzał i ona ma obsesję, wydaje się jej, że wciąż jest zdradzana?

Po dwóch miesiącach Wierzbicki oznajmił, że przyznał jej premię w wysokości pięciuset złotych. Zaoponowała, że jeszcze na nic nie zasłużyła, pracuje zbyt krótko i ciągle jeszcze zdarzają się jej pomyłki.

– To moja decyzja, zaś pani nie ma prawa jej podważać! – zdenerwował się. Trzasnął drzwiami.

Oczywiście, natychmiast zadzwoniła do Janki.

– Szef jednak cię rozpieszcza. Ja pierwszą premię dostałam po pół roku. Marta, dlaczego ty, na litość boską, w prostych sprawach wyszukujesz jak pies śledczy ukrytych podtekstów? Ciesz się, że wpadnie ci do kieszeni pięć stów. Ciesz się, że masz takiego szefa, który jest miły, nie rozstawia po kątach, odnosi się do ciebie z szacunkiem i potrafi docenić twoje starania. Odczep się wreszcie od niego! A teraz z innej parafii: mój Andrzej właśnie upiekł sernik. A ja się tym sernikiem opycham sama, ponieważ Andrzej twierdzi, że wystarczą mu opary słodkości, woli kielbasę. Ratuj mnie, Marta, przyjdź po pracy. Inaczej ten sernik, wielkości młyńskiego koła, zjem cały i przytyję kolejne kilogramy. Jestem już taka gruba, że mogę postawić sobie na brzuchu talerz z zupą, a do rozwiązania jeszcze dwa miesiące.

– Kiedy indziej. Dziś nie mogę.

– Zawsze tak odpowiadasz: kiedy indziej.

I chyba zawsze będę tak mówiła. Nigdy do ciebie nie przyjdę, chociaż nikogo bliskiego poza tobą nie mam. Rozkrwawiłabym się na nowo. Nie mogę zobaczyć twego brzucha, na którym stawiasz talerz z zupą. Poczulałabym swój, obciśnięty bandażami. Nie chcę poznać twego Andrzeja, który ci myje nogi, wkłada buty, patrzy na ciebie z czułością, chociaż nigdy nie mówił do ciebie: moja biała łanio, moja sarenko ze smutnymi oczami, za to umiał powiedzieć to jedno z najprostszych słów: kocham. I ty mu mogłaś odpowiedzieć tym samym najprostszym słowem, mnie niedanym, nieznanym, zastąpionym fałszywkami. Nie wolno mi poznać dzieci, które urodzisz, ponieważ wówczas widziałabym w nich mego syna. Jak się do mnie uśmiecha, wyciąga pulchne łapki, unosi główkę, a

tego bym nie udźwignęła, nie zniosła, nie wytrzymała. Miałaś rację, mówiąc, że noszę w sobie śmierć. Jest ona dla mnie ostatecznym uwolnieniem od dnia siódmego stycznia i wszystkich kolejnych dni po nim przeżytych. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile razy już umierałam. Jednak otrzymałam szansę na życie. Od ciebie. Jest nią twój głos, który mówi do mnie codziennie: hej, Marta, cieszę się, że dzwonisz. W twoim głosie słyszeć radość, nie udajesz jej, cieszysz się naprawdę. Twój głos mi mówi jeszcze wiele innych ważnych rzeczy. Mówi: nie oddawaj życia walkowerem, Marta. Mówi: masz dopiero dwadzieścia dwa lata, zdążysz umrzeć albo zwariować, lecz najpierw podejmij walkę, bo popatrz na mnie – warto, właśnie mój mąż upiekł sernik. Skąd wiesz, mówi twój głos, że i dla ciebie ktoś kiedyś nie zechce piec serników?

– Hej, Marta? Jesteś tam, czy znowu cię zablokowało? Odezwij się. Nie wolno denerwować kobiety w ciąży.

– Wszystko okej. Zamyśliłam się.

– Znam ja te twoje zamyślenia! Radziłabym ci nie zamyślać się przy Wierzbickim. Aż taki tolerancyjny to on nie jest, chociaż ci daje premię. A co do sernika, to wyobraź sobie: jest na kruchym spodzie, w środku ma mnóstwo rodzyneków, migdałów, orzechów, z grubą na palec polewą czekoladową. Ślinka ci nie leci?

– Leci.

– No to niech leci. Do szybkiego usłyszenia.

Dobra dziewczyna. *Dziękuję ci, że jesteś. Że codziennie rano rozpoczynam dzień od telefonu do ciebie.*

W godzinę potem ochroniarz przyniósł wielkie pudło, obwiązane różową wstążką, pachnące wanilią.

– Ma pani dziwnego wielbiciela – powiedział. – Zamiast kwiatów przesyła pani ciasto.

Zadzwoił telefon. Oczywiście: Janka.

– Jutro będzie szarlotka – oznajmiła ze śmiechem. – Chyba nie skążesz mnie na samotne pochłanianie szarlotki?

– Przykro mi, ale ostatnio nie wychodzę z firmy wcześniej niż przed dziesiątą.

– Unikasz mnie, Marta. Dlaczego?

– Kiedyś ci wytłumaczę.

– Kiedy?

– Nie wiem. Nie jestem jeszcze gotowa.

– Na co?

– Na oglądanie szczęśliwej rodziny. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Nie bardzo rozumiem. Jednak jesteś stuknięta. Smacznego, Marta.

– Pachnie jak w cukierni – powiedział Wierzbicki, wychodząc z gabinetu. – Mam prośbę: jeśli dziś raz jeszcze zadzwoni moja żona, proszę odpowiedzieć, że wyszedłem i nie wie pani, kiedy wrócę. Komórkę wyłączyłem, więc na pewno będzie pytać i o komórkę. Powie jej pani, że zgubiłem i bardzo martwię się z tego powodu. Gdy wrócę, wyłączymy wszystkie telefony. Czeka nas sporo pracy, muszę zamknąć bilans. Ale zapach! Co tam pani ma?

– Sernik od Janki. Poczęstuje się pan?

– Uwielbiam sernik. Przyda się nam na wieczór. Dużo mocnej kawy i dużo sernika. Czeka nas ogrom pracy, Marto.

Wierzbicka, jak było do przewidzenia, dzwoniła kilkakrotnie. Odpowiadała jej jak wyuczoną formułę: przykro mi, pani męża wciąż nie ma. Słyszała po drugiej stronie urywany oddech: Jest mi potrzebny. Powtórzy mu pani?

Oczywiście, powtórzę. Kiedy jednak doszło do kwestii o zagubionej komórce, Wierzbicka rozszalała się: Ma dwie. Jedną służbową, drugą prywatną. Więc jakim to dziwnym zrządzeniem losu obie naraz zgubił? Pani go kryje! I ja wiem dlaczego! Od samego początku wiem! Wystarczyło mi na ciebie spojrzeć, żeby wiedzieć! Macie ze sobą romans! Najpierw zrobił brzuch twojej poprzedniczce, teraz ciebie wyciągnął z jakiejś agencji towarzyskiej, dziwko. I pewno ci obiecuje małżeństwo! Do twojej wiadomości: nigdy mu nie dam rozwodu! To raz. A dwa, moja mała, ja wiem, jakie on potrafi prawić gładkie słówka! Lecz tylko słówka, nic ponadto. To tchórz. Karierowicz. Nie odważy się swoich słów wprowadzić w czyn. Bo wywołałby skandal. Ja go znam, ty nie. Bardziej niż zarazy boi się skandali. Za wiele by stracił: stanowisko, poważanie, stosunki. Na pieniądze również nie licz. Twoja poprzedniczka z brzuchem oskubała go doszczętnie. O, ja wiem wszystko, wszystko, dokładnie, bardzo dokładnie! Przede mną nic się nie ukryje. Mam swoje sposoby, swój wywiad, swoich detektywów. Całe zeszyty zapisane. Godzina po godzinie, gdzie był, z kim, co robił. Dobrze ci radzę, zostaw mego męża w spokoju! Na ciebie też napuszczę swoich ludzi. Nie zostaniesz panią Wierzbicką, nie wyobrażaj sobie, chociaż się pieprzysz z moim mężem gdzie popadnie, na stole w jego gabinecie... – wrzask przeszedł w nieartykułowany, niezrozumiały bełkot.

Nie mogła tego słuchać, przerwała połączenie, modląc się w duchu, aby Wierzbicka już więcej nie dzwoniła. Nie sposób wysłuchiwać jej chorych majaczeń. *Biedna, psychicznie chora kobieta. Dlaczego on jej nie leczy? Boże, a może ona potrzebuje właśnie pomocy?*

Odszukała w książce telefonicznej domowy numer Wierzbickiego. *Jeśli nie odbierze, Boże, co wówczas? Co robić? Pogotowie? Nie mam prawa wzywać pogotowia.*

Ale odebrała.

– To ty, kochanie? – głos Wierzbickiej brzmiał normalnie, z nutką radości, jakby przed chwilą nie bełkotał tych wszystkich paranoicznych bzdur.

– Przepraszam, omyłka – powiedziała Marta.

Nadal się trzęsła. *Chyba zrezygnuję z pracy. Mam dość swoich własnych psychoz, obsesji, nie muszę znosić cudzych.* Musiała źle wyglądać, ponieważ Wierzbicki natychmiast zauważył, jak jest bardzo blada i przestraszona.

– Żona? – zapytał.

– Powinien pan do niej zadzwonić, panie prezesie. Ona... Ona jest chyba chora.

Spochmurniał.

– Na jej chorobę nie ma lekarstwa, Marto. Nazywa się patologiczna zazdrość.

– Kocha pana.

– Pomiedzy nami brak uczucia. Może gdybyśmy mieli dzieci...

– Nie ma pan dzieci? – zdziwiła się.

– Żona nie chciała. Była kiedyś modelką. Bała się o swoją figurę. Marzyła o karierze filmowej. Nawet zagrała małą rolę i na tym jej kariera się skończyła. No, a potem... – machnął ręką – potem ja nie chciałem. Z nią nie chciałem – podkreślił.

Dziwna rodzina. Najpierw ona wyrzeka się dzieci, potem on. Nic ich nie łączy, poza sakramentem. Nie zdradza żony, lecz nie znosi jej do tego stopnia, że nie chce mieć z nią dziecka. Ale z pewnością z nią sypia. Facet w jego wieku potrzebuje seksu. To wszystko jest jakieś chore.

– Wiele pan stracił. Dziecko nadaje sens istnieniu, uczy bezinteresownej miłości.

– Skąd pani o tym wie, Marto? Jest pani taka młoda. Dziecko potrzebuje rodziny. Pełnej rodziny. Ojca i matki. My stanowimy rodzinę fikcyjną. Nie, pani Marto, moja żona mnie nie kocha. Ja również jej nie Kocham.

– To dlaczego, na litość boską – wyrwało się Marcie – żyjecie w kłamstwie, zadreńczając się wzajemnie? Nie lepiej się rozwieść?

– W pani wieku wszystko wydaje się proste, lecz w życiu nie ma spraw prostych, Marto.

– Więc nie zadzwoni pan prezes do żony?

– To nie pani sprawa – burknął.

– Przepraszam. Ale nie do końca ma pan rację. W jakimś sensie jest już i moja. Bo ja tu pracuję. Bo pan mi każe okłamywać żonę. Bo ona do mnie dzwoni ze swoimi paranoicznymi podejrzeniami, wymyśla, krzyczy, posądza, obraża, opowiada także o panu. Nie wiem, do jakich zwierzeń lub obelg posunie się w następnej telefonicznej rozmowie. I wcale nie chcę wiedzieć. Najlepiej będzie, jeśli pan poszuka dla siebie innej sekretarki. Koniecznie niemłodej, brzydkiej, kulawej albo garbatej.

– Tego mi pani nie zrobi, Marto. Nie porzuci pani pracy.

– Nie podpisałam z panem cyrografu! Jestem, w przeciwieństwie do pana, wolnym człowiekiem. Mogę odejść za wypowiedzeniem.

– Nie chcę innej sekretarki – wybuchnął. – I niech pani nie pyta o powody.

– Jeśli mi pan teraz powie, że się we mnie zakochał, wyśmieję pana, nie zważając na pański prezesowski autorytet.

– Tego akurat nie powiem. Mógłbym być pani ojcem, Marto. Ale proszę, bardzo proszę, nie podejmować pochopnych decyzji.

Nagle stracił swój wygląd odmładzającego się po gabinetach odnowy biologicznej playboya. Postarzał się w jednej chwili. Pogłębiły się bruzdy przy

jego ładnych, bardziej kobiecych niż męskich, wargach. Patrzył zmęczonymi oczami kogoś, kto nie oczekuje radości, gdyż ją stracił dawno temu, bezpowrotnie, na zawsze, nieodwołalnie. *Dlatego udaje przed światem mocnego faceta i może nim jest dla swoich podwładnych, ale naprawdę ma przegrane życie, dołującą świadomość, że w domu nieodmiennie czeka na niego z chorymi pretensjami żona. Musi wracać do niej każdego dnia i kłamać przed nią, że tak, tak, kocha teraz i do końca życia, bo jedyną prawdą, jaką o nim Wierzbicka wykrzyczała, to ta, że jest on tchórzem. Jakże inaczej potrafiłby wytrzymać przez tyle lat z kobietą, do której nie czuje nic poza niechęcią; jeżeli jest to jeszcze niechęć, a nie na przykład nienawiść? Fikcyjna rodzina, latami, dzień po dniu, noc po nocy, godzina po godzinie. Fałszywe uśmiechy, fałszywe gesty lub awantury, pretensje, ty to, a ty tamto, ja ciebie, a ty mnie. Oboje za starzy na rozpoczynanie życia od nowa, skazani na siebie, biedna ona, biedny on.*

– Zadzwońię do żony, skoro pani tego żąda.

– Nie mam prawa stawiać panu żądań, panie prezesie. Po prostu myślę, że i ona, nie tylko pan, jest nieszczęśliwa. Może nawet bardziej niż pan. Pan nie ma urojeń, nie cierpi na psychozę.

Spojrzał na nią ze złością.

– Wyjątkowo litościwa z pani osoba. Znawczyni psychologii. Mażeńskich konfliktów. Duszy kobiecej.

– Mówię, co myślę. Jeśli się to panu nie podoba, trudno. Najwyżej wyrzuci mnie pan z pracy.

– Niech mnie pani połączy z żoną i przestanie szantażować odejściem!

Do czego mu jestem potrzebna? I dlaczego mam go nie pytać o powody, dla jakich aż tak mu jestem potrzebna? Sam powiedział, że mógłby być moim ojcem, a zresztą ani mi już nie prawi tych swoich kretyńskich komplementów, ani się nie

przystawia; niczego mu nie potrafię zarzucić. Gdyby nie dzisiejszy telefon od jego żony, do głowy nie przyszłoby mi grozić porzuceniem pracy. Dobrej pracy. Która może mi przynieść wolność. Jednak nie zniosę, aby mi ktokolwiek wymyślał od dziwek. Ty dziwko, powiedział Paweł, znajdę ze dwudziestu kumpli, którzy przed sądem zaświadczą, że się z nimi puszczałaś. Na takie łatwe dziewczyny jak ty, powiedziała matka Pawła, istnieje określenie, z którego nie skorzystam, ponieważ nie używam wulgarnego słownictwa. Cierp teraz, powiedziała moja matka, obciskając mój brzuch bandażem, nie trzeba było się puszczać. Puściłaś się z pierwszym lepszym, więc teraz nie muszę cię oszczędzać, powiedział ojczym. Teraz od dziwek wymyśla mi małżonka szanownego prezesa. Więc wniosek prosty: albo mam spokój w pracy, albo z niej rezygnuję.

Wierzbicka musiała mu dać popalić, ponieważ wyszedł z gabinetu jakby jeszcze bardziej podstarzały, zmęczony.

– Nie będziemy dziś robić bilansu. Odwiozę panią do domu. Boże, błagam, niech pani tylko się nie wzbrania. Odwiozę. Razem z tym wielkim pudłem pachnącym sernikiem.

– Ależ, panie prezesie, ja dam sobie radę. Nawet z tym pudłem.

– Sądziłem, że dzisiejsze popołudnie spędzę z panią w pracy. Muszę pojechać do domu, gdzie nie czeka mnie nic przyjemnego. Tylko panią odwiozę, nic więcej. Nie proszę o wiele, Marto.

– Dobrze, skoro to dla pana takie ważne. Tylko nie rozumiem, dlaczego?

– Może kiedyś to pani zrozumie. Proszę dać mi pudło, poniosę.

Pierwszy raz w życiu jechała takim samochodem. Nie znała się zupełnie na markach, nie śmiała o nią zapytać, ale była pewna, że to drogi wóz.

Zatrzymał się na dużym parkingu przed jej wieżowcem. Westchnął.

– Pokaże mi pani swoje okna?

– A po co to panu prezesowi?

– Taki kaprys udęrczonego szefa. Kaprysy szefa dobra sekretarka powinna spełniać – zażartował, ale bez uśmiechu, jakby na ten uśmiech nie znalazł w sobie siły. – Proszę.

– Trzecie piętro. To okno po prawej stronie od tego dużego balkonu.

– Musi być mały ten pani pokój.

– Nazywam go dziuplą – powiedziała.

Od której muszę się uwolnić. Tam umarł mój syn.

Wysiadł, otworzył przed nią drzwi wozu.

– Dziękuję – powiedział. – I przepraszam.

Ale stał obok nadal, patrzył na nią pochmurnym, udęrczonym spojrzeniem.

– Powinien pan już jechać, panie prezesie. Jutro będzie lepszy dzień. Zaparzę panu mocną kawę i dostanie pan do niej kawałek sernika. Nawet z moją rodziną nie uda mi się go pochłonąć – zażartowała.

– Dziękuję – powtórzył.

– Nie ma za co. Do widzenia.

Nie odpowiedział. Wsiadł do wozu. Zapalił silnik. Ruszył powoli. Wraz z cichym pomrukiem silnika usłyszała: nie zostawiaj mnie, Marto.

Niemożliwe. Tego nie mógł powiedzieć. Pewno powiedział: do jutra, Marto. Albo do zobaczenia, Marto. Czy: miłego wieczoru, Marto. Coś takiego.

Nie zostawiaj mnie, Marto.

Nie, to niemożliwe. Bzdura.

– Wcześniej dziś wróciłaś – powiedziała matka. Była zdenerwowana. Chyba płakała. – Pomożesz Daguni w matematyce, ma jutro sprawdzian. Dasz siostrze kolację. Ja zaraz biegnę na prywatną lekcję, a potem na radę pedagogiczną.

– A gdzie ojczym?

– Pojechał do Warszawy na jakąś nagłą naradę dyrektorów. Przynajmniej tak mi powiedział.

– Płakałaś, mamó, z tego powodu?

– Nie płakałam w ogóle, idiotko. Mam zapalenie spojówek. Zawsze na początku czerwca mam zapalenie spojówek!

Kłamiesz, mamó, nigdy nie chorowałaś na zapalenie spojówek.

Nadszedł wieczór, godzina dziesiąta, matka nie wracała.

Odbiło jej całkowicie. Na pewno sterczy na peronie Fabrycznego i wypatruje w tłumie wysiadających z każdego, co godzina przyjeżdżającego z Warszawy pociągu, swego Piotrusia. Twoja matka od dawna nie pociąga mnie fizycznie, przypomniła sobie jego słowa. Tylko ciebie kocham, moja maleńka dziewczynko, moja córeczko. Drań.

Sprawdziła w informacji: ostatni pociąg był o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści. Jeżeli nie pojawi się w domu za dziesięć minut, wsiądzie w taksówkę, pojedzie na dworzec i zgarnie stamtąd matkę choćby siłą.

Wyszła na balkon. Latarnie rzucały cienie, w których nieliczni już przechodnie przemykali się niczym duchy.

W długim szeregu zaparkowanych aut wydało się Marcie, że dostrzegła wóz Wierzbickiego. Skarciła się w myślach. *Mnie również odbija. Co on by tu robił? Marta, nie zostawiaj mnie. Nie, to niemożliwe. Mało jest aut w kolorze metalik? Jeżdżą ich setki po mieście. Niektórzy mieszkańcy okolicznych wieżowców są bogaci, mają bogatych znajomych, parkują tu identyczne wozy...*

Szczęk klucza w drzwiach: matka z twarzą w kolorze popiołu.

– Nie śpisz jeszcze, Martusia? – lecz spojrzenie matki krzychało: Nie wrócił! Nie wrócił! *Biedna. Ile rozczarowań musiała przeżyć, stercząc na*

peronie. Co pociąg to nowa nadzieja, a potem już tylko opustoszały z ludzi długi peron.

– Wybacz, rada się przeciągnęła. I tę „idiotkę” wybacz. Bardzo boli mnie głowa. Dagunia nauczyła się matematyki?

– Tak mamó. W domu wszystko w porządku. A ojczym dzwonił – skłamała szybko, widząc wciąż ten krzyk w oczach matki. – Narada trwała długo, nie zdążył na ostatni pociąg. Zanocuje w hotelu. Pytał się, jak się czujesz. Kazał cię ucałować.

– O Boże, Martusia, a ja sądziłam, że on... że on ma kogoś – i matka rozplakała się. *Powinnam cię teraz objąć, mamó, pocieszyć równie kłamliwie, jak ty pocieszałaś mnie siódmego stycznia, lecz nie potrafię aż tak kłamać.*

– Jestem zmęczona. Pójdę się położyć.

– Zostań. Porozmawiaj ze mną, proszę – głos matki jest cichy jak westchnienie.

Udała, że nie słyszy.

– Dobranoc mamó.

Głowa matki opadła na stół. Chudymi plecami wstrząsał tłumiony szloch. *Przykro mi, mamó. Zostawiałaś mnie samą z moim bólem zbyt wiele razy, abym potrafiła współczuć twojemu.*

Ludzie na przystanku kłęli. Komunikacja coraz droższa, kierownikowi w pracy nie wytłumaczysz się opóźnieniem tramwaju czy autobusu, rozprawiał na głos jakiś mężczyzna w marynarce z powypychanymi kieszeniami, albo cię tylko opieprzy, albo i opieprzy, i poleci po premii. Mam rację, no nie? A potem żona ci do oczu: przechlałeś, pijaku. Czy ja wyglądam na pijaka? Mnie nawet na piwko nie stać, czworo dzieci. Chodź pan, powiedział do niego inny, złożymy się na taryfę. Kto jeszcze z państwa jedzie w kierunku Piłsudskiego? Im nas więcej,

tym taniej wypadnie na każdego. Na pewno jakaś awaria. Stoję tu już ponad pół godziny i nic nie jechało: ani dwójka, ani siódemka, ani czternastka.

–Ja – zgłosiła się Marta. Pod powiekami jakby kłujący piasek: położyła się o brzasku.

Matka przysłała do jej dziupli, przycupnęła na brzegu kozetki, skulona, zatargała kołdrą, mówiąc: Marta, nie odpychaj mnie. Oszaleję, jeżeli nie porozmawiamy. Marta, nie udawaj, że śpisz. Pomóż. Nie mogę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku. Nie jest. Od dawna. Nawet dokładnie wiem, kiedy się ode mnie odsunął. Od twojej wpadki z Pawłem. Jakby go poraziło, kiedy dowiedział się, że jesteś w ciąży. Plótł jakieś bzdury, naubliżał Pawłowi, rwał się do bitki. Mnie obwinał, że zadałaś się z Pawłem, ponieważ nie dbałam o ciebie. Nie upilnowałam twojej czystości, zarzucał. Wiem, Marta, że nie miałaś wtedy głowy, zajęta swoim nieszczęściem, aby śledzić to, co dzieje się w domu. Zachowywał się tak, jakby mnie nie cierpiał. Nie chciał rozmawiać. Wracał coraz później i coraz częściej pijany, a przecież, sama wiesz, ojciec był dotąd niemal abstynentem. Powiedział mi, powiedział, że kocha się ze mną z litości. Marta! Jakaś ty głupia! Co z tego, że dzwonił z hotelu? To jest dowód! Dowód, że w tym hotelu jest z kobietą. Ty go nie znasz, Marta, on potrzebuje kobiety. Przynajmniej dwa razy w tygodniu, więc jak się bez niej obywa, skoro ze mną nie spał od miesiąca? Mamo, nie krzycz tak, prosiła ją. Obudzisz dziewczynki. Mamo, uspokój się. Czasem tak bywa w małżeństwie, a potem wszystko wraca do normy. Faceci w wieku ojczyma często szukają potwierdzenia swojej męskości u innych kobiet, ale to jeszcze nie tragedia, mamo. I po co to powiedziała? Matka zajęczała: Ty znasz prawdę, Marta. Powiedz, kim ona jest? Dużo młodsza ode mnie? *O tak, mamo, znacznie młodsza od ciebie. Najpierw była małą dziewczynką ze śmiesznymi warkoczykami. Później nastolatką.*

Następnie młodą dziewczyną, która mu wsadziła palec w oko. Dlaczego milczysz, Marta? Mamo, ja nic nie wiem, o żadnej młodej czy starszej kobiecie. Niepotrzebnie się zadreczasz. A skoro uważasz, że on do ciebie ma pretensje z mego powodu, to ja, mamó, się wyprowadzę. Niedługo. Za miesiąc dostanę podwyżkę. Zniknę z waszego życia, mamó. I po co to powiedziała. Aż tak mnie nienawidzisz? Zostawisz mnie samą? Z dziewczynkami? Bo Piotruś, czuję to, odejdzie do tej drugiej. Marta, uwierz mi, nie zdawałam sobie sprawy, że wyrządę krzywdę twemu dziecku.

Ty mu nie zrobiłaś krzywdy, ty je zabiłaś, mamó. Oczywiście, wierzę, że nienaumyślnie, bo nie przewidziałaś skutków swego czynu. Tylko tym cię rozgrzeszam. Miałaś doświadczenie w ściskaniu brzucha. Sprawdziłaś to na sobie i na mnie. Ja przeżyłam. Mój syn nie. Patrzysz na mnie, mamó, i chyba jestem, tak coraz częściej mi się zdaje, twoim żywym wyrzutem sumienia? Do tej pory uparcie podtrzymujesz swoje kłamstwo, że mój biologiczny ojciec kochał i ciebie, i mnie, że umarł, moja ty biedna, zaplątana we własne oszustwa, mamó. Kochająca tylko jednego człowieka, swego Piotra, tak mocno, że gdyby kiwnął palcem, poszłabyś za nim, nie oglądając się ani za mną, ani za bliźniaczkami. Matka oderwała ją od tych rozmyślań: Marta, żartowałaś, prawda? Z tą wyprowadzką? Marta? Odpowiedz! Nie zostawiaj mnie, Marta.

To zdanie jakby znajome. Jakby je dziś słyszała, wypowiedziane z udreką, błagalna prośba: nie zostawiaj mnie, Marta. Twarz matki postarzała, udręczona, jej rozpalone dłonie czepiające się kurczowo moich dłoni, prośba w zapuchniętych od płaczu oczach. Czy tam, na peronie, wypatrując swego Piotrusia, również płakała? A może, tak jak ja kiedyś, kiedy chodziłam na Fabryczny, przyglądała się nadjeżdżającym pociągom i gdyby nie nadzieja, że w tym akurat pojawi się jej Piotr, Piotruś, rzuciłaby się pod koła? Co ja o niej

wiem, o tej mojej matce? Że mnie biła. Wrzeszczała. Była złą matką. Dla mnie. Czasem jednak i bliźniaczkom się dostawało. Czy moja wiedza o niej jest wystarczająca, aby ostatecznie odtrącić? Nie rozumiem, mamo, twojej miłości do ojczyma. Ale czy mam prawo ją potępiać? Jestem okaleczona, nie wiem, co to jest miłość kobiety do mężczyzny. Można oszaleć z miłości? Zabić się? Gdzie jest jej granica? Czy w ogóle taka istnieje? Powiedziała na głos: Mamo. Nie zostawię cię. Nie bój się. Bliźniaczki się obudziły. Mają takie wystraszone buźki. Przytul je mocno. One tego potrzebują. A ty?' – zapytała matka. Ja jednak też, pomyślała. I ja, mamo, powiedziała.

– Już Piłsudskiego. Tu panią wysadzić?

Nie zauważyła, kiedy tamci z przystanku wysiedli.

– Jeszcze kawałek. Widzi pan biurowiec podobny do komina? Tam pracuję. Bardzo jestem spóźniona. Dwadzieścia złotych starczy?

– Szef daruje takiej ładnej dziewczynie – zażartował kierowca.

Wierzbicki czekał w sekretariacie. Oczy zasłonięte ciemnymi okularami. Znacząco pokazał na wiszący zegar.

– Od pół godziny powinienem mieć na swoim biurku posegregowaną korespondencję. Pani zaniedbuje się w obowiązkach. Następnym razem wyciągnę służbowe konsekwencje.

Zdumiała się. Tą urzędową oschłością w głosie. I tym brakiem uśmiechu, którym ją codziennie witał. Nigdy go też dotąd nie widziała w przyciemnionych okularach. W żadnych go nie widziała.

– Mogłaby pani przynajmniej powiedzieć przepraszam! Próbować usprawiedliwić tak karygodne spóźnienie!

Krzyczy na mnie. Jest wściekły. Jeszcze wczoraj patrzył oczami zbitego psa, i całkiem nie jak na szefa przystało, zwierzał się ze swoich intymnych spraw. Co go doprowadziło do takiej wściekłości?

– Pani przewróciło się w głowie, pani się pewno wydaje, że jej wszystko wolno, ponieważ okazywałem sympatię, pobłażliwie odnosiłem się do pomyłek, nawet obdarowałem panią premią – kontynuował Wierzbicki.

– Mogę ją panu prezesowi zwrócić. Sądziłam, że przyznał mi ją pan prezes za moje starania w pracy, a nie z powodu osobistej sympatii – odcięła się.

Chyba wiem, skąd twoja złość. Żonka dała ci wycisk. Jesteś teraz żaloszny, szanowny panie prezesie, odgrywając się na mnie.

– Zaraz mnie pani zacznie szantażować wymówieniem! Lecz ja go nie przyjmę! Za dziesięć minut w moim gabinecie, z korespondencją i kawą! I jeszcze jedno: moja żona nie będzie więcej pani niepokoiła.

Więc miałam rację. Pokłócił się z żoną. To musiała być niezła przeprawa. No cóż: twoja żona, twoje zmartwienie.

– Dziękuję. Bardzo pan prezes łaskawy. Wreszcie nikt nie będzie przeszkadzał mi w pracy.

– Do której się pani nie przyklada!

– Panie prezesie, jest pan niekonsekwentny. Mówi pan, że odrzuci moje wymówienie, a równocześnie stawia zarzuty, że źle wykonuję swoje obowiązki.

Na sekundę, w geście zdenerwowania, zdjął okulary, potem je czym prędzej założył. Ta sekunda wystarczyła. *Prawe oko niczym śliwka węgierka. Pobiła go. Albo oboje się bili. On ją, ona jego. Co za wspaniałe małżeństwo. Ohyda.*

– Niczego pani nie rozumie...

– I nie chcę! Mam się znać wyłącznie na swoich obowiązkach. Proszę wrócić do gabinetu. Postaram się jak najszybciej odrobić zaległości wynikłe z mojego spóźnienia. Kawa ma być rozpuszczalna ze śmietanką czy sypana?

– W ogóle obejdę się bez pani kawy!

Jak dzieciak. Obraziłem się, zabieram swoje zabawki z piaskownicy i odchodzę.

– Zgodnie z życzeniem – odpowiedziała.

Fatalny początek dnia, chociaż nie trzynasty i nie piątek. Lecz może tak będzie lepiej: oficjalny, suchy Wierzbicki. Lepszy od tego, który co prawda nie rozbierał jej wzrokiem, ale patrzył na nią „jak na piękny obraz”, zaś wczoraj zachował się, jakby zaraz zamierzał wyznać jej swoje uczucie. Tak, zdecydowanie tak woli. Oby tylko utrzymał styl zasadniczego szefa, bez osobistych aluzji, półsłówek, półwestchnień, żaden z niego Romeo, a ona nie jest Julia. Sama myśl o fizycznym zbliżeniu z mężczyzną wywoływała fale mdłości, nawet kochając się z Pawłem, myślała: to wstrętne, to wstrętne. I zamiast Pawła widziała twarz ojczyma.

Czy kiedykolwiek potrafi być normalną kobietą, zrozumieć, na przykład, własną matkę, która po nocy spędzonej z ojczymem jaśniała jakby doświadczyła czegoś wyjątkowego, wspaniałego, niepowtarzalnego? A teraz, kiedy ojczym ją zaniedbuje, szaleje z rozpacz, chudnie, starzeje się i czeka. Czeka, nawet po tym, jak pijany w sztok, gdy musiał z okaleczonym przez Martę okiem uciekać z dziupli, wziął ją w korytarzu. Matka tylko jęczała: och, nie przestawaj, och, jeszcze, jeszcze, Piotrusiu.

Albo Jankę, która opowiada, jak bardzo stęskniła się za ciałem swego męża. Już od tak dawna, ze względu na ciążę, nie kochali się. Mogą się jedynie do siebie poprzytulać, a ja wtedy, mówiła Janka, pragnę go aż do bólu.

Co to znaczy pragnąć mężczyzny? Ja się ich brzydzę. Ich potu, sapania, dotyku, pieszczot, rozsuwania ud, wbijania członka w pochwę, wyciekającej, lepkiej spermy. Dokąd?, pytał Paweł, gdy wysuwała się spod niego pośpiesznie, żeby zmyć pod prysznicem nawet jego dotyk.

Zaniosiła Wierzbickiemu korespondencję. Twarz miał zasłoniętą gazetą. Okulary leżały obok stosów porozkładanych papierów.

– Dziś dla nikogo mnie nie ma. Dla nikogo. Jasne?

– Jasne.

Jak słońce. Z taką śliwą na oku nie może kompromitować się przed interesantami. Ani prowadzić z nimi rozmowy w okularach przeciwsłonecznych. Lecz jeden dzień na pozbycie się śliwy to stanowczo za krótko, szefie. Znam się na śliwach. Czasami matka zostawiała mi taką na policzku. Najpierw jest fioletowa, potem fioletowożółta; wreszcie zielenieje, sinieje i znika dopiero po tygodniu. Czeka pana, panie prezesie, przykry okres. Założę się, że na kilka dni wyjedzie pan gdzieś „służbowo” i że jeszcze dziś wyjdzie pan z firmy znacznie wcześniej pod pozorem silnego bólu głowy.

– Przyjmuję wyłącznie telefony. Jasne?

– Jasne. Tylko telefony.

– Pani również, nim wejdzie z jakimś dokumentem do podpisu, ma wcześniej uprzedzić.

– Oczywiście, panie prezesie.

– Proszę porobić wydruki z tych dokumentów – podsunął w jej kierunku kilka papierów, nie odsłaniając twarzy. – W trzech egzemplarzach. Poza tym ma pani nieporządek na biurku. Nie toleruję nieporządku. Czy to jasne?

Ale się czepia. Szuka pretekstu do awantury.

– Jasne.

- To dobrze. A gdzie moja kawa?
- Pan prezes powiedział, że nie chce kawy.
- Ale teraz chcę. Jasne?
- Jasne.

Nie wyprowadzisz mnie z równowagi. Zależy mi na tej pracy u ciebie. I na podwyżce. Ojczym na pewno ma nową babę, bo na mnie już liczyć nie może. Na swoją śliczną córeczkę, która go zdradziła. Czubek, zboczeniec. Jeśli zostawi matkę z bliźniaczkami, matka finansowo nie wyrobi. I tak pracuje ponad siły.

- Ma być rozpuszczalna. Z mlekiem.
- Z mlekiem? Dotąd pił pan prezes ze śmietanką.
- A od dziś piję z mlekiem. Jasne?
- Jasne. Szkopuł w tym, że mleka nie prowadzę. Prowadzę sekretariat, nie sklep spożywczy. Tak mam przynajmniej napisane w umowie o pracę – nie wytrzymała.
- Proszę z szacunkiem! – krzyknął.
- Ja również proszę z szacunkiem. Nie zasługuję na pokrzykiwania – chciała dodać, że niech sobie pokrzykuje na żonę, ale ugryzła się w język i tak był na krawędzi wybuchu. Powie o jedno słowo za dużo, a on naprawdę będzie musiał ją zwolnić.

Przeżyję jakoś z tobą te kilka godzin. Wezmę na wstrzymanie. No, proszę, wyżywaj się na mnie, szanowny panie prezesie. Nie pisnę więcej ani słówka. Będę pokorną służbistką. Mogę nawet skoczyć do sklepu po mleczko do kawy dla szanownego pana.

- Jeżeli pan prezes sobie życzy mleka, pójde i kupię.
 - Niczego nie życzę, poza świętym spokojem. Bardzo boli mnie głowa.
- Aha, zgadza się: wiedziałam, że tak powie.*

– Mam ibuprom. Przyniosę panu.

– Nie potrzebuję ibupromu. Niech wreszcie pani zabiera te dokumenty i wraca do siebie – machnął dłonią zza gazety w jej kierunku, jakby odganiał uprzykrzoną muchę.

– A co z kawą? Mam iść po mleko?

– Obejdę się bez mleka. Byle szybko i byle mocna. Z podwójnej porcji. Nawet potrójnej. Z takim bólem głowy trudno racjonalnie myśleć.

Zrobiła mu kawę, zaniosiła. Ciągle chował twarz za gazetą. Nawet nie powiedział, jak zwykle, dziękuję. Do dwunastej przyjął kilkanaście telefonów. Czterech interesantów musiała odprawić z kwitkiem, umówić ich na inny termin. Wyznaczył odległy. Nie wcześniej niż za tydzień, zastrzegął. *Aha, zna się na śliwach. Widocznie to nie pierwszy w jego życiu dowód szczególnej czułości żony. Ciekawe, w jakich miejscach ona nosi oznaki mężowskiej czułości? Siniaki na ramionach, plecach czy policzkach? Ohyda. Kiedyś zafascynowani sobą, patrzyli czule w oczy, ściskali się za ręce, a ich przyszłe wspólne życie wydawało się im spełnionym cudem i takim cudem było, ale jak długo? Rok? Dwa lata? Pięć? Powiedział: była modelką, nie chciała mieć dzieci. Jak można nie chcieć dziecka? Powiedział: bała się stracić figurę. Marzyła się jej kariera filmowa. Zagrała jakąś jedną, podrzędną rolę i po karierze. Potem on nie chciał mieć z nią dzieci. Dlaczego? A może to ona, dążąc do tej swojej kariery, przyprawiała mu rogi z każdym, kto by mógł jej tę karierę zapewnić? Kiedy mówi o swojej żonie, mruży oczy, jego ładne usta wykrzywia lekki grymas pogardy. Pogardy czy wstrętu? Ale jej nie zdradza. Bo ma zasady. Zasady masochisty. Lubi domowe piekielko. Matko święta, a co to mnie wszystko obchodzi? Obchodzi mnie moja podwyżka za miesiąc. Obchodzi moja na wpół oszalała matka. Obchodzą moje biedne, wystraszone siostry. Obchodzi Janka, która od rana czeka na mój*

powitalny telefon. Nawet ten pieprzony zboczeniec, mój ojczym, również obchodzi, ponieważ boję się i o matkę, i o siostry, jak one zniosą jego odejście. Na swoją śliczną córeczkę nie może już liczyć. Do matki nie czuje pociągu, znudziła się mu. Jak nic, znajdzie sobie nową. Choćby po to, aby w swoim mniemaniu ukarać matkę i ukarać mnie.

– Pani Marto. Z takim bólem głowy nie umiem pracować. Idę do domu.

Wierzbicki w przyciemnionych okularach położył przed nią plik dokumentów.

– Skseruje je pani. Zamknie w szafie pancерnej. Są poufne. Jutro ksero dostarczy pani naczelnemu, uprzedzę go telefonicznie; oryginały schowa ponownie w szafie. Zrozumiała pani?

– To znaczy, że jutro pana prezesa nie będzie w firmie?

– Zapomniałem uprzedzić: wyjeżdżam na trzy dni.

– Życzę miłej podróży panie prezesie.

Trzy dni na taką węgierkę to za krótko, szefie. I powinien pan leżeć, cały czas z okładem z lodu.

– Co panią tak bawi? I niech pani się lepiej pilnuje. Będę często dzwonił. Skontroluję każdą czynność. Tu jeszcze – podsunął zapisaną kartkę – zostawiam swoje szczegółowe dyspozycje do wykonania. Jeśli pani sądziła, że dzięki mojej nieobecności zrobi sobie mały urlop, to niniejszym wyprowadzam z błędu.

Bardzo oficjalny i niezwykle srogi. Prawdziwy wiceprezes potężnej firmy Textil ExportImport Spółka z o.o. Z dorodną śliwą, schowaną za przyciemnionymi szklami okularów. No proszę, ani do widzenia, a za to jakie silne trzaśnięcie drzwiami.

Zadzwoiła do Janki.

– Hej, Marta, nareszcie – powiedziała Janka. – Zaczynałam się martwić o ciebie. Mam radosną nowinę: szarlotki dziś nie będzie. Andrzej musiał wziąć zastępstwo. Zostawił mnie samą z kopiającymi bliźniakami. Mój brzuch wygląda jak góra podczas trzęsienia ziemi. Wiem, że pytam głupio, ale może jednak wpadniesz po pracy? Milczysz. Boże, Marta, nie wolno ci tak chować się przed ludźmi. To jest chore. Czy ty w ogóle z kimś, poza mną, rozmawiasz?

– Wiesz dobrze, że z nikim. Właściwie, Janka, nigdy, nawet w szkole, nie miałam ani koleżanek, ani przyjaciółek. *Nie mogłam mieć. Byłam inna. Byłam okaleczona. Strachem przed ewentualnym biciem matki, strachem, czy dobrze ugotowałam zupę na obiad, kiedy nie było gosposi. Czy powiedzieć mamie, że Dagusia zwymiotowała kaszkę, a Patrysia zrobiła brzydką kupkę? Czy zdążę odwieźć siostry do przedszkola i nie spóźnię się na lekcje? Czy zdołam się z nimi wepchać do tramwaju, czy z tego tramwaju je zdołam wyszarpać razem z ich przedszkolnymi torbami i swoją torbą szkolną? Strach. Znowu nie umiesz, nie nauczyłaś się, strach przed krzykiem nauczycieli, strach przed każdą wywiadówką, przed „kozią nogą”, która zostawiała na moich plecach sine pręgi. Ale najgorszy strach przed tym „moja maleńka, śliczna dziewczynka” ojczyma, przed jego ustami na mojej szyi i tym czymś, czym mnie kłuł w pośladek, kiedy brał na kolana, a potem strach przed każdą nocą, że wślizgnie się do mnie, pod kołdrę, będzie dotykał moich małych, dopiero rosnących piersi, piersi jak dwa guzki. Przecież wiesz, Marta, jak to z nimi jest, gdy ci te dwa guzki rosną, one bolą. Ja je delikatnie, maleńka moja, śliczna córeczko, troszeczkę popieszczę. A teraz dotknij go, nie bój się. Czujesz, jaki on duży, gruby, obejmij paluszkami. Teraz ty go pieść, cicho, cicho, nie zrobię krzywdy swojej dziewczynce, tylko się trochę na niej położę. I wtykał mi swego siusiaka, bo już wiedziałam, że to siusiak, tylko nie wiedziałam, dlaczego taki duży, twardy i gruby. Wtykał mi*

swego siusiaka w brzuch i to bolało, Janka. A potem, gdy zostawiał mnie wreszcie z mokrym brzuchem, myślałam, że on się na mnie wysusiał. Więc tylko strach, zawsze strach, zewsząd strach, strach w domu i poza nim. Strach o poranku, strach o zachodzie słońca, strach, kiedy na niebie gwiazdy. Kroki: strach, skrzypnięcie drzwi: strach. Koleżanki wołały na mnie głupia nie tylko dlatego, że zapominałam z tego strachu wszystkiego, czego się nauczyłam, ale również dlatego, że chowałam się podczas przerw po kątach. Ze strachu, że czuć mnie siuskami ojczyma, mimo iż codziennie rano myłam się cała, po cichutku puszczałam wodę w łazience, żeby nikogo ze śpiących jeszcze w domu nie obudzić. Głupia!, głupia!, bo nie chciałam stanąć podczas szkolnych uroczystości obok żadnego kolegi, bo w ich spodniach czyhały na mnie duże i twarde siusiaki. Więc jakże mogłabym mieć koleżanki, przyjaciółki. U żadnej nigdy nie byłam w domu, głupia!, głupia!, kto zaprosi do siebie głupią? No powiedz, kto? Janka, co z tobą? Płaczesz? Dlaczego płaczesz? Potrzebujesz pomocy? – przestraszyła się, ponieważ w słuchawce wyraźny płacz Janki, jakby zaczęła rodzić i nie potrafiła zapanować nad bólem.

– To ty potrzebujesz pomocy. Kochana moja, przepraszam.

– Boże, za co przepraszasz?

– Już nigdy cię o nic nie zapytam. Wybacz mi.

– Janka? Czy ja... – *nie, to niemożliwe, to były myśli, tak często przecież zdarza się jej zamyślić, odejść na moment od rzeczywistości, powrócić do tego, czego nie da się zapomnieć.*

– Jesteś tam sama? Nikt cię nie słyszał?

Niepokój Marty spotęgował się. *Nie, to niemożliwe, czasem zdarza się wyrażać na głos swoje myśli, ale nigdy o tamtych sprawach.*

– Sama. Szef chyba dostał po gębie od swojej ślubnej, śliwę na oku zasłaniał okularami. Wyszedł pod pozorem bólu głowy i zostawił mnie na gospodarstwie na całe trzy dni. Janka? Co ja takiego powiedziałam, że płakałaś i plotłaś, że potrzebuję pomocy? Odpowiedz? Zamurowało cię?

Długa chwila milczenia. Zbyt długa.

– Janka?

– W porządku. Dobrze, że jesteś sama. Z tą pomocą to się przesłyszałaś. A rozplakałam się od tego ich kopania. Walnęły mnie chyba w wątrobę. Nie cierpię bólu, na szczęście poród mam obiecany przez cesarskie cięcie, więc jakoś wytrzymam – mówiła szybko, za szybko.

Dlaczego pytała, czy jestem sama?

– Janka? Co chcesz *przez* to powiedzieć, że dobrze, iż jestem tu sama?

– O Boże! Nic takiego! Po prostu, kiedy mówisz o szefie, lepiej żeby cię nikt nie słyszał. Więc masz trzy dni wolnego? Fajnie. Ale to o podbitym oku szefa chyba zmyśliłaś? Wiem, że ze swoją żoną żyją jak pies z kotem. Czemu trudno się dziwić, bo takiej wściekle zazdrosnej baby nigdy nie spotkałam. W dodatku Wierzbicka nie ma powodów, bo on z samego strachu przed nią nie potrafiłby skoczyć w bok. Jednak żeby mu aż dowaliła? Opowiedz mi wszystko po kolei, co i jak.

Opowiedziała, wywołując zdumienie Janki, wyrażane przesadnie głośnymi okrzykami.

– Odwiózł cię wczoraj do domu? Wprost nie do uwierzenia, mnie nigdy, ani razu nie odwiózł! Obiecał, że Wierzbicka nie będzie cię więcej niepokoiła? Marta! Ja też mu się skarżyłam, że wydzwania, obraża, ale on zawsze mi powtarzał, że bardzo mu przykro, lecz nic na to nie poradzi, ponieważ jeśli powie żonie, aby się ode mnie odczepiła, wywoła reakcję przeciwną, tym silniej zacznie

podejrzewać nas o romans. A w twojej obronie stanął! Coś niesamowitego. Marta! Wniosek nasuwa się jeden: szef zakochał się w tobie! Ale numer!

– Zaraz zakochał? Dziś był wściekły na mnie jak cholera. Rozstawiał po kątach. Czepiał się byle głupstwa.

– No i wszystko się zgadza – roześmiała się Janka. – Nic nie wiesz o zakochanych facetach, Marta.

– Daj spokój. Mógłby być moim ojcem. Sam mi tak zresztą powiedział.

– Obym się myliła. Ale wiesz co? Założę się, że dostaniesz dziś kwiaty.

– Niby od kogo?

– Od niego. Anonimowo. Bez miłego liściku. Biedny szef.

– Przestań. Nienawidzę facetów. Nienawidzę wszystkich. Młodych, starych, super przystojnych i tych zwyczajnych, w okularach czy bez okularów. Nigdy, bardzo cię proszę, nie mów o miłości. Nie chcę jej! – wybuchła.

– Marta. Nie zamierzałam ci dokuczyć. Przepraszam.

– To ja przepraszam. Są takie tematy, które na razie, taką mam nadzieję, że na razie, pozostają tabu. Do jutra, kochana. Mam interesanta.

Skłamała, straciła ochotę na rozmowę. *A jeśli coś mi się wymknęło? Czego w żadnym wypadku nikt nie ma prawa wiedzieć? Znaczyłoby to, że nie kontroluję siebie, że jestem na najlepszej drodze do Kochanówka? Bzdura. O proszę: nawet ręce mi nie drzę. I po co sama się nakręcasz, Marta?*

W sekretariacie było cicho. I pusto. Za cicho i za pusto. Zadzwoiła do domu. Bez sensu. Siostry jeszcze w szkole, matka w szkole, ojczym rano do domu nie wrócił, przysłał tylko rano matce esemesa, że zatrzymały go ważne sprawy w Warszawie i zjawi się po południu. Oczy matki zmatowiały. Pocieszała ją: mamó, gdyby mu na tobie nie zależało, nie odezwałby się. Ja to sprawdzę, odpowiedziała matka. W jaki sposób? Zadzwoię do kuratorium. Wolę znać

prawdę, niż się ludzić. I co poczniesz ze swoją prawdą, mamó, jeżeli okaże się ona bolesna? Nie wiem, odpowiedziała matka z bezradnością małego dziecka, któremu odbiera się siłą ukochaną zabawkę. Więc nie dzwoń. Niech zostanie, jak jest. Dzwoniąc, popełnisz błąd. Jaki błąd, Marta, jaki? Bo jeśli się mylisz, skrzywdzisz go niesłusznym podejrzeniem. Urazisz. Ojczym nie jest głupcem, mamó. Wie, że możesz sprawdzić. Nie kłamałby w taki naiwny sposób. Przeżywacie zwykły kryzys, mamó. Powinnaś się cieszyć, że dopiero teraz, po tylu latach małżeństwa. Chyba udało się matkę przekonać, bo powiedziała: Boże, Marta, masz dopiero dwadzieścia dwa lata i jesteś taka racjonalna.

Nie jestem racjonalna, mamó. Boisz się stracić motywację do życia, bo jest nią ten twój Piotr, Piotruś, twoje słońce na niebie. Któremu życzę wszystkiego najgorszego. Raka, niech umiera w męczarniach. Wypadku, niech straci obie nogi albo niech go sparaliżuje, albo niech zapadnie w śpiączkę. Lecz nie chcę, aby on wygrał, a wygra, jeżeli ty będziesz się przed nim poniżać. Nie dosyć, że ciebie i mnie krzywdzi od lat, to ma mieć jeszcze satysfakcję? Biedna mamó. Nigdy nie byliście szczęśliwym małżeństwem, to tylko twoje złudne mniemanie, że tak było. Nie wiem, dlaczego on się z tobą ożenił. Może po prostu potrzebował uległej, posłusznej kobiety, której wystarczą miłe słówka, nieco udawanej troskliwości, a potrafił ją udawać doskonale, oraz mocnego seksu dwa razy w tygodniu. Ty zaś pokochałaś go tak, że stałaś się ślepa i głucha, wołałaś uznać, że to ja wymyślam o nim obrzydliwe historie, niż oskarżyć jego, ponieważ wówczas musiałabyś go stracić. Czy dlatego, mamó, byłaś dla mnie taka niedobra; bo to przecież ja na każdym kroku okazywałam mu swoją nienawiść? W pewnym sensie byłam, jak mnie nazywałaś, mamó: potworem w ludzkiej skórze. Igła wbita w jego plecy. Nożyczki, którymi obciąłam mu koniuszek ucha. Gwoździe w jego fotelu. Tyle razy przecinane opony w maluchu.

Odepchnęłaś mnie przez niego. A teraz błagasz: nie zostawiaj mnie, Marta. Och, mamó! Powinnam cię zostawić. Odegrać się. Lecz nie potrafię i nie chcę. Sama nie rozumiem dlaczego, jednak zawsze, nawet wtedy, gdy byłaś mnie nieomal do krwi kozią nogą, kochałam cię, mamó.

Zrobiła ksero z dokumentów. Zaniósła piętro wyżej, gdzie urzędował naczelny. Dostała pokwitowanie, zamknęła teczkę z wbitym stemplem „poufne” do kasy pancерnej. Odebrała kilka telefonów, umawiając klientów na dalsze terminy. Wypiła kolejną kawę. Umyła szklanki. Wyczyściła swoje biurko. *Niech się nie czepia. Zakochał się w tobie, powiedziała Janka. Kretyństwo. Nie zostawiaj mnie, Marta. Przesłyszala się wczoraj. Prawdziwy Wierzbicki to ten dzisiejszy. Oficjalny, nawet wrogi. I niech taki zostanie. Nie znam się na facetach? Ależ, kochana Janko, znam się na nich wybornie, chociaż spałam tylko z jednym, niekiepskim sukinsynem. Mój biologiczny ojciec: łajdak. Mój przyszywany ojciec: łajdak i zboczeniec. Kim okaże się po kilku latach twój idealny Andrzej to się dopiero okaże. Życzę ci jak najlepiej. Obyś się jednak nie rozczarowała.*

Ale ten czas się dłuży. Dopiero druga. Musi tu, cholera, siedzieć jak głupia do piętnastej. Martwiąc się o matkę, o siostry, które dziś rano pytały: jak to, nie ma tatusia? Dla nich jest tatusiem. Kochanym tatusiem. To nieważne, że im poświęca mało czasu, nie interesuje się ich stopniami, nie chodzi z nimi do kina. Tatuś i już. Dlaczego, Martunia, nie lubisz tatusia? I co tu im odpowiedzieć? Ależ, wy moje głupiutki, lubię, lubię. Nigdy nie mogą dowiedzieć się prawdy o swoim tatusiu. Na zawsze musi pozostać dla nich „kochanym tatusiem”.

Wybrała numer komórki ojczyrna.

– Piotr Stańczyk, słucham?

– Tu Marta. Masz trochę czasu?

– Dla ciebie, Martuś, zawsze.

– Jesteś sam w gabinecie? Możemy swobodnie porozmawiać?

– Żadnego podsłuchu, Martuś. Co to się stało, że dzwonisz do swego odtrąconego ojca, moja maleńka?

Jezu, chyba nie dam rady, porzygam się, ale dla dobra naszej biednej matki, moich siostrzyczek kochanych muszę dowiedzieć się, z kim przebalował noc.

– Dlaczego nie wróciłeś do domu?

– Zazdrosna? Moja dziewczynka zazdrosna o swego starego tatę?

– Masz kochankę?

– Jak Boga kocham, zazdrosna! – *Ty obrzydliwy, śmierdzący capie, obyś zdechł.* – Martuś! Co ci przyszło do tej twojej ślicznej główki? Kochanka? Nie potrzebuję kochanek. Mam ciebie. Jesteś dla mnie całym moim światem, maleńka. Tego twojego Pawła, który mi ciebie zabrał, pogwałcił twoją niewinność, pieprzył cię – głos ojczyzna stał się agresywny – chętnie bym zabił. Tak, zabił! Miałaś być tylko moja! Ciebie też czasami mam ochotę zabić! Zdradziłaś mnie! Rozumiesz? Zdradziłaś!

– Uspokój się, tato. Co się stało, to się nie odstanie.

– Ale ciągle wzbranasz się być moją kobietą. Omal nie wybiłaś mi oka!

– Twoją kobietą jest mama.

– Była. Od dawna już nie jest. Muszę od czasu do czasu z nią sypiać, inaczej nabrałaby podejrzeń. Lecz uwierz mi, Martusia, że ona nic dla mnie znaczy. Ty dla mnie się liczysz. Nikt inny. Nie pragnę żadnej innej kobiety. Moja maleńka dziewczynka. Wiesz, czemu ożeniłem się z twoją matką? Powiem ci. Zobaczyłem ją w parku na spacerze razem z tobą. Ona z grzywą rudych włosów,

krucha, szczuplutka, śliczna, tak, bo była kiedyś śliczna, a ty obok niej, jak jej wierna kopia. Ach, jak podobna, chciałem mieć i ją, i ciebie, pokochałem was obie, ale na ciebie musiałem czekać, a nigdy, przyznaj sama, nie przekroczyłem dozwolonej granicy w swoich pieszczotach. Kiedy kochałem się z twoją matką, to tak, jakby z tobą. Matka zbrzydła, zestarzała się, teraz kolej na ciebie. Słuchasz mnie, moja maleńka, wciąż jednak moja. Ja cię nauczę prawdziwej sztuki kochania, ten Paweł to gówniarz, pewno tylko kładł się na tobie i wchodził w ciebie. – *Nie, nie da rady, nie jest w stanie tego słuchać, lecz musi, musi!* – Powiedz prawdę swemu tatusiowi, miałaś z nim orgazm? Jęczałaś tak, jak twoja matka z rozkoszy?

– Nie, tato. Nie jęczałam. Ale jest pewien problem.

– Jaki, maleńka? Nie istnieje żaden, jeśli tylko mnie zechcesz.

Pewno się teraz ślini, pewno mu staje, jednak wytrzymaj, Marta, wytrzymaj, podpuść go jeszcze.

– Problem mamy i dziewczynek.

– Ach, nie zaprzataj tym swojej główki. Potrafię to załatwić.

– Jak?

– Marta. Będę miał kasę. Dużo kasy.

Udała, że się śmieje.

– Niby skąd ta kasa? Okradniesz bank? Wygrasz w totka?

– Pamiętasz, Martusia, dom z ogrodem pod Iławą, tuż nad jeziorem? *Do czego ten bydlak zmierza? Dziadkowie nie zostawili testamentu. Jedyłą spadkobierczynią jest matka. Nigdy nie zastanawiałam się, co się z tym domem stało? Boże, chyba aż do takiego stopnia matka nie zgłupiała?*

– Mama chciała go sprzedać od razu. Niełatwo utrzymać trójkę dzieci z nauczycielskich pensji. Sama pamiętasz, ciężko było.

– Pamiętam. Głównie harowała mama. Dwie szkoły i lekcje prywatne w soboty i niedziele. Dziesiątki zeszytów do poprawiania. No właśnie: dlaczego mama nie sprzedała domu? Odradziłeś jej, tak? Powiedziałeś, że to lokata kapitału?

– Jakbyś przy tym była – śmiech ojczyma w słuchawce przypominał rechot zadowolonej żaby. – Co więcej: wynajęliśmy ten dom i przynosił stały dochód. Twoja matka odkładała pieniądze za wynajem do banku. Dla was. Po równo. Dzieliła na trzy.

Mój Boże, dzieliła na trzy, więc i dla mnie też? Więc i o mojej przyszłości myślała? Woląca pracować po dziesięć godzin dziennie, ale odkładała dla nas... Przerabiała stare kiecki, latała prześcieradła, ale dla nas...

– Zgromadziła niezłą sumkę. I... – w głosie ojczyma wyczuła wahanie.

– I? Dokończ.

– Dwa lata temu zrobiła akt darowizny. Na mnie.

Pewno powiedział jej, biednej, potrzebuję dowodu twego uczucia, poza tym zupełnie nie znasz się na interesach, ale dopóki będziesz prawną właścicielką, mam związane ręce. Może jeszcze powiedział: i, moja kochana, moja droga wreszcie przestaniesz tyle pracować, zadręczać się o przyszłość dzieci. Obiecuję ci, że nie zabraknie nam ptasiego mleka, kupimy nowe, duże mieszkanie, nowy samochód, rzucisz prywatne lekcje, zostawisz sobie w szkole goły etat bez żadnych nadgodzin i odtąd też żadnych wieczorowych szkół dla pracujących. Wypoczniesz, bo już wariujesz od tej pracy. Na wakacje będziemy jeździć do Tunezji, do Egiptu. Czy tak jej zabajerował, tej mojej tak głupio go kochającej matce?

– Martunia, jesteś tam?

– Jestem, tato. Słucham uważnie. Sprzedałeś już?

Jeśli sprzedał i ulokował na swoim koncie, to jak te zawłaszczone pieniądze odzyskać? Jezu, jak? Muszę go mocniej przycisnąć. Niech opowie, co mi z nimi zrobił.

– Jeszcze nie, moja śliczna. Ale sprzedam. Właśnie w tej sprawie jeździłem do Warszawy. Chętnych a chętnych. Teraz Warmia i Mazury są modne. Dom jest duży, piękny, sześć pokoi, sauna. Ogród na tarasach, schodzący do jeziora. Wszystko zadbane. Działka dziewięćdziesiąt arów. Raj. Uroczyisko, raj. I do miasta niedaleko. Same atuty.

– Ile?

– Nie uwierzysz, trzymaj się mocno. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

– I co dalej?

– Bieremy kasę i wyjeżdżamy.

– Dokąd, tato?

– Tam, gdzie sobie zażyczysz, maleńka. Twój tatuś spełni każdą twoją zachciankę.

– A co z mamą i dziewczynkami? Znowu zarechotał. ,

– Zostanie im wykupione na własność mieszkanie, mój matiz, gotówka w banku za wynajem domu. Trochę popłaczą, trochę pocierpią i tyle! Matka jest ciągle w wieku do wzięcia, a że potrzebuje faceta, znajdzie go sobie. Nie udawaj, maleńka. Przecież jej nie znosisz. Co cię ona obchodzi?

Tak to sobie umyślił, łajdak.

– Czekałem tylko na ciebie, Martunia. Wierzyłem, że mój czas nadejdzie. Nadszedł. Jestem szczęśliwy.

Jesteś chory, czubku. Ale to wciąż za mało, potrzebuję więcej twoich zwierzeń.

– Tato. Ja również jestem szczęśliwa. Pamiętasz, jak mnie brałeś na kolana i całowałeś moją szyję?

– Podobało ci się, prawda? Twoja szyjka, szyjka mojej małej córeczki, taka delikatna, taka słodka. A te twoje maleńkie cycuszki, gładziutkie uda, aksamitna pipka – zasapał. – Marzyłem o chwili, w której pozwolisz mi wejść w siebie.

– Ale i tak ci wystarczało, żeby się podniecić i mieć wytrysk.

– To było słodkie. A ty, mała szelmo, udawałaś, że się bronisz. Zaciskałaś uda. Zastawiałaś drzwi biurkiem. Bardzo to mnie podniecało.

– Jednak nie wołałam mamy na pomoc. Wystarczyło krzyknąć.

Roześmiał się.

– Twoja mama by ci nie pomogła, skarbie. Twoja mama, nawet gdyby zobaczyła mnie w twoim łóżku, nie uwierzyłaby, że robię z tobą te rzeczy. Twojej mamie, maleńka, da się wszystko wmówić. Jestem dla niej wszystkim. Jej Bogiem. Jej panem. Jednego wciąż nie rozumiem, dlaczego wsadziłaś mi palec w oko i...

– Już nie musisz niczego rozumieć – zaczerpnęła powietrza, jakby miała za moment zanurkować na głęboką wodę. – Teraz ty się mocno trzymaj, kochany tatusiu. Jesteś skończony. Podpuściłam cię. Każde słowo tej rozmowy zostało nagrane. Zaraz wykonam kilka kopii. Jedną prześlę kuratorowi. Niech wie, kogo zatrudnia. Drugą przedstawię prokuratorowi. Ewidentnie z nagrania wynika, że molestowałeś mnie całymi latami. Na to jest paragraf. Pójdiesz siedzieć, ukochany tatusiu.

– Cóż to za gra, Martuś? Nie wierzę ci, przecież mnie kochasz. Kłamiesz. Kłamiesz.

– Nie kłamię. My tu w firmie nagrywamy większość rozmów z klientami, bo zdarzają się trefni. Proponują na przykład łapówki szefowi za załatwienie

intratnego kontraktu. Musimy mieć alibi. Takie zabezpieczenie, rozumiesz? To twój koniec. Szach i mat. Nokaut. Leżysz i nie podniesiesz się.

– Marta, ja zaraz zwariuję. Powiedz, że to głupie żarty. Okrutne, ale żarty. Takie jak wtedy, gdy wbiłaś mi w plecy igłę,

– Nie żarty i ty o tym wiesz. Masz jedno, jedyne wyjście. Po pierwsze: skoro mama mogła dla ciebie zrobić akt darowizny, ty również możesz taki zrobić dla niej, notarialnie i przy świadkach. Majątek po moich dziadkach ma wrócić w prawowite ręce. Ma z powrotem stać się własnością mamy. To raz. A dwa: nigdy więcej nie ośmielisz się do mnie zbliżyć. I trzy: wobec mamy masz być uprzedząco grzeczny. Taki dobry mężuś. I nawet nie kombinuj, żeby to sprzedać i nawiać z kasą za granicę. Istnieje coś takiego jak ekstradycja, listy gończe. Zrozumiałeś?

Odpowiedziało jej głuche, przerywane szybkim oddechem milczenie.

– Doskonale: rozumiałeś. Słuchaj dalej uważnie: jest teraz dokładnie godzina czternasta dwadzieścia. Pamiętam szyld, na którym jest napisane: Notariat. Marian Gałka. Na Narutowicza. Znajdziesz numer w książce telefonicznej i zadzwonisz tam natychmiast. Powiesz, że zamierzasz sporządzić akt darowizny na rzecz swojej żony, Barbary Stańczyk. Mają twoje oświadczenie odnotować, wyznaczyć najbliższy termin i dać ci do ręki odpowiednie pismo. Wiem, jak się takie sprawy załatwia. Pracuję przecież w sekretariacie jednego z głównych szefów firmy. Często mamy do czynienia i z prawnikami, i z notariuszami. Sprawdzę, czy wykonałeś moje polecenie. Zatelefonuję do notariusza dokładnie za pół godziny. Żadnych ale! Nie masz wyboru. Albo pełna kompromitacja, media, skandal, przesłuchania, policja, areszt, albo zrobisz to, co ci mówię. Dopadłam ciebie, łajdaku. Do miłego zobaczenia w domu. Radzę ci

pojawić się w nim, ucałować dziewczynki, uśmiechnąć się do matki, zaś mnie pokazać pismo z notariatu.

Rozłączyła się. Zagrała va banque. Musi się udać. Uda się. Ociekała potem. Przed oczami wirowały jej plamy. Wrzasnęła, bo nagle rozległ się dzwonek telefonu.

– Z kim pani, do diabła tak długo rozmawiała? – głos Wierzbickiego nie brzmiał przyjaźnie. – Sprawdź bilingi, i jeżeli okaże się, że pani prowadzi prywatne rozmowy ze służbowego telefonu, każę pani za nie zwrócić. Co do grosza.

– Zrobi pan, co uważa za stosowne – odpowiedziała z wirującym nad głową sufitem.

– Pani Marto? Źle się pani czuje? Ma pani taki dziwny głos.

Sufit opadał coraz niżej. Pot zalewał oczy.

– Pani Marto? *Zaraz zemdleję.*

– Marta, odezwij się!

– Przepraszam. Jest mi trochę słabo... Muszę napić się wody.

– Marta, może wezwać lekarza?

– To chwilowa niedyspozycja, panie prezesie. Kobiety ją mają raz na miesiąc.

– Niech pani zamknie biuro, weźmie taksówkę i jedzie do domu wypocząć.

– Naprawdę mogę do domu?

Zdażyłabym przed ojczymem do notariusza. Miałabym pewność, że mnie nie oszuka.

– Jeśli jutro nadal będzie się pani czuła nie najlepiej, proszę do mnie zadzwonić. Do biura. Przychodzę normalnie do pracy. Życzę zdrowia, Marto.

||

Godzina czternasta pięćdziesiąt. Stała po drugiej stronie ulicy, z szumem w uszach, walącym tętnem, miękkimi kolanami, obserwując secesyjną kamienicę z dużym szyldem: Notariat. Stanisław Gałka. Pozostała część napisu na szyldzie z tej odległości była nieczytelna, ale Marta wcześniej sprawdziła: notariusz przyjmował do godziny szesnastej.

Widok czerwonego, parkującego na chodniku matyza spowodował, że tętno całkowicie zwariowało. Musiała się oprzeć o ścianę budynku. *Marta, uspokój się. Marta, wygrałaś. Marta, nie czas na słabość. Policz do dziesięciu. Do dwudziestu. I marsz. Zdecydowanym krokiem. Tatuś się ciebie nie spodziewa. Jeżeli nosił się z zamiarem wykpienia, bardzo się rozczaruje.*

Poczekalnia elegancka. Na ścianach obrazy: kolorowe pejzaże. Posadzka z ciemnobordowej terakoty. Dużo efektownej zieleni. Rząd wyściełanych krzeseł. Kilka stolików zarzuconych kolorowymi pismami.

Ojczym poderwał się z krzesła. On, zawsze z nieskazitelnie zawiązanym krawatem, w nienagannie białej koszuli, upranej i wyprasowanej przez matkę, z błyskiem w oku pewnego siebie faceta, który zna swoją wartość, bo ma za sobą te wszystkie cholernie ważne znajomości, ponieważ przez dwie kadencje zasiadał w radzie miejskiej, z samym prezydentem jest na ty, teraz sprawiał wrażenie przepuszczonego przez wyżymaczkę: krawat przekrzywiony, marynarka pomięta, włosy potargane, jakby z kimś stoczył walkę. *Musiał dostać niezłego ataku wściekłości. Szkoda, że tego nie widziałam.*

– Ty? Ty tutaj?

Wystraszył się. A przecież nie jestem jadowitą kobrą ani grzechotnikiem. Więc jednak kombinował, dupek, zboczeniec. Szefie, do końca życia pozostanę twoją dłużniczką, to cud, że zwolniłeś mnie do domu.

– Cześć, kochany tatusiu. Zaskoczony? To ja, twoja mała dziewczynka. – Zakpiła, podeszła do ojczyma, pocałowała w oba policzki. – Długo mamy czekać na przyjęcie przez pana Gałkę?

– Pokaż kasetę – warknął.

– Masz mnie za idiotkę, kochany tatku? Kasety oddałam szefowi. Leżą bezpieczne w jego kasie pancерnej. Umówiłam się z nim, tatusiu, że jeśli spróbujesz mnie kiwać, zadzwonię do niego, a on wówczas urządzi sobie małe przesłuchanko z nagrania. Jak sądzisz, co zrobi, kiedy usłyszy twoje wynurzenia na temat moich małych cycuszków i aksamitnej pipki?

– Nie tak się umawiałaś! Oszukałaś mnie!

– Ciszej, tatusiu. Okropnie wyglądasz. A patrzysz na mnie, jakbyś już mnie nie kochał, lecz chętnie udusił.

– Pan notariusz prosi. – W drzwiach pokazała się sekretarka. *Oczywiście ładna, młoda, nogi do samej szyi, założę się, że pan notariusz jest grubym, łysawym facetem.*

Myliła się. Notariusz był młody i przystojny. Opalony brunet z niebieskimi oczami, z zawodowo uprzejmym uśmiechem, pokazującym bardzo białe zęby. Wyraził zdziwienie, że pan Stańczyk pojawił się nie sam, jak było wcześniej uzgodnione. Jednak z galanterią ucałował dłoń Marty. *Kochany tatuś naprawdę zamierzał mnie wykiwać.*

– Tato, ja przedstawię sprawę. Ciebie tak bardzo boli głowa, że mógłbyś coś poplątać.

Ojczym posiniał na twarzy. Ale przytaknął. *Grzeczny, miłutki chłopczyk.*

Wyjaśniła notariuszowi punkt po punkcie, w czym rzecz. Kochany tatuś pragnie dokonać aktu darowizny swego osobistego majątku, niepodlegającego wspólnocie małżeńskiej, na rzecz swojej żony, Barbary Stańczyk. Jest to

sześciopokojowy dom w idealnym stanie, wraz z sadem na prawie hektarowej działce. Dom położony nad jeziorem, tuż pod Iławą. Jego obecna szacunkowa cena rynkowa wynosi w przybliżeniu około trzystu tysięcy euro. Odpowiednie dokumenty zostaną, jeśli pan notariusz pozwoli, dostarczone jutro, tatuś ma je w domu; wszystko, co potrzeba. Łącznie z wyceną i mapkami geodezyjnymi. Chcemy dokonać formalności w jak najszybszym terminie, gdyż tatuś przyjął propozycję pracy za granicą i wyjeżdża zaraz po zakończeniu roku szkolnego, czyli mniej więcej za trzy tygodnie. Czy możemy liczyć na uprzejmość pana notariusza? Żeby szybko? Tatusiu, powiedz panu notariuszowi, jak bardzo ci na tym zależy.

– Bardzo zależy – powtórzył ojczym.

– Kontrakt tatuś podpisał na cztery lata. Cztery lata to długi okres. Tatuś na szczęście cieszy się świetnym zdrowiem, ale różnie bywa, pan notariusz rozumie...

Pan notariusz rozumiał. Wyraził jednak ponowne zdziwienie, mówiąc, iż pan Stańczyk telefonicznie trochę inaczej przedstawił mu sprawę...

– Widocznie wyrażałem się nieprecyzyjnie – szybko przerwał ojczym. – Mnie rzeczywiście głowa wprost pęka.

I na takiego wyglądał: kogoś, komu niemal pęka głowa. Notariusz przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Wyznaczył, po długich i usilnych prośbach oraz za dodatkową opłatą, termin na jutro, na godzinę jedenastą trzydzieści. Poprosił o punktualne stawienie się obu stron. Zapisał w komputerze dane ojczyma i matki. Poinformował o swoich kosztach, podatku od darowizny oraz innych opłatach manipulacyjnych. Sporo tego. *Ale kochany tatuś z pewnością posiada oddzielne konto w banku i to pewno wcale niemałe. Matka często skarżyła się, że tak skąpo daje na dom. I na co ty wydajesz tyle pieniędzy, pytała. Wystarczył jednak krótki,*

zdawkowy pocałunek ojczyrna i już wycofywała pretensję: tak, tak, mówiła, rozumiem, jako dyrektor takiego wielkiego liceum i jako radny musisz mieć na reprezentację.

Wyprowadziła ojczyrna z notariatu, biorąc go pod rękę. *Mądra, dobra, kochająca córka. Cóż za wzruszający obrazek.*

– Kupisz matce kwiaty, dziewczynkom czekoladki albo ciastka – oznajmiła. – I nie mów nic, bo wiem, co chcesz powiedzieć. Że nie dysponujesz sumą, jakiej zażądał notariusz. To mnie nie interesuje, najwyżej pożyczysz, lub prościej: pomniejszysz o nią sumkę na swoim koncie w banku, o którym twoja żona nie ma bladego pojęcia. Nie próbuj też łąać, że jutro masz pilną konferencję. Albo że zagubiłeś dokumenty. Czy wreszcie, że matka nie wyrazi zgody. Otóż zapewniam cię: wyrazi taką, bo ty się o to bardzo ładnie postarasz. Dokumenty trzymasz w biurku swego gabinetu w szkole, nie w domu, w domu nie byłyby bezpieczne, toteż najpierw po nie pojedziemy do szkoły. Zapewniam cię ponadto, że nie masz jutro żadnej narady, żadnego oficjalnego spotkania i osobiście przypilnuję, abyś się stawił punktualnie w notariacie i byś z niczego się nie wykpił. Będę twoim milczącym świadkiem. Szef dał mi wolne. Umówiłam się z nim również, tatusiu, że przesłucha nagranie w każdej chwili, jeśli go o to poproszę telefonicznie. Więc już nic nie kombinuj. Przegrałeś.

Milczał. W szkole sekretarka zdziwiła się:

– Pan dyrektor? A mówił pan, że bardzo się spieszy na pociąg.

– Nic takiego nie mówiłem! Pani się przesłyszała!

Spieszył się na pociąg? Dlaczego? On ma jakiegoś asa w rękawie. Cholera, muszę być czujna. Marta, myśl. Myśl intensywnie. Bo teraz, zdemaskowanemu, pozostało jedno wyjście: dokonać transakcji i nawiać z kasą. Popsułaś jego plany, ale nie do końca. Przyjrzyj mu się. Jest wściekły. I zbyt posłuszny. Zbyt

gorliwie wykonujący moje polecenia. Ta gorliwość i posłuszeństwo są sygnałem ostrzegawczym. On chce, żebyś mu uwierzyła, pozbyła się wszelkich wątpliwości. Popatrz, na jaki bukiet dla matki się wysilił, a dla małych poza ciastkami tort i lody, nagle hojny, nagle szastający forszą, kochający tatuś i mąż.

Matkę spotkali na klatce schodowej. Spieszyła się do prywatnego ucznia.

– Piotruś! Gdzie się podziewałeś? Boże, taki blady, taki wymęczony! Co ci jest, mój kochany? A te kwiaty? Piotruś, to dla mnie, dla mnie? Jakie piękne! Musiały kosztować majątek – i matka rozplakała się.

– Obejmij ją – syknęła Marta.

Objął. Pogłaskał po chudych, ostro sterczących obojczykach. *Chyba i ja się rozbeczę. Czy rzeczywiście przyskrzynyłam ojczyma z myślą o krzywdzie matki? A może bardziej chodziło mi o zemstę? Dorwać drania ostatecznie, przyznaj się we własnym sumieniu, Marta. Udało się. Dorwałaś. Upokorzyłaś. A teraz stoisz, patrzysz, jak ta moja głupia matka przytula się do tego zboczeńca. Dałaś jej nadzieję. Dałaś radość. I nadzieja, i radość są ordynarnym oszustwem, są wymuszone szantażem. Nie nacieszy się nimi długo. Jesteś naprawdę potworem, Marta. Nawet ojczym nie skrzywdził twojej matki tak jak ty dziś. Wybacz, mamó. Aż tak nie zamierzałam ciebie skrzywdzić. Marta, wybacz, aż tak nie chciałam ciebie skrzywdzić: słowa matki, w które nie uwierzyła, odrzuciła jako kłamliwe i podłe, wróciły rykoszetem. A jeśli one były prawdziwe? Szczere? To kto tu jest tym prawdziwym potworem?*

– No, może starczy tych czułości? – powiedziała ostro. *Czuję się tak, jakbym sama sobie założyła pętlę na szyję. Duszę się, patrzeć na twoje nieprawdziwe szczęście, mamó, i tak bardzo prawdziwe łzy.* – Rozmazał ci się tusz, musisz wrócić do domu poprawić makijaż.

– Kiedy ja na lekcję... Spóźnię się, stracę trzydzieści złotych.

– Mamo. Zadzwonisz, że nie przyjdiesz. Trzydzieści złotych, mam, to śmieszny pieniąż. – *O Boże, co ja wygaduję? Przecież ona w ten sposób dorabia do pensji. Tyle prywatnych lekcji tygodniowo po trzydzieści złotych! Patrycja wyrosła z pantofli. Dagusia potrzebuje nowej sukienki na zakończenie roku. Moje dziewczynki muszą być ubrane ślicznie. Dywan się wytarł. Patelnia do niczego. Garnek przypala. Wiecie, mam dodatkowego ucznia? Ale się cieszę! Wraca wieczorem, coraz chudsza, targa kilogramami cytrusowe owoce, winogrona, bo wam, dziewczynki, potrzebne witaminy.* – Przepraszam, mam, ale potraktuj dzisiejsze popołudnie jako wyjątkowe, zrób sobie wagary. Dostałaś kwiaty. Tata kupił ciastka, tort i lody. Może wieczorem wybralibyście się do kina? Ja funduję.

– No, nie wiem... – wahała się matka, dotykając z czułością dłoni ojczyma.

– A ty? Co o tym sądzisz, Piotrusiu?

– Kochanie, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Zostań.

– Powiedziałeś do mnie „kochanie”, Piotrusiu? Boże, jak dawno nie słyszałam od ciebie tego słowa. Nie wierzyłam, że kiedykolwiek jeszcze je usłyszę.

Zmęczona twarz matki rozjaśniła się niepewnym jeszcze, ale już szczęśliwym uśmiechem.

– Jaka ja głupia –powiedziała.– Byłam pewna, że masz inną kobietę, że mnie nie kochasz, że nas zostawisz.

Milczał. Ale zdobył się na kolejny pieszczotliwy gest: pocałował matkę w policzek.

Dziewczynki na widok przytulonych do siebie rodziców zatańczyły wokół stołu, wołając:

– Hura! Hura! Tatuś wrócił! Mamusia wróciła! Martusia wróciła! Wszyscy jesteśmy znowu razem, hura! Tatusiu, i będziesz dobry dla mamusi? Ojej, tatusiu, mamusia tak wczoraj płakała! My też płakałyśmy. Ojej! Ciastka, tort, lody, kwiaty! Czy to jakieś święto?

Usiedli wokół stołu, który matka nakryła „niedzielną” serwetą, pośrodku ustawiła w kryształowym wazonie bukiet, wyjęła z kredensu „niedzielną zastawę”. Rodzina w komplecie. Przy rodzinnym stole. Brak fotografa, który zrobiłby pamiątkowe zdjęcie do rodzinnego albumu.

– Martusia, nie smakuje ci tort? To ja zjem twoją porcję –zaofiarowała się siostra.

Gorzki jak piołun. Ciastko podobnie. Nie była w stanie przełknąć kęsa.

– A właściwie czemu ty dziś wcześniej z pracy? – w głosie matki pojawił się nagły niepokój. – Dziecko! Ty płoniesz. Jesteś chora. *Nie jestem chora, mamo. Jestem podła.* – Dagusia! Przynieś termometr.

– Mamo, czuję się doskonale. Nie zajmuj się mną.

– Pleciesz. Jak nie zajmować się tobą, skoro widzę, że masz gorączkę?

– Nie mam gorączki.

– Masz. Zaraz sprawdzimy ile. Wsadź termometr pod pachę – matka przemawiała do niej jak do małego, nieposłusznego dziecka. – Ta twoja praca to chyba nie dla ciebie. Z dnia na dzień przychodzisz coraz bardziej zmęczona. I jakby coraz bardziej smutna.

A ja, mamo nigdy specjalnie nie zastanawiałam się nad twoim zmęczeniem. Nigdy nie przejmowałam się twoim smutkiem, nawet go przeważnie nie zauważałam. Twój płacz wzbudzał we mnie złość. Wyrzuciłam z pamięci, odsiałam jak przez sito, wszystkie twoje uśmiechy, pocałunki, pieszczoty, pozostawiając wyłącznie rzemień, kozią nogę, siniaki na policzkach. Jakbyś była

potworem, tylko i wyłącznie potworem, nigdy matką. Czy to twoja wina, że pokochałaś zбочzonego faceta? Że ten twój pierwszy był, jak Paweł, łajdakiem? Osiemnastoletnia dziewczyna z małej miejscowości, mimo tolerancji babci i dziadka, z brzuchem? Ja też pewno bym uciekła, w obawie przed wścibskimi spojrzeniami, szeptami plotkarek, kąśliwymi komentarzami na temat moralności. Czy babcia z dziadkiem mogli ci zapewnić w swojej naiwnej dobroci, że urodzone dziecko nie będzie wytykane palcem, nazywane bękartem? Że ksiądz nie wyklunie z ambony? Zechce ochrzcić? Dopuszczać do pierwszej komunii? Doskonale pamiętam, kiedy mój brzuch się zaokrąglił, jak koleżanki z roku szeptały po kątach. Te ich wredne uśmieszki pamiętam i te pytania wredne: Marta, jakoś dziwnie przytyłaś, a co z Pawłem? Zerwaliście? Majka widziała twego Pawła w pubie z dziewczyną, przytulali się do siebie. Więc gdy oświadczyłaś, mamo: Marta, weź urlop dziekański, nie będziesz paradować z brzuchem po uczelni ani nigdzie, ucieszyłam się, nie chciałam z tym brzuchem „paradować”, narażać się na rzekomo współczujące spojrzenia, lecz równocześnie potępiłam cię, wydałam wyrok: co za obłuda, jaka hipokryzja, ohyda.

– Trzydzieści pięć i trzy kreski! – wykrzyknęła matka. – To straszne osłabienie! O nie, Marta. Koniec z pracą. Stać mnie na to, aby cię utrzymać. Zresztą, Marta... – matka pobiegła do biurka, otworzyła szufladę, wyjęła kopertę – nie wydałam ani grosza z pieniędzy, jakie mi dawałaś na utrzymanie. *Jak to? Jak to? Sama mi powiedziałaś, że to niemoralne z mojej strony być na waszym utrzymaniu.* – Nie wiedzieliśmy z ojcem, jak cię wydobyć z depresji. Marta, nawet nie wiesz, jak się o cię bałam. Że zrobisz sobie coś złego. – *Więc dlatego kazałaś mi iść do pracy?* – Na każde moje słowo reagowałaś agresją. Nie wiedziałam, jak się do cię odezwać. Łagodnie: źle. Surowo: jeszcze gorzej. Minął rok, a ty ciągle, stale...

– Mamo. Nie trzeba. Przestań się katować. Już dobrze, mamo. Już dobrze.

– Czuję się taka winna...

– Miało być wesoło – zaprotestowała Patrysia. – A wy znowu zaczynacie.

W tym domu nigdy nie było ani nie będzie wesoło. W tym domu wszystko jest chore. Poza wami, moje siostrzyczki. Chroni was wasze dzieciinne widzenie matki, ojca, mnie. Prosty świat: hura, hura, znowu jesteśmy razem! Znaczą: kochamy się. Siedzą, pałaszują słodkości, ręka matki w dłoni ojca, więc cieszą się, że rodzice jak dawniej okazują sobie czułość. To im wystarczy, by mieć poczucie bezpieczeństwa. Mnie ono zostało odebrane. Przez ojczyma. Przez matkę. A jednak, mamo, myliłam się: nie potrafię ci wybaczyć ściśniętego bandażami brzucha. I tak zrobiłam wielki krok do przodu: staram się ciebie zrozumieć.

– Ależ jest wesoło – powiedziała do sióstr. – W waszych przesłodzonych brzuskach na pewno. Dobrze było, prawda? Teraz do łazienki, umyć buziaki, a potem pozwalam wam pograć na moim komputerze.

– Naprawdę, Martusia?

– Naprawdę. Dla was przecież kupiłam i nagrałam różne gry. Tylko nie kłóćcie się, która pierwsza zacznie.

Pobiegły ucieszone, śmiejąc się. Ocalić ich śmiech. Nieskażony naszymi, dorosłych, toksynami. Dotąd, dopóki się da. Może ciebie, mamo, skrzywdziłam, każąc ojczymowi być nadal twoim Piotrusiem, lecz jemu nie wolno odejść. Zadałby ból moim siostrom. Hura, hura, znów jesteśmy razem, co za radość.

– Powinny mieć własny komputer – westchnęła matka.

– Każda z nich powinna mieć własny – po raz pierwszy odezwał się ojczym.

– Za co? Jeszcze nie spłaciłam komputera Marty. A ja tu siedzę, zamiast być na lekcji. Przed nami wakacje. Koniec z dorabianiem prywatnymi korkami. Pozostaną gołe pensje. Na wakacje odłożyłam, jednak mniej niż w zeszłym roku, tymczasem ceny za wynajęcie pokoi nad morzem znacznie podrożały, a dziewczynki muszą nad morze. A co z tobą, Marta, podczas wakacji? Proszę cię, rzuć tę pracę. Też jesteś taka mizerna, przydałby ci się i odpoczynek, i morskie powietrze...

– Mamo – przerwała. – Ojciec ma ci do przekazania ważną wiadomość. Chodzi o twój akt darowizny.

– No właśnie, kochanie. Bardzo ważną. – *Ale będzie się poccił, ten mój kochany, przyparty do muru tatuś. Drań, który nadal coś knuje. A jeśli nawet nie knuje niczego, jeśli jedynie to moja teoria spiskowa, to knuł.* – Tylko się nie denerwuj, kochanie. Nie chcę już majątku po twoich rodzicach.

– Piotruś! Przecież chciałeś! Przekonywałeś mnie, że tak będzie lepiej dla naszej rodziny – zawołała matka. *Naprawdę, mamo, być aż tak głupią z powodu miłości do swego Piotrusia, to po prostu grzech.* – Boże, Piotruś! Nic nie mów – matka zbladła, chwyciła dłoń ojczyrna, przytuliła do policzka. – Zdaje się, że rozumiem, dlaczego tak nagle... Odpowiedz. Muszę znać prawdę? Jesteś chory? Bardzo chory?

– Mamo, ojciec jest zdrow jak byk...

– Co to za wyrażenie, Marta? Nie wtrącaj się! Najlepiej wyjdź. Zostaw nas samych – głos matki stwardniał, niemal zachrząścił złością, bo ktoś ośmielił się tego jej drania nazwać bykiem. *Przykro mi, mamo. Nie wyjdę. Doprowadzę do końca to, co zaczęłam.*

– Kochanie, Marta ma rację: jestem zdrow, jak byk właśnie – pospieszył ojczym. *Boi się. I słusznie. Ma czego.* – Długo się na tym zastanawiałem. Muszę

się przyznać, że nie czułem się dobrze z twoim zapisem, doskwierało mi sumienie.

– Piotr, nie opowiadaj bzdur! Jakie znowu sumienie? Zapomniałeś? Zapomniałeś, kiedy ci to ofiarowałam?

– Nie zapomniałem, ale...

– Piotruś, kochany. Zostawiliśmy wówczas dziewczynki na opiece Marty, pojechaliśmy na weekend wreszcie sami, ja i ty, tylko ja i ty, i była cudowna wiosna, widok z okna na błękitne jezioro, w którym odbijały się las, niebo z białymi chmurami, pachniało szałwią, macierzanką. Ach, Piotr, Piotr! Nigdy nie zapomnę tamtych dwóch dni. Pływaliśmy łódką po jeziorze, a mnie się wydawało, że to nie jezioro, że to niebo, raj, i zapytałeś: czy na pewno cię kocham? Pamiętasz, jak o to zapytałeś, głuptasie, a potem zapytałeś: jak bardzo, czy tak bardzo, że mogłabym ci dać dowód swego uczucia...

– Wszystko pamiętam doskonale! – przerwał gwałtownie ojczym. – Po co to do tego wracać?

Ty draniu, więc to w taki sposób wycyganileś majątek od tej głupiej kobiety, której głos drży od wzruszenia, a oczy zachodzą łzami, bo wspomina dwa dni na Mazurach, podczas których musiałeś być wyjątkowo czuły, aby zrealizować swój drański plan? Już dawno zamierzałeś dać tyły, czekałeś na mnie, swoją śliczną dziewczynkę, zboczeńcu. Chyba jednak istnieje, Ukrzyżowany, bo skąd wzięłby się u mnie ten dzisiejszy pomysł z podpuszczaniem na zwierzenia? Kłamstwem o nagraniu?

– Otóż oświadczam ci: jutro na godzinę jedenastą trzydzieści stawiamy się oboje u notariusza. Teraz ja tobie dam wyraz swojej miłości, kochanie. Notarialnie daruję ci to, co ty mi podarowałaś. I jeżeli zaczniesz stawiać choćby najmniejszy opór, pomyślę, że jednak mnie nie kochasz.

– Piotruś... Ja...

Nie pozwolił matce dokończyć zdania. Pocałował ją w usta. Zaszlochała i przytuliła się do niego. *Do tego drania. Tego najgorszego z najgorszych drani. Postaram się, mamó, żeby ci tę miłość, której tak od niego potrzebujesz, okazywał co dnia. Ukrzyżowany, chroń mnie przed podobnie zaślepioną miłością.*

– Ja też jutro będę z wami – powiedziała. Ojczym, obejmując matkę, posłał jej spojrzenie, które zabijało. Roześmiała się. – Kochany tatusiu, jak pięknie razem wyglądacie. Zdaje mi się, że nie będę musiała dzwonić do szefa. Lecz ty pamiętaj, że w każdej chwili mogę. Miej na uwadze również i to, co jest w kasie pancерnej.

– O czym ta dziewczyna mówi? Jaki telefon, jaka znowu kasa pancerna? – zaniepokoiła się matka.

Ojczym objął ją silniej, pogładził po włosach i oczy matki natychmiast rozjaśniły się. *Tak łatwo cię oszukać, mamó, uspokoić twoje wątpliwości, zamknąć ci usta, uczynić bezbronną, bezwolną, uzależnioną całkowicie od swego zaślepiętego uczucia. Jak potoczyłoby się twoje i moje życie, gdybyś spotkała porządnego faceta? Mój Boże, mamó! Ty rzeczywiście biłaś mnie z powodu ojczyma, którego nie chciałam uznać za ojca, wciąż przecież odmawiałam: wieczne odpoczywanie, racz mu dać, Panie, Panie Boże niedobry, który zabrałeś mi mego tatusia. Matka mówiła: Masz go kochać, dał ci swoje nazwisko, uczynił prawdziwą córkę. Dlaczego patrzysz na niego wilkiem? Wzbranasz się, kiedy cię bierze na kolana? Jesteś zła, niedobra. Klęknij i módl się o zdrowie swego nowego tatusia! Nie chcesz się modlić? Więc a masz, a masz! I biłaś mnie, mamó, że nie chcę się modlić, że odpowiadam: kocham swego prawdziwego tatę, sama mówiłaś, że był dla nas dobry. Oszukana mamó, nawet nie mogłaś się*

przysiąc, że nigdy w moim dzieciennym życiu nie było żadnego tatusia, że to ty go wymyśliłaś, dla siebie i dla mnie.

– Po prostu – ojczym zawahał się, jakby szukał odpowiedniego określenia, musnął wargami szyję matki – Marta żartuje.

Dzwonek domofonu nie spodobał się matce.

– Nie ma nas w domu – powiedziała. Wtuliła się głębiej w ramiona ojczyma. – Tak jest dobrze. Jest wspaniale. Będę tak siedzieć do wieczora.

W domofonie bardziej chłopięcy niż męski głos odezwał się: Poślaniec. *Z kwiatami dla pani Stańczyk. Kwiaty? Kiedy zdążył złożyć zamówienie w kwiaciarni? Cały czas z nim byłam? Więc od szefa? Jak przepowiadała Janka? Nie, niemożliwe. Kretynstwo. Idiotyzm.*

– Pomyłka – odpowiedziała.

– Sprawiedliwa osiem, mieszkania trzydzieści?

– No tak, ale to musi być pomyłka.

Pomyłka, nic więcej. Ale dlaczego zaschło mi tak gwałtownie w gardle? Marta, wariatko. Nawet nie myśl! Nie wolno ci. Nie ma takiej opcji. Nie istnieje. Janka jest głupia.

– Proszę pani – zajęczał teraz chłopięcy głos. – Taki podano adres. Muszę dostarczyć te kwiaty. Inaczej szefowa mnie wyleje.

– No to je dawaj. Trzecie piętro, pierwsze drzwi na wprost schodów.

Które okno jest pani, Marto? Tylko jedno? Pewno ten pani pokoik malutki? Czy przyjechał wczoraj na parking przed wieżowcem raz jeszcze? Żeby patrzeć w jej okno? Samochód w kolorze metalik stał na końcu parkingu długo, długo. Lecz czy po Łodzi jeździ tylko jeden taki samochód w kolorze metalik, tylko samochód szefa? Janka jest głupia, a ja jeszcze głupsza.

Same glaudiole. Białe i różowawe. Bez wstążek, liści paproci czy innych ozdóbek. Paweł ze dwa razy zdobył się na to, by kupić jej bukiet. Zawsze trzy róże. Mnóstwo srebrnych i złotych, pokarbowanych sztucznie wstążeczek. *Jak dobrze, że nie róże.*

Chłopak o lnianych włosach, piegowatych policzkach uśmiechał się z wdzięcznością.

– Ile masz lat?

– Prawie szesnaście. Jeszcze mi tu pani pokwituje odbiór. Naprawdę dziękuję. Zawsze dorobię parę złotych. Więcej niż za grzebanie po śmietnikach w poszukiwaniu puszek po piwie.

– Na fajki czy na prochy?

– Co pani! Mama na bezrobotnym, tata...

– Przepraszam. Potrzyмай te kwiaty. Zaraz wrócę.

Cofnęła się do wieszaka. Z portmonetki wyjęła dwadzieścia złotych. *Grzebać po śmietnikach, co za czasy! Ale tak, tak, sama widziałam, jak grzebią. Biedny chłopak. A jak się oburzył! Prawie szesnaście, akurat! Nie ma więcej niż piętnaście.*

– O Jezu – aż jęknął, zobaczywszy banknot.

– Ile zarabiasz w tej swojej kwiaciarni?

– Z napiwkami zdarza się wyciągnąć i półtorej stówki miesięcznie. Ale ja tylko na popołudnia. No i w soboty – oświadczył z wyraźną dumą. – Niedługo jednak wakacje, w wakacje powinienem zarabiać lepiej.

– Widziałeś klienta, który wysyłał kwiaty? – *A jednak zapytałam. Po co? Szef nie wysyłałby kwiatów dla pani Stańczyk.*

Szef napisałby na zleceniu „Dla Marty Stańczyk” albo tylko „Dla Marty”.

– Ja siedzę na zapleczu. Nie wolno mi pałętać się po kwiaciarni. Dam pani numer telefonu, właścicielka na pewno pani opisze tego gościa.

– Nie, dziękuję. Trzymaj się, młody.

Zamknęła drzwi. *To nie szef idiotko. To jakiś wdzięczny uczeń, którego matka przygotowywała do matury z angielskiego.*

Matka pospiesznie odsunęła się od ojczyrna. Bluzkę miała pomiętą. *Niestety, mam, musisz cierpliwie doczekać nocy. Założę sobie koreczki do uszu, bo ta noc po miesięcznym poście będzie gorąca.*

– Piotruś! Jeszcze jedno kwiaty? Najpierw storczyki, teraz glaudiole? – zawołała matka. – Boże, glaudiole! Ja je po prostu ubóstwiam.

– Wszystko dla ciebie, kochanie. – *Zaraz rzygnę tym jego „kochaniem”.*
Drań. Zboczeniec.

– Masz wyjątkowego wprost męża, mam.

– Nigdy w to nie wątpiłam. Ani przez chwilę. – *Kłamiesz, mam. Wczoraj wątpiłaś do tego stopnia, że rozmyślałaś o śmierci. Sterczałaś kilka godzin na dworcu, wśród wysiadających pasażerów, wypatrując swego Piotrusia i wróciłaś do domu jakby martwa; pewna, iż twój ukochany Piotruś ma inną kobietę.*

– Jest rzeczywiście wyjątkowy, mam. Wszystko, co robi, robi ze względu na ciebie. Ze względu na ciebie przyjął akt darowizny. Ze względu na ciebie, biedny, cierpiał przez całe dwa lata wyrzuty sumienia.

– Nie podoba mi się twój ton, Marta!

– Ależ, mam, ja ojca chwaleb. Bardzo się starał. Niech ci powie, jak bardzo. Nawet znalazł znakomitych kupców na dom po dziadkach. Prawda, tato, że znalazłeś? – *Doprowadzam cię do szału, lecz musisz udawać, że wszystko jest okej! Przyjemne uczucie, nawet nie wiesz, jak bardzo, patrzeć na ciebie, obserwować, gdy się dławisz własną wściekłością.* – Och, tato, przepraszam,

palnęłam bez zastanowienia. Zapomniałam, że to miało pozostać tajemnicą, popsułam twoją niespodziankę dla mamy?

– Jaka niespodzianka, Piotrusiu? Powiedz, powiedz! Całe dzisiejsze popołudnie jest dla mnie jedną wielką, cudowną niespodzianką – zawołała matka i znowu przytuliła się do ojczyma.

– Marta zaczęła, niech Marta skończy.

Jezu, on naprawdę liczy na wyjście awaryjne. Ma takie. Jak go podejść? Jak zdemaskować do końca?

– Tata wczoraj nie był na naradzie w ministerstwie. Tata wczoraj ustalał warunki sprzedaży z facetem... tato? Jak on się nazywa, bo zapomniałam? I nie próbuj się wykręcać, bo wiesz, co zrobię?

– Co ona ci zrobi, Piotrusiu? Masz taką niewyraźną minę?

– To nasza słodka tajemnica, kochanie.

– Bardzo słodka, mamo. No więc, jak nazywa się nasz kupiec?

– Jaworski. Adam Jaworski – burknął ojczym.

– Aha, właśnie tak. Ten pan Jaworski, z Warszawy, nawet już oglądał dom i ogród. Niczego nie poplątałam, tato? Oglądał, prawda? Zgadza się? O ile również się nie mylę, dwa tygodnie temu jeździłeś do swego dawnego kumpla niby zaproszony na męski weekend. Ale nie jeździł do kumpla, spotykał się z owym panem Jaworskim. Spryciarz z tego naszego taty, mamo. Pilnie strzegł swojej niespodzianki dla ciebie. I chyba, o ile się nie mylę, podpisał wtedy z tym panem umowę wstępną. Jak to jest z tą umową, tato? Podpisałeś?

Chyba trafiłam. Aż pozieleniał. Gwałtownie przetyka ślinę. Mruga oczami. Próbuje jeszcze coś, na oczekaniu, wykombinować. – Tato! Zawsze da się sprawdzić, czy rzeczywiście byłeś u tego swego kumpla.

– A jeśli byłem, to niby takie przestępstwo? – postawił się ojczym. – Jak sprawdzisz, czy podpisałem umowę wstępną lub zasadniczą? Nie dysponujesz, Marta, takimi możliwościami, a poza tym przesadzasz nieco z tą moją niespodzianką dla mamy. Uważam temat za zakończony. Wszystko już sobie powiedzieliśmy. Jutro u notariusza dokonam aktu darowizny. Koniec. Kropka.

Nie dokona. Zdaje się, że zaczynam rozumieć, w co jest grane.

– Marta, czemu dręczysz ojca?

– Mamo, ja go nie dręcę. Ja go podziwiam. Twój mąż jest bardzo mądry. Ale niepotrzebnie się wypiera swojej niespodzianki. To ładnie z jego strony, że taką obmyślił dla ciebie... Dla nas wszystkich. Tato, oczywiście postąpisz wedle własnej woli. W jednym natomiast się mylisz. Dysponuję takimi możliwościami. Wiesz, jakimi. Powiem tak: na dziś niczego nie planowałeś. Intuicja mi podpowiada, że chodzi ci o jutro. Dlatego tak łaskawie przystałeś na jutrzejszą wizytę u notariusza. Możesz jednak tam, dokąd się wybierasz naprawdę, nie zdążyć. Nie jestem aż tak naiwna, chociaż jestem twoją małą, śliczną dziewczynką, prawda, tato? Więc jaką umowę podpisałeś z panem Jaworskim?

– Ale wyłącznie wstępną, przysięgam! – krzyknął. – Kochanie, nie mogłem takiej okazji wypuścić z ręki, uwierz mi! Gość się napalił, wytargowałem cenę dwustu pięćdziesięciu tysięcy euro. Oczywiście, po jutrzejszym przepisaniu na ciebie praw własności, będą to twoje pieniądze! Ty nimi rozporządzisz, bo ty sfinalizujesz już notarialnie umowę kupna–sprzedaży z tym panem.

– Piotr! Marta! Mówicie serio? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro? Nie, to jakieś szaleństwo, co wy wygadujecie?

Biedna mamo, twoje szczęście, że nigdy się nie dowiesz prawdy. Przeżyłabyś zdradę ojczyma, lecz takiej prawdy o nim na pewno nie.

– Kiedy, tato, zamierzałeś z panem Adamem Jaworskim podpisać właściwą umowę?

– Marta, skończ z tym przepytywaniem, mama się denerwuje. Nie denerwuj się, kochanie. Wreszcie rzucisz te swoje przeklęte lekcje prywatne, szkołę dla pracujących, wreszcie odpoczniesz, pójdziesz do kosmetyczki, nakupujesz sobie i dziewczynkom nowych ubrań, komputery, większe mieszkanie, nawet apartament, meble. Na wszystko będzie cię stać.

I sądzi, że tym mnie zagada?

– Tato. Zadałam pytanie. Oczekuję konkretnej odpowiedzi. Na kiedy jesteś umówiony z tym panem Jaworskim? Powiedz mamie. Niespodzianka się wydała, koniec niespodzianki. Jak to się mówi? Karty na stół, tato.

– Na sobotę – policzki ojczyrna przybrały kolor fioletu.

– Na tę sobotę?

– Tak, ale przecież jutro przepisuję na mamę. O co ci chodzi, Martunia?

Ja ci dam Martunię, dupku. Martunia jeszcze ci się dobierze do skóry. Martunia cię przejrzała.

– Przestańcie, proszę – denerwowała się matka. – Bawicie się w ciuciubabkę, czy jak? Piotr, a może ten kupiec tyle nie da? Albo wycofa się z transakcji? Wizja wspaniała, pewno: nowe mieszkanie i wszystko, czego dusza zapagnie. Życie mnie jednak nauczyło, żeby nie cieszyć się zawczasu.

– Kochanie. Jak nie ten, znajdzie się inny. To wyjątkowo piękne miejsce, tuż nad jeziorem. Może nawet lepiej poczekać, uzyska się lepszą cenę. O wszystkim zadecydujesz sama.

– Z tobą, Piotruś, z tobą – zaoponowała matka. – Wszystko jest wspólne. Nasze. Martusia, ty drżysz. Już dawno powinnaś się z takim osłabieniem

położyć. Ty, Piotruś, też nie wyglądasz najlepiej. Też się połóż. Ja sprzątnę ze stołu, pozmywam, a potem do ciebie przyjdę porozmawiać.

Ojczym czmychnął natychmiast, niczym spłoszony zając. Matka zabrała się za sprzątanie. Z „dziupli” dochodziły podniesione głosy bliźniaczek. Kłóciły się o komputer. *Mam mało czasu. Nie będę dobrą córką i nie pomogę zmywać, mamo.*

Bez pukania wparowała do pokoju ojczyma. Tak jak się spodziewała: rozmawiał przez komórkę. Wyciągnęła rękę.

– Dawaj, oszuście.

Rozłączył się błyskawicznie. Roześmiała się.

– Kombinator. Jakiego to jeszcze kolejnego asa chowasz w rękawie? Przyznaj się swojej kochanej córeczce.

– Czego chcesz? Robię tak, jak mi każesz. Wynoś się.

– Więc jednak wybrałeś skandal, kochany tatusiu? Mówiąc szczerze: na twoim miejscu też wolałabym czmychnąć z taką kasą. Co mi tam szkoła, rodzina i takie inne duperele, no nie? Naprawdę sądziłeś, że jestem tak głupia jak moja biedna matka? Dobrze grałeś i przed nią, i przed notariuszem, i przede mną również tę swoją rolę. Ale nie zdążysz, tato. Umówiłeś się z tym kupcem na podpisanie aktu notarialnego nie na sobotę, ale na jutro. Takiego to asa chowałeś w rękawie. Dlatego zależało ci na jednym, aby dziś nie ujawnić nagrania. Jutro już byś się na nie wypiął. Którym pociągiem zamierzałeś jechać do Warszawy? Tym o ósmej, prawda? Wyjechałbyś, niby do szkoły, samochodem, jak zwykle około wpół do ósmej, po upojnej nocy spędzonej z moją matką, żegnając się z nią jak najczulej: tylko nie zapomnij, kochanie, punktualnie o jedenastej u notariusza, weź taksówkę, teraz już możesz sobie pozwalać na luksus. I tyle byśmy ciebie widziały. Potwornie się spociłeś, tatusiu, jakbyś się nagle znalazł w

łaźni. Dawaj. Namiary na tego Jaworskiego czy jak mu tam naprawdę. Dawaj albo dzwonię do Wierzbickiego.

– Nie ma go w firmie o tej porze, spryściulo.

– Mylisz się. Jest. Sam zadzwoń, znasz numer do firmy. *Boże, to koniec.*

Wszystko na nic. Szef kuruje śliwkę w domu.

– A zadzwonię, zadzwonię.

– Dzwoń.

Usiadła naprzeciwko ojczyma. Ziewnęła. Założyła demonstracyjnie nogę na nogę

– Martusia. Zastanów się. Nie odpychaj. Tak długo na ciebie czekałem.

Jeszcze możesz to zmienić – zaszeptał. – I wszystko będzie twoje...

– Dzwoń, draniu.

– Trudno. Sama chciałaś – ojczym wybrał numer. Zamarła. *Tylko cud może mnie uratować. A cudów nie ma.*

Nagle twarz ojczyma zszarzała. Odrzucił komórkę, jakby go ugryzła w ucho. Kurwa, zaklął. Kurwa. Żeby cię szlag, Marta. Żeby szlag. O *Boże, cud. Trzymaj się, Marta, nie zemdlej, roześmiej się.*

– No i co, tatku? – roześmiała się. – Dawaj namiary. I nie klnij. Nie wypada, aby tak stateczny facet tak wulgarnie klął.

– Kurwa, masz rączki, sama weź komórkę, kurwa. Znajdziesz go w książce.

Był. Adam Jaworski. 401 270 985.

– Halo? Pan Adam Jaworski? Dzień dobry. Nazywam się Marta Stańczyk, córka Piotra Stańczyka. Mam dla pana dobrą i złą wiadomość. Zacznę od złej: tatę dziś zabrało pogotowie do szpitala. Słucham? Nie, nic aż tak poważnego, miał ostatnio wiele stresów, wie pan, jak to jest w dzisiejszych czasach. Tak, zawał, na szczęście lekki, ale musi poleżeć. Nie, ależ skąd, i to jest właśnie dobra

wiadomość dla pana: warunki umowy wstępnej pomiędzy panem a tatą zostaną dotrzymane, lecz musimy ustalić nowy termin ostatecznego sfinalizowania sprawy u notariusza. Słucham? Kiedy? No, sądzę, że za dwa tygodnie, nie wcześniej. Ależ nie, nie mamy zamiaru podbijać ceny. Tata, jak się tylko lepiej poczuje, sam do pana zadzwoni. Dziękuję, przekażę. Do widzenia.

– Życzy ci szybkiego powrotu do zdrowia – teraz już mogła swobodnie się roześmiać.

– Kurwa.

– Odpoczywaj, tatusiu. Odpręż się. Zaraz przyjdzie mama. I posłuchaj mnie: jeżeli nie będziesz dla niej miły, dobry, czuły, postaram się, a teraz wiesz, że potrafię, więc postaram się, draniu, aby ani jedna nawet złotówka nie wpadła do twojej kieszeni. Zrozumiałeś?

Skulił się.

– A twoją komórkę zabieram. Tak na wszelki wypadek. I jeszcze jedno: szef na jutro dał mi wolne, będę od rana twoim dobrym aniołem stróżem. *Jezu, muszą się położyć. To nie ten drań, tylko ja zaraz dostanę zawału.* – I jak najprawdziwszy anioł stróż nie opuszczę cię ani na chwilę. Nawet do kibla za tobą pójdę.

Wchodząc do swojej dziupli, usłyszała matkę, idącą korytarzem do pokoju ojczyma, nucącą jakąś melodię. *Jest szczęśliwa. No i to o chodzi. Mimo wszystko kocham cię, mamo.*

– Możecie sobie dalej grać – powiedziała siostrom – tylko bądźcie cichutko. Boli mnie głowa.

Białe i różowe glaudiole. Dużo ich było w tym bukiecie. Tknięta przecuciem, poderwała się z łóżka, pobiegła do dużego pokoju. Glaudiole

pyszniły się w kolejnym kryształ. Policzyła je. Dwadzieścia dwie. *Tyle, ile mam lat. Przypadek? Oczywiście, idiotko, że przypadek.*

Kilka razy pomyliła numer, nim drżącymi palcami wybrała właściwy. Głos Wierzbickiego wywołał panikę. *Co ja wyprawiam? To niemożliwe, ale dlaczego akurat dwadzieścia dwie?*

– Przepraszam, panie prezesie, że niepokoję. Chciałam tylko podziękować za kwiaty.

– Jakie kwiaty? Mam mnóstwo pracy, niech mi pani nie zawraca głowy jakimiś kwiatami! – i rozłączył się.

No i zrobiłam z siebie idiotkę. A swoją drogą, mógłby być bardziej uprzejmy.

Na kolację, mimo wspaniałych zapachów, nie poszła, wymawiając się bólem głowy. Matka, oczywiście, kazała łyknąć dwa apapy, zmierzyć gorączkę, wypić herbatę z cytryną.

– Do jutra wyzdrowieję, nie przejmuj się tak – powiedziała. Nie chciała, nie mogła teraz patrzeć ani na matkę, ani na ojczyma. Ojczyma, jak udaje wspaniałego męża. Matkę, którą tak łatwo zwieść i która, do cholery, kocha takiego skończonego drania i płonie pożądaniem, nie mogąc doczekać się nocy.

Czerwcowy wieczór ciągnął się długo. Stała w oknie.

Na samym końcu parkingu, w tym samym miejscu, co wczoraj, lśnił w zachodzącym ostro słońcu metalik luksusowego samochodu. *Niestety, to nie Wierzbicki. Dlaczego pomyślałam: niestety?*

Został po nich jedynie bałagan, porozrzucone ubrania, niepozmywane po pospiesznym śniadaniu talerzyki, kubki, szklanki. Wynajęta na szóstą rano taksówka miała ich zawieść wprost na Okęcie. Odlot do Egiptu o godzinie jedenastej. Wychodząc, załomotali w drzwi jej dziupli wściekłymi pięściami: Ma cię tu nie być po naszym powrocie, ani śladu, pamiętaj!

Jeszcze ich tupot po schodach.

I cisza. Zła, wroga, osaczająca wszechogarniającą nienawiścią długiego miesiąca, podczas którego ustalali u notariusza kolejne zapisy. Bładzi, z zaciętymi ustami; splakane dziewczynki, nierozumiejące, co się w tym domu dzieje. Poza jednym: że nie wolno im odzywać się do starszej siostry, nawet wchodzić do jej dziupli nie wolno, bo ona dla nas już nie istnieje, jest tak zła i podła, przez nią mamusia omal nie umarła na serce, pokrzykiwał ojczym.

Czasem, późnym wieczorem, gdy nienasycona matka zaciągała ojczyma do łóżka zaraz po „Wiadomościach”, pozwalając dziewczynkom oglądać dotąd zakazane filmy w telewizji, słyszała ciche pukanie i jeszcze cichszy głos Dagmary albo Patrycji.

– Martusia, my i tak cię kochamy. Martusia, odezwij się. Martusia, ty nie jesteś zła, prawda?

A ponieważ nie odpowiadała, odchodziły z tłumionym płaczem. *Moje biedne, kochane siostrzyczki: i ja was kocham. To, co zrobiłam, było podłe, chociaż podobno cel uświęca środki, zaś moim celem był wasz tatuś i dzięki temu, co zrobiłam, być może nigdy nie poznacie prawdy o nim. Niech wasza miłość do swojego tatusia pozostanie dalej czysta, niesplugawiona. Moja biedna mamo, nawet w myślach nie proszę cię o wybaczenie.*

Masz prawo mnie skreślić ze swego serca, choć nie wiesz i nigdy nie dowiesz się, że uratowałam twoje małżeństwo, a twój ukochany Piotruś, mamo,

nie ośmieli się ani ciebie, ani dziewczynkę porzucić czy okraść. Mój szantaż będzie działał również na odległość.

– Nie wyobrażaj sobie, że wyrzucając mnie z domu, jesteś bezpieczny. Nie jesteś. W każdym momencie mogę ujawnić nagrania. Będziesz do końca swego podłego życia czuł mój oddech na plecach – powiedziała ojczymowi.

– Kurwa, przecież dostałaś wszystko, co chciałaś! Ograbiłaś rodzoną matkę z pieniędzy.

– Nie. Ja jej pieniądze ochroniłam przed twymi złodziejskimi łapskami.

– Kurwa, niech ci będzie. Czego jeszcze ode mnie chcesz, kurwa?

– Lubisz młodziutkie, rudowłose i filigranowe? Na szczęście moje siostry nie są w twoim typie. Nie będziesz się do nich dobierał. Ale wybij sobie z głowy pedofilskie zapędy, omijaj z daleka wszelkie rudowłose, filigranowe, młodziutkie dziewczynki. Masz zachowywać się przyzwoicie. Udawać, że kochasz matkę, kochasz swoje córki, chociaż naprawdę masz je gdzieś. Jeśli porzucisz rodzinę, roześlę za tobą listy gończe.

– Kurwa, jak ja cię nienawidzę.

– I tak trzymaj, kochany tatusiu – roześmiała się, modląc się w duchu: Marta, wytrwaj. Wytrzymasz i ten, jeszcze jeden szarpiący bólem śmiech. Wszystko wytrzymasz, zniesiesz, za kilka dni wyjadą, wówczas wolno ci się rozkleić, nawet wyć, gryźć palce, wiedziałaś przecież, na co się porywasz.

Transakcję z Jaworskim dokonano dziesiątego lipca. Widziała triumfującą twarz ojczyma. Dureń. Potrafię przewidzieć twój następny ruch, za wielka kasa, abyś miał ją sobie odpuścić.

Tego samego dnia, wieczorem, gdy ojczym namawiał matkę do kupienia volvo, co chwila liżąc ją pocałunkami, powiedziała:

– Jest nas cztery. Żądam, mamó, sprawiedliwego podziału pieniędzy. Dom wraz z ogrodem należał do twoich rodziców, a moich dziadków. Ojcu nie należy się ani złotówka, to twój spadek, nie podlega on wspólnocie majątkowej, chociaż już raz byłaś taka głupia, że ofiarowałaś go ojczymowi i ledwo udało się to odkręcić. Ustal natychmiast kolejny termin u notariusza. Sto tysięcy dla ciebie, mamó, pozostałą sumę podziel między nas, to jest równiutko po pięćdziesiąt tysięcy: dla bliźniaczek i dla mnie. Nie ufam ojczymowi. On i tak znajdzie sposób, żeby dobrać się do tych twoich stu tysięcy. Przekona ciebie pocałunkami, obietnicą dozgonnej miłości. Zostaniesz z ręką w nocniku. Goła i bosa. Tak, wiem, byłam, jestem i pozostanę podła, mamó. Nie obchodzi mnie, co o mnie sądzisz. Kocham swoje siostry. Te pieniądze zabezpieczą ich przyszłe życie. Mogłabym się zrzec swego udziału, ale nie zrzeknę się, gdyż sama myśl, że ojczym by na tym skorzystał, przyprawia mnie o mdłości. Owszem, mamó, nienawidzę go i on wie, za co. Prawda, tatusiu, że ty wiesz, dlaczego cię tak nienawidzi twoja śliczna, maleńka dziewczynka? Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale wpłyniesz na nią, na tę swoją głupią żonę, żeby zrobiła to, czego żądam. Nagrania czekają, tatusiu. Pamiętaj o nich.

Matka zasłabła. Po ocuceniu ojczym zaprowadził słaniającą się matkę do ich pokoju. Rozmowa była burzliwa, okrzyki protestu matki: Nigdy, Piotrusiu, nigdy!, rozlegały się długo. Wreszcie ucichły.

– Nie mam córki – powiedziała bardzo blada matka. – Przeklinam chwilę, w której cię wydałam na świat.

– Należało mocniej ścisnąć swój brzuch, mamó. Tak samo mocno, jak mój. Urodziłabyś martwe, uduszone dziecko. Tak jak ja urodziłam swego syna. Więc do rzeczy, mamó. Tak czy nie?

– Tak, tak! – krzyknął ojczym. *Szczur. Złapany w klatkę* –Dostaniesz pieniądze! I udław się nimi.

– Udław – powtórzyła jak echo, bliska ponownego zemdenia matka.

– A dziewczynki?

– Są niepełnoletnie – z ostatnią, żalną nadzieją w głosie odezwał się ojczym, podtrzymując chwiejącą się matkę.

– Niepełnoletni również otrzymują spadki. Notariusz wie, jak się takie sprawy załatwia.

– To weź sobie wszystko, co do grosza i udław się nimi, żeby ciebie szlag, szybko, jak najszybciej – zabelkotała matka.

– Nie potrzebuję wszystkiego. Jedynie swoją część. I zapisy dla dziewczynek.

– Kurwa – wyrwało się ojczymowi – kurwa. Niech ci będzie, suko.

Podeszła do niego. Uderzyła. *Za tę sukę, za jego palce w jej kroczu, za księdza, który się aż wychylił z konfesjonatu, za dzieciństwo podzielone między niechęć matki, jej bicie, wrzaski, inwektywy i strach przed lekkim szmerkiem otwieranych drzwi do dziupli, za spermę na swoim brzuchu, za to również, że dotyk Pawia przejmował ją wstrętem i za to, że pewno nigdy w swoim życiu nie wynurzy się z tej swojej skorupy obrzydzenia do mężczyzn. Za to, że nie pozna miłości i nigdy nie urodzi dziecka, ponieważ każdy mężczyzna, któremu się odda, będzie miał twarz ojczyma, będzie sapał jak ojczym. Więc nigdy, z żadnym.*

– No uderz! Uderz i mnie! – krzyknęła matka.

– Koniec przedstawienia – powiedziała im, ponieważ jej czas się kończył, dziewczynki zaraz powrócą od koleżanki.

I tak je straciła, już oni oboje postarają się im udowodnić, że ich starsza siostra to potwór. – Czekam na konkrety. Daję ci tydzień na sfinalizowanie

sprawy – zwróciła się do ojczyma, z czerwonym plackiem po jej uderzeniu na policzku.

– Dobrze, kurwa. Dobrze. Będzie, jak sobie życzysz.

– Piotr! Co tu się dzieje? Ty się jej boisz, Piotr? – krzyknęła matka. – Ona cię czymś szantażuje?

O, tak, mamo. On się mnie boi. I będzie się bał nieustannie. Wreszcie to pojęłaś. Zobaczyłaś jego strach. Dobrze, że nie znasz przyczyny tego strachu. Od niego się nie dowiesz, gwarantuję. Ode mnie też nie. Zresztą, nie uwierzyłabyś ani jednemu mojemu słowu. I tak, mamo, nawet jakbym miała to nagranie, którym go szantażuję, nie pokazałabym ci, bo by cię ono zabiło. Kochaj swego Piotrusia. Tak miało być. Ja: potwór, on zaś: twój ukochany Piotruś. Szlachetny aż do bólu.

– Zamknij się! – wrzasnął ojczym do matki. – Nie wtrącaj się.

– Nie podnoś na matkę głosu! Nigdy! Chyba że chcesz...

– Nie chcę! – ryknął. Zaczepnął powietrza. – Wszystko według twojej woli. Ale coś za coś. Zwrócisz kasetę.

– Proszę uprzejmie, zwrócę. Skąd jednak pewność, że nie zrobię kopii?

Matka chwyciła ojczyma za ramię. Szarpnęła.

– Piotruś, posłuchaj kochany – wyrzucała z siebie pospiesznie, urywanie – nie bój się. W czym ona może ci zaszkodzić? Cokolwiek powie, zaprzeczę! Boże, to wszystko przez te przeklęte pieniądze! Ona nie dostanie nic. Wszystko przepiszę na ciebie. I znowu będziemy szczęśliwi. Wtedy ona nie dobierze się do tych pieniędzy.

Chodzi, mamo, o to, aby on nie dobrał się do twoich pieniędzy.

– To ty mnie posłuchaj, kochanie – ojczym stał się przymilny; przytulił matkę. – Nie warto sobie brudzić rąk. Nie warto tak się przejmować. Niech ma,

czego żąda. I tak przecież, kochanie, zabezpieczylibyśmy nasze dziewczynki. Odkładałaś za każdą korepetycję na konto do banku. Uzbierało się tego przez te lata... Prawda, kochanie? Znając dobroć twego serca, odpaliłabyś i Marcie. Może nie tyle, może mniej, lecz to oczywiste, że w ten sposób byś postąpiła. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tamte pieniądze plus te ze spadku i nasze ukochane córeczki mają przyszłe życie usłane różami. A Marta? Przynajmniej teraz wiesz, kogo kochałaś, dla kogo się poświęcałaś. Wyszło szydło z worka. Marta pokazała nam swoją prawdziwą twarz, niegodną nawet splunięcia. Tak, kochanie, tak – mówił troskliwie, starannie modulowanym tonem, głaskał uspokajająco matkę po plecach, obejmując, prowadził ją ku drzwiom swego pokoju.

Zamknął za nią drzwi, aby zaraz wypaść i wysyczeć:

- Zadowolona? Odczepisz się ode mnie?
- Odczepię, gdy tylko matka podpisze dokument u notariusza.
- Masz to jak w banku, obiecuję.
- Pewno. Lepsze sto tysięcy niż nic, prawda? No i z pewnością lepsze od więzienia. Pedofili tam nie kochają.

Zostawiła go na korytarzu. Schowała się w swojej dziupli. Czowała się w środku pusta. Zupełnie jak w szpitalu, kiedy już widziała, że rodzi martwe dziecko. Podeszła do okna. Czysta paranoja, ale za nic nie usiadłaby teraz na kozetce, na której leżała, targana bólami, ciągle z nadzieją, że syn żyje, urodzi go i lekarze włożą jej dziecko do inkubatora, dołączą do sztucznego płuca, przecież medycyna ratuje życie takim wcześniakom. *Nie. O tym nie myśleć. O tym nie.*

Kroki sióstr, ich wesole okrzyki, potem nagle zamienione w płacz. Co mamusi, tatusiu? Ona umiera? Martusia ją zabiła? Jak to zabiła? Martusia zamknęła się w swojej dziupli, tatusiu... Wycie sygnału karetki, ostre, brutalne

jak wyrzut sumienia, trzask drzwi, obce kroki, cisza, cisza, *Boże, niech się skończy ta cisza, czemu tak długo, a jeśli to zawał i ona przeze mnie umrze.*

– Na pewno, panie doktorze, nie zawał? – Nerwowo załamujący się głos ojczyma, jakby pełen zawodu, że jednak nie zawał. – Więc dlaczego tak zsiniały jej usta, dłonie? Wystarczą tylko zastrzyk i te leki uspakajające? Owszem, żona przeżyła silny stres, och, dziękuję, doktorze, a tak się bałem... Dziewczynki, mamusia musi odpocząć, pójdziemy do kuchni, przygotujemy kolację. To my do Martusi, tato. Nie ma Martusi. To znaczy jest, ale nie wolno wam z nią rozmawiać. Martusia zrobiła coś bardzo złego. Jesteście zbyt małe, kiedyś to wam razem z mamusią wytłumaczymy. Bez beczenia, proszę. Wiem, że ją kochacie. Tak samo jak ja i mamusia. Ale na razie musi ponieść karę. No, już, już, dziewczynki.

– Ale jej wybaczycie, prawda? – to Dagusia.

Kochana siostrzyczka. Nie płacz. Ty również; Patrysiu, nie płacz. Wliczyłam w kosztę i wasz płacz, i świadomość, że was stracę. Przynajmniej na jakiś czas. A jeśli na zawsze, trudno. Przynajmniej on was nie okradnie, jesteście zabezpieczone. Choć tyle, siostrzyczki, choć tyle.

Stała przy oknie, czekając, aż dom uśnie. Wieczne niebo bez gwiazd, mimo dobrej pogody jakby pokryte poświatą od łuny wielkiego pożaru: światła miasta, przecina biała smuga samolotu odrzutowego. Ostrzegawczą czerwienią migoczą wysokie wieże dwóch elektrociepłowni. Parking jest dobrze oświetlony ulicznymi latarniami. To ma niby odstraszyć złodziei samochodów. Na samym końcu, jak co wieczór, srebrzy się wóz w kolorze metalik. Nie udało się jej dotąd uchwycić momentu, w którym przyjeżdża. Wie tyle, że stoi tam do późnych godzin nocnych. Rano go nie ma. Jego właściciel ma tu kochankę? Kochankę na kilka nocnych godzin, żonę na całe życie. Jak szef. Z tą różnicą, że szef nie

odważy się mieć kochanki. Żona mu dała wytyczne, jak ma się zachowywać wobec swojej seksownej sekretarki. Szef jest stale niezadowolony. Czepia się o byle głupstwa. Nie dał podwyżki po trzecim miesiącu pracy. Zdenerwował się, podniósł głos. Z pani nie jest taki cud, pani jeszcze się stale myli, nie przykładaj, lekceważ moje polecenia, pani jest zbyt pewna siebie, na podwyżkę w tej firmie należy solidnie się napracować. Nie umiem powiedzieć, kiedy i czy w ogóle ją pani dostanie! Pensja półtora tysiąca netto w dzisiejszych czasach, z pani kwalifikacjami, to bardzo wysoka pensja, wielu tylko marzy o takiej. Nawet jej imienia unikał. Dawał do zrozumienia, że może ją zwolnić. Niech pani sobie nie wyobraża, że zakotwiczyła się na ciepłej posadce na dobre, na zawsze, ostrzegł kilka razy, rzucając papierami, w których znalazł dwa opuszczone podczas przepisywania znaki interpunkcyjne. I proszę zmienić styl ubierania. Tu nie pub, gdzie chodzi pani podrywać facetów, wabiąc ich ledwo zakrytymi udami. Pani ubiera się wyzywająco. Sekretarka reprezentuje firmę, ma nosić elegancki kostium, skromny makijaż, skromną, nierzucającą się w oczy fryzurę. Proszę coś zrobić ze swoimi włosami. Mają być gładko zaczesane. Zrozumiała pani? *Jezu, przestań się czepiać. Nie pokazuję nóg do pół uda, moje rzekome mini odsłania jedynie kolana. Nie malowałam się nigdy, ponieważ nie muszę się malować. Włosy ściagam z czoła, wiążę je w koński ogon. Czego ty chcesz ode mnie, człowieku?*

Chodzenie do pracy stało się udręką. Teraz jej na niej szczególnie zależało, nawet za półtora patyka. Nie zamierzała ze „swojej działki” korzystać, nie miała zamiaru zabrać ani jednego euro. To były, są i pozostaną pieniądze matki, które jej w odpowiedniej chwili zwróci wraz ze wszystkimi procentami, najlepiej anonimowo, żeby matka nie pomyślała, iż to próba przeprosin lub odkupienia winy. Przewidywała dokładnie skutki swego planu, nie istniała możliwość ich

wyeliminowania: będzie bolało. *Kogo silniej? Ją czy matkę? Matka szybko pocieszy się swoim odzyskanym, potulnym Piotrusiem. O mnie inaczej jak o potworze nie potrafi myśleć. Sama, będąc na jej miejscu, myślałabym podobnie: starałabym się jak najszybciej zapomnieć wyrodną córkę. To dla ciebie, mamo, niewielka strata wyrzucić mnie ze swojej pamięci, w twoim sercu i tak zajmowałam malutki skraweczek. Uzyskasz, mamo, na dodatek rozgrzeszenie dla siebie. Biłaś mnie, ponieważ zawsze byłam podłym dzieckiem. No i zaoszczędzisz sporo grosza, bo przestaniesz dawać księdzu na mszę w intencji mego nawrócenia.*

Szef oficjalny, nadęty, zły. Niepewność. *A jeśli pozbawi mnie pracy, co wówczas? Matka po tym, co robię, wyrzuci z domu. Przecież nie wie, że nie skorzystam z jej kasy. Nie znajdzie dla mnie okoliczności łagodzących. Tylko ja je znam. Muszę pracować. Kazali potworowi się wyprowadzić. Zostać bez dachu nad głową i bez pracy? Sama, sama, odrzucona, wyklęta i przeklęta, bez nikogo przyjaznego, bo i Janka się obraziła śmiertelnie.*

Janka urodziła na początku lipca, przed czasem. Tak często bywa przy ciążach bliźniaczych. Dzieciaki powędrowały do inkubatorów. Nic im nie zagrażało, miały jedynie niedowagę. Są przepiękne, Marta. Kinga jest w złotych loczkach. Andrzejek podobny do ojca, z długimi, ciemnymi rzęsami i takim śmiesznym czarniawym puszkim na główce. Tylko nie przynoś kwiatów. Andrzej mnie nimi dosłownie zasypał. Marta, halo? Jesteś tam? Więc posłuchaj, możesz się umówić z moim mężem albo przyjść sama, ale po południu, kiedy zostaje na dyżurze jeden lekarz. Niełatwo wejść na oddział położniczy. Wprost nie mogę się ciebie doczekać, pochwalić się swoimi bliźniakami. One są takie piękne. Wszyscy się nimi zachwycają. Oczywiście, myślisz: głupia Janka, każdej

matce jej dziecko zawsze wydaje się ósmym cudem świata, lecz przekonasz się, że takich ślicznych buziaczków w życiu nie oglądałaś.

– Przyjdę dzisiaj – odpowiedziała i przerwała rozmowę. *Jaki kolor włosów miałby mój syn? Po mnie: miedziane? Czy po Pawle: czarne? Wrzucano go po kawałku do miednicy czy wiadra, czy czegoś tam. Słyszałam chlupot. W oczach pielęgniarki, przytrzymującej mi głowę, przerażenie. To, co wrywano mi kawałkami z macicy, nie było piękne. Nawet już nie było moim synem. Jezu, Janka, nie mogę, nie zdołam oglądać twoich ślicznych buziaków.*

– A pani co? Ogłuchła? Od dwóch minut mówię do pani.

– Przepraszam, panie prezesie. Zamyśliłam się.

– Pozostaje pani mnóstwo czasu na „zamyślania się” po godzinach pracy!

– Przepraszam, to się nie powtórzy. – *Z wielką przyjemnością, szanowny panie prezesie, powiedziałabym: odpieprz się, dupku. Kicham na twoją firmę, pracę w niej oraz na ciebie. Pakuję torebkę, odchodzę.* – Naprawdę, panie prezesie. Nie powtórzy się. – *Ale niestety muszę się płaszczyć, poniżać, skakać jak tresowany psiak na dwóch łapkach przed tobą, ponieważ nie mam innego wyjścia.*

– Dlaczego nie przyszedłaś? – napadła Janka następnego dnia. – Czekałam prawie do nocy. Tylko mi nie mów, że miałaś dużo pracy. W letnim sezonie w firmie jest z reguły przestój. Obrażę się, jeśli dziś się nie zjawisz. Wiem, że masz różne fobie, za sobą silne przeżycia, lecz nie dotyczą one niemowlaków, bo niby skąd? Przecież nie miałaś dziecka.

– Na pewno przyjdę. Nie gniewaj się – przerwała.

Po pracy pojechała do szpitala. Kupiła symbolicznie jedną gerberę. Obeszła szpital kilkakrotnie dokoła. Wróciła na przystanek. Tramwaj nadszedł. *Muszę, muszę chociaż mieć Jankę, nie mogę nie mieć nikogo.* Zawróciła, zaciskając zęby

i pokonując słabość nagle bezwładnych nóg, dotarła pod duże, oszklone drzwi, którymi ją wnoszono wieczorem, siódmego stycznia. Obok niej biegła matka, zapewniając kłamliwie: wszystko będzie dobrze, Martusia, wszystko dobrze. Miej ufność w Bogu. Pot zalał oczy. Żołądek podszedł do gardła. *Zaraz zwymiotuję. Nie dam rady. Nie potrafię. Za tymi drzwiami przez kilka godzin trwała jeszcze moja nadzieja, nie wydałam jęku z nadzieją, że jeśli przetrzymam ten ból, i ten następny, i jeszcze następny będzie to oznaczało, że urodzisz się żywy. A potem wyrywano cię, mój synku, kawałkami, nie wiem, co najpierw, czy nóżki, czy twoje rączki z chlupotem wpadały do jakiegoś medycznego naczynia, a może nie było żadnego chlupotu? Może tylko tak mi się wydawało? Może to były łzy tej pielęgniarki, która powtarzała: dziecińo, wytrzymaj, zaraz będzie po wszystkim, a potem, kiedy rzeczywiście było po wszystkim, objęła mnie, powiedziała: dziecińo, czemu nie płaczesz? Płacz. Płacz przyniesie ci ulgę. Ale to ona rozplakała się, nie ja. Nie wiem, czy nade mną, czy na tymi twoimi kawałeczkami, jakie po tobie zostały, synku. A może płakała nad sobą, że musiała przyglądać się temu, co ci robiono?*

– Pani jest słabo? – ktoś dotknął jej ramienia. – Proszę pani?

Więc uciekła. Otoczyła ją gęsta mgła. Biegła ulicą, wpadała na ludzi, słyszała piski hamujących samochodów. Nagle została czymś silnie uderzona, potem obezwładniona czyimś mocnym uściskiem, gdzieś ją wleczono, gdzieś wieszono. Nie rozumiała niczego poza jednym: nie potrafi przekroczyć tamtych drzwi, ani teraz, ani nigdy, bo za tamtymi drzwiami zacznie rodzić po raz kolejny swego martwego syna. Nie jest pijana, słyszała męskie głosy, jest w szoku, co z nią zrobić? Omal nie wpadła facetowi pod samochód, miała szczęście, że przeleciała przez maskę, ale za to facet najadł się strachu. Ledwo ją dogoniłem, podniosła się i spieprzała jak wyścigówka, zobacz, to jej dowód. Nazywa się

Marta Stańczyk. Taka młoda i już rozwódka? Jest adres, może ją po prostu odwiedzić do domu? Raczej do wariatkowa. Tu jest jeszcze legitymacja studencka. Nieaktualna, zaraz, tu jeszcze legitymacja pracownicza. Dziewczyno, odezwij się, przestań wywracać oczami. Mam córkę w twoim wieku, szkoda mi cię wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak – z mgły wyłoniły się męskie twarze, faceci w policyjnych mundurach.

– Jak się nazywasz?

– Marta Stańczyk.

– Czy ktoś ci zrobił coś złego, że tak uciekałaś?

– Nie. Nikt mi niczego nie zrobił. – *Co ja mam im powiedzieć? Zamknę mnie albo zawiozę do psychiatryka. Jezu, zupełnie nie wiem, co się ze mną działo. Mam w pamięci czarną dziurę. Szef wywali mnie z pracy. Ojczym ograbi matkę. Muszę wymyślić coś wiarygodnego.* – Bardzo mi przykro. Przeżyłam szok. Poszłam odwiedzić przyjaciółkę w szpitalu... – *I co dalej?*

Nie wiem, nie wiem. – W szpitalu na Łagiewnickiej. Ona wczoraj... – *Co ona wczoraj? Co ona?* – Ona wczoraj urodziła swoje pierwsze dziecko. Dziś rano zadzwoniła do mnie... że, że... Czuje się doskonale, wszystko okej, bez komplikacji. Kupiłam gerberę. Przyjechałam. A ona, a ona... – *Co ona? Co?* – Weszłam na oddział, a ona... A jej nie ma... ona umarła, nagle... – *Na co nagle? Na co nagle umiera młoda, zdrowa dziewczyna?* – Nagle dostała krwotoku. Nie potrafiłam w to uwierzyć. Jak to, pytałam, jak to, przecież rozmawiałam z nią dziś rano, mówiła, że czuje się świetnie? Dali mi zastrzyk. Potem gdzieś biegłam, nie bardzo pamiętam, dokąd.

– Co za nieszczęście. Nic dziwnego, że przeżyłaś szok. Dobrze, dziewczyno. Odwieziemy cię do domu. A może jednak potrzebujesz pomocy lekarskiej? Pamiętasz, że przeleciałaś facetowi przez maskę?

Mimo jej zapewnień, że czuje się świetnie, zawieźli na pogotowie i odjechali. Opuściła poczekalnię pogotowia, wsiadła w taksówkę. Z domu zadzwoniła do Janki.

– Wybacz, ale nie mogę. Przysięgam. Próbowałam.

– Marta! Wyglupiasz się czy jak? Nie możesz przyjść do szpitala, zobaczyć mnie i moje najpiękniejsze na świecie dzieci? Z kim się podzielę swoją radością, jeśli nie z tobą?

– Przykro mi. Może gdybyś leżała nie w tym szpitalu...

– A co ma szpital do rzeczy? – *Są sprawy, Janka, o których nie masz pojęcia. Nie zetknęłaś się nigdy z nimi. I dobrze. Bo je trudno przeżyć, a jeszcze trudniej zapomnieć, okaleczają cię na zawsze. Nie istnieje na nie lekarstwo. Stajesz się żywą raną, która jedynie od czasu do czasu zasklepia się, zasycha, a potem nagle otwiera i zaczynasz krwawić od nowa.* – Marta? Jesteś tam?

– Jestem. Bardzo zmęczona, lecz jestem.

– Marta, zachowujesz się jak histeryczka! Wytlumacz mi, co jest grane!

– Nie zrozumiesz. Jesteś szczęśliwą matką dwojga ślicznych dzieci. Nie potrafisz zrozumieć kogoś takiego jak ja.

– Nie, to nie. Nie będę się napraszać. Jesteś nieźle stuknięta. To się zrobiło nudne.

– Janka, posłuchaj. Kiedyś ci wytłumaczę.

– Powtarzasz mi to codziennie. Od miesięcy codziennie cię do siebie zapraszam, kusząc a to sernikiem, a to szarlotką, ty zaś w kółko swoje. Nie mogę, wybacz, zrozum, nie jestem gotowa do oglądania szczęśliwej rodziny.

Teraz znowu, że do innego szpitala byś przyszła, ale do tego nie. Kompletna paranoja. Wniosek jeden: olewasz mnie i tyle.

– Janka, przysięgam! Nie olewam. Bardzo mi zależy na twojej przyjaźni.

– Gówno prawda. Chrzanisz. Nigdy ci na mnie nie zależało. Dzwoniłaś, bo miałaś w tym swój biznes, chodziło ci o porady dotyczące pracy, na której się nie znałaś.

– Nieprawda. Mylisz się.

– Jeżeli się mylę, odpowiedz: gdy wrócę z dziećmi do domu, przyjdiesz?

Nie przyjdę. Za nic. Nie zniosę widoku twoich dzieci. Może kiedyś, lecz po dzisiejszym incydencie w szpitalu wiem, że znowu się rozkrwawię.

– I taka z ciebie przyjaciółka! Przyjaciółka na telefon. Wielką mi wyrządziłaś przykrość. Jakoś ją przeżyję. Nie dzwoń więcej.

Rozłączyła się.

Tak się musiało stać. Prędzej czy później. Nie czuła żalu do Janki. *Sama na jej miejscu pewnie odrzuciłabym podobnie idiotyczną przyjaźń. I tak wytrzymała tyle czasu, wyciągając do mnie rękę. Niech ci się wiedzie, kochana. Niech mąż cię kocha zawsze jednakowo. Niech twoje dzieci rosną najpiękniejsze, najmądrzejsze. Za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, dziękuję. Będzie mi ciebie brakowało. Może kiedyś, gdy będę gotowa, zadzwonię, przyjdę i ci opowiem, dlaczego jestem stuknięta. Źle mi będzie bez ciebie, Janka. Czepialski szef. Groźba utraty pracy. I świadomość, że najbliższe dni przyniosę mi piekło. Piekło, które sama sobie funduję. Gdybym jeszcze umiała sobie odpowiedzieć: czy chodzi mi wyłącznie o zemstę na ojczymie, czy też o dobro matki i dziewczynek? Nie wiem, nie wiem. Patrę na siebie w lustro: kogo w nim widzę, pytam. Potwora czy człowieka? Zwykłą szantażystkę czy kochającą córkę, która pragnie ocalić matkę przed oszustem? Swoje siostry przed tęsknotą za tatusiem? Bo z jednej*

strony: co to za szantaż, skoro ja na nim niczego nie zyskuję, a tracę dokładnie wszystko? I jeszcze wiem, że sprawię nim ból i matce, i siostrze, pocieszając się obłudnie, że matka wyrzuci mnie nie tylko z mieszkania, ale i z pamięci, i z serca. A czy ja potrafię wyrzucić z pamięci i z serca siostry, matkę? Skąd we mnie ta pewność, że matka przeboleje utratę najstarszej córki? Ciągłe i ciągłe, nieustannie ją osądzam, oskarżam, wydaję wyrok: że wyrodna, bo mnie biła pasem, kozią nogę, bo nie uwierzyła słowom kilkunastoletniej dziewczynki skarżącej się na ojczyma? Że jest hipokrytką o mieszczańskie moralności, dla której wartość nadrzędna to opinia innych? Że jest głupia i zaślepiona, ponieważ kocha swego Piotrusia? Może to we mnie zaległo się zło i ono sprawia, iż chcę widzieć swoją matkę jako najgorszą ze wszystkich matek? Może to zło jest mi potrzebne do usprawiedliwienia siebie samej? Może wyolbrzymiam swoje krzywdy? Nie wiem, nie wiem. Wiem natomiast, że rozpętałam w tym domu piekło i oby trwało jak najkrócej, oby nie sprawiło za dużo cierpienia ani matce, ani dziewczynkom, ani mnie. Boję się. Bardzo się boję.

U notariusza nowe akty darowizn zostały podpisane sprawnie. Tylko matka tak blada i tak wychudła przez ostatnie dni. Suknia zwisała na niej jak na wieszaku, a ona sprawiała wrażenie osoby, która zaraz zemdleje. Podpisała dokumenty niewyraźnym, rozedrganym pismem. Nie odezwała się do Marty ani słowem. Ojczym również blady. Trzymał matkę za rękę, jakby dodając jej otuchy.

Wieczorem zapukał i wszedł do dziupli.

– Matka kazała ci powiedzieć, że masz znaleźć dla siebie inne mieszkanie. Nie chcemy cię tu widzieć. Zrywamy z tobą wszelkie kontakty. Nie dzwoń do nas. Nie próbuj się widywać z dziewczynkami. Za kilka dni wyjeżdżamy do Egiptu. Na trzy tygodnie.

- Gdy wrócicie, nie będzie tu po mnie śladu.
- Zrujnowałaś własnej matce życie.
- Z twoją pomocą odbuduje je sobie na nowo. Wyjdź.

Stał, przebierał nogami.

- Co z nagraniem? Marta. Na litość boską, matka by tego nie przeżyła.
- Wyjdź.
- Zniszcz je, Marta.
- Nie. Inaczej ty byś zniszczył matkę. Wyjdź.

– Może się dostać w niepowołane ręce. Marta, pamiętaj, że mój koniec oznacza koniec twojej matki.

- Od kiedy tak się przejmujesz jej losami?
- Więc nie zniszczysz?
- Nie.
- Jesteś naprawdę potworem. Trzasnął drzwiami. *Lajdak.*

Nim wyjechali, wstawiała o świcie, brała prysznic, ubierała się i wychodziła, oszczędzając swego widoku matce i dziewczynkom. W pracy starała się uprzedzać życzenia coraz bardziej niemiłego szefa. Wracła do domu wieczorem, kiedy już w żadnym oknie ich mieszkania nie paliło się światło. Do swojej dziupli przemykała na palcach jak złodziej. Ten pokój był niczym klaustrofobiczne, duszące więzienie. Godziny rozciągnięte w nieskończoność bezsenności. Samochód w kolorze metalik zajeżdżał na parking o różnych porach nocy. Jakby prowadzony przez niewidzialnego kierowcę, zatrzymywał się i nikt z niego nie wysiadał. Może to nie romantyczny kochanek, ale jakiś wynajęty prywatny detektyw, śledzący niewierną żonę lub niewiernego męża.

Wieczorem, w dzień poprzedzający ich wyjazd, znalazła na biurku kartkę: *Wyjeżdżamy jutro, o szóstej rano. Klucze zostaw u Kozłowskich.*

Klucze zostaw u Kozłowskich. Jakie to proste: klucze zostaw u Kozłowskiej. *I wyjdź. Zejdź ze schodów. Otwórz drzwi od klatki schodowej. Zamknij. Przed tobą ulica. Krótka ulica, zaledwie pięć wieżowców i kilka czteropiętrowych bloków: twój ostatni spacer tą ulicą. Nie oglądaj się za siebie. Idź. Marta Stańczyk? A któż to taki? Przypadkowa zbieżność nazwisk. Nie znamy nikogo takiego. Nie znaleźliśmy. Nie będziemy znać. Klucze zostaw u Kozłowskich.*

Tak jest. Zostawię. *Naprawdę, mamo, wypiszesz mnie ze swego życia? Przyjdzie ci to z łatwością?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *Chyba jednak z łatwością.*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *A może z rozpaczą?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *Bez jednej łzy? Za mną? Po mnie?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *A może z powstrzymywanym krzykiem protestu?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *Tylko tyle?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *Czy aż tyle?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *I żeby twoja noga więcej nie przekroczyła progu tego domu?*

Klucze zostaw u Kozłowskich. *Ale zanim zostawię, mamo, tę noc spędzamy razem. Ty, dziewczynki i ja. To będzie dla nas: dla ciebie, dla dziewczynek, dla mnie długa noc. Wiem, że nie śpisz. Dziewczynki również nie śpią. Tak bardzo prosiły, żebyś pozwoliła im się ze mną pożegnać. Zamiast ciebie odpowiedział im wrzaskliwym krzykiem twój Piotruś: Nie ma mowy! Nie ma żadnej „naszej” Marty. Więcej jej nie zobaczycie. Tak krzyknął. Mimo ścian widzę je, przerażone, składające prosząco ręce, wpatrzone w ciebie, mamo, bo od ciebie oczekujące odpowiedzi, ale ty milczysz. Dlaczego, mamo, pozwalasz je krzywdzić swoim*

zaciętym milczeniem? Cóż takiego by się stało, gdybyś pozwoliła im wejść do mnie, żeby się przytuliły do tej, której już więcej mają nie oglądać?

Klucze zostaw u Kozłowskich. Boże, jak one płaczą. Jak płaczą. Chcą do Martusi. Swojej siostry. Która je przewijała i karmiła, gdy były małe. Która je wozila do przedszkola. Która im opowiadała bajki na dobranoc, ponieważ matka wracała z pracy późno lub wracała taka zmęczona, że nie miała siły nawet ucałować swoich dzieci. Mają po dwanaście lat. Kupicie im komputery, zasypiecie drogimi gadżetami, dostaną na kino, na lody, na cukierki. Tak łatwo przekupić dwunastoletnie dziewczynki. Nie minie rok i już przestaną się o mnie dopytywać, rozwieję się w ich pamięci nieostrym, może nawet złym wspomnieniem kogoś, kto był podły, zły. Tak podły i tak zły, że zostawił je same z ich płaczem, nie pożegnał się nawet, nie utulił, nie pocieszył.

Wychodząc, załomotali pięściami w drzwi. Mocną pięścią ojczyma i słabą, lecz posłuszną pięścią matki. Z okna widziała kipiącego wściekłością ojczyma, który targał bagaże. Obok przykurczone, chucie plecy matki. Chyba płakała. Chyba ojczym na nią pohukiwał. Kiwając pokornie głową, wsunęła się w głąb taksówki. Dziewczynki odwróciły się, machając na pożegnanie gwałtownymi ruchami. Widziała, ich poruszające się usta. Może wołały: kochamy cię, Marta? Albo: nie zapomnimy o tobie, Marta? Ojczym je wepchnął do auta. Sam usiadł obok kierowcy.

Klucze zostaw u Kozłowskich.

Pozmywała naczynia. Poskładała porzucane ubrania. Odkurzyła mieszkanie. To niepodobne do matki: zostawiać taki bałagan. Matka zawsze wszystko pedantycznie odkładała na miejsce.

Po pracy włączyła się ulicami.

Klucze zostaw u Kozłowskich: jeden rozdział życia zamknięty. Jakim okaże się ten nowy, nieznany, który się rozpoczął łomotem pięści, wrzaskiem ojczyrna, że ma się wynieść; niechętną, oschłą twarzą szefa, nieudaną próbą porozumienia się z Janką: powiedziała ci, abys do mnie nie dzwoniła, obawą przed powrotem do pustego mieszkania i ciszą, jaka ją w nim przywita, otoczy niemym krzykiem pytania: co dalej, co dalej, Marta? Wynajmiesz pokój, bo na kawalerkę brak kasy. Więc ten pokój z obcymi, cudzymi meblami, obcymi zapachami, u obcych ludzi, którzy zawsze pozostaną obcymi. Na wpół do ósmej do pracy. O szesnastej, o ile szef nie zatrzyma dłużej, powrót do tego obcego pokoju z cudzymi meblami. A co z resztą dnia? Spacer – lecz dokąd, skoro nie masz rodziny, sióstr, przyjaciółki, znajomych? I nikt nigdzie na ciebie nie czeka, nie myśli o tobie, nie parzy z myślą o tobie herbaty, nie układa ciasteczek na talerzyku, nie spogląda na zegarek, bo się spóźniasz? To w jakim celu gdziekolwiek wychodzić? Skulisz się na jakimś obcym, przesiąkniętym cudzymi zapachami tapczanie; schwytana w pułapkę myśli będziesz powracała na Sprawiedliwą. Do ojczyrna, który ci ślinił szyjkę, do jego: proszę, moja maleńka, moja śliczna, nie sprawię ci bólu, tylko cię tam leciutko popieszczę. Do strachu przed nim, strachu powszedniego jak chleb. Do tej koziej nogi, którą dostawałaś od matki. Do swoich modlitw, kiedy jeszcze wierzyłaś w Boga, w tego Boga cierpiącego, Boga ukrzyżowanego, Boga opuszczonego, bo Jego Matka nieopodal, nad drugim ołtarzem uśmiechnięta, błękitna, błyszcząca z wotywami. Do zauroczenia Pawłem, który tak pięknie szeptał: moja sarenko ze smutnymi oczami, moja biała łanio, a potem odsunął się i krzyknął: nie dam się nabrać na ciążę, dziwko, znajdę dziesięciu, dwudziestu kumpli, którzy przed sądem zaświadczą, że z nimi się puszczałaś. Powróci ze wszystkimi szczegółami nagrany na taśmy pamięci, nie do zapomnienia nigdy, dzień siódmego stycznia.

Noc też cię nie uwolni, Marta, od twoich obsesji. Powrócą w koszmarach sennych. I tak dzień w dzień: ile dni zniesiesz, ile ich wytrzymasz?

Klucze zostaw u Kozłowskich. Zniszcz wszystkie dowody tożsamości. Udaj się na Fabryczny. Nikt nie zidentyfikuje tego krwawego strzępu, którym się stajesz. Matka z ojczymem wrócą dopiero za trzy tygodnie. A szukać cię nie będą, masz to jak w banku.

To łatwe, zostawić klucze. I pójść na Fabryczny.

Jutro z samego rana zostawię je u Kozłowskich. Wściekły szef, że nie ma mnie w pracy, na próżno będzie kilkakrotnie próbował połączyć się z moją komórką. Abonent niedostępny. Abonent niedostępny. Abonent niedostępny. To machnie ręką, poszuka dla siebie nowej sekretarki.

Jutro.

Już jutro.

Dlaczego dopiero jutro?

Jeszcze dziś. Pociągi kursują stale.

Rozbiła komórkę młotkiem. Położyła w zlewie swój dowód, nieważną legitymację studencką, identyfikator, jaki codziennie przypinała, wchodząc do firmy, legitymację służbową, nawet bilet miesięczny na przejazdy. Palilo się długo, niechętnie i smrodliwie. Wybrała poczerńiałe, nie do końca spalone kartki. Wrzuciła do kibla. Kilkakrotnie spuściła wodę.

Ślady zatarte.

Zamknęła mieszkanie. Zapukała do Kozłowskich. Raz i drugi. *Błagam was, otwórzcie.* Ale nikogo. Wyszli.

Z kluczami w ręku zbiegła ze schodów. Może poszli do sklepu? Może na spacer właśnie? Przejdzie się kilkakrotnie dookoła parkingu. Jeśli nie nadejdą, zajrzy do sklepu. Jeśli ich tam nie odnajdzie, poczeka na ławce, dopóki nie

zapalał się światła w oknach ich mieszkania. Powie im: rodzice wyjechali do Egiptu, a ja mam pociąg do Warszawy o dziesiątej trzydzieści. Też jadę na urlop. Nad morze.

Samochód w kolorze metalik wygasił światła, wjeżdżając na swoje stałe miejsce parkingowe. Nikt z niego nie wysiadł. Ciemny kształt sylwetki mężczyzny za kierownicą jakby znajomy. *Wariuję*. Zbliżyła się ostrożnie.

– To pan?

Siedzący za kierownicą drgnął. Omiótł ją spojrzeniem pełnych łez oczu.

– Marta. Kocham panią rozpaczliwie. Rozpaczliwie, gdyż żona nigdy nie da mi rozwodu. Rozpaczliwie, bo mógłbym być pani ojcem. Rozpaczliwie, bo nie mam u pani najmniejszej szansy. Rozpaczliwie, ponieważ nigdy nie wezmę pani w ramiona, nigdy nie zasnę ani nie obudzę się przy pani boku. Co mam ze sobą zrobić, Marta? Ani żyć, ani umrzeć.

Więc jednak to ty przyjeżdżałeś tutaj prawie co noc i siedziałeś godzinami, wpatrując się w okno mojej dziupli? W pracy bronieś się przede mną oschłością. Biedaku. Sam pośród nocy. Jak ja.

– Chodź – powiedziała.

– Mogłaby pani mnie pokochać? Mnie?

– Nie wiem. Ale chodź.

– Nie potrzebuję litości, Marto.

– Nie lituję się nad tobą. Pocieszam siebie.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz. Chodź.

– Dokąd? Dokąd?

– Do mnie. Do mojej dziupli z małym, pojedynczym oknem.

– Marta. Boję się.

– Ja też. Ale chodź.

TTLR

CZEŚĆ DRUGA: NADZIEJA

– Zostawię u pani klucze, dobrze?

– Jak to? – zapytała Kozłowska, ocierając pomarszczone, czerwone dłonie o brzeg fartucha. – A tobie nie będą potrzebne?

– Już nie. Wyprowadzam się.

– Tak nagle? Dokąd dziewczyno? Przecież to twój dom rodzinny. Mama wie?

– Wie. – *Nigdy tu nie był mój dom rodzinny. Nigdy takiego nie miałam. Chyba, że u babci i dziadka.* – Wszystko za wiedzą i zgodą mamy, pani Kozłowska. Wynajęłam dla siebie kawalerkę. Pokój, kuchnia, łazienka. Pracuję, zarabiam, najwyższy czas zacząć życie na własny koszt i na własną odpowiedzialność.

– Niby tak – zgodziła się Kozłowska. Westchnęła. – Ale i tak matkę zaboli serce. Wiem coś o tym. Odfrunęło moich czworo. Każde do innego miasta i każde za daleko. Rzadko piszą. Jeszcze rzadziej przyjeżdżają. Nigdy razem, o jednej porze. Zawsze oddzielnie. Razem to się chyba zjadą dopiero na mój pogrzeb. Zapłaczą, zapalą znicze, położą kwiaty i każdy do siebie. Do swoich spraw. Tak, tak, Martusiu. Smutne, lecz prawdziwe. No to uściskaj mnie na pożegnanie i obiecaj, że będziesz często wpadać.

– Oczywiście, będę – skłamała.

Kozłowska pachniała suszonymi grzybami, kiszoną kapustą, przysmażanym boczkiem. Pora obiadu: zaraz ona i jej mąż zasiądą do zbyt dużego jak na nich dwoje stołu, będą jedli pierogi z kapustą i grzybami. Bardzo

dobre pierogi. Kozłowska czasami nimi częstowała: przynosiła je parujące na półmisku, grubo okraszone skwarkami.

– Pani Basiu, nie obrazi się pani? Wiem, że dziewczynki za nimi przepadają...

Matka czekała, aż pierogi ostygną, chowała je do lodówki. Dla swego Piotrusia. Bo to on głównie zżerał te wspaniałe, odsmażone na złoty kolor pierogi Kozłowskiej. *My załapywałyśmy się na nędzne resztki.*

– Życzę pani zdrowia. Nigdy o pani nie zapomnę.

Miałaś nie płakać, Marta. Udało ci się spakować kiecki, napisać karteczkę do bliźniaczek: „Kochane siostrzyczki, mimo wszystko pamiętajcie o mnie. A komputer odtąd jest wasz”, wetknąć ją pod myszkę od komputera, niezbyt pewna to kryjówka, ale może matka jej nie odkryje, może siostry będą pierwsze. Choć tyle dla nich na pożegnanie.

– Może to i lepiej dla ciebie, że się wyprowadzasz. – Kozłowska otarła nieposłuszną łzę z policzka. I dodała nieoczekiwanie: – Twojej matki to mi zawsze było żal, ale tego twego niby-ojca nie lubiłam. Tak jak i ty, Marta. Choć mi się widzi, że wyprowadzasz się nie za bardzo ze swojej woli, to jednak nie

chowaj w sercu urazy do matki. Czasami i ja myślałam: jak ona może tak to dziecko gnębić. Dużo cię ukrzywdziła, ale też się i nacierpiła, nabije cię, nabije, a potem wychodzi na balkon i płacze. Bo z naszego okna widać wasz balkon, Marta, to widziałam. Mój stary ani godziny by nie pracował w szkole twego ojca, żeby nie te pieniądze. Wiecznie ich mało, moja renta głodowa. Ledwo starczy na opłacenie komornego, a stary za stary, żeby mu gdzie indziej dali robotę, to się musi trzymać tej, co ma. Kto się teraz zaopiekuje twoją matką, jak ciebie zabraknie? Nie zostawiaj jej całkiem, przychodź często.

Moja dobra, kochana pani Kozłowska. Nic więcej dla matki zrobić nie potrafię. Ja się również boję o nią i dziewczynki. Matka jest nadal łakomym kąskiem. Ma za dużo kasy. Ta kasa albo utrzyma przy niej ojczyma, albo się stanie przyczyną kolejnego nieszczęścia.

– Postaram się, pani Kozłowska – znowu skłamała.

– A o nim nie powiem ani słowa.

– O kim? – Udała zdziwienie.

Staraliśmy się być dyskretni. Michał wychodził nad ranem.

– O tym twoim nowym, Marta. Nie czerwień się. Dobrze, że wreszcie masz kogoś. Matka bardzo się o ciebie martwiła. Mówiła: Boże, ratuj ją. Boję się, że zrobi sobie coś złego. Faktycznie, jak ciebie wyprowadzałam na spacer, miałaś takie szalone oczy. Też się bałam. Ty dla mnie prawie jak córka. Znam cię tyle, tyle lat. No, nie becz. Leć. On pewno czeka na ciebie. Niech się wam szczęści. A i o mnie nie zapomnij.

– Nie zapomnę, pani Kozłowska. Proszę uważać na moją mamę. Dziękuję za dobre słowa o niej. Były mi potrzebne.

– Do szybkiego zobaczenia, Marta. A nie oglądaj się za siebie, bo to podobno przynosi nieszczęście.

Plecak lekki, za to serce waży chyba tony. Nawet nie sądziłam, że będzie tak ciężko. Jeszcze nie zbiegłam ze schodów, jeszcze nie zamknęły się za mną drzwi klatki schodowej, a ja już tęsknię. Do dziewczynek i do ciebie, mamo, także. Mimo że mam Michała i spotkam go za trzy godziny, oczekującego na naszej ławce przy stawie w parku Poniatowskiego. Bo on, wariat, zawsze przychodzi znacznie wcześniej. Mówi, że lubi czekać, wypatrywać mnie, wynurzającej się z zieleni. Znamy się krótko, mamo, lecz zdążyliśmy się dorobić własnej ławki, alejek, ścieżek, drzew, pod którymi chowamy się, by móc się

pocałować. Na razie, mamo, znamy smak swoich ust i dotyk splecionych rąk. Nie spaliśmy ze sobą, chociaż spędziliśmy wspólnie kilka nocy. Tym razem, mamo, wszystko ma być inaczej. Nie tak, jak z Pawłem, któremu oddałam się na skórzanej kanapie w gabinecie jego ojca. Po dwóch tygodniach znajomości. Sądząc, że to miłość. Te słowa Pawła o białej łani, smukłej sarnie ze smutnymi oczami. Potrzebowałam czyjejś miłości, mamo, ponieważ wydawało mi się, że mnie swojej pozbawiłaś. Wiele musimy między sobą naprawić. Wierzę mamo, że to się nam uda. Kiedyś. Kiedyś, mamo.

Wybiegła z klatki schodowej. Nie obejrzała się za siebie. Zresztą i po co? Wszystko, całą przyszłość, nawet przebaczenie matki ma przed sobą.

Tramwaj się włókł; co przystanek, nim ludzie wysiedli i wsiedli, światła zmieniały się na czerwone. Była zniecierpliwiona. Pobrząkiwała kluczami do nowego życia: kawalerki na parterze, w której z okna kuchenki widziała międzyblokowy, ciasny, typowy skwerek. Paseczek zieleni z piaskownicą dla dzieci pośrodku, otoczony chodnikami wzdłuż ustawionych w prostokąt bloków. Za to okno w pokoju wychodziło na jeszcze ocaloną przed zabudową przestrzeń łąki, wraz z przeniesioną tam jakby –z innego świata, pasącą się czarno-białą krową. Dalej rude rżysko pola i ciemnozielona linia lasu. Tak daleko, zmartwił się Michał. Marta, do pracy będziesz jechała stąd godzinę i z dwiema przesiadkami. Poszukajmy czegoś w centrum.

Ale jej podobało się tutaj, na Kusocińskiego, na odległej Retkini. Cena niska, bo niby wciąż miasto i równocześnie już za miastem. Mieszkanie puste, bez mebli, bez zapachów po kimś obcym, więc można je wypełnić swoimi. Ustawić swój stół, swoje krzesła, swoją szafę, zawiesić swój obraz. Nieprędko dorobi się własnych mebli, na razie kupiła na raty jedynie materac do spania. Ale od czego wyobraźnia? Pozwalająca na każdy luksus: kiedyś zedrze w łazience

ohydną brunatną farbę olejną ze ścian, wyłoży je seledynową glazurą, załśni lustra, krany; zamiast wanny brodzik i kabina, podłoga w czarno-białej terakocie. Wynajmujący powiedział, że od miesiący usiłował znaleźć chętnego na to mieszkanie, lecz wszystkich odstraszała odległość od miasta, fatalna komunikacja i brak sklepów w pobliżu. Aby mi płacić w terminie i może pani sobie mieszkać tu aż do śmierci, powiedział. A jakby pani zebrała dwadzieścia pięć tysięcy złotych, sprzedaję od ręki.

Michał, widząc jej radość, natychmiast zaproponował:

– Ja ci pożyczę, kupuj.

– A z czego oddam?

– Rozłożę na dogodne raty – zaśmiał się, pocałował w koniuszek nosa.

– Nie stać mnie nawet na twoje dogodne raty.

– Chcę pomóc.

– Ale ja nie chcę twojej pomocy. Żadnej. Ani teraz, ani nigdy.

– Dlaczego odmawiasz? Marta? Jestem zamożnym facetem. Stać mnie na to, aby ci pomagać.

– To znaczy: kim mam być dla ciebie? Twoją utrzymanką? Powiesz jeszcze jedno słowo na ten temat i zepsujesz wszystko.

– Masz rację. Przepraszam. Wybacz.

– Ale pozwalam ci kupić dla mnie jakiś drobiazg. I kwiaty. Byle nie róże. Róż nie znoszę. Ja również kupię jakiś drobiazg dla ciebie. Może krawat – roześmiała się – albo bardzo praktyczne skarpetki! Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – też się roześmiał. – Jutro rocznica. Pełne dwa tygodnie od tamtej naszej wspólnie spędzonej, pierwszej nocy.

Szedł za nią posłusznie. Tak cicho, że nie słyszała jego kroków ani jego oddechu. Wprowadziła go od razu do swojej dziupli. Powiedziała: siadaj, a

ponieważ usiadł na krześle przy biurku, powiedziała, pokazując na kozetkę: nie tutaj, tam, i buty zdejmij; połóż się, odpręż. Sama zaczęła rozpinąć bluzkę, mówiąc: tylko proszę cię, milcz, milcz. Zrobimy to w ciszy, a potem ty odjedziesz w swoją stronę, a ja pójdę w swoją. Nigdy się więcej nie zobaczymy i nie pytaj, dlaczego, bo i tak nie odpowiem. Musiałabym opowiedzieć całe swoje życie. Ja zaś na tę jedną, krótką noc pragnę o nim zapomnieć, wymazać jak uciążliwą plamę z ubrania, zanim sama stanę się plamą. Plamą w kolorze żywej czerwieni. Nie, powiedział, nie. Nie zrozumiała: przeciwko czemu protestuje? Zatrzymała palce na ostatnim guziku. Zapnij bluzkę, odezwał się. Nie chcesz się ze mną przespać? To po co przyszedłeś? Przesypiam się w ramach obowiązków małżeńskich z żoną. Ciebie chcę kochać. Dalej nie rozumiała: a jaka to różnica? Jedyne w nazwie. „Kochać” brzmi ładniej niż „przespać się” lub „pójść do łóżka”. Mówiłeś, że nigdy nie obudzisz się przy moim boku. Daję ci szansę, jak dobra wróżka, na spełnienie tego pragnienia. Ale nie tak!, zerwał się z kozetki, pochwycił jej dłonie. Nie tak, Marta! A jak?, zapytała, żałując, że podeszła na parking do jego samochodu. Już byłabym na dworcu, stała na krawędzi peronu, bliska wyzwolenia, pomyślała. Dla mnie za późno na czyjekolwiek pocieszenie, zwłaszcza w ramionach obcego mężczyzny, który się na mnie położył tak jak Paweł albo ojczym. I nie będę czuła nic, poza wstrętem. Bo niby dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Bo pierwszy raz słyszę wyznanie miłości? Bo pierwszy raz widzę płaczącego niemęsko faceta? Ma pan rację, panie prezesie: to nie tak, odezwała się, i dziękuję, że mnie pan powstrzymał od popełnienia głupstwa. Znowu się mylisz, Marta, zawołał. Pragnę ciebie. Lecz nie chcę, żeby to się stało pospolicie, szybko, łatwo, ponieważ do siebie należy zbliżać się krok za krokiem. Wtedy to jest inne, to jest piękne, mówił pospiesznie, bezładnie, ścisnął jej dłonie, płakał. Chyba zwariował, pomyślała. Nie wiem, jak wyglądała

twoja pierwsza miłość, ta najważniejsza, powracająca we wspomnieniach wraz z zapachami i kolorami. Pewno była właśnie taka: piękna, ale ja podobnej nie doświadczyłem. Obudziłem się nad ranem skacowany w cudzym łóżku, obok kobiety, której imienia nie znałem, nie pamiętając ani swoich, ani jej pocałunków, ani nawet jej ciała, nic, niczego. Ta kobieta powiedziała do mnie: kochanie, a potem dodała: kochanie, ja też cię pokochałam od pierwszego spojrzenia. Zarzuciła mi ręce na szyję, mówiąc: kochanie, oczywiście, że zostanę twoją żoną. Rozumiesz teraz, Marta? Rozumiesz? Po pijanemu wypowiedziałem to słowo, które należy cenić, strzec, gdyż inaczej się wyświechta, stanie się mało ważne, nieistotne. Stanie się jednym z szeregu zwykłych słów. A to słowo jedyne, takie, które w tobie, gdy je wypowiadasz, powinno rozbudzić bicie serca. Ja je po prostu zmarnowałem. Leżałem obok obcej dziewczyny, skacowany śmiertelnie i przerażony śmiertelnie, z kołącą się myślą: jak wybrnąć z tej sytuacji? Może to tylko żart? Ale ona patrzyła mi w oczy z taką ufnością i takim żarem, że nie pozostało mi nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry i zapytać: naprawdę obiecałem ci małżeństwo? Och, Michał, jestem taka szczęśliwa i objęła mnie mocno. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata, ukończone studia, dobrą pracę, mieszkanie i samochód, kupione przez moich bogatych rodziców, których w Peerelu nazywano badylarzami. Wiele razy, leżąc obok żony, wyobrażałem sobie, że cofam czas i swoje życie zaczynam od nowa. Spotykam dziewczynę. Umawiam się z nią na randki. Nasze pierwsze pocałunki są nieśmiałe. Nasze dłonie, splecione, drżą, mówił. A ona, słuchając, myślała, że nie wie, co to nieśmiałość; wie natomiast, co to jest wstyd, ponieważ Paweł wiele się nie namyślał. Już na drugim spotkaniu pocałował, wraz z językiem, gmerającym po jej podniebieniu. Wpuszczając ślinę do jej ust, rękę wsadził pod bluzkę i choć mówiła: Paweł, proszę cię, nie, ścisnął to jedną, to drugą pierś, sapiąc zupełnie tak jak ojczym.

Ożeniłem się bez miłości. Nie kochałem dotąd żadnej kobiety, dlatego nietrudno mi było dochowywać wierności żonie. Pewnie dlatego Kocham cię tak rozpaczliwie, do utraty tchu, do zatracenia, wypełniając tobą tyle pustych, obojętnych, jałowych lat. Przyjeżdżam pod twój dom, wpatruję się w twoje okno, czasem dostrzegam twoją sylwetkę i ja, facet po czterdziestce, który pozuje na playboya, prawi głupie komplementy kobietom, płaczę, ponieważ jesteś dla mnie bardziej odległa niż księżyc. Płaczę, bo nigdy nie splecę swoich dłoni z twoimi i dlatego, że wreszcie wiem, co to znaczy kochać i – za to już jestem ci nieskończenie wdzięczny, prawie szczęśliwy – bo dzięki tobie wiem, czym jest miłość. Należało mi ominąć szerokim łukiem. Dlaczego do mnie podeszłaś, przyprowadziłaś tutaj? Naprawdę sądziłaś, że chodzi tu o zwykłe pożądanie mężczyzny i oddając mu się, spełnisz jego marzenia? Nawet nie ośmieliłem się ciebie w myślach rozebrać.

Ale ty tego nie zrozumiesz. Patrzysz na mnie i myślisz: co za komiczny pajac, nie z tej epoki. Skąd taki się urwał? Bredzi jak naćpany. Jesteś piękną dziewczyną. Z pewnością miałaś wielu. Ośmieszyłem się tylko. A pracy zmieniać nie musisz, to ja odejdę, od pewnego czasu proponują mi inne, wyższe stanowisko, nie wyrażałem zgody, żeby móc ciebie widywać. Przepraszam, powiedział. Zamierzał odejść, lecz teraz ona pochwyciła jego rękę, wołając, że nie, nie ośmieszył się ani trochę! Boże, to ja w przeciwieństwie do ciebie nie wiem, czym jest miłość. Naucz mnie jej, proszę. Może to również i moja ostatnia szansa? Wiesz, dokąd się dziś wybierałam? Na Dworzec Fabryczny. Gdybyś nie przyjechał, umarłabym pod kołami pociągu z przekonaniem, że nikt mnie nawet nie będzie szukał, bo tak bardzo jestem niczyja, zbyt uczona i przeklęta. Gdybyś mi nie opowiedział, że miłość to nie tylko łóżko, przespałabym się z tobą, a później też poszłabym na Fabryczny. Proszę, zostań. Przerażony jej wyznaniem, pytał w

kółko: dlaczego, dlaczego? Więc opowiedziała mu, dlaczego. Przeraził się jeszcze bardziej. Nie pocieszał, nie mówił: ach, jakaś ty biedna, tyle przeżyłaś. Milcząco przygarnął do siebie i tak w milczeniu przesiedzieli do rana. Dopiero przed wyjściem zapytał: Przyjdiesz dziś normalnie do pracy? Nie pójdę na Fabryczny, odpowiedziała, bo chyba o to pytasz? Na pewno, Marta? Na pewno. Będę w firmie normalnie. Pochylił się, dotknął jej ust gorącymi wargami. Patrzyła przez okno, jak odjeżdżał. Czuli się oczyszczeni. Dziesiątego sierpnia. Nowa data, otwierająca nowy rozdział życia. Wzięła prysznic, ubrała się i nagle przestraszyła się, że przecież nie umówili się, ale nim wyszła z domu, on zadzwonił: Marta, czy chcesz mnie nadal widywać? Bałem się zadać ci to proste pytanie. I teraz, zadając je, również się boję. A ja się bałam, że mi tego pytania nie zadasz. Oczywiście! Tak! Tak! Chcę! Chwila milczenia, a potem pośpieszny szept: Boże, dzięki ci Marta, i tylko proszę, nie śmiej się ze mnie: znasz park Poniatowskiego? Wiesz, gdzie jest staw? Wiele razy tam jeździłem, siadałem na ławce, wpatrywałem się w aleję i widziałem ciebie, zawsze ubraną w zieloną sukienkę. Ty wynurzałaś się z zieleni drzew, coraz bliżej i bliżej, a ja zrywałem się z ławki i biegłem do ciebie. Głupie, co, żeby facet po czterdziestce zachowywał się jak twój rówieśnik. O piątej, przy stawie, przerwała mu, rozłączyła się, myśląc, że nie ma zielonej sukienki. Zaraz po pracy poszuka takiej w sklepach. Niech spełni się jego marzenie.

W pracy zachowywali przesadny służbowy dystans. „Panie prezesie, proszę uprzejmie o parafkę na dokumencie”. „Oczywiście, pani Marto, dziękuję”. Janka miała rację: firma w ciągu letnich miesięcy zwalniała tempo. Prawie wszystkie popołudnia mieli dla siebie. „Do widzenia, panie prezesie. Miłego popołudnia”, mówiła, gdy wychodził. „Z całą pewnością będzie miły, pani Marto”, odpowiadał z lekkim uśmiechem, zatrzymywał się przy drzwiach sekretariatu,

robił srogą minę i dodawał: „Ciagle ma pani bałagan na swoim biurku, jest pani niepoprawna”. Za chwilę, jeszcze nim wyjechał ze służbowego parkingu, dzwonił: „O piątej, tam gdzie zwykle”.

Nigdy nie mówił o żonie, w jaki sposób usprawiedliwia przed nią swoją, często przedłużającą się do późnej nocy, nieobecność w domu, a ona go nie pytała. To był jego problem. Liczyły się wyłącznie te godziny, które spędzali razem. Nie robiła żadnych planów na przyszłość. Tak było dobrze. Spotkać się o piątej nad stawem, przechadzać się alejami, trzymając się za ręce. Poczuć jego usta na swoich, gorące, delikatne, których dotyku pragnęła, za którymi tęskniła, ale które nie wywoływały w niej pożądania. Jeszcze nie, chociaż przeczuwała, że i ono przyjdzie z czasem. Wszystko przyjdzie z czasem. Mają go przed sobą dużo. Niczego nie należy przyspieszać. Zdażą. Więc o nic go nie pytała. Kiedy mówił: muszę wracać, Marta, była mu wdzięczna, że wypowiada tylko te dwa słowa, opuszczając: dom, żona. Nie czuła również wyrzutów sumienia, że go komuś odbiera, nawet ją nie obchodziło, czy z żoną sypia, nie sprawiało jej to bólu. Taki układ nie ranił jej: tamten Michał w swoim mieszkaniu razem z żoną przestawał być jej Michałem, tamtego nie знаła. Znała tego, który na nią czekał w każdy dzień tygodnia na ławce przed stawem i zobaczywszy, że nadchodzi zieloną aleją, biegł ku niej, nie zważając na obecność ludzi, obejmował i mówił: jesteś. Nie musiał dodawać tego całego banalnego szajsu: „kochana moja” lub „śliczna moja”, „stęskniłem się za tobą”. Po prostu mówił: jesteś. I to jego: jesteś, odbierała jak najpiękniejsze wyznanie miłości. Nie potrzebowała innego. Jestem, odpowiadała.

Jesteśmy. Ty i ja. Mamy darowane kilka godzin dla siebie. Możemy przechadzać się po parku, przytulić pod osłoną rozrostłego drzewa, dotknąć w każdej chwili gorącymi ustami, czuć ciepło swoich dłoni, spędzić ze sobą

wieczór, pijąc herbatę, zajadając pizzę. Rozmawiać albo milczeć; słuchać muzyki; opierając się o parapet, obserwować nadchodzący zmierzch, co chwila szukając swoich rąk. Rozstawać się, przedłużając chwilę rozstania pocałunkami, powiedzieć to najważniejsze ze słów; do jutra, oznaczające, że mamy przed sobą jutro.

Ściany w kawalerce do odnowienia: sami wybiorą kolory, sami pomalują.

– Marta, ulituj się, nigdy nie trzymałem pędzla w ręku – bronił się Michał.

– Trudno, panie prezesie, kiedyś musi być ten pierwszy raz. Powiedz lepiej: pokój na pomarańczowo czy na zielono?

– Na zielono, pod kolor twoich oczu.

– Nie, wolę na pomarańczowo. To tak, jakby stale świeciło tu słońce.

– Więc czemu pytasz mnie o zdanie? Obstawiam przy zielonym. Zamiast słońca będziesz miała na ścianach łąkę.

Nasza pierwsza sprzeczka. Staliśmy w drzwiach, obejmując się i wołaliśmy, jedno przez drugie: A właśnie, że na pomarańczowo! A właśnie, że na zielono! To ja będę tu mieszkać! A ja będę do ciebie codziennie przyjeżdżał!

Na Teofilowie przesiadła się w autobus. Ostatnie piętnaście minut jazdy. Końcowy przystanek jakiś komunikacyjny troglodyta umieścił dokładnie w połowie ulicy Kusocińskiego. Pomachała ręką kierowcy. Nikogo tu nie знаła, lecz wszystkim spotykanym ludziom, nim doszła do swego bloku, mówiła dzień dobry. Niektórzy patrzyli na nią niczym na niespełna rozumu, byli jednak i tacy, którzy uśmiechali się do niej: dzień dobry, odpowiadali. Miała ochotę ich uściskać, zawołać: To ja, Marta Stańczyk, lat dwadzieścia dwa, poznamy się, zostanemy przyjaciółmi. Taka ją rozpierała radość na tej ciągle jeszcze niepoznanej, a tak już bliskiej ulicy Kusocińskiego. Dziś rozpierała ją wyjątkowo. Dwa tygodnie. Czternaście dni. Rocznicą. Nim się spotkają o piątej

w parku, pobiegnie do supermarketu, kupi ciastka, wino, napój pomarańczowy, a w dziale, gdzie sprzedają kwiaty doniczkowe: małą paprotkę. W prezencie dla Michała. Spotkają się, powie mu: Jedziemy do mnie. Po drodze kupimy jeszcze lody. Tym razem będziesz musiał podjechać pod blok, nie zostawisz wozu na parkingu, pół kilometra dalej, bo nam się lody rozpuszczą. Bo zostawiał. Co ją na początku zaniepokoiło. Obawiasz się dekonspiracji? Marta, jak możesz, obruszał się. Zostawiam, bo tu jest parking strzeżony. Żaden łobuz nie spuści powietrza z opon, nie porysuje lakieru gwoździem ani nie ukradnie wozu. *Taki śmieszny jesteś pod oknem*, zanuciła, otwierając drzwi, wpadając do pokoju, pomalowanego na dwa różne kolory, ponieważ w sprawie kolorów consensusu nie osiągnęli. Ona dwie ściany pokryła jaskrawą pomarańczą, Michał kolejne dwie jasną zielenią. *Jak dzieci. Jak dwójka bardzo szczęśliwych dzieciaków.*

– Boże, Michał – powiedziała.

Ze ścian zwisały girlandy uplecione z żywych, różnobarwnych kwiatów. Pod ścianami stały wazony z wyłącznie białymi kwiatami, których nazwy nie знаła, a które wypełniały cały pokój delikatnym zapachem podobnym do zapachu lawendy. Obok jedyne „mebla”, czyli materaca, patera z winogronami. *Zapamiętał, że to moje ulubione owoce.* Butelka wina, dwa kieliszki, dwa talerzyki. *Marta, nie rozbecz się tylko jak głupia. Żeby to wszystko przygotować, musiał myśleć o tej niby naszej rocznicy od kilku dni. Wariat. Żeby te kwiaty rozwiesić, ustawić, musiał tu przyjechać prosto z firmy. Naprawdę: wariat.*

Z wrażenia upuściła plecak na podłogę. Walczyła z łzami. Chciałaby „swego wariata” zobaczyć zaraz, natychmiast. Do piątej aż dwie godziny. Nie widziała go od wczoraj, dziś na ostateczne spakowanie swoich rzeczy i uporządkowanie mieszkania na Sprawiedliwej wzięła wolne, czym pan prezes

Michał Wierzbicki nie był oficjalnie zachwycony. Jakby miał podsłuch założony w swoim gabinecie, oznajmił surowym głosem: Dobrze, ale ten dzień nieobecności pani każe potrącić z urlopu. Po czym przemienił się na moment z ważnego wiceprezesa w zwykłego Michała, przyciągnął do siebie, szybko pocałował. Po czym znowu stał się srogim szefem: To jest wyjątek, rozumie pani? Na przyszłość proszę się zwracać z takimi, zaskakującymi mnie prośbami na piśmie i z co najmniej kilkudniowym wyprzedzeniem. Pani mi dezorganizuje pracę. Więc z kolei ona pocałowała go szybko, odpowiadając służbowo: tak jest, panie prezesie. Musieli oboje zagryźć wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem. Jezu, Marta, należy bardziej na siebie uważać w firmie. Tak jest, panie prezesie, chichotała. Marta, ja mówię poważnie, lecz znowu ją przyciągnął, musnął jej policzek wargami. Ciekawe, kto kogo, gdy nie ma klientów, co chwila wzywa do gabinetu tylko po to, aby niczym nastolatek „ukraść” całuska? I parskała śmiechem. Bo czuję się jak nastolatek, mówił, również chichocząc. Nastolatek z przedwczesną siwizną na skroniach, dodał, całując. To proszę szanownego pana prezesa zgłaszać pretensje pod właściwy adres. I znowu w śmiech. Śmiali się z byle głupstwa. Śmiali się z oglądających się za nimi ludzi. Pewno sądzą, że tatuś z córką na spacerku, śmiał się Michał. Michał! To akurat nie jest zabawne, oburzała się, a on ją całował, łaskocząc, w koniuszek nosa, więc śmiała się: Przestań, łaskoczesz. W takim razie nigdy nie pojedziemy na Grenlandię, bo tam musielibyśmy nosić wielkie, futrzane kaptury, z których by wystawały wyłącznie nasze nosy. I w co bym cię całował? W nos, odpowiadała i oboje zaśmiewali się aż do łez. Wariat, wołała. A ty? Tylko wariatka może zadawać się z własnym szefem, w dodatku starszym o dwadzieścia lat! I jeśli byli akurat w parku, dawali pospiesznie nura pod osłonę korony drzewa, żeby objąć mocniej, silniej i znowu całować się, też po wariacku.

Właśnie teraz, stojąc w zapachu kwiatów, zapragnęła jego suchych zawsze, jakby spieczonych gorączką warg i jego obejmujących ją ciasno ramion. Dziwny, dotąd nieznaną dreszcz przeszedł ją po plecach, spadł na piersi, zszedł niżej, targnął drętwiejącym kroczem. *Więc to tak się objawia?*

– Jak moja niespodzianka na rocznicę? Zaskoczyłem cię, co? – Michał, uśmiechnięty od ucha do ucha – *wariat, wariat* – wniósł do pokoju tort. – Czternaście świeczek, bo już czternaście dni jesteśmy razem... Marta. Ty drżysz. Zbladłaś. Wystraszyłem cię?

– Odstaw tort. Nie zapalaj świeczek.

– Marta?

Rozpinając bluzkę, podeszła do niego. Cofnął się o krok.

– Marta?

– Tak. Chcę tego. Chcę natychmiast.

– Marta? Nie mylisz się? Na pewno tego chcesz?

– Tak – odrzuciła bluzkę. – Proszę cię, pośpiesz się. Nie każ mi na siebie czekać.

Jak w transie przeżyli następne trzy miesiące. Michał wściekał się, ponieważ firma rozszerzyła rynek. Byli zaważeni pracą, siedzieli do późnych godzin wieczornych, spragnieni siebie tak, że wreszcie wolni, nie przejmując się podejrzliwymi i dwuznacznymi spojrzeniami ochroniarzy, zbiegali na parking i wsiadali do samochodu. Były prędzej, szybciej do domu! Wyszarpili się z ubrań już w korytarzyku, gubiąc na podłodze części garderoby, które później, zmęczeni, zbierali i układali na krześle. Wypijali herbatę, jedli bez apetytu kanapki, brali wspólnie prysznic i pod prysznicem kochali się znowu zapamiętali, jakby to miał być ich ostatni raz. Nie pytała go, co mówi żonie, ale prawie na każdą noc zostawał. Zasypiali po kolejnym akcie miłosnym, wtuleni w

swoje ciała. Ich namiętnościom nie towarzyszyły wyznania. Nie były im one potrzebne. Wiedzieli, że spotkało ich szczęście. Teraz je przeliczali na miesiące, nie na dni. Jeden miesiąc, drugi, trzeci.

Ten trzeci miał być wyjątkowo uroczysty. Michał zamówił stół w lokalu.

– Dość ukrywania się przed światem – oznajmił buńczucznie. – Niech cały świat się dowie o nas. Kupisz sobie wieczorową suknię, koniecznie w zielonym kolorze, ja ubiorę smoking, pojedziemy na wspaniałą kolację i będziemy tańczyć dopóki nas nie wyproszą.

– To zły pomysł. Po pierwsze: nie stać mnie na wieczorową kieckę. Po drugie: nie umiem tańczyć. Po trzecie: wolę naszą trzecią miesięcznicę spędzić z tobą bez ludzi, choćby pod prysznicem.

– Zbereźnica. Nie wychodziłabyś z łóżka.

– Straciłam mnóstwo czasu, muszę go nadrobić – roześmiała się. – Że nie wspomnę o tobie, staruszkę.

– Marta. Tak się cieszyłem na ten wieczór. Czuję się taki młody przy tobie. Chcę pić szampana i przytulać się do ciebie w tangu. Nie opowiadaj, że nie potrafisz tańczyć tanga. To łatwe. Wystarczy złapać rytm.

– Michał. Przecież orkiestra w lokalu gra nie tylko tango.

– Oplacę każdy taniec. Tango i wyłącznie tango – roześmiał się. – Zresztą, ja umiem jedynie tango. To moja specjalność.

– Michał, a jeśli spotkasz znajomych?

– Kicham na znajomych. Niech zobaczą, jaką mam piękną dziewczynę, Marta. Obiecuję, że przyjdzie taki dzień, w którym cię przedstawię wszystkim jako moją żonę.

Spłoszyła się. Wolą nie planować niczego. Żona. Marta Wierzbicka: żona. A co z tamtą, na wpół obłąkaną z zazdrości? Po raz pierwszy pomyślała o

niej. Jak musi się czuć, kiedy jej mąż nie wraca na noc do domu? Stoi w oknie, wypatrując ośleptymi od łez oczami jego samochodu? Z którego wysiądzie mężczyzna, poza którym nikogo nie ma, bo i dzieci nie ma, żeby ją pocieszyły. Tą swoją obsesyjną zazdrością musiała skutecznie pozbyć się przyjaciół, znajomych. Kto bowiem tolerowałby jej wieczne psychozy, stany maniakalne, ordynarne awantury? Więc jest sama. Pewno w dużym mieszkaniu: Michał nigdy nie wspominał, gdzie i jak mieszka. A może w willi, otoczonej drzewami, wysokim ogrodzeniem, wyposażonej w system alarmowy? Michał nigdy nie mówił o swoim majątku, ale w firmie zarabia dwadzieścia tysięcy miesięcznie plus premie i coś tam jeszcze. Miał bogatych rodziców, toteż jest czego strzec w jego willi, mieszkaniu czy może apartamencie. Sama w ciągu dnia, sama w środku nocy, sama nad ranem. Może jest podła, może zła, ale sama. Tym razem słusznie podejrzewająca męża o romans. Już go nie bije w ataku niepohamowanej zazdrości; ani razu więcej Michał nie obnosił śliwy pod okiem. Może nawet i nie krzyczy, nie wymyśla, nie obraża, Bo tym razem wie na pewno: jej mąż ma romans. Może widzi w oczach swego męża tę niebywałą radość życia, więc wie więcej: jej mąż ma nie tylko romans, jej mąż kocha inną. Czy ją sobie wyobraża, tę inną? Na pewno młodszą, dużo młodszą, z młodym, jędrnym ciałem. Biegnie do lustra, obserwuje swoją twarz, kiedyś piękną, teraz zaledwie z resztkami dawnej urody. Kurze łapki pod oczami, bruzdy na czole, bruzdy przy ustach posiekanych cieniutką rzeźbą zmarszczek. Czy taką twarz jej mąż zechce na nowo pokochać? Odslania przed lustrem swoje piersi, brzuch. Duże piersi zwisają jak przejrzale gruszki, brzuch dawno temu przestał być gładki i płaski. Czy takie piersi i taki brzuch są w stanie obudzić w mężu pożądanie? A jeśli na dodatek ona wie, że jej nigdy nie kochał? Że poszedł z nią do łóżka pijany w trupa, nawet nie znając jej imienia? I jedynie, jak to wyraził się Michał, dotrzymał danego po

pijaku słowa? Cóż może bardziej upokorzyć kochającą kobietę niż taka właśnie świadomość? Może dlatego nie chciała mieć z nim dzieci, bo знаła prawdę?

– Hej, Marta. Wróć. Gdzie byłaś?

– Masz willę otoczoną wysokimi drzewami i wysokim ogrodzeniem?

– Co tobie?

– Odpowiedz.

– Skąd ci do głowy przyszła willa z ogrodem?

– W takim razie dwupoziomowy apartament na chronionym osiedlu?

– No prawie... Grasz ze mną w zgaduj– zgadule, Marta? Tak dziwnie mi się przyglądasz. Zrobiłem coś nie tak? Mogę odwołać zamówiony stolik...

– Michał. Nigdy, ale to nigdy, nie wymawiaj przy mnie tego słowa.

– Jakiego słowa na Boga?

– Żona.

– Marta, ja myślę całkiem poważnie o...

– To nie myśl – jednak widząc nagły smutek na jego twarzy, dodała: – Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie czas. Znamy się dopiero trzy miesiące.

– Aż trzy miesiące! – zaprotestował. – Mnie się wydaje, że znam cię od zawsze!

– Mnie się zdaje podobnie. Lecz pozostawmy sprawy własnemu biegowi. Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzą.

– Ja wiem, dokąd.

– Nieprawda, nie wiesz. To są jedynie twoje marzenia, Michał.

– Przez tyle wieczorów podjeżdżałem pod twój wieżowiec i marzyłem o tobie bez żadnej nadziei na spełnienie. I stał się cud. Jesteś ze mną.

– To był wyłącznie przypadek. Splot okoliczności, nie cud.

– Czemu sprowadzasz mnie na ziemię, Marta? – objął ją, ucałował w czubek nosa, lecz tym razem nie rozśmieszył.

Nie jesteśmy już sami, tylko we dwoje. Pomiędzy nimi pojawiła się twoja żona. Wysoka, tęga, nadmiernie umalowana kobieta, którą widziałam raz w firmie, a która mnie wiele razy przez telefon obrzucała obelgami. Może i podła. Może zamieniająca własne życie i twoje życie w piekło od wielu lat. Moja matka też mi moje życie zamieniła w piekło, a ja nie wiem dotąd, czy to piekło mi stworzyła, bo była zła czy przepracowana do granic ludzkiej wytrzymałości. A może z innych powodów, których wciąż do końca nie rozumiałam? Nie znam twojej żony, Michał. Lecz teraz, kiedy stałam się kobietą i nauczyłam się kochać, potrafię się wczuć w rolę kochającej i odrzuconej, więc chyba, Michale, współczuję tej twojej żonie. Nie wiem, czy potrafię budować swoje szczęście kosztem drugiej kobiety.

– Ponieważ żyjemy na ziemi, nie w obłokach, szanowny panie prezesie.

– Marta! Żyjemy w naszym własnym, przez siebie stworzonym raju. Nie psujmy go. Dzięki tobie...

– Każde z nas wiele zawdzięcza drugiemu – przerwała.

Ach, niech wreszcie przestanie mówić tym górnołotnym językiem. Kochamy się bez słów, rozumiemy się bez słów, po co nam one? Słowa stwarzają pozory. Milczmy. W ciszy słyhać bicie serca. Ono nie oszuka. Ono mówi wyłącznie prawdę. Przynajmniej moje tak.

– Mam się zamknąć? – zdenerwował się Michał.

– Dokładnie – wzięła jego rękę, ucałowała po kolei każdy palec. – Nie dąsaj się. Wypraw tę naszą trzecią miesięcznicę przy świecach, w drogim lokalu, skoro ją tak sobie wymarzyłeś i skoro rzeczywiście nie obawiasz się spotkania

znajomych. Albo znajomych znajomych, którzy powiedzą, iż Michał Wierzbicki ma młodą kochankę.

– O Jezu, Marta, nie jesteś moją kochanką!

– O Jezu, Michał, jestem. Co mi zupełnie nie przeszkadza. W każdym razie dotąd, dopóki się nie wyda, ponieważ wówczas będę musiała odejść z firmy i zapisać się jako bezrobotna w urzędzie pracy.

– Jeśli się wyda, odejdę razem z tobą. Nie martw się, mam spore konto. Własne konto – podkreślił. – Przeniesiemy się do innego miasta, kupimy mieszkanie, meble i nareszcie będziemy naprawdę razem. Zaś pracę znajdę. Mam wielu ważnych przyjaciół. Wśród nich takich, którzy mi sporo zawdzięczają. Rozumiesz?

– Dokładnie – odpowiedziała.

A twojej matce zostawię mieszkanie i matiza, starczy jej, moja maleńka, moja śliczna. Nie. Michał nie taki. Nie, nie: Michał by nie oszukał swojej żony. Jest człowiekiem honoru. Ożenił się, ponieważ dał słowo. Nawet jej nie zdradzał. Powinnam mu współczuć, nie osądzać. –Przepraszam.

– Za co? Kochanie?

– Nie mów do mnie: kochanie! – wybuchła. *Moje kochanie, moja sarenko, moja biała łanio.*

– Boże, Marta. Dlaczego się tak nagle wściekłaś? Co ja takiego złego powiedziałem? Chodzi o kolację? Rezerwację mogę odwołać w każdej chwili.

– Nie odwołuj. Nigdy nie byłam w nocnym lokalu. Kupię sobie długą kieckę, będę ją co chwila przydeptywać, pewno z raz się wywalę. Z pewnością natomiast, masz to jak w banku, stłukę z wrażenia talerz. Ale jedno obiecuję: nie będę jadła palcami.

Teraz on wycalował jej palce obu dłoni.

– Pozwól, że w ramach prezentu na tę rocznicę, sfinansuję ci suknię i dodatki.

– Nie pozwalam. Chyba, że rzeczywiście traktujesz mnie jak kochankę.

– Niczego sobie nie pozwolisz kupić – przybrał nieszczęśliwą minę. Jedną z wielu. Miał ich w zapasie kilka i zawsze taka mina ją rozbawiała. Wyglądał komicznie z wykrzywionymi żałośnie w podkówkę ustami, więc i tym razem mu się udało. Roześmiała się, wołając, że kłamie, kłamie jak najęty, ponieważ tak: kupił dwa talerzyki, dwa kieliszki do wina, pięć wazonów do kwiatów i jedną patelnię, kiedy się im któregoś wieczoru bardzo zachciało jajecznicy na maśle i pomidorach. Jajka i masło mieli, pomidory również, lecz tej patelni brakowało, to wsiadł w samochód, pojechał do supermarketu, gdzie jest wszystko i kupił olbrzymią patelnię, na której dałoby się usmażyć jajecznicę z co najmniej dwudziestu jajek.

– Zapomniałaś o elektrycznym czajniku. Oraz dwóch widelcach i nożach. Bo z ciebie takie skąpiradło, że musieliśmy pizzę jeść rękoma.

– Udając dzikich z plemienia Babula. Szanowny pan prezes siedzący po turecku na podłodze, z nosem i brodą wymazanymi keczupem. To był widok! Nie do zapomnienia!

– Chodź do mnie. Kiedy ci ostatni raz mówiłem, że cię kocham?

– Nie pamiętam. A mówiłeś?

– Kłamczucha – szepnął z ustami na jej szyi. – Wiesz co? Powinniśmy częściej się kłócić. Ubóstwiam, kiedy się godzimy.

I po sprzeczce. Zaległa jedynie cisza, w której słyszeli swoje własne oddechy.

Wzięła pożyczkę z banku, całe dwa tysiące złotych, na dziesięć rat plus odsetki. Pojechała do galerii handlowej, gdzie są markowe butiki. Poczowała się

niczym księżniczka, przymierzając zupełnie oszalamiające swym pięknem suknie w równie zawrotnych cenach. Nie przypuszczała, że ich przymierzanie sprawi jej tyle przyjemności. Bo to było przyjemne: oglądać się w dużych lustrach, raz na niebiesko, raz na złoto, raz na czarno, w koronkach, miękkich atłasach, lejących się jedwabiach, aż się zagubiła. Nie wiedziała, jaką wybrać? Nagle zapragnęła na ten szczególny przecież wieczór i noc stać się olśniewającą, żeby wszyscy na sali mężczyźni zazdrościli jej Michałowi, oglądali się za nią, nawet jej pragnęli. Niestety, w kolorze zieleni sukni nie znalazła. Kupiła czarną, na cieniutkich ramiączkach, odsłaniającą całe plecy, przylegającą ściśle do ciała.

– Przymierz – nalegał Michał – i włosy rozpuść, proszę.

– Nic z tego. Zobaczysz jutro. I nie rób tej swojej żalostnej miny. Niczego nie wskórasz. Zresztą, szkoda czasu. Wczoraj nie zostałeś na noc. Stęskniłam się za tobą.

Rano spostrzegła duży plaster na jego ramieniu. *To dlatego wzbraniał się przed wspólnym prysznicem. Żeby mu się nie odlepił. Skaleczyła go w napadzie szału nożyczkami? Ugryzła? Wredna baba.*

– Boli? – zapytała, dotykając osłoniętego plastrem miejsca.

– E, głupstwo. Nie przejmuj się. Zadrasnąłem się w trakcie golenia.

– Golenia? – zdumiała się. – Od kiedy to ci włosy rosną na ramieniu? Coś kręcisz, szanowny panie prezesie.

– A czy ja mówiłem, że goliłem twarz? – nieoczekiwanie się zdenerwował.

– Goliłem się pod pachami. Marta, wstajemy. Już późno.

– Dopiero wpół do siódmej. Wystarczy, jak do firmy wyjedziemy za pół godziny.

Zmieszał się.

– Dziś nie pojedziemy razem. Przykro mi, Marta. Mam do załatwienia ważną sprawę. – Niby się tajemniczo uśmiechnął, lecz nie patrzył jej w oczy. *Kręci.*

– No to podrzucisz mnie do tramwaju.

– Marta. Jadę w przeciwnym kierunku. – *Albo szykuje jakąś niespodziankę, albo kręci. W dodatku głupio, bo co to znaczy: w przeciwnym kierunku? W przeciwnym kierunku wyjeżdża się z miasta.* – I bądź punktualnie w firmie.

Pospiesznie ją pocałował, pospiesznie pognął do łazienki, pospiesznie ubrał, z równym pośpiechem zatrzaskał za sobą drzwi. Była zdumiona i lekko zaniepokojona jego zachowaniem. Zazwyczaj żegnali się długo, przeciągając nieomal do ostatniej sekundy moment rozstania, żeby chociaż raz jeszcze musnąć się wargami. Choćby dotknąć ręki. Nieważne, czy mieli się spotkać za pięć godzin, czy za pół godziny; czas spędzany oddzielnie uważali za stracony. *Co mu się stało? W jaki sposób maszynkę elektryczną można się skaleczyć w ramię? Taką maszynkę w ogóle nie da się skaleczyć. Markową maszynką Gillette? Kłamał? Czemu kłamał? Bo kłamał, nie ulega wątpliwości. Zrobił mu się na ramieniu wielki, brzydki pryszcz? Lub naprawdę miał jakąś cholerną przeprawę z żoną. Boże, znowu ta jego żona! Ale tak musiało się stać. To było pewne, że żona pojawi się i każe myśleć o sobie, nie pozwoli na ignorowanie jej, zacznie domagać się swoich praw. Jakich praw, do cholery? Był twój, babo, przez tyle lat i nie potrafiłaś nauczyć go siebie kochać. Czyja to wina? Nie moja. I tak posiadasz nade mną przewagę. Jak długo by ze mną nie był, zawsze, zawsze w którymś momencie mnie zostawia, wraca do ciebie. Nie da się ukryć: jestem tylko zwykłą kochanką. Udającą, że mi taki status odpowiada, że się z nim godzę, nie buntuję, nie sprzeciwiam, a wszystko stąd, że nie chcę narazić kochanego mężczyznę na wyrzuty sumienia i na kłopoty. Natomiast ty, być może, zmusisz go*

szantażem, Bóg jeden wie czym, aby wrócił do ciebie. Przewiduję i taki koniec tej historii. Bo to banalna historia, stara jak świat światem: dużo starszy facet zakochuje się w młodej dziewczynie i albo wygrywa dziewczyna, albo prawowita żona. Tymczasem ja nie chcę zmieniać dotychczasowego układu, nie dążę do konfrontacji, nie stawiam Michałowi żadnych warunków, nie wymuszam na nim zerwania małżeństwa. Nawet nie wyobrażam sobie siebie w roli jego żony. Po prostu dobrze jest, jak jest. I oby tak zostało. Jak długo to możliwe.

Jednak do firmy jechała napięta, targana złymi przeczuciami. Celowo spóźniła się o cały kwadrans, taki mały test na reakcję Michała jako szefa. Wychodząc z windy, pomyślała, że to idiotyczny test, reakcja Michała – szefa może być wyłącznie jedna: udzielenie nagany niesolidnej pracownicy.

Za jej biurkiem siedziała, grzebiąc w jej papierach starsza kobieta w ciemnogrnatowym kostiumie, z ulizanymi włosami. Chyba ją widziała w firmie. W gabinecie naczelnego.

– Pan prezes kazał pani natychmiast przyjść do siebie, panno Stańczyk – odezwała się kobieta. Miała bladoniebieskie oczy. Nieprzyjemne, krytyczne, zimne oczy.

Boże! Wydało się! Biedny Michał! Widocznie już wczoraj naczelny się z nim rozmówił, zażądał mojego zwolnienia. Dlatego dziś rano tak się spieszył. Dlatego jechał rzekomo w przeciwnym kierunku, bo nie chciał pojawić się w firmie z kochanką przy boku. Ale, do cholery, na przystanek mógł mnie podwieźć. Przecież naczelny nie wynajął brygady antyterrorystycznej do obstawienia miasta czy armii prywatnych detektywów do śledzenia każdego ruchu poczynionego przez prezesa Wierzbickiego, który swoim niestosownym romanssem z własną sekretarką naruszył nieskazitelny wizerunek firmy. I przede wszystkim mógł uprzedzić! Nie narażać na upokorzenia. Przysłałabym

korespondencyjnie podanie o zwolnienie. Żona Michała mówiła prawdę: to tchórz, konformista. Nie, mój Boże, nie. Michał by powiedział. Michał nie broniłby w taki podły sposób swojej kariery. Wszystko, tylko nie to. I nie dzisiaj, kiedy mamy obchodzić trzecią rocznicę. Nie, nie! W żadnym wypadku.

– Chwileczkę. Kim pani jest i co pani robi za moim biurkiem? – *Najlepszą formą obrony jest atak.* – Na jakiej podstawie wydaje mi pani polecenia? Kto panią upoważnił do grzebania w moich dokumentach?

– Powinna pani wiedzieć... – zmieszała się kobieta. – Zastępuję panią. Pan prezes Wierzbicki prosił mnie o zastępstwo, ponieważ pani dzwoniła do niego, mówiąc, że była wczoraj u rodzinnego lekarza, zaś dziś przyniesie trzydniowe zwolnienie z powodu choroby...

– No tak, faktycznie... – teraz zmieszała się Marta. – *Co ten Michał nazmyślał?* – Przepraszam. Mam ciężką migrenę. – *Skąd ja teraz wytrasnę zwolnienie lekarskie?* – Oczywiście. Zaraz przedstawię panu prezesowi zwolnienie.

Michał czał się tuż za drzwiami.

– I jak się pani czuje? – Zapytał gromkim głosem, zanim zamknął drzwi. Potem przyciągnął do siebie. – Ty na zwolnienie, ja na trzydniowy urlop – roześmiał się konspiracyjnie. – Dobra niespodzianka, co? Żebyś widziała, jaką masz głupią minę – chichotał. – Trzy dni plus weekend razem to już pięć. Na cztery wyjedziemy do Kazimierza, Marta! Nieźle to sobie wykombinowałem, prawda?

– O Boże, a już myślałam, że wpadliśmy i naczelny kazał ci mnie wywalić, a ta baba to twoja nowa sekretarka.

Spoważniał. Nachmurzył się.

– Nie ufasz mi, Marta? Nie potrafię już żyć bez ciebie. Mam wszystko przemyślane, rozplanowane, ze szczegółami, powiesz słowo, a składam pozew o rozwód.

– Michał. A twoja żona? Co się z nią stanie? Nie chciałabym jej skrzywdzić.

– Przejmujesz się moją żoną?

– Zostanie całkiem sama. Ona ciebie kocha, Michał. Poza tobą nie ma nikogo. Będą mnie gnębiły bezustannie wyrzuty sumienia.

– A ja kocham ciebie, ty kochasz mnie. Tak się zdarza. Czy to zbrodnia? A gdyby było odwrotnie, gdyby to moja żona znalazła innego mężczyznę? Sądzisz, że zastanawiałaby się przez moment, czy ma się go wyrzec, czy odejść ode mnie? Marta. Jeśli zostanę z nią, nikt nie będzie szczęśliwy. Ani ona, ponieważ znienawidzę ją do końca, ani ja, ani ty. Jeśli zostaniemy w dotychczasowym, klasycznym, upokarzającym i moją żonę, i mnie, i ciebie trójkacie, prędzej czy później wybuchnie niszczący naszą osobistą godność skandal. Wtedy zostaniesz postawiona pod ścianą. Wyleją na ciebie kubły pomyj. Nie licz na przychyłność opinii, Marta. Młoda, ładna, zadała się z żonatym, starszym o dwadzieścia lat od siebie własnym szefem. Cwana: zamierzała się urządzić, wiedziała, że jest zamożny. Może nawet brała kasę za swoje usługi? Ciekawe, ile od niego wyludziła? Nikt nawet nie pomyśli, że mnie po prostu kochasz. Ja odwrotnie: spotkam się z powszechnym współczuciem. Zakochał się biedak, stracił głowę, nic dziwnego, w jego wieku odbija. Mnie darują, tobie nie. I co wówczas dalej, Marta? Co z nami?

– Mówiłeś, że mnie obronisz, że wyprowadzimy się do innego miasta.

– Nie znasz mojej żony, Marta. To zły człowiek. Nie pozostawi nas w spokoju. Dopadnie wszędzie. Wszędzie jej wysłuchają, uwierzą w najpodlejsze

kłamstwa, bo ona wciąż według prawa będzie moją żoną, a dla opinii: żoną porzuconą dla znacznie młodszej od niej dziewczyny. W końcu któreś z nas pęknie. I to będziesz ty, Marta. Nie dasz rady ciągle i ciągle zlizywać z siebie błota. Jesteś zbyt krucha psychicznie, zbyt wrażliwa. Odejdiesz poraniona, przegrana, zgorzkniała. Twoja miłość do mnie utonie w brudach, splugawiona intrygami mojej żony, o którą teraz się martwisz. Marta. Ani razu w ciągu tych naszych trzech miesięcy nie wspomniałem o żonie. Marta! Przeżywam piekło każdego dnia, gdy wracam do domu. Żona nie zadawała się moimi kłamstwami. Ona wie, że kogoś mam, ale jeszcze nie wie, kogo. Ale się dowie. To tylko kwestia czasu. Rzuci się na ciebie niczym wściekła lwica, a jest zdolna do każdej podłości. Uwierz mi, Marta, nie cofnie się przed niczym ani nikim.

Doznała olśnienia. Już wiedziała, skąd na jego ramieniu ten plaster zakrywający wstydliwie ślad, ale nie po napadzie agresji, tylko po zbyt namiętym pocałunku żony.

– Sypiasz z nią, Michał?

– Marta, zrozum...

– A potem przychodzisz i kochasz się ze mną?

– A ty, oczywiście, naiwnie sądziłaś, że ją wyrzucę z łóżka? Niby jak mam to zrobić? Jest moją żoną, ma do mnie prawo.

– Przestań! Nie chcę tego słuchać!

– Marta. Nie bądź hipokrytką. Wydawało ci się, że wystarczy nie myśleć o niej, a ona jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknie? Zamieni się w kamień? Zapadnie w niebyt? Od pierwszej naszej wspólnie spędzonej nocy, którą przesiedzieliśmy u ciebie w twojej dziupli, głowię się, w jaki sposób przeprowadzić rozwód. Powiem ci więcej, Marta. Tak rozpaczliwie cię pokochałem, że nawet nie będąc z tobą, rozwiódłbym się z żoną. Marta, mam dość kłamstw. I

mało czasu. Coraz mniej czasu. Pragnę się z tobą budzić, z tobą zasypiać, wracać do naszego wspólnego domu. Pragnę mieć dzieci. Może będę żył na tyle długo, że doczekam i wnuków. Zdecyduj. Jeśli mnie naprawdę kochasz, powiesz tak. Tak, Michał, zostanę twoją żoną.

On ma rację. We wszystkim. Sama siebie oszukiwałam, że jest dobrze, cudownie i bez żadnych wzajemnych zobowiązań. Że status kochanki? Również udawałam, że tak naprawdę mi nie zależy na tym, co myślą sąsiedzi z klatki schodowej, ani co o mnie mówią ochroniarze, a przecież podjeżdżając z Michałem na parking, kurczyłam się, drętwiałam, pragnęłam mieć czapkę niewidkę, bo właśnie idzie nasz goniec, bo ochroniarz patrzy w naszą stronę. Biedny mój Michał, ani razu nie pomyślałam o nim, nie zastanawiałam się, co czuje, wracając do domu. Wystarczało mi, że nie ma śliwy pod okiem. I ja ciebie kocham rozpaczliwie, Michał. I ty dla mnie jesteś całą moją rodziną, zastępujesz mi koleżanki, przyjaciółki, znajomych. Mam tylko ciebie i wyłącznie ciebie.

– Dobrze. Złóż ten pozew.

– Marta, wszystko się uda, zobaczysz! Boże, nareszcie, nareszcie! Uprzedzam jednak, że czekają nas trudne dni.

– Wiem. Przejdziemy przez nie razem – pogłaskała go po policzku. Po tym biednym, umęczonym, rozszarpywanym przez dwie kobiety policzku. *Tak, chcę, aby twój policzek należał wyłącznie do mnie. Kocham twój policzek. Będę dobrą żoną. Będziemy mieli swój dom. Swoje klucze do swoich drzwi. Swoje łóżko. I dzieci. Samych synów.*

– Wytrzymaj łzy. Wychodząc, podziękuj pani Teresie, że jest taka miła i zgodziła się na zastępstwo. Przyjadę do ciebie koło dwudziestej, moja piękna żono. Moja upragniona żono.

– Michał?

– Słucham Marta?

– Powtórz to jeszcze raz.

– Moja piękna żono.

– Michał. Nie jedźmy dziś na żadną kolację. Kupiłam suknię. Ubiorę się w nią dla ciebie. Pragnę, żebyś ty i wyłącznie ty patrzył na mnie.

– Ufasz mi, Marta? – podparł się na łokciu, zajrzał w jej oczy.

– Bez komentarza – uśmiechnęła się, przyciągnęła go do siebie. – Zamiast zadawać głupie pytania, obejmij mnie. Mocno. Jeszcze mocniej.

I westchnęła.

– Szkoda, że nie mogliśmy na zawsze zostać w naszym wirtualnym świecie, tam w Kazimierzu. Boję się, Michał.

– Również wolałbym nie wracać do Łodzi. Przede wszystkim mieć tę batalię już za sobą. Lecz odrzuć wszelki strach. Zachowaj spokój. Nic ani nikt ci nie zagraża. Moja w tym głowa.

W ciągu czterech dni pobytu w Kazimierzu Michał zachowywał się tak, jakby to była ich podróż poślubna. Wpisał do hotelowego rejestru: Marta i Michał Wierzbiccy. Do kelnerów mówił: moja żona lubi wysmażony befsztyk, proszę ten zabrać, moja żona nie jada krwistych. W kwaciarni: proszę dla mojej żony trzy białe storczyki, i bez przybrania, moja żona nie znosi sztucznych wstążek. W galerii: mojej żonie podoba się ten pejzaż, proszę go dobrze zapakować. Zaciągnął do jubilera. Niby ot, tak, pooglądać biżuterię, pierścionki. Który ci się podoba? Daj spokój, Michał, żaden. Kłamiesz. Pozwól więc, że ja ci wybiorę. Ten albo ten. Proszę pana, przywołał, moją żonę interesują te dwa pierścionki. Chciałaby przymierzyć. Nie miała wyjścia. Przymierzyła. Ten, zdecydował stanowczo, jak najprawdziwszy mąż. Pięknie wygląda na twoim palcu, żono. Pierścionek był z białego złota, z jednym, małym brylancikiem. Jej

również się podobał. Michał zapłacił, schował puzderko do kieszeni. Wieczorem, po kolacji, w pokoju hotelowym ukląkł przed nią. Ucałował wszystkie jej palce, nim na serdeczny wsunął migocący iskierkami krążek.

Wariat. Jakby napawał się brzmieniem słowa żona. Jakby je odkrywał dla siebie od nowa. Marta! Powiedz: chcesz, chcesz? Oznajmię całemu światu, zawołam na cały głos: oto moja żona, widzicie? Przysięgam jej miłość, wierność i posłuszeństwo! Marta, pozwól, zawołam. Rozpiera mnie taka radość i taka lekkość, że niczego się nie lękam, nic mnie nie przeraża, staję się silny, potężny, pozwól, zawołam. Niech wszyscy wiedzą, że jesteś moją żoną. Kompletny wariat.

Zamykała mu usta pocałunkiem. Michał, bo zapeszysz. Jeszcze nią nie jestem. Jesteś. Od pierwszej nocy, spędzonej z tobą w twojej dziupli – jesteś. Zawsze tak o tobie myślałem. Kiedy wychodziłaś z zieleni, patrzyłem i myślałem: oto idzie moja żona. Kiedy pocałowaliśmy się po raz pierwszy, myślałem: całuję swoją żonę. Kiedy po raz pierwszy cię objąłem, myślałem: czuję bicie serca swojej żony. Kiedy po raz pierwszy obudziłem się przy tobie, myślałem: jaka to radość, budzić się i czuć ciepło ciała swojej żony.

– Muszę już lecieć, Marta. Zadzwoń. Błagam cię, tylko mi nie płacz. Nie ma innego wyjścia.

– Wiem.

Odwracał się od drzwi kilka razy, aby ją jeszcze raz pocałować, dotknąć, przytulić.

Michał ustalił następujące zasady strategii. Mieli się nie spotykać przez trzy tygodnie lub najdłużej przez miesiąc, zdani wyłącznie na kontakt telefoniczny. W firmie nie pokażesz się w ogóle, powiedział. Nie przyślesz ani zwolnienia lekarskiego, ani podania o zwolnienie z pracy. Odczekam dwa tygodnie, po dwóch tygodniach absencji w pracy bez żadnego usprawiedliwienia mam prawo

zwolnić cię dyscyplinarnie. Jeżeli w firmie były jakieś plotki na nasz temat, automatycznie ucichną. Przecież nie wyrzucalbym na zbity pysk swojej kochanki, to logiczne. Jeżeli ploty będą nadal, dam do zrozumienia, że z tobą definitywnie zerwałem lub ty ze mną zerwałaś, bo znalazłaś młodszego. Nic nie mów, wiem, że to nie jest przyjemna opcja, ale cel uświęca środki. Bardzo dobrze się stało, Marta, że się tak zapierałaś przed podwyżką. Nie dałem jej, mimo zwyczajowego prawa, ponieważ byłaś kiepską, lekceważącą swoje obowiązki pracownicą. To także zaświadczy, że nawet, jeśli łączył nas romans, był krótkim, nieznaczącym epizodem. Będę z firmy wracał grzecznie do domu. Muszę zyskać na czasie. Moja wściekła żona ma się przekonać, że obecnie jestem przykładnym mężem. Nawet przyznam się, że miałem kochankę, oczywiście nie mówiąc, kto to. Marta, nie patrz tak na mnie! Wiem, o czym teraz myślisz. Że będę z nią sypiał. Od kiedy obiecałaś mi, że zostaniesz moją żoną, postanowiłem, że nie będę. Przysięgam. Powiem, że moja kochanka zaraziła mnie chorobą weneryczną i się leczę. Dobrze to wymyśliłem, prawda? Rozmawiałem też z jednym z najlepszych adwokatów od rozwodów. Powiedział, że rozwód da się uzyskać szybko w dwóch przypadkach. Pierwszy: o ile zostanie on przeprowadzony bez orzekania o winie. Drugi: o ile całą winę za rozpad małżeństwa wezmę na siebie i zgodzę się na warunki strony przeciwnej, jak na przykład wypłacanie alimentów w kwocie przez nią ustalonej oraz na polubowny podział majątku. Sprzyjającą dla mnie okolicznością jest, że nie posiadamy dzieci. Rozwód bez orzekania o winie nie wchodzi w grę, znam Edytę od podszewki. Będzie walczyła wszystkimi możliwymi sposobami. *Aha, więc ma na imię Edyta. Wymówił je, jakby przetykał glistę.* Winę za rozpad małżeństwa wezmę, zgodnie z prawdą, na siebie, bo to ja od niej odchodzę do drugiej kobiety. Alimenty również się jej należą, Edyta po skończonej karierze modelki i

niedoszłej aktorki nigdy nie pracowała. Jest starsza ode mnie o pięć lat. Niczego nie umie, nie skończyła studiów, nie ma szans na pracę. To oczywiste, że nigdy nie zostawiłbym jej bez środków do życia. Więcej: jest przyzwyczajona do dobrobytu, drogich ubrań, kosmetyków, różnych salonów odnowy biologicznej. Zawsze z powodu różnicy wieku dbała o siebie i tego jej również nie pozbawię. O dobra materialne nie mam zamiaru się wadzić. Zostawię Edycie wszystko, łącznie z samochodem i połową środków z mego osobistego konta, chociaż do niego nie ma prawa, bo to spadek po moich rodzicach, który nie podlega wspólnocie majątkowej. Ale niech ma. Ja chcę się rozwieść jak najszybciej. Chcę przede wszystkim ochronić ciebie. Żebyś nie wpadła w pazury Edyty. Dlatego przestaniemy się widywać. Mój prawnik zapewniał, że ma znajomości w sądzie. Po przygotowaniu pozwu pierwsza rozprawa może odbyć się w ciągu tygodnia, druga: merytoryczna, najdalej w dwa, trzy tygodnie po pierwszej. Więc miesiąc, Marta. *A jeśli dłużej? Jeśli twój plan zawiedzie? Boże, Michał! Zgodzę się czekać na ciebie tyle, ile trzeba. Czekałam na kogoś takiego jak ty dwadzieścia dwa lata.* Potem weźmiemy cichy ślub. Wyjedziemy nie w wirtualną, ale prawdziwą podróż poślubną. Przeniesiemy się do Warszawy. Wspominałem ci już, że proponują mi bardzo dobre stanowisko w konkurencyjnej firmie, na lepszych warunkach. Właśnie w Warszawie. Jakby nam sprzyjał dobry los, Marta. Stanowisko się zwalnia i będzie do objęcia za jakieś cztery, pięć miesięcy, czyli długo po moim rozwodzie i po ślubie z tobą. *Warszawa. Niech będzie Warszawa. Z tobą mogę i do Pacanowa. Na koniec świata. Zwłaszcza, że mnie tu nic nie trzyma. Mama rozłącza się, słysząc mój głos. Pani Kozłowska mówi, że ojczym jak do rany przyłoży. Coś ty tam takiego zrobiła, że twoja matka powiedziała mi: Marta? A któż to taki, pani Kozłowska? Nie znam. Zaś twój ojczym rozgniewał się, krzyknął: W tym domu niech pani nigdy nie ośmieli się więcej wymówić*

imienia mojej najstarszej córki! Ona dla nas nie istnieje. Ona wyrządziła nam wszystkim krzywdę nie do wybaczenia! Martusia, kochana moja, nie ma takiej krzywdy, której nie da się naprawić. Twoja mama jest wierząca. Bóg kazał wybaczać bliźnim, a co dopiero własnym dzieciom. Na pewno ci przebaczy, tylko przyjdź, przeproś, przecież widzę, Martusia, że ona cierpi i dziewczynki również. Kiedy im mówię, że ty dzwoniłaś do mnie i wypytywałaś o ich szkołę, o lekcję, o stopnie, płaczą, upewniają się: Pani mówi prawdę? Martusia dzwoni do pani? Wypytuje o nas? Dzwoni prawie codziennie, odpowiadam. Niech ją pani od nas ucałuje. Powie, że wciąż ją kochamy. Nam nie wolno od niej odbierać telefonu. Kiedy słyszymy jej głos, musimy odkładać słuchawkę. Martusia, nie zwlekaj. Przyjdź. Ucałuj ręce matki. A na ojczyma nie zwracaj uwagi, to zły człowiek i ta cała jego przymilność, troska o dom, o dziewczynki i matkę funta kłaków nie warta. Ja mu nie ufam, choć prosta ze mnie kobieta. Nie mogę przyjść, pani Kozłowska. Ja również ojczymowi nie ufam. Moim siostróm proszę nie mówić, że o nie wypytuje. Im szybciej zapomną o „swojej Martusi”, tym lepiej dla nich. No nie wiem, odpowiadała bez przekonania pani Kozłowska. Dziękuję, pani Kozłowska. A za co ty mi dziękujesz, dziewczyno? Kochana pani Kozłowska, chociażby za to, że mogę do pani telefonować. I za to, że pani wierzy w możliwość przebaczenia. Obym go doczekała. Będę się za ciebie modliła, Martusia. To do jutra, pani Kozłowska. Do jutra, Martusia.

Dzwonek do drzwi.

Michał się wrócił? Ale on ma klucze?

To pewno ta wścibska sąsiadka z naprzeciwka. Przyjdzie pod pozorem pożyczania szklanki cukru albo łyżki soli. Wepchnie się bezczelnie do pokoju. Omiecie małymi, wrednymi oczkami materac. Jedno krzesło. A pani to ciągle nie ma mebli? Ten pan, który do pani przyjeżdża musi być bogaty. Taki drogi wóz,

syn mówi, że przynajmniej za siedemdziesiąt tysięcy, a może i więcej. To taki bogaty, a mebli pani nie kupi? Co za cholerne babsko! Dzwoni i dzwoni! Jakby się gdzieś paliło. Żeby ją szlag, nie odpuści.

– Zaraz otwieram! – krzyknęła. Pospiesznie zarzuciła kołdrę materac. Dzwonek urywał się jazgotliwie. – Przecież mówię, że zaraz!

Narzuciła szlafrok na nagie ciało. Dzwonek szalał. *No, ja już ci powiem, wredna babo, coś takiego, że się na zawsze ode mnie odczepisz.*

Za drzwiami stała Wierzbicka. Elegancka, w futrze, *chyba norki*, w kapeluszu, z uśmiechem przyklejonym do mocno umalowanych, pełnych warg. *Jezu, Michał, ratuj!*

– Nie bój się. Nie obleję cię kwasem siarkowym ani nie poderżnę ci gardła nożem. Kałacha też nie wzięłam. Wpuścisz mnie do środka czy zamierzasz rozmawiać ze mną na klatce schodowej?

Drzwi od wścibskiej sąsiadki uchyliły się, tworząc szparkę.

– Proszę – cofnęła się, przepuszczając żonę Michała. *Jezu, Michał, na nic twój plan. Znalazła mnie.* – Pokój jest tam.

– Masz jakieś domowe pantofle dla gości? Trochę błądziłam, wszędzie tyle śniegu. Ubłocę ci podłogę. – Wierzbicka nadal się uśmiechała krwawymi wargami. Jej głos brzmiał tak, jakby rzeczywiście przyszła z przyjacielską wizytą do dobrej znajomej.

W co ona zagrywa? Jezu, jak mam z nią rozmawiać?

– Nie szkodzi. Sprzątnę.

– A mój mąż nie ma tu u ciebie swoich kapci?– uśmiech Wierzbickiej był pobłażliwy, z ledwie wyczuwalną nutką drwiny.

Boję się, Michał. Do twojej żony, której chorobliwych majaczeń, pełnych pogrózek nasłuchiwałam się w firmie, nie pasuje ani ten uśmiech, ani ten ton.

– Już nie. Zerwał ze mną.

Mam nadzieję, że nie przeszuka kątów, nie zachce nagle do łazienki, gdzie wisi twój szlafrok, stoją twoje przybory do golenia.

– Zerwał? Ciekawe, Bardzo ciekawe. Pozwolisz, że zdejmę futro? Ciepło tu. Ciśnij je byle gdzie, nie przejmuj się. – Wierzbicka stała pośrodku pokoju, rozglądając się. – To zastanawiające, wiesz? Albo ty nie chciałaś go naciągać, albo mój mąż w stosunku do ciebie nie okazał hojności. Co mnie dziwi, ponieważ Michał ma gest, nie jest skąpy. Sądziłam, że znajdę tutaj ślicznie uwite gniazdko dwojga kochanków. Drogie meble, dywany i tak dalej. Rozumiesz, prawda? O Boże, przestań patrzeć na mnie jak na jadowitego grzechotnika. Nie mam wrogich zamiarów. Przyszłam porozmawiać z tobą jak kobieta z kobietą. Jak starzejąca się kobieta z bardzo młodą, niedoświadczoną kobietą.

– Proszę pani. My nie jesteśmy ze sobą. – Chciała dodać, że nawet rzuca pracę w firmie, lecz ugryzła się w język.

Bądź ostrożna, Marto. Nie daj się zwieść tej kobiecie. Powtarzaj uparcie, że Michał odszedł. Nic więcej. Bo wszystko może być użyte albo przeciwko tobie, albo Michałowi.

– Powtarzasz się, Marta. Mogę usiąść na tym jedynym krześle? Wiesz, chyba ci uwierzę, że zerwałaś z moim mężem. Żeby ci nawet drugiego krzesła nie kupił? Co za skąpiradło! Nic dziwnego, że długo z nim nie wytrzymałaś. Wstyd mi, Marta, za mego męża. Zapewne spodziewałaś się od niego więcej niż jednego krzesła oraz materaca na podłodze.

Teraz najwyraźniej kpi.

– Czy mogłabyś poczęstować mnie szklanką wody? Ja również się denerwuję. Niełatwo było pokonać swoją dumę i tu przyjść. Zaszło mi w gardle. Chyba jakieś kubki lub szklanki ci kupił?

Kpi. Michał, nie wiem, jak się mam zachować? Żeby nie pogorszyć sytuacji. Doprawdy, wołałabym obelgi od tej kpiącej, udawanej uprzejmości.

– Zaraz przyniosę. Też się napiję. Co pani sobie życzy: sok pomarańczowy czy herbatę parzoną w szklance?

– Mocna herbata dobrze nam zrobi – Wierzbicka znowu się uśmiechnęła. Założyła nogę na nogę, demonstrując mleczno–kawowe kozaki z miękkiej skóry.

Drogie. Wszystko na niej jest drogie. Pachnie drogimi perfumami. Na rękach cztery pierścionki, złota bransoleta na przegubie, kolczyki w uszach, perły, z pewnością prawdziwe. Czy założyła całą biżuterię na tę wizytę, żeby mnie olśnić, udowodnić, jak bardzo wobec niej Michał się starał, niczego jej nie odmawiając?

Wróciła za chwilę z kubkami. Na wszelki wypadek przyniosła karton z sokiem i dwie szklanki na obrzydliwej plastikowej tacy, którą Michał proponował wyrzucić do śmieci.

– Ależ ci drżą ręce – zauważyła Wierzbicka, odbierając kubek.

– Pani również drżą – odgryzła się.

– Nic dziwnego, Marto. Pozwolisz, że tak będę się do ciebie zwracać. Ja jestem Edyta. Mów mi po imieniu. W końcu my prawie jak krewniaczki, śpimy z tym samym mężczyzną.

– Nie śpię z pani mężem. Zerwaliśmy.

– Chyba, że dziś rano po upojnej pożegnalnej nocy. A wcześniej zrywaliście ze sobą przez cztery dni w Kazimierzu. Masz mnie za idiotkę, Marta? Od szóstej rano w taksówce obserwowałam parking. Sądziś, że nie rozpoznam wozu swego męża? Widziałam, jak odjeżdża. Kiedy mi powiedział, że wziął urlop na pięć dni, sądziś, że trudno było mi się domyśleć przyczyny tego nagłego urlopu połączonego z weekendem? A Kazimierz? To proste. Zaboli cię

to, ale powiem: kiedy mnie jeszcze kochał, zawsze kilka razy do roku wypadaliśmy do Kazimierza. Kazimierz to mała miejscina. Wystarczyło podzwonić tu i ówdzie, żeby was nakryć. Zameldowaliście się w hotelu. Marta i Michał Wierzbiccy – upiła łyk herbaty, roześmiała się. – Marta i Michał Wierzbiccy. Jeśli znam swego męża, a znamy się jak łyse konie, zapewniam cię Marta, to obiecał ci małżeństwo, przy czym straszył mną. Jaka to ze mnie upiornie podła baba, która będzie walczyła o niego wszelkimi możliwymi sposobami, zaś ciebie, Marta, obleje kubłami pomyj, wypije z ciebie niczym wampirzyca krew, zniszczy i tak dalej, i tak dalej. Głupia, naiwno dziewczyno, od początku wiedziałam, że to ty. Gdybym chciała ciebie zniszczyć, zrobiłabym to dawno. Początkowo nawet miałam taką ochotę. Na tobie wziąć odwet za całe swoje nieudane życie z Michałem. Za wszystkie upokorzenia, zdrady, kłamstwa, krzywdy, które najpierw, kochając go, znosiłam posłusznie wierząc, że się zmieni, że przecież nie jest aż takim łajdakiem. A potem, Marta, postanowiłam w akcie odwetu zamienić jego życie w piekło.

– Nie mam ochoty słuchać pani zwierzeń. Owszem, byliśmy w Kazimierzu. Owszem, spędził tę noc tutaj. Co nie znaczy, że spał ze mną.

– Nie? Ciekawe, mów dalej.

– Zabrał mnie do Kazimierza, żeby... żeby... *Trudno, Michał, wybacz, powiem to, muszę nas ratować.*

– No, wykrztuś z siebie kolejne kłamstwo, moja mała. Spojrzała siedzącej kobiecie prosto w oczy.

– Zabrał mnie do Kazimierza, wpisał nas jako małżeństwo, wszystko się zgadza, lecz zrobił to po to, aby się ode mnie uwolnić. Próbował mnie ugłaskać!

– krzyknęła. – Wróciliśmy. Byłam szczęśliwa. Zrobiłam kolację. Piliśmy wino. Całowaliśmy się. Między jednym a drugim pocałunkiem mówił, że pani się

domyśla. Że pani jest zdolna do najgorszego. Że pani go zniszczy. Naczelnny nie toleruje romansów szefów z podwładnymi. Teraz wszystko, całe moje życie i przyszłość, powiedział, jest w twoich rękach, Marta.

Jezu, Michał i co dalej, jaki kit jej wcisnąć? Musi być wiarygodny.

– Całkiem nieźle ci idzie – uśmiech z ust Wierzbickiej nie schodził – cała zamieniam się w słuch.

– Potem mi powiedział, że muszę odejść z pracy. Najlepiej w taki sposób, aby on jako mój szef, mógł zwolnić mnie dyscyplinarnie.

– Aha – powiedziała Wierzbicka – chce więc uspić moją czujność.

– Nie wiem, co on zamierza w stosunku do pani! Wiem, co postanowił w związku ze mną! On mnie wystawił! Obiecywał małżeństwo! Rozwód z panią! Wspólny dom, rodzinę, dzieci!

Muszę ją przekonać, Michał, tak byłeś przewidujący, a nie przewidziałeś, że ona wie, śledzi nas, zbiera przeciwko nam dowody.

– I wczoraj... Wczoraj, po tym cholernym Kazimierzu, w którym wydawało mi się... wydawało... o mój Boże, że jestem w raju, więc wczoraj, przymilając się, powiedział najpierw o pracy, iż doskonałym pretekstem do zwolnienia stanie się moja wielodniowa, nieusprawiedliwiona nieobecność. Zdrętwiałam. Zwolni mnie. Za co się w takim razie utrzymam?

– Nie dawał ci pieniędzy? Przyznaj się mała: odkładałaś na konto?

– Tak pani sądzi? Proszę bardzo! – poderwała się z materaca, sięgnęła do stosu książek i teczek biurowych, ułożonych na podłodze. Wyciągnęła z jednej dużą kopertę. – Niech pani sobie poczyta, tu są wszystkie wyciągi z mego konta! Ile zarabiałam, ile premii, ile miesięcznie wydawałam! No proszę, to tylko wyciągi, nie ugryzą pani!

Zaszeleścił papier w dłoniach Wierzbickiej. Sprawdziała uważnie, wyciąg po wyciągu, coraz wyżej unosząc cienko zarysowane brwi.

– Rzeczywiście. Wygląda na to, że nie spałaś z nim dla pieniędzy. Myślałam, że jesteś cwana naciągaczką, która wyłudza od mego męża pieniądze i ciągnie go do ołtarza. Wybacz, jednak nie wierzę, iż zrezygnowałaś z małżeństwa.

– Nie, nie zrezygnowałam. Do wczoraj. Powiem pani więcej, skoro rozmawiamy jak kobieta z kobietą. To on ze mnie zrezygnował, chociaż podobno, tak powtarzał, kocha mnie do utraty tchu i jest gotowy poświęcić w imię naszej miłości swoją karierę. Kłamał. Żeby go pani wczoraj widziała! Jak się wił, chcąc zerwać i zachować jednocześnie twarz! Całował i tłumaczył, że to dla mego dobra. Bo nie chce mnie krzywdzić dłużej. Bo związek z nim to żadne życie dla takiej młodej dziewczyny jak ja. Jest za stary, mógłby być moim ojcem. Długo rozważał, lecz doszedł do wniosku, że jako mój mąż czułby się stale tak, jakby był pod pręgierzem opinii, która z niego szydzi. Widziałaś, mówił, jakim wzrokiem popatrzył na mnie recepcjonista, kiedy zameldowałam nas jako małżeństwo? A w sklepie z pamiątkami, pamiętasz, sprzedająca, nobliwa pani zapytała: czy pańska córka już się zdecydowała na kupno tego drewnianego aniołka? Jesteś młoda, ładna, kocham cię i ponieważ cię kocham, nie mam moralnego prawa związać się z tobą na stałe. Dzięki tobie otrzymałem swoją wielką porcję szczęścia...

Teraz powinnam się efektownie rozplakać. Opuściła głowę. Udała, że ociera łzy.

– Zawsze był tchórzem, już ci to kiedyś mówiłam, prawda?

– Owszem, pamiętam.

Chyba mi uwierzyła, a jednak jest to ohydne, wstrętne, poniżające.

– Prawie ci wierzę, Marta.

– Prawie?

Jezu, przepadło, nie jest głupia. Za dużo o nas wie.

– Spałaś z nim dzisiejszej nocy i nie próbuj mi wmawiać, że całą noc do rana mój mąż przesiedział na krześle – uśmiech Wierzbickiej stał się słodziutki. Obmiotła Martę drwiącym spojrzeniem przymrużonych oczu. – I nie wysilaj się. Wiem, co mi powiesz. Że to była twoja ostatnia, pożegnalna noc w ramionach ukochanego mężczyzny. Po czym rano zarzuciłaś mu ręce na szyję i szepnęłaś: żegnaj, najdroższy. Taka dobra, skłonna do poświęceń dziewczyna. Cóż za melodramat, chyba się rozplaczę.

– Myli się pani.

Spokój, Marta, spokój, nie daj się sprowokować, grasz o swoją i Michała stawkę.

– Bardzo się myli. Nie jestem dobra, jestem wściekła. Pani szanowny mąż, na którym się poznałam, spędził tę noc jak pies, żebrzący o kość, tu, na podłodze, przy moim materacu. To on błagał, aby go wpuścić do łóżka. Żaloszny dupek. Przyglądałam mu się z obrzydzeniem. Zobaczyłam go w prawdziwym świetle. Dupek, w dodatku stary, skóra wokoło oczu zwiotczała, włosy na czubku głowy przerzedzone, nieświeży oddech i to jękliwe zawodzenie, użalanie się nad sobą. Proszę cię, Marta, skarbie, pozwól ten ostatni raz posmakować swego młodego ciała, bo odtąd czeka mnie wyłącznie rozlazłe ciało mojej żony, jej obwisłe piersi, brzuch w fałdach tłuszczu. Kiedy muszę z nią spać, zamykam oczy, żeby na nią nie patrzeć...

– Przestań! Przestań! – piskliwie krzyknęła Wierzbicka.

– O nie. Nie przestanę. Sama pani tu przyszła, niby jak kobieta do kobiety, a w gruncie rzeczy po to, aby mnie obrazić, poniżyć, upokorzyć, udowodnić, jaką

jestem cwana dziwką, ale ja pieprzę i panią, i pani męża. Świetna z was para, doskonale się uzupełniacie. To właśnie: że go pieprzę, oświadczyłam na pożegnanie szanownemu panu prezesowi. Trzeba było zobaczyć jego minę. I jak spieprzał z mojego domu. Bo tu jest mój dom, więc zabieraj swoje norki i również spieprzaj. Zobaczyłaś, co chciałaś, a teraz wynocha. A swoim dupkiem się udław. Nie chcę go. W porę się opamiętałam.

Ciągnąć jeszcze, czy ma dosyć? Ma stanowczo dosyć. Mimo warstw makijażu zbladła. No, może odrobinę dołożę. Na wszelki wypadek.

– Może tobie wystarczał w łóżku, lecz marny z niego fiutek. Za dużo wzdycha, poci się i sapie. Zbyt szybko kończy. Takiej podstarzałej kobiecie jak ty zapewne tyle wystarczy, mnie jednak nie. I to mu też powiedziałam na pożegnanie.

– W jednym się nie myliłam: jesteś dziwką – zasyczała Wierzbicka.

– Kwestia interpretacji – wzruszyła ramionami, roześmiała się. – Po prostu mam dwadzieścia dwa lata i samo miłosne gruchanie mi nie wystarcza.

– Łżesz, suko. Gdyby się na tobie nie poznał, nie odtrącił, wyszłabyś za niego.

Roześmiała się jeszcze głośniej. Udało się, Michał. Uwierzyła.

– Pozostawię tę wypowiedź bez komentarza.

Wierzbicka mocowała się z futrem. W zdenerwowaniu nie umiała trafić w rękaw.

– Pomogę pani.

– Nie dotykaj mnie, dziwko. Wszystkie jesteście dziwkami. Łapiecie głupich, starzejących się facetów na swoje młode jędrne tyłki. Potem ich zdradzacie na lewo i na prawo. Niezaspokojone suki. Ograbiacie ich z majątku, wnosicie pozwy o rozwód, żądacie forsy, mieszkań, samochodów, stosujecie

szantaż, aby wydusić z tych olśnionych wami frajerów, ile tylko się da, po czym dajecie kopniaka. Zostawiacie i nienażarte, nienasycone upatrujecie jak hieny kolejną ofiarę – wreszcie trafiła w rękawy, teraz miała kłopot z zapięciem futra. – No, powiedz, dziwko, ilu dałaś się przerznąć? Młodym i starym, zanim zagięłaś parol na mojego męża?

– Nie zdołam nawet policzyć. Lubię seks.

– A ja miałam w życiu jednego mężczyznę, mego męża. Rozumiesz teraz, jaka jest pomiędzy nami różnica? Ty do końca życia zostaniesz dziwką, nawet jeśli podłapiesz jakiegoś frajera na męża, ja natomiast uczciwą, wierną, kochającą wciąż tego samego mężczyznę kobietą.

– Bardzo pani współczuję. Jeden facet na całe życie? Musi być pani zimna jak ryba! Nie chcę być nieuprzejma, lecz chyba powiedziałyśmy sobie wszystko. Tam są drzwi. A tu torebka szanownej pani prezesowej. A może wezwać taksówkę?

Marta, przetrzymasz wszystko. Jesteś silna. Kochasz. Te obelgi nie mają znaczenia.

– Ach ty! – krzyknęła Wierzbicka, potknęła się w progu, załomotała połamami niezapiętego futra.

Drzwi od wścibskiej sąsiadki znowu uchylły się lekko. Łypnęło oko. *Następnym razem pokażę ci język.*

Przez okno patrzyła, jak Wierzbicka biegnie ulicą, potykając się, co krok. *Cholera, nie musiałam aż tak. Sprzątnęła kubki po herbacie. Wytarła zamieniony w błoto rozpuszczony śnieg. Naprawdę, nie musiałam. Cokolwiek Michał nie powiedziałby swojej żonie, ona go kocha. Źle, zaborczo, ale kocha. A my tu knujemy przeciwko niej spisek. Mój Boże, Michał, wolałabym uczciwsze załatwienie sprawy. Dorobiłam dziś tobie i sobie gębę, ale ta kobieta w sklepie z*

pamiątkami przyniosła z zaplecza kilka innych drewnianych aniołków, pytając, czy może któryś z nich przypadnie do gustu pańskiej ślicznej córce. O Jezu, Michał, mnie ścieło, a ty skurczyłeś się, niczym uderzony albo opluty i nie ośmieliłeś się zaprotestować, że to nie córka, to moja żona. Żaden się nie podoba, same kicze, zawołałeś, uchwyciłeś mnie za rękę zbyt mocno, tak mocno, że zabolalo, wyciągnąłeś ze sklepu pospiesznie, w popłochu, uciekając prosto do hotelu i rzuciłeś się na mnie z taką gwałtownością, tak długo i tak żarliwie, nawet brutalnie kochałeś się ze mną, jakbyś zamierzał nie tylko mnie, lecz głównie sobie udowodnić swoją seksualną sprawność, równą sprawności młodego mężczyzny. Leżałeś, wyczerpany, z twarzą mokrą od potu, łomotem serca, który mnie przeraził. Bruzdy przy ustach nagle pogłębione. Zmęczony uśmiech na spierzchniętych wargach. Ucałowałam twój zmęczony uśmiech. Ucałowałam bruzdy. Kochałam cię wtedy, Michał, rozpaczliwie. Nigdy dotąd nie wydałeś mi się tak stary. Zamknęłam oczy. Bałam się, że zobaczę cię za lat dziesięć. Wybacz mi, Michał. To była jedna, krótka, natychmiast odepchnięta chwila zwątpienia. Ale była. Została w pamięci. Mojej i twojej. Czy wtedy, leżąc obok mnie, zastanawiałeś się również, jak będziemy oboje wyglądać za dziesięć lat? Pewno tak, ponieważ zadałeś mi pytanie, jakiego dotąd nigdy nie zadałeś: Marta, przysięgnij, że zawsze, do końca swego życia zostaniesz ze mną? Nie opuścisz mnie, Marta, nawet wtedy, gdy całkiem posiwieję, gdy moją twarz pokryją zmarszczki, a ty ciągle będziesz atrakcyjna, młoda, witalna, pełna wigoru, za którą wciąż oglądają się inni i pożądamy mężczyźni? Odpowiedziałam ci zmieszanym śmiechem: cóż za pomysły chodzą ci po głowie? Odwróciłeś się do mnie plecami. Na chwilę, na krótką. Wiem, dlaczego. Żeby ukryć niemęskie łzy. A ja nie potrafiłam cię pocieszyć. Zawołać: na zawsze z tobą, na zawsze! Michał, kochany. Zaraz ci powiem, że na zawsze! Sięgnęła po komórkę.

– Michał – powiedziała, lecz natychmiast przerwał surowym głosem: – Nie teraz! Oddzwonię.

O Boże, Michał, nawet nie pozwoliłeś mi dojść do słowa.

O Boże, Michał! Jak mogłeś tak warknąć na mnie? Przecież to ja, twoja za miesiąc, za dwa żona. Wiem, że jesteś w firmie, może nawet masz ważną naradę z ważnym kontrahentem, ale tak przerwać, nie wysłuchać, tylko wysłuchać, Michał, jedynie wysłuchać tego, co ci twoja za miesiąc, za dwa żona chce powiedzieć. To po prostu nie do ogarnięcia, ani rozumem, ani sercem, Michał.

Położyła się z komórką w dłoni. Bez względu na to, jak bardzo jesteś zajęty, musisz przynajmniej wiedzieć, że Edyta tu była. Że wysłedziła nas. Żebyś się nie wsypał, Michał. Nie popsuł tej obrzydliwej gęby, jaką tobie dorobiłam. Ani nie popsuł mojej gęby, równie obrzydliwej, jaką sama sobie dorobiłam. Powinieneś pod byle jakim pretekstem przyjechać lub jak najszybciej znaleźć moment na swobodną rozmowę przez komórkę, ponieważ twój perfekcyjnie przemyślany plan ma głęboką ryse, grożącą pęknięciem, Wyślę ci esemesa. Odpowiedź nie wymaga konspiracji. Wystarczy mi twoje „okej” lub „dobrze”.

„Michał! Była u mnie Edyta. Wie o nas od dawna. Wie nawet, że byliśmy w Kazimierzu, zameldowani jako małżeństwo. Wie, że tę noc spędziłeś ze mną. Musisz jak najszybciej przyjechać. Albo zadzwonić. Czekam”.

Zegarek odliczał minuty. Minuty łączyły się w godziny.

Leżała. Nieubrana, nieumyta, bo jeśli zadzwoni, gdy będzie akurat pod prysznicem?

Dwunasta. Pierwsza. Druga. Trzecia. *O tej godzinie zwykle kończymy pracę. Michał, co się dzieje? Tylko mi nie mów, że nie miałaś okazji. Chyba sikać do toalety wychodziłeś? W toalecie również siedział ci na ramieniu podsłuchujący i podglądający krasnoludek? Tchórz, powiedziała twoja żona.*

Uwierzyła w moją bajkę wyłącznie z tego powodu, że z niej wprost wynikało, jaki z ciebie tchórz. Michał, udowodnij mi, że nim nie jesteś. Na litość boską nie wytrzymam dłużej twego milczenia.

Komórka Michała odpowiedziała: abonent chwilowo niedostępny. *Abonent chwilowo niedostępny? Wyłączyłeś komórkę, żeby mieć mnie z głowy, czy ci się popsuka, rozładowała? Boże, jak mogę wątpić! To jasne: rozładowała mu się. Zaraz czwarta. Zaraz przyjedzie. Zaraz lub za godzinę, nie wiadomo, ile miał dziś pracy. A ja w szlafroku, w wyrku, spocona, cuchnąca. Marta, pośpiesz się. Marta, twój Michał, niedługo mąż, zjawi się tu lada moment.*

Godzina piąta. Zapaliły się nieliczne latarnie. Oczy od wypatrywania sylwetki Michała rozbolały.

Abonent chwilowo niedostępny. Abonent chwilowo niedostępny.

Ciągle: abonent chwilowo niedostępny.

Nad ranem wpadła w panikę: Michałowi przytrafiło się coś złego. Coś najgorszego. Inaczej by przyjechał, zadzwonił, dał znak, że jest, żyje, kocha, nie zostawia jej samej.

„Nie teraz! Oddzwonię” – warknął. Jednak czy na pewno warknął? Bo może wcale nie warknął. Może się tylko tak jej przesłyszało? Ależ oczywiście, że przesłyszało się, po prostu dał jej do zrozumienia, iż akurat w tym momencie nie może rozmawiać, a ona, zdenerwowana, roztrzęsiona niespodziewaną wizytą Wierzbickiej, zrozumiała go opatrnie, niesprawiedliwie i krzywdząco. Potem wysłała mu ten przeklęty, alarmujący esemes i Michał przeraził się, wsiadł w samochód, pędził do niej jak wariat. Boże, ostatnio w ogóle jeździł nieuważnie! I tak szybko, tak okropnie szybko! Całą noc sypał śnieg, musi być bardzo ślisko. Pewno nawet nie zapiął pasów, ostatnio stale o nich zapominał, musiała mu zwracać uwagę: Michał, a pasy? Przy Hipotecznej i Limanowskiego, mimo

świateł, paskudne skrzyżowanie, przejeżdża się przez tory tramwajowe, dużo wypadków. Miesiąc temu widzieli tam straszny wypadek. Staranowany przez tramwaj samochód, odrzucony i wbity, wprost okręcony wokół słupa latarni, okopcony wrak. Potem prasa pisała, że kierowca miał i tak „szczęście”: nie spłonął żywcem, ponieważ zginął w momencie zderzenia.

Czekała aż do rana, stojąc przy oknie.

Michał nie żyje.

Albo żyje, leży w szpitalu z pogruchotanym kręgosłupem. Albo po operacji w stanie krytycznym na OIOM-ie. Przy nim czuwa jego prawowita żona. Dlatego nie oddzwonił. Nie zdążył.

Dlatego. Abonent chwilowo niedostępny. Komórka uszkodzona podczas wypadku.

Nie płakała. Czowała się jakby zanurzono ją w wielkim, mglistym akwarium. W jakąkolwiek stronę nie popłynie, wszędzie natrafia na opór szklanej ściany. Dziwna woda, która nie moczy, nie ziębi, nie dławi, wlewając się do płuc. Tamuje za to krzyk. Wszystko inne dokoła jest w ciszy. I wszystko jest ciszą. Nie słyszy bicia swego serca. Ani oddechu. *Ach, nie warto próbować stąd się wydostać. Opadnę na dno. Położę się. Taka jestem zmęczona. Tu, w tej ciszy, o wszystkim zapominam. Jak dobrze. Poleżę jeszcze trochę i również odejdę w niepamięć. Zapomnę, kim jestem, kim byłam i kim miałam być. Marta i Michał Wierzbiccy. Abonenci na zawsze dla siebie niedostępni.*

– Marta. Marta. Otwórz oczy.

– Och, Boże, nie chcę. Po co mam otwierać?

– Kochanie, obudź się.

Ach, nie! Kimkolwiek jesteś, zostaw mnie. I nie przemawiaj głosem Michała: abonent na zawsze niedostępny. Zostanę w swoim śnie. Nie zniosę

nowego bólu. Już nie. Podobno nic dwa razy się nie zdarza. To kłamstwo. Gdy się obudzę, zamknę jak przed kilkoma miesiącami na klucz drzwi tego ostatniego w moim życiu mieszkania, klucz oddam właścicielowi. Bez dowodu tożsamości, z pustą, jak wtedy torbą przerzuconą przez ramię, pustą, ponieważ w tę ostatnią podróż nie zabiera się niczego, powędruję ulicami Łodzi na Dworzec Fabryczny, gdzie pierwszy lepszy pociąg przewiezie mnie na drugi brzeg.

– Kochanie. Moje biedne kochanie. Otwórz oczy. Proszę. Mam mało czasu.

Nad nią pochylony Michał. Nie wierzę. Śniesz mi się. Leżysz w szpitalu z przetrąconym kręgosłupem, podłączony do kroplówek, monitorów, może oddychasz dzięki respiratorowi? Nie wiem i nigdy się nie dowiem, nie mam do ciebie prawa. Twoja żona trzyma cię za rękę, ściera pot z czoła, zwilża usta, poprawia poduszkę. Nie zdążyłam tego prawa nabyć, a tak już byłam blisko, tak bliźiutko i czemu nie zapiąłeś pasów, czemu jechałeś tak szybko, powtarzałam ci tyle razy, Michał, a pasy, Michał, uważaj, na liczniku sto dwadzieścia.

– O Boże, co robić? Co robić? Ona jest w szoku. Bredzi.

Objęły ją czyjeś ramiona i to były doskonale znajome ramiona. Czyjeś usta całowały jej powieki, czoło, policzki i to były doskonale znajome usta. Ale ty nie jesteś moim Michałem. Mój Michał miał lekko szpakowate skronie, zaś twoje prawie srebrne. Mój Michał, owszem, miał zmarszczki pod oczami, lecz nie aż takie. U ciebie jakby je ktoś wyorał ostrym narzędziem. Mój Michał, to prawda, miał czterdzieści dwa lata, jednak wyglądał znacznie młodziej, a ty jesteś stary. Nikt w ciągu jednej doby nie jest w stanie tak bardzo się postarzeć.

– Marta? Już lepiej?

To moje łzy czy twoje? Płaczę, ponieważ oplakuję mego Michała, który leży w jakimś szpitalu, gdzie mnie wstęp wzbroniony. Ale dlaczego ty płaczesz?

– Marta, chwała Bogu, poznajesz mnie, kochanie? *Tak, poznaję. To ty Michał za dziesięć lat.*

Doskonale znajome ramiona objęły ciaśniej. Posłyszała doskonale znajome bicie serca. Rozplakała się na głos jak małe dziecko.

– Już dobrze, kochanie. Przepraszam za wczoraj. Marta, przeżyłem istny horror. Kiedy dzwoniłaś na moją komórkę, byłem na dywaniku u naczelnego. Wiedział o nas. Ta straszna kobieta mu doniosła. Błagała go, aby ratował jej małżeństwo. Marta, zgodnie z planem wyparłem się ciebie. Powiedziałem, że właśnie Martę Stańczyk zwalniam dyscyplinarnie, gdyż okazała się mierną pracownica, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż mimo zwyczajów panujących w naszej firmie, nie podniosłem jej pensji po trzech miesiącach okresu próbnego. Potem przyszedł od ciebie esemes. Oszalałem ze strachu. Nie o siebie, ale o ciebie. Wątpiłem, czy udało ci się zmylić moją żonę. Wpadłem w jakąś paranoję, wydawało mi się, że Edyta zewsząd czyha na mnie, jest w zмовie z panią Teresą, ochroniarzami, wszystkimi pracownikami firmy i wszyscy patrzą mi na ręce. Obserwują, śledzą i jeżeli się czymkolwiek zdradzę, Edyta znowu pojedzie do ciebie i wyrzuci ci krzywdę fizyczną. To wariatka, gotowa na wszystko. Wyłączyłem komórkę, żebyś się nie mogła ze mną skontaktować, ponieważ przyszło mi na myśl, że żona zażąda ode mnie tej komórki, chcąc sprawdzić połączenia. Jak ostatni idiota, bo przecież w każdej chwili może zajrzeć w biling rozmów – mówił gwałtownie, poszarzały na twarzy, wciąż przerażony.

Mój biedny Michale. Już po raz drugi ratujesz mnie przed Dworcem Fabrycznym, ale nie wiem, czy słusznie, bo nie wiem, czy starczy nam sił, aby przejść przez to, co nas jeszcze czeka. Skoro jedna doba postarzała cię o dziesięć

lat, a mnie doprowadziła do takiej skrajnej rozpacz, że Dworzec Fabryczny jawił się jako wyzwolenie.

– Sądziłem, iż pod jakimś pozorem wyjadę z firmy, zadzwonię do ciebie z budki, i, Boże! Marta, zjechałem windą, ale coś mnie tknęło, zobaczyłem żonę w holu, chowającą się za filarem. Widocznie prosto od ciebie przyjechała do firmy sprawdzać mnie, co robię, lub co zrobię. Sądziłem, że po pracy pojedę do ciebie, ale ta wściekła kobieta warowała przy samochodzie na parkingu, więc pojechaliśmy do domu i ja... Ja Marta, musiałem wysłuchiwać na twój temat takich obelg, że powinienem był trzasnąć drzwiami i wyjść, lecz wówczas nasz plan, na jakim opieramy swoją przyszłość, zawaliłby się.

No to co? Prędzej czy później będziesz musiał wyjść i trzasnąć drzwiami. Może właśnie należałoby to zrobić wczoraj? Twój plan opierał się na fałszywej tezie, że ja pozostaję w cieniu, anonimowa, nierozpoznawalna, więc nikt nie zaszarga mego imienia, nie zbruka. Cichy ślub, wyjazd, nowy dom w Warszawie, a tu nic z tego, Michał. Toteż gorliwie przytakiwałeś, że jestem dziwką, na której się poznałeś i ją sobie, moja prawowita żono, opluwaj do woli, a ja ani nie zaprzeczę, ani nie potwierdzę. Lecz nikt nie rodzi się bohaterem. Ja również zachowałam się niepięknie wobec ciebie podczas rozmowy z twoją żoną. Kocham ciebie takim, jakim jesteś. Słabym, bo wrażliwym na chamstwo, nieodpornym na intrygi, brudne plotki. Tak naprawdę znajdujesz się w o wiele gorszej sytuacji niż ja: w samym oku cyklonu. I mimo swego strachu przed żoną, przyjechałeś. I tylko to się liczy.

Wyswobodziła się z jego ramion. Otarła łzy z jego tak gwałtownie postarzałej twarzy. Ucałowała gwałtownie posiwiałe skronie.

– Nie zadręczajmy się, Michał. Ty posiwiałeś, ja zaś omal nie zwariowałam, wyobrażając sobie, że miałeś śmiertelny wypadek i dlatego twoja

komórka odpowiada mi: abonent niedostępny, a wszystko między nami, nim się zaczęło naprawdę, zostało skończone. Nigdy cię nie zobaczę, nie dotknę, nie usmażę ci jajecznicę na śniadanie, nie przypalę kotletów na obiad, nie urządzimy naszego mieszkania, nie urodzą się nam nasze dzieci. Błagam cię jednak, proszę: mogę czekać na rozwód, jak długo j trzeba, w spokoju i w pokorze, jednak nie wystawiaj mnie więcej na próbę niepewności. Wystarczy, żebyś wysłał sygnał na moją komórkę, wtedy wyświetli się twoje imię i ja będę wiedziała, że j nie zostałam na tym świecie sama i że trwasz przy mnie. †

Opuścił głowę, milczał. *Dlaczego mi nie odpowiadasz? Czy to takie trudne: wysłać sygnał? O Boże, ty znowu płaczesz Michał?* Przytuliła jego steraną głowę do piersi jak matka, nie jak kochanka. Miała mu ochotę zanucić kołysankę. Taką, jaką śpiewała jej babcia. *Aaa, kotki dwa, szare bure obydwu...*

– Tak mi ciężko, Marta – powiedział i wtulił się w nią mocniej, gwałtowniej. – Tobie nikt nie urządza prania mózgu. Nie wiem, jak to wszystko na dłuższą metę wytrzymam. Nie znasz mojej żony, nie wiesz, jak bardzo potrafi upokorzyć człowieka.

– Może nie ma sensu dłużej ukrywać naszego związku? Mleko już się rozlało. Spakuj walizkę z ciuchami, oddaj żonie klucze od mieszkania i wprowadź się do mnie. Łatwiej nam będzie razem znosić to piekło, jakie nas czeka.

– Marta, nie! W żadnym wypadku nie – krzyknął, wypuścił ją z ramion, poderwał się, skoczył na środek pokoju. – Inaczej Edyta się uprze, przeciągnie w nieskończoność sprawę rozwodową! Niech sądzi, że ze sobą zerwaliśmy! Zaufaj mi, Marta.

– Przecież i tak się dowie. Twój plan był dobry w założeniach, lecz teraz sytuacja się diametralnie odmieniła. Ona wie, naczelny wie. Dlaczego mamy się ukrywać?

Podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, zajrzała w oczy, ale w nich, poza udręką, dostrzegła paniczny lęk. *Czemu się tak boisz, Michał? Jest aż tak nieobliczalna? Aż tak niebezpieczna? Co ona w końcu może nam zrobić?*

– Marta – niespodziewanie głos Michała zabrzmiał pewnością siebie. – Pomyśl logicznie: odegrałaś przed moją żoną wspaniałą scenę: że miałaś ze mną chwilowy romans, lecz przerwałaś go, ponieważ jestem dla ciebie za stary i za mało wydolny w łóżku. Tym oświadczeniem przekonałaś ją ostatecznie, chociaż, powiem szczerze, zabolęła mnie twoja argumentacja... Jezu, Marta, jakbyś mówiła szczerą prawdę, bo przecież jestem dla ciebie za stary i ktoś w odpowiednim dla ciebie wieku na pewno byłby lepszy w łóżku... Marta, pamiętasz? W tym sklepie z pamiątkami...

– Ani mi się waż w ten sposób myśleć! Jeżeli wątpisz w moje uczucia, odejdz od razu. Kiedy jeszcze jest czas! Inaczej nasze przyszłe, wspólne życie stanie się katorgą skrywanych podejrzeń, zazdrości, insynuacji! Michał! Ja z tobą nie chodziłam do łóżka! Ja się z tobą kochałam! Dlaczego mnie obrażasz?

– Tak rozpaczliwie cię potrzebuję, Marta. Tak bardzo się boję, że za dziesięć czy piętnaście lat będę starym, zniedołężniałym facetem z prostatą, ty zaś będziesz w pełni rozkwitu i mnie zostawisz, porzucisz, odejdiesz do innego, młodszego...

– Przestań. Ja ciebie również rozpaczliwie potrzebuję. Michał, nikogo poza tobą nie mam. Ani znajomych, ani przyjaciół, nawet moja matka się mnie wyparła, a moje siostry odkładają słuchawkę, kiedy do nich dzwonię. Więc

dobrze. Skoro uważasz, że dalej należy grać tę upokarzającą farsę, to ją grajmy. Ufam ci.

– Marta, nie mamy innego wyjścia. Edyta ci uwierzyła. Naczelnny przyjął do wiadomości, że w ogóle nie miałem żadnego romansu: zbyt dobrze zna moją żonę, to nie pierwszy raz oskarżała mnie przed nim o związki z pracownicami, sekretarkami; nawet księgową, chociaż brzydka jak noc, obrzucała swoimi paranoicznymi obelgami.

– Ona jest chora, Michał. Ona również, tak jak ja, nikogo poza tobą nie ma. Postaraj się ją zrozumieć. Zawsze, z jej tylko wiadomych powodów, czuła się zagrożona, niepewna w związku z tobą.

– Ach! – krzyknął. – Nie staraj się być tak obrzydliwie dobra. Osiemnaście lat z nią w jednym łóżku, pod jednym dachem to katorga, to koszmar, o którym ty nie masz bladego pojęcia! Wiesz, powiem ci: kiedyś zachorowała na ciężkie zapalenie płuc, z powikłaniami. Zachorowała, ponieważ w środku lutego, śledząc mnie, stała całą noc pod domem mojej rzekomej kochanki, koleżanki z pracy, mężatki z trojgiem dzieci. Przedtem wysyłała anonimy do jej męża, że dwójka z tych dzieci została poczęta ze mną, omal nie rozbiła porządnego, szczęśliwego małżeństwa. Więc modliłem się wówczas, Marta, żeby z tego zapalenia płuc nie wyszła. Czasami, śpiąc obok niej, mam ogromną ochotę, od której krew mi łomocze w skroniach, po plecach spływa zimny pot, zaś w ustach wysycha: zarzucić na jej twarz poduszkę. Wręcz czuję, jak się pod nią szarpie, jak przez jej ciało przechodzi konwulsyjne, ostatnie drżenie. Mnóstwo razy uśmiercałem ją w myślach. Jestem obrzydliwy, prawda? Teraz również życzę jej śmierci.

– Przestań! Nie wierzę ci! To złe emocje, nic więcej. Ja również po wielokroć życzyłam śmierci ojczymowi!

– To wyjątkowo podła kobieta – zasłonił twarz rękoma.

Mówisz wyłącznie o niej. Dlaczego? Czy przez te osiemnaście lat ani razu nie było ci z nią dobrze? Rozumiem: ożeniłeś się, szlachetnie dotrzymując słowa, ponieważ ten związek obiecałeś po pijaku. Rozumiem: nie kochałeś jej nigdy. Lecz czy to możliwe, że już na początku okazała się takim potworem? A jeśli ona liczyła na szczęśliwe życie z tobą, ty zaś na każdym kroku okazywałeś jej swoją niechęć, pogardę? Jezu, kochać kogoś tak beznadziejnie, dzień po dniu oczekiwać na jakiś drobny znak uczucia, starać się dzień po dniu, aby na ten znak uczucia zasłużyć? Dawać całą siebie, a otrzymywać lodowatą porcję obowiązkowego, małżeńskiego seksu, wypełnianego w milczeniu, bez pieszczot i bez czułych słów? To chyba najgorsze, co może spotkać kochającą kobietę. Co myślałabym na jej miejscu? Że mój mąż swoje uczucia lokuje w jakiejś innej kobiecie. Że tę inną pieści, szepcze jej do ucha „moje kochanie”. I stąd już zaledwie jeden krok do paranoicznej, wścieklej zazdrości.

– Odpowiedz mi, Michał, na jedno pytanie. Cholernie ważne dla mnie pytanie. Czy żeniąc się, obiecywałeś swojej żonie miłość?

Żachnął się.

– Obiecałem Edycie wygodne życie i takie wiodła; nie brakowało jej niczego. Nigdy, ani przed ślubem, ani po ślubie nie wypowiedziałem do niej słowa kocham. Byłem uczciwy. Nie zdradzałem jej, co nie stanowiło dla mnie problemu, ponieważ obowiązkowy seks miałem zapewniony w domu, a przez osiemnaście lat małżeństwa nie spotkałem takiej kobiety, którą mógłbym pokochać. Czasami, przyznaję, zastanawiałem się, czy by tego związku nie zerwać, nie wystąpić o rozwód. Ale wiedziałem, jaką lawinę wściekłości wywołam. Jednak po co? Nie miałem dla kogo walczyć. Teraz mam. Ciebie. Dla ciebie poniosę każdą ofiarę, Marta. Sama powiedziałaś: nie zadrećzajmy się. Nie drećz mnie więcej pytaniami o Edytę. Pozwól działać. Wiem, co robię, ponieważ

potrafię przewidzieć, jak ona się zachowa. Na razie nie dzwoń. Ja będę dzwonił codziennie i informował cię na bieżąco, jak się sprawy przedstawiają. Widywać się też nie powinniśmy. Być może uda się nam spotkać w jakiejś kawiarni, ale na sto procent ci tego nie obiecuję, gdyż musimy zachować daleko posuniętą ostrożność. Głowa do góry, kochanie. Uda się nam. Dziś jestem umówiony ze swoim adwokatem. Tu masz, Marta, i proszę cię, bez sprzeciwów, dwa tysiące złotych. Znam twoje zasady, lecz to nie są pieniądze od kochanka, to są pieniądze od przyszłego męża, który martwi się o swoją żonę, że zostaje bez środków do życia. Aha, klucze do tego mieszkania również muszę zostawić. Edyta ubóstwia przeszukiwać moje kieszenie. A tu masz kartkę z telefonem i nazwiskiem mego serdecznego przyjaciela. Już go uprzedziłem, że się do niego zgłosisz w sprawie pracy. Oczywiście nic nas nie łączy. Jesteś moją byłą sekretarką, którą musiałem zwolnić z powodu ataków zazdrości mojej żony, tak dla świętego spokoju. On zna doskonale Edytę, toteż ta moja prośba nie wzbudziła w nim żadnych podejrzeń. Marta! Kochanie! – I nim zdążyła powiedzieć słowo, już ją wziął na ręce, niósł przez pokój, kładł na materac, z ustami zanurzonymi w jej włosy szeptał: – Zostało mi zaledwie pół godziny, za pół godziny muszę wrócić do firmy, nie wiem, kiedy cię zobaczę, kiedy znajdę się znowu z tobą sam na sam, oszaleję, tęskniąc za twoim głosem, twymi ustami, tobą całą, Marta, pozwól. Nigdy nie chciałaś się zgodzić, żebym ciebie rozbierał. Ja sama, mówiłaś, ale tym razem zgódź się, pragnę odsłaniać twoje ciało powoli, nasycić się jego widokiem – szeptał gorączkowo, namiętnie i z taką udręką, że nie protestowała.

Chociaż rzeczywiście zawsze rozbierała się sama, pamiętając, jak ją rozbierał Paweł i jak mówił wtedy: moja sarno ze smutnymi oczami, moja biała lano. Teraz bała się, że nad sobą zamiast twarzy Michała zobaczy twarz Pawła,

ściągniętą grymasem pożądania. *Proszę cię, Michał, nie tak, och, Michał, nie, nie!* Próbowwała przerwać te jego całkiem do niego niepodobne pieszczoty, bo ustami obwodził każdą, kolejno odsłanianą część ciała, nawet jak Paweł z lekka przygryzł sutek piersi, wessał się w pępek.

– Proszę cię – krzyknęła – tak nie chcę! Lecz Michał zaszeptał:

– Dlaczego, moja róžo? Czy wiesz, że zawsze marzyłem, żeby tak właśnie kochać się z tobą? Wargami posmakować najmniejszy skrawek twego ciała? Ten smak zabiorę ze sobą i nikt mi go nie odbierze, pozostanie ze mną. Twoje nagie ciało widziałem wielokrotnie, zarejestrowałem je w pamięci, utrwaliłem je także dotykiem, ale dopiero teraz poznaję jego smak, więc nie broń mi spełnić mego marzenia. Moja róžo, nigdy ci nie mówiłem, że jesteś różą, moją wysnioną różą. Nie zamykaj oczu, zawsze kochaliśmy się z szeroko otwartymi oczami, róžo, różyczko. – *Jezu, zaraz mi powie, że skóra moja jak aksamit.* – Skórę masz jak aksamit lub jedwab, lub niczym płatki rozkwitającej róży. Kiedy już będziemy razem, obsypię cię płatkami róż i będę je scałowywał z twego ciała, a w naszym przyszłym domu tylko róże w wazonach.

Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć: już ci mówiłam, że nienawidzę róż. Kilka razy obdarował mnie nimi Paweł, a podczas mego fałszywego ślubu trzymałam wiązankę z róż. Tę wiązankę zastałam, już wyschniętą, w kolorze brunatnej czerwieni podobnej do krwi, po powrocie ze szpitala, w którym urodziłam martwego, poszarpanego na kawałki syna. Zjawiliś się w moim życiu po to, abym potrafiła uwolnić się od koszmarów, a ty teraz jak Paweł...

– Moja róžo – odezwał się szeptem Michał. Wcześniej wydał z siebie krzyk spełnienia. – Dobrze ci było tym razem, powiedz? Dobrze? – *Jezu, Paweł również tak pytał: dobrze ci było, moja łanio, moja sarno ze smutnymi oczami.*

– Wspaniale – skłamała. *Tak samo kłamałam Pawłowi: wspaniale, Paweł, cudownie. Muszę czym prędzej pod prysznic.*

– Dokąd, Marta? – zapytał, ponieważ wysuwała się z jego objęć. Przytrzymał ją. – Nigdzie cię nie puszczę. Jeszcze zostało pięć minut. – *Jaki dokładny czas, wyliczony do minuty...* – Całe pięć minut z tobą. Nie zamierzam stracić ani jednej. Nawet sekundy nie daruję. Ach, co mi tam! Niech się zawali świat, nie potrafię się ani ciebie wyrzec, ani się z tobą nie widywać.

Wynajdę jakiś sposób! Nikt ani nic nas nie rozdzieli! Nikt! Przysięgam ci, Marta. – *Ależ ja ci wierzę, Michał. O czym ty mówisz z taką niepohamowaną rozpaczą w głosie? Kto miałby nas rozdzielić? Twoja żona? Nie, Michał, nie ona. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie nas rozdzielić, to ty sam...*

– Ufam ci, Michał.

– To dobrze, to świetnie – i jakby zapominając, że nie chciał stracić nie tylko jednej minuty, lecz nawet sekundy, odsunął się od niej, powtarzając: tak, wiem, ufasz mi, ufasz!

Ubierał się pospiesznie, zupełnie jak ja, kiedy Paweł powiedział do mnie: ty cwana dziwko. Michał, przebacz mi, nie jesteś Pawłem. Jesteś moim Michałem, który niedawno na rynku w Kazimierzu pragnął oznajmiać wszystkim: oto moja żona, który mówił do mnie: moja żono, moja piękna żono. Chcę wierzyć, że nią niedługo zostanę, bo ty nie łamiesz danego słowa. Ożeniłeś się z Edytą bez miłości, wyłącznie po to, aby dotrzymać obietnicy, w dodatku danej po pijanemu, więc jakże mógłbyś zawieść? Skąd złe myśli u mnie i skąd ta rozpacz w twoim głosie?

– Michał?

Już się ubrał, zapinał ostatni guzik marynarki, wyjmował komórkę.

– Michał. Spójrz na mnie. Powiedz: moja żono.

– Marta, muszę zadzwonić po taksówkę. W mieście mogą być korki. Mam spotkanie z naczelnym.

Wspięła się na palce. Ujęła jego twarz w dłonie. Zajrzała w oczy. *On się boi. Nie, to niemożliwe. Jest po prostu udręczony całą tą sytuacją. Ale okrzepnie. Znajdzie w sobie siły. Czego ty się go czepiasz, Marta? Znowu wpadasz w paranoję? Przecież powiedział ci, że jest jeszcze dziś umówiony z prawnikiem w sprawie rozwodu. Myślisz wyłącznie o sobie, Marta. A to jemu jest najciężej. To on poniesie wszystkie koszty tej walki. Na pewno byłoby mu łatwiej, gdybyśmy zamieszkali od zaraz razem. Ale on ciebie chce chronić. Ciebie i twoje dobre imię, Marta.*

– Moja żono – a jednak powiedział. Ucałował ją w czubek nosa. – Moja na zawsze żono.

Kilka następnych dni przesiedziała w domu, z komórką chodząc nawet do toalety, bo może Michał zadzwoni i powie, jak wypadło spotkanie z prawnikiem. Dojadała resztki starego chleba, piła herbatę bez cukru, bo się skończył, a wyjść do sklepu nie chciała, bo co, jeśli akurat Michał w tym czasie wpadnie do niej niezapowiedzianie, na godzinę, na pół. Przecież nie zostawi mu kartki w drzwiach: „Kochany, zaraz wracam” albo: „Klucz jest pod wycieraczką”. Przyjedzie, stwierdzi, że jej nie ma i odjedzie, a ona nie dowie się, że był, że ze swoich zajęć wyrwał tę odrobinę czasu dla niej, aby ją zobaczyć, wziąć w ramiona, ogrzać swoim ciepłem, pocieszyć w niepewności oczekiwania. Z komórką pod ręką, żując twarde, zalatujący stęchlizną chleb, łykając gorzką herbatę, to leżąc, to chodząc od ściany do ściany, od okna, za którym prawie każdy idący ulicą mężczyzna przypominał sylwetką Michała, do drzwi na klatkę schodową, skąd każde kroki wydawały się jego spieszными krokami, po raz nie wiadomo który rozpamiętywała zdarzenia ostatnich miesięcy, powtarzając: Ufam

ci, ufam! Nic innego mi nie pozostało, muszę ufać. Nie zawieźdź mnie. Proszę, odezwił się, niech cię chociaż usłyszę, skoro nie wolno mi ciebie widzieć.

Komórka uparcie milczała. Mniej więcej raz na dzień pikała cichutkim dzwonkiem i wyświetlała imię: MICHAŁ. Wtedy Marta najpierw poddawała się wszechogarniającej radości, że pamięta o niej, więc wszystko w porządku, potem ponurej rozpacz, że sam znak od niego to stanowczo mało, jakby zamierzał się nim wykpić, jakby nie rozumiał, że i jej potrzebne są siły, a skąd niby ma je czerpać, jeżeli nie z jego głosu, jego najzwyczajniejszych słów. *Nie oczekuję miłosnych wyznań ani zapewnień, ani przysiąg, że mnie kochasz, bo ja o tym wiem. Ale, na Boga, Michał! Czy to taka trudność nie do pokonania zadzwonić, zapytać, jak się czujesz, Marta, jak znosisz rozłąkę? Nie martw się, dam sobie radę, byłem u adwokata. Edytę przechytrzymy, uwierzyła, że z tobą zerwałem, niczego nie podejrzewa, plan wypalił, kochanie, ufaj mi. Chociaż esemesem mógłbyś wysłać taką wiadomość, Michał. No, przyznaj sam, czy to tak wiele? I może jeszcze w następnym: taki dziś mroźny był dzień, kochanie, a ty w palcie podszytym wiatrem, weź na wszelki wypadek, profilaktycznie gripex. Uparciuch z ciebie, Marta, przecież chciałem ci kupić modny płaszcz lub futro. Niech ci będzie: ekologiczne, skoro uważasz, że noszenie prawdziwego futra to popieranie okrucieństw popełnianych na zwierzętach. Ale ty zapierałaś się rękami i nogami. Mówiłaś, gdy zostanę twoją żoną, będziesz mi kupował wszystko, ale teraz nie przyjmę od ciebie niczego. Ach ty moja obraźliwa Marto, niedługo nią zostaniesz i obsypię cię prezentami.*

Rozpacz mieszała się z obawami. A może jest przeciwnie? Może podejrzenia Edyty wzrosły zamiast zmaleć? Może zyskała jakieś niepodważalne dowody, że ich zerwanie jest pozorne? Może czymś szantażuje Michała, a on, biedny, wije się schwyty w pułapkę, nie mając pojęcia, jak z niej się wyrwać,

zamartwia się, gnębi. Jezu, mogła wynająć detektywa. Jezu, a jeśli taki wynajęty detektyw wyszedł Michała i ona wie, że Michał był tutaj. Ta przekłeta, wścibska baba z naprzeciwka z pewnością potwierdziła, dodając od siebie pikantne szczegóły. Ona chyba dzień spędza z okiem przyklejonym do judasza. Założę się, że na kartce prowadzi wykaz wizyt Michała: o której przyszedł, o której wyszedł. „Ten starszy, przystojny pan, czy to pani tata lub wujek, widać, że troskliwy. Ale gdzie on sypia? Bo jak pożyczalam od pani sól, dostrzegłam w pokoju tylko jeden materac?”. Jezu, a jeśli taką babę żona Michała pozwie na świadka? Odpowiednio ją „wynagradzając”, uzyska niezbite dowody przeciwko nam. Dlatego Michał milczy? Przecież natychmiast poznałabym po jego głosie, że ma poważne kłopoty. On nie potrafi kłamać, ze wszelkich sił stara się mnie oszczędzić, za co powinnam mu być wdzięczna. Powinnam po prostu cierpliwie czekać, zamiast się miotać od ściany do ściany, wyglądać godzinami oknem, nadłuchiwać pod drzwiami, wyobrażać sobie Bóg wie co. Kiedyż ty wreszcie, głupia krowo, zrozumiesz, że to nie ty, ale Michał, Michał właśnie wziął na siebie całe brzemie odpowiedzialności. On ponosi wszelkie konsekwencje, a od momentu, w którym jego żona dostanie oficjalne zawiadomienie o wniesionej sprawie rozwodowej, przeżyje istne piekło i żeby nie zdradzić mnie jako powodu, wyprowadzi się do jakiegoś hotelu, gdyż pod jednym dachem z rozwścieczoną żoną na pewno nie wytrzyma. Wstydz się, Marta, swojej małostkowości, swego egoizmu, tego myślenia wyłącznie o sobie. W porównaniu z Michałem żyjesz jak w puchu. Nikt cię nie obraża, nie wrzeszczy na ciebie, nie grozi, nie szantażuje na przykład popełnieniem samobójstwa, nie mdleje. Jezu, Michał, przepraszam, przepraszam, wybaczn, ufam ci, wierzę, i tak bardzo chciałabym cię wesprzeć, pomóc, chociaż trochę ująć z tego ciężaru, jaki dźwigasz sam w imię naszej wspólnej przyszłości. Wspólna przyszłość, to piękne. Skup się na niej, Marta.

Wyłącznie na niej. Wyobraź ją sobie. Mieszkanie: trzy pokoje czy cztery? Policzmy: gabinet Michała, to jeden pokój. Nasza sypialnia, to drugi. Stołowy, to trzeci. Bawialnia albo jak to się obecnie trendi nazywa: salon, to cztery. Pokój dziecienny, to pięć... Zwariowałaś, Marta? Po jaką cholere ci stołowy? Możemy jadać w kuchni. Nim urodzą się nam dzieci, będzie nas tylko dwoje. Dzieci. Sami synowie. Dwóch synów... A jeśli Michał zechce mieć córeczkę? Jezu, z tymi dziećmi musimy się spieszyć, ponieważ Michał... No i co z tego, że jest starszy o dwadzieścia lat? Najważniejsze, że zdrowy, ja zaś młoda i też zdrowa. Ale trójka nam wystarczy. Dwóch chłopców i jedna dziewczynka... W taki razie mieszkanie musi być rozwojowe, dla chłopców oddzielny pokój, dla dziewczynki również oddzielny. Tak czy siak, mieszkanie musimy mieć duże. Albo, wiesz co, Michał? Lepiej kupmy domek z ogrodem gdzieś pod miastem. Oj, Michał, koniecznie domek. I żeby miał werandę. W ciepłe popołudnia, gdy wrócisz z pracy, usiądziemy na bujanych fotelach i będziemy się przyglądać zabawom naszych dzieci w ogrodzie...

Tego dobrego nastroju nie starczało jej na długo. Nastrój pogorszył się po otrzymaniu poleconego listu z nadrukiem firmy na kopercie. Treść nie była zaskoczeniem, a jednak czytając: „Niniejszym zawiadamiam panią, iż zostaje pani dyscyplinarnie zwolniona z powodu nieusprawiedliwionej, dwutygodniowej nieobecności w pracy, ze skutkiem natychmiastowym. W związku z powyższym nie przysługuje pani trzymiesięczna odprawa, zaś zaledwie czteromiesięczny okres pani pracy w naszej firmie nie upoważnia do starania się o przyznanie zasiłku dla bezrobotnych. Wiceprezes Michał Wierzbicki”, wpadła w czarną rozpacz, jak gdyby otrzymała wyrok, rozdzielający ją od Michała ostatecznie i na zawsze. Znowu znalazła się w mrocznym akwarium ciszy, w którym nie słyszała ani swego oddechu, ani bicia serca. I pewno by w nim została, gdyby nie

wrażenie, że ktoś dobija się do drzwi. *Michał. Michał. Przyszedł. Przyszedł.* Nie pamiętała, w jaki sposób zwlokła się z posłania, otworzyła drzwi, *Nie, nie Michał.* Znowu zanurzyła się w swoim mroku, który jednak zappełnił się obcymi głosami. *Nie Michała, nie Michała, nie przyszedł, nie przyszedł.*

– Jezus Maria!

– Co robić?

– Szybko po lekarza!

– Gdzie ona ma komórkę?

– Proszę pani? Słyszysz mnie pani?

Tak mi dobrze, nie chcę was słyszeć, odczepcie się, odejdźcie. Nie potrzebuję nikogo poza Michałem.

– Co mówisz? Powtórz głośniej. – *Po co powtarzać, skoro to nie Michał?*

– Matko święta, aleś mnie pani przestraszyła! Pukam, walę, przecież wiem, że jest w domu. Od tygodnia albo i dłużej nigdzie nie wychodziła, to myślę, pożyczę soli. Ucho do drzwi przykładam, oj, coś niedobrze musi być. A jak sobie coś zrobiła i dlatego tam cicho. Ostatnio jakaś taka blada, zmartwiona, no i ten pan przestał przychodzić. Musi on jednak nie ojciec, chociaż tyle starszy. Słyszę człap, człap. Chwała Bogu, myślę, otwiera mi drzwi, znaczy, nic sobie nie zrobiła. A tu, o Matko święta, nawet nie blada, ale sina na twarzy, oczy w ślup i bach, już leży nieprzytomna. Co robić, co robić? Aż mnie samej słabowito. Leży, nie rusza się, to ją przewlokłam na posłanie, przecież nie będzie umierać jak pies koło progu, ale za lekarza nie zapłacę, sama niech płaci...

Jezu, czy ja muszę słuchać tego jazgotu? Panie doktorze, proszę kazać temu babsztyłowi wyjść z mego mieszkania. Proszę. Nie zniosę jej obecności.

– Słucham? – pochyłona nad nią twarz starszego mężczyzny to wylaniała się, to rozpływała w bezkształtną plamę. – Kogo nie zniesiesz?

– Jej. Ma się wynosić.

– No i doczekałam się wdzięczności, nie ma co! Gdyby nie ja, już byś skonała w grzechu śmiertelnym. Bo myślisz, że ja taka nierozumiejąca się na niczym i nie wiem, że się puszczasz od dawna z żonatym mężczyzną?

– Bardzo pani dziękuję za pomoc, lecz przeszkadza mi pani w badaniu chorej.

– To ona z tego wyjdzie? Tam, pod drzwiami, jak upadła, to nasikała pod siebie, i tu też na posłanie nasikała, i taka ciągle sina, i paznokcie sine?

– Oczywiście, że wyjdzie, co też pani!

– Chociaż może głupia będzie, bo sam pan doktor mówił na początku, nim odzyskała po zastrzyku przytomność, że mózg może być uszkodzony?

– Rzeczywiście, przemiła z pani sąsiadka, uczynna, martwiąca się o bliźnich... A teraz dość tych pogaduszek. Proszę wrócić do siebie. Pani obecność tu jest zbędna, a nawet szkodliwa.

– Też coś! – i zaraz trzasnęły drzwi.

– Dziękuję, panie doktorze.

– A jednak to prawda: wścibstwo twojej sąsiadki uratowało cię, dziewczyno. Miałaś silną zapaść. Stąd ogólna sinica, oddanie moczu pod siebie. Prawdziwy cud, że w tym stanie zdołałaś się podnieść z pierwszego omdlenia, podejść do drzwi i je otworzyć. Czekalaś na kogoś, kogo kochasz, prawda? A ten ktoś cię zawiódł? Wierzyłaś jednak, że przyjdzie. Została ci ta wiara tak silnie zakodowana w podświadomości, że dzięki niej do twego mózgu dotarł bodziec z zewnątrz: pukanie do drzwi. Widząc, że to nie on, zemdlalaś powtórnie. Czy warto aż tak kochać, dziewczyno?

Był stary, ten lekarz, ubrany w garnitur, a nie w biały kitel, więc nie z pogotowia. Babsko wezwało jakiegoś prywatnego. *Ale wcale nie czuję*

wdzięczności do niej, może lepiej byłoby i dla mnie, i dla Michała, gdybym została w kałuży moczu, w zapaści, z niedotleniającą się, powoli obumierającą korą mózgową? Michał uwolniłby się od swego piekła, ja od swego, które mi każe ścisnąć komórkę, nie pozwala opuścić mieszkania, piekła nadziei i zwątpienia.

– Dobrze. Twoja skóra powoli odzyskuje normalną barwę. Nawiązałaś kontakt, więc nawet bardzo dobrze. Tętno również ulega poprawie: podniosło się do stu trzydziestu. Ale w sercu słyszę szmery. Mogą być wynikiem przeżytego stresu, ale mogą też być wynikiem poważnej wady serca. Jak ci na imię?

– Marta.

– Marta. Bardzo ładne imię. Więc, Marto, posłuchaj: nie wolno ci zostać samej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Kogo zawiadomić, aby się tobą zaopiekował?

Milczała. Nie mam nikogo takiego, panie doktorze. Nikogo bliskiego. Poza Michałem, ale on na razie, ach, jakie to tchnące optymizmem słowo: na razie!, oby się sprawdziło!, na razie pozostaje poza moim zasięgiem, toteż jestem przeraźliwie sama, doktorze.

– Matka?

Pokręciła głową, że nie.

– Nie masz rodziny?

– Nie. – *Moja rodzina mnie odrzuciła, panie doktorze. Mama i siostry odkładają słuchawkę na sam dźwięk mego głosu. Ale to nie ich wina. Tak się po prostu złożyło. Musiałam bronić matkę i siostry przed ojczymem.*

– Przyjaciółki? Koleżanki?

Milczała. *Przez krótką i nieprawdziwą chwilę miałam niby–przyjaciółkę, Jankę. Zerwała ze mną, ponieważ nie byłam gotowa patrzeć na jej nowonarodzone dzieci.*

– Boże, dziewczyno? To jak ty żyjesz?

– Nadzieją – powiedziała i rozplakała się.

– Nadzieją – powtórzył, wziął ją za rękę, uścisnął. – Nie płacz, coś zaradzimy. Jestem na emeryturze, ale dorabiam prowadzeniem prywatnego gabinetu, tu niedaleko, kilkadziesiąt metrów od twojego bloku. Porozmawiam z żoną. To dobra i miła kobieta. Nie weźmie od ciebie pieniędzy – rozejrzał się po pokoju, w którym poza posłaniem z materaca, jednym krzesłem, małym stolikiem nie było niczego więcej. – Ta wścibska sąsiadka powiedziała, że od ponad tygodnia nie wychodziłaś z domu. Kto ci robił zakupy? Co jadłaś przez ten czas? Czy wiesz, jaka jesteś chuda?

Milczała. *Czekałam, panie doktorze. Dzień po dniu. Bo jeśliby akurat wówczas przyszedł Michał i nie zastał mnie w domu? Michał, panie doktorze, to moja nadzieja na życie. Nie mam innej.*

– Dobrze, nie odpowiadaj. Za prywatną wizytę biorę stówkę. Ale niekoniecznie musisz mi dziś płacić – znowu rozejrzał się po jej biednym, pustym pokoju.

– Pieniądze leżą na stoliku, panie doktorze. Proszę sobie wziąć tyle, ile pan zwykle bierze za wizytę. Stracił pan na mnie mnóstwo czasu, na pewno należy się więcej. A żony proszę nie trudzić. Czuję się zupełnie nieźle.

– Dziewczyno, albo zapakuję cię do szpitala, albo przyjdzie tu moja żona. Twój puls jest wciąż bardzo słaby.

– Nie chcę do szpitala. Za nic. *Raz już byłam. Białe ściany, białe fartuchy, białe maski zasłaniające pół twarzy. Ból. Krew. Chlupot strzępów mojego syna, wpadających do jakiejś miednicy czy wiadra.*

– W takim razie pozostaje moja żona. Zresztą, ja tu jeszcze do ciebie muszę wrócić. Dać ci wzmacniający zastrzyki założyć holtera. To takie całodobowe EKG, po którym będziemy wiedzieli, czy masz trwałą wadę serca, czy jego zachowanie pozwoli się wytłumaczyć wstrząsem stresowym. Nie martw się o pieniądze. Wszystko w ramach jednej wizyty – i jakby był jej ojcem, pogłaskał pocieszająco po policzku. Westchnął. Miał krzaczaste, siwe brwi. Brakowało mu jedynie długiej siwej brody, czerwonej czapy z pomponem i byłby z niego wykapany święty Mikołaj. Dobry, poczciwy święty Mikołaj.

– Panie doktorze... – *Jak mu okazać swoją wdzięczność? Powiedzieć, że teraz, dzięki niemu, poczuła się mniej samotna? Nie aż tak opuszczona?*

– Tylko mi nie dziękuj! – nastroszył niby srogo krzaczaste brwi. – I nie wyobrażaj sobie, że traktuję cię inaczej niż innych swoich pacjentów. Od każdego biorę stówę, bez wyjątków. Jestem stary zdzierca i nic mnie nie obchodzi, czy ktoś jest biedny, czy bogaty. Leż spokojnie. Ani mi się waż wstawać, bo wezwę do pilnowania tę Wścibską. Zrozumiałaś?

– Tak, panie doktorze. Ale muszę wstać, umyć się, zmienić pościel...

– Wstaniesz, jak ci pozwolę. Pościel zmieni moja żona. Ani słowa, dziewczyno.

– Panie doktorze! – krzyknęła, ponieważ przypomniało się jej ostatnie spotkanie z Michałem i jego pieszczoty, tak podobne do tych Pawła, że nie powiedziała mu, by uważał, ponieważ weszła w płodną fazę cyklu. – Panie doktorze? A jeśli jestem w ciąży, czy taka zapaść może zaszkodzić mojemu dziecku?

– A jesteś? – zatrzymał się w drzwiach, wysoki, lekko przygarbiony, nie wiadomo, czy z powodu swego wzrostu, czy podeszłego wieku.

Jezu, nie wiem, nie wiem, ale to prawdopodobne, Michał nie uważał i co wtedy? Co wtedy? Znowu urodzę martwe, przed czasem albo upośledzone, kalekie, cierpiące?

– Kiedy ostatni raz kochałaś się ze swoim chłopakiem?

– Chłopakiem? – *Przecież on słyszał, co jazgotała Wścibska. Wie, że moim partnerem jest żonaty mężczyzna. Jest taki cholernie delikatny czy taki cholernie złośliwy i tylko udaje dobrego, rozumiejącego cudze cierpienie faceta? To wstrętne. Nie potrzebuję ani jego, ani jego żony. Niech się stąd też wynosi.* – Nie mam chłopaka, szanowny panie doktorze. Żyję w grzechu z dużo starszym ode mnie, żonatym gościem, jak to obrazowo przedstawiła nasza Wścibska. A ostatni raz pieprzyłam się z nim, skoro to tak pana interesuje, dziesięć dni temu, w biały dzień, przy niezastłoniętych oknach.

Zawrócił od drzwi, usiadł na przysuniętym do jej posłania krześle. Spod krzaczastych brwi patrzyły ze smutkiem zmęczone oczy.

– Uwierz mi: nie zamierzałem cię urazić ani dotknąć. Kimkolwiek by on nie był, kochasz go całą sobą, do ostatniego nerwu, do ostatniego tchu. Każda miłość, dziewczyno, jest piękna. Nawet i wtedy, kiedy staje się krzykiem rozpacz, cierpieniem nie do opanowania, jak twoja. Nie brukaj jej wulgaryzmem. Zbyt długo obijam się po tym świecie, abym ośmielił się potępić twoje uczucia. Moje pytanie nie wynikało z prostackiej ciekawości. Odpowiedź jest istotna, ponieważ tylko znając ją, potrafię określić stopień zagrożenia: czy istnieje ono dla twego dziecka. Rozumiesz?

Powstrzymując łzy, krzyknęła gorączkowo:

– Michał też tak mnie kocha, panie doktorze, zapewniam! On jest dobry, lecz na razie straszliwie uwikłany i nie może się mną teraz zaopiekować, ani nic nie może, muszę czekać na czas, który na pewno nadejdzie i wtedy będziemy razem, bo tak mi obiecał, on zawsze dotrzymuje słowa, a ja mu ufam, nie mam powodu, aby nie ufać. – *Jezu, jak ci to wytłumaczyć, doktorze?*

Bo widzę w twoich oczach coraz głębszy smutek. Patrzysz na mnie tak, jakbyś się nade mną litował. Jakbyś widział w swoim życiu wiele takich głupich, naiwnych, pełnych wiary, kochających aż po kres, osamotnionych jak ja dziewczyn. Potem porzucanych, oszukanych, omamionych złudnymi obietnicami. Dziewczyn kiwających się na peronie, szukających ucieczki pod kołami pociągów. Jezu, doktorze, ja potrzebuję nie litości, lecz pokrzepienia, dodania odwagi, siły, i... Tak, takt Chcę być w ciąży, nosić w sobie dziecko Michała, bo wówczas, nawet gdyby mnie opuścił – Jezu, proszę nie pozwól, nie dopuść, żeby mnie opuścił, zawiódł – nie zostałabym sama, pusta, wyjąłowiona – Jeżeli zaszłam w ciążę, to dziesięć dni temu.

– Coś mi się wydaje – powiedział, uśmiechając się wszystkimi zmarszczkami – że bardzo chciałabyś mieć z tym twoim Michałem dziecko. I chyba nawet wiem dlaczego. Kochające kobiety zawsze pragną mieć dziecko z mężczyzną, którego kochają. I to również jest piękne. Posłuchaj, Marto: tak młodemu płodowi nic nie grozi. Natomiast ty znajdujesz się na krawędzi wytrzymałości psychicznej i fizycznej, jesteś wyniszczona niejedzeniem, dobrze, że chociaż się nie odwodniłaś. Nie gniewasz się już na starego doktora, który wtyka nos w nie swoje sprawy? Doskonale, Marto. Popłacz sobie, łzy przynoszą ulgę, rozładowują napięcie. Ja zaraz wracam.

Wyszedł. Komórka włączyła melodyjkę, oznajmiającą nadejście wiadomości. *Dzięki, Jezu, to Michał.* Drżące palce z trudem trafiły w odpowiedni

przycisk. Komórka rozjaśniła się światłem, w którym widniało wypisane dużymi literami: KOCHAM, TĘSKNIĘ, TWÓJ MICHAŁ. Ucałowała po kolei każde słowo. Tak ich mało, zaledwie cztery, lecz starczą za wszystkie słowa we wszystkich językach świata. Opadła na poduszkę, nie wypuszczając z ręki komórki, mając wrażenie, że dotyka dłoni Michała, że czuje obok siebie jego ciało, słyszy bicie jego serca. *Kocha, tęskni, jest mój, i już nic mi więcej nie trzeba, piękniejszego wyznania od ciebie nie usłyszałam. Nigdy go nie skasuję, zachowam je w pamięci komórki i mojej na zawsze, a po wspólnie spędzonych latach, kiedy i ja posiwieję, siądę przy tobie w bujanym fotelu na werandzie naszego domu i zapytam: pamiętasz, Michał? A ty się zdziwisz i również zapytasz: co mam pamiętać, Marta, kochanie? Wyświetlę ci wtedy to twoje wyznanie i powiem: Powtórz mi to jeszcze raz, Michał, i powtarzaj codziennie, dopóki życie w nas. Wtedy, kiedy to mi napisałeś ze swoich antypodów, tchnąłeś we mnie wiarę i nadzieję. Odtąd przestałam się bać, że mnie zostawisz samą, razem z naszym pierwszym dzieckiem, synem, któremu daliśmy na imię Adam, a który, spójrz, już stał się dorosłym mężczyzną. Ze swoją młodą żoną piecze na grillu kielbaski i niedługo obdarzy nas wnukami. Tak, Michale, tak. Czeka nas długie życie razem. Tak, Michale, tak: chociaż nie przeprowadziłam testu ciążowego wiem, czuję to: będę miała dziecko. Syna. A damy mu na imię Adam. Bo od Adama zaczęło się wszelkie życie.*

Żona doktora okazała się siwąwą, szczupłą, niebywałe energiczną osobą. Bez ceregieli oznajmiła, że ma na imię Jolka.

– Nie Jola i nie Jolanta i masz mówić do mnie Jolka, a teraz wstań, oprzyj się mocno, pójdziemy do łazienki umyć to i owo, a ty Marek, nie stój tak, ściągnij pościel. Marta, gdzie masz czystą? Nie widzę szafy. Marek, ona mówi, że drugą zmianę trzyma pod poduszką. Aleś ty słaba, a chuda, że nie daj Boże,

ale ja cię podtuczę. Marek mówił, że nie masz rodziny ani nikogo bliskiego. – Gadała jak najęta, jakby obawiając się protestów Marty i zamierzała je zagłuszyć tym gadulstwem, połączonym z uśmiechami, delikatnym dotykiem sprawnych i mocnych rąk. – No i już, umyta, pachnąca, przebrana. Marek, zakładaj jej tego holtera, dziewczyna nam zmarznie. Słabo grzeją, a mróz prawie dwadzieścia stopni, a teraz marsz pod kołdrę. Marek! Podciągnij wyżej poduszkę, przydałaby się druga, ale pewno nie masz, co, Marta? I po co ja pytam, ty w ogóle prawie nic nie masz! Marek, podtrzymaj ją pod plecy, jest jednak bardzo słaba, no, Martusia, otwórz buzię. Jolka cię nakarmi, przyniosła gorący rosółek w termosie. Oj, Martusia, jedz, nie grymaś, zupełnie jak nasza córka, też taki niejadek była. Prawda, Marek, że z naszej Olci od dziecka był niejadek? No i fajnie, rosółek zjedzony, a tu masz udko kurczaka i wsuwaj ze smakiem. Marek, przypilnuj ją, żeby zjadła, a ja się rozejrzę, bo jestem okropnie ciekawska osoba. Co ty masz w tej swojej kuchni, Marta? Słuchaj, Marek, ona nie ma dosłownie nic, poza jakimś zapleśniałym ogryzkiem chleba. Leć do domu i przywieź nam tu szybko bułki, soki, wędlinę. Czekaj no, stój, jeszcze nie skończyłam, coś ty taki w gorącej wodzie kąpany. Dla mnie kawę, Marek, cukier, bo ona nawet cukru nie...

– Proszę pani! – Marta zdołała wreszcie wejść w zdanie. – Bardzo dziękuję, ale się wystarczająco najadłam, a jutro wstanę, pójdę do sklepu i kupię, co mi potrzeba. Naprawdę, proszę nie robić sobie kłopotu.

– Patrz, Marek, jaka z niej egoistka! – zawołała żona doktora, przewróciła komicznie oczami. – A ja według ciebie, Marta, mam tu głodować? Bez kolacji? Bez śniadania? W nocy też lubię co nieco przegryźć, prawda, Marek? Sama się sobie dziwię, że tyle jem, a nie tyję, powinnam być jak beczka, prawda, Marek? Aha, i przynieś z domu coś na sen, może hydrosyzynekę, dziewczyna jest

pobudzona, a powinna usnąć i odpocząć. I, błagam cię, jedź powoli, okropna ślizgawica, sam lód na jezdni.

– Zawsze jeżdżę powoli, kochanie. Za stary jestem, żeby szaleć jak kiedyś. Trzymajcie się, dziewczyny, przywiozę wszystko, co potrzebne.

Od drzwi przesłał całusa. *Kochanie, mówi do niej, po tylu latach małżeństwa, wciąż „kochanie” i tyle czułości w oczach. Jakie to piękne.*

– Bo wiesz – powiedziała żona doktora – mój Marek poza medycyną, i mną oczywiście, kocha szybkie samochody i szaleńczą jazdę. – Żona doktora zachichotała jak nastolatka. – Nawet odnosił sukcesy w rajdach – znowu zachichotała. – Ale kiedy to było, mój Boże! Przed wiekami! – *Przed wiekami, a mówi o nim „mój Marek”. Są starzy, a wciąż się kochają. Tak będzie z nami, Michał.* – Niedawno obchodziliśmy złote gody. Pięćdziesiąt lat legalnego związku. Bo wiesz, my tak w ogóle to od podstawówki. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo oburzyła się na nas nasza wychowawczyni, gdy mój Marek, zamiast siedzieć posłusznie i grzecznie w jednej ławce z kolegą, usiadł ze mną. – W oczach żony doktora zapaliły się isierki śmiechu. – Okropna awantura, wzywani do szkoły rodzice, ponieważ mój Marek oświadczył buńczucznie, że będzie siedział ze mną i tylko ze mną, z nikim innym, bo kiedy dorośnie, poprosi o moją rękę. No i poprosił. Pobraliśmy się, mając po osiemnaście lat. Odtąd zawsze razem. Na studiach, na stażu, praca w jednym szpitalu, aż do emerytury. Nieprawdopodobne, co? – W oczach żony doktora pojawiły się złote błyski, jej twarz odmłodziła, rozjaśniła się ciepłem, i jakby lekkim zdumieniem, jakby samej jej było trudno zrozumieć, że ta historia o przetrwaniu dziecinnej miłości przytrafiła się naprawdę.

– Piękne. Musicie być państwo bardzo szczęśliwymi ludźmi. – przytknęła oczy.

To boli. Jezu, jak bardzo boli. Nie chcę o tym słuchać. Nie chcę widzieć twojej odmłodzonej twarzy, żono doktora. Twojej radości w oczach. Ty nie wiesz, co to znaczy cierpieć, nikt ci nie wbijał członka w brzuch, nie straszył skradającymi się krokami, nikt nie nazywał dziwką, chociaż wcześniej mówił „moja biała lanio”, nikt ci nie krępował brzucha bandażami, nie zapełnił twojej głowy widmami śmierci, nie stałaś nigdy na peronie, przyglądając się kołom pociągów. Nie masz pojęcia, jak okrutne może okazać się uczucie do związanego z inną kobietą mężczyzny. Ile niesie za sobą upokorzeń, ile wymaga hartu, samozaparcia, aby te upokorzenia znieść, wyzbyć się wątpliwości. Bo nikt tu ci nie zagwarantuje radosnego zakończenia, bo nawet, jeżeli takie się stanie, to i tak wyjdiesz obolała, z ranami nie do zagojenia, nie do zapomnienia. Twoje marzenia o wspólnym domu z werandą, z której widać ogród, to kiepskie marzenia, jak z kiczowatej telenoweli i są jak kiczowaty pejzaż z łabędziem albo jak makatka z wyhaftowanym napisem: „Dobra gospodyni nasza, wczoraj kasza, dzisiaj kasza”. Jednak musisz się do takich makatkowych marzeń uciekać, ponieważ inaczej nie potrafiłabyś przetrwać ani jednego dnia. Zamknij się więc, ty, która w swoim długim życiu pewno nie zapłakałaś ani razu.

– W pewnym sensie: tak, jesteśmy... – w głosie żony doktora Marta usłyszała wyraźne wahanie.

Na co ty się możesz skarżyć, babo?

– W pewnym sensie? – zapytała. – A niby czego jeszcze pani do pełni szczęścia zabrakło? Mąż żyje, jak widać, cieszy się dobrym zdrowiem, pani również, macie niezłe emerytury, robicie kasę w prywatnym gabinecie, nawet możecie pobawić się w dobrych samarytan, co zapewne was podbudowuje moralnie i czujecie się tacy wspaniali, przynosząc rosół w termosie oraz pieczone udko kurczaka!

– Mój Boże – powiedziała tylko żona doktora.

Mam cię w nosie, ciebie, twoją zakichaną dobroć, rozgadane kumpłostwo, zjeżdżaj stąd.

– Nie potrzebuję waszej jałmużny. Ani w postaci żarcia, ani w postaci dalszej opieki nade mną. Czy jasno się wyrażam? – krzyknęła, ponieważ żona doktora patrzyła na nią ze zmieszaniem i współczuciem.

Powinna się zezłościć, obrazić, wstać, wzruszyć pogardliwie ramionami, wypowiedzieć jakąś odpowiednio brzmiącą, umoralniającą formułkę w rodzaju: no proszę, za nasze dobre serca tak się nam odplacasz, cóż, przysłowie głosi: nie rzucaj pereł między wieprze. Ona zaś milczy, jakby nie rozumiała, co do niej mówię. Milczy i patrzy z coraz większym współczuciem. Broda jej drży i usta. Zaraz mi się tu rozplacze rzewnie i powie ze szlochem: ależ ja ciebie doskonale rozumiem, Marta, nawet nie wiesz, jak dobrze, i wybaczam ci złe słowa; jesteś, biedactwo, w trudnej sytuacji, po zapaści, pobudzona emocjonalnie. Zaraz usłyszysz temu podobne pierdoły, które ta jej zasunie. No, czemu milczysz? Taka byłaś rozmowna, a teraz cię zatkało? Cholera, odezwij się, babsztylu.

Żona doktora jednak milczała. W milczeniu założyła płaszcz, kapelusz, wzięła torebkę. *Och nie, do cholery. Nie pozwolę ci tak wyjść bez słowa, bo chcesz tym milczeniem wzbudzić u mnie poczucie winy. Udowodnić swoją szlachetność, zrobić ze mnie podłą, niewdzięczną szmatę! Ale ja ciebie i tę twoją, i twego Marka dobroć zdemaskuję, zaraz się przekonam, jaka jesteś naprawdę, gorsza nawet od mojej wścibskiej sąsiadki.*

– I to niech pani również zabierze! – Marta usiadła, z wściekłością zrywając z siebie elektrody, druciki, taśmy przyklepne, aparacik, którego zielone, pulsujące w rytm jej serca światełko gwałtownie zgasło. – Słyszysz pani? Żeby

pani mąż nie miał pretekstu do demonstrowania swojej rzekomej, obłudnej dobroci!

Żona doktora nadal milczała. Wpakowała swoje urządzenia do torebki, ruszyła ku drzwiom.

– Jeszcze termos! – wrzasnęła Marta.

– Bardzo mi przykro, ale nie jesteś w stanie mnie obrazić, dziecko – odpowiedziała ze spokojem żona doktora i wyszła. *Boże, jak cicho. Zbyt cicho. Boże, jak zimno. Zbyt zimno. Boże, jak pusto. Zbyt pusto. Boże, jak źle. Zbyt źle.*

Boże, przede mną kolejna noc bez człowieka.

Boże, człowiek był, ale go wypędziłam.

Zwlokła się z posłania. Sufit zawirował. *Nie szkodzi. Może jeszcze zdążę.* Podeszła do okna. Otworzyła je na oścież, nie zważając na przenikliwe zimno. Wychyliła się. W świetle ulicznej latarni niczym srebrne gwiazdki z nieba wirowały tanecznie płatki śniegu. Nikogo. *Nie zdążyłam.*

Opierając się o ścianę, z głuchym szumem w uszach, wróciła do łóżka, po drodze zabierając ze stolika komórkę. Wybrała numer Michała.

Abonent chwilowo niedostępny – odpowiedziała komórka.

Pierwszy, niespodziewanie silny, nawet jak na drugą połowę listopada, atak zimy wyparło równie gwałtowne ocieplenie. W ciągu kilku dni słońce stopiło śnieg; długoterminowe prognozy pogody zapowiadały nieprędkie nadejście zimy. Marta jednak nie zauważała ani słońca na szybach, ani na znowu zielonych trawnikach. Zmuszała się do wyjścia z domu, robiła bezmyślne i pospieszne zakupy, ciągle zapominając o cukrze, czasem w drodze powrotnej zatrzymywała się na dłużej przed dziewięciopiętrowcem, gdzie nad środkową klatką widniał szyld: „LEKARSKI GABINET PRYWATNY. Czynny od poniedziałku do piątku, w godzinach od 15–00 do 20–00. Przyjmują: dr med. Marek Majewski,

kardiolog; dr med. Jolanta Majewska, pediatra. Możliwość wykonania EKG, echosonografii na miejscu". Potrącana przez przechodniów, gapiała się w okna wieżowca, zastanawiając się, które należą do doktora i jego żony, ludzi, którzy przyszli do niej z pomocą i dobrym słowem, a ona ich tak brutalnie odrzuciła. Przepisała z szyldu telefon stacjonarny oraz komórkowy, układała w myślach słowa przeprosin, lecz nie odważyła się zadzwonić. Słowa przeprosin wydawały się jej płaskie, po prostu głupie. *Nie ma takich, które mogłyby przeważać moje obelgi, a wyrzuciłam ich z siebie dużo, zbyt dużo. Wszystkie po to, aby raniły, więc chociaż żona doktora powiedziała: nie jesteś w stanie mnie obrazić, dziecko, widziałam drżenie jej ust i rąk, sięgających po torebkę, lśnienie powstrzymywanej łzy w oku i to nagle pochylenie pleców, jakby obawiających się uderzenia. Jeśli nie zdołałam obrazić, na pewno zadałam ból. Taki, który długo trwa. Taki, który długo się pamięta. Znam taki ból. Gdy chorującej na gripę mamie ja, wtedy jeszcze mała dziewczynka, chciałam otrzeć pot z czoła, mama pacnęła mnie po ręce, krzycząc, nie dotykaj mnie swymi brudnymi, pełnymi zarazków łapami! Ten ból zadany słowami... o ile silniejszy od pacnięcia, wyplakiwany w poduszkę po nocach, wyplakiwany w dzień po kątach. Nigdy więcej nie ośmieliłam się dotknąć ani czoła, ani policzka swojej matki. Nie miej złudzeń, Marto. Zraniłaś być może jedynych w tej chwili życzliwych ci ludzi, zatrzęsnęłaś przed nimi drzwi do siebie ostatecznie. Nie masz rodziny. Nie masz znajomych. Nie masz przyjaciół. Masz iluzorycznego jak fantom Michała. Michała, którego komórka odpowiada: abonent chwilowo niedostępny. Który ci na pocieszenie raz dziennie, jak w zegarku, o godzinie ósmej wieczorem, wyświetla na komórce swoim imieniem i raz na dzień, dokładnie jak w zegarku o godzinie dziewiątej rano, wysyła jednakowo brzmiały, jakby nadawany przez automat, esemes: KOCHAM, TĘSKNIĘ, TWÓJ MICHAŁ.*

Z dwóch tysięcy złotych, pozostawionych przez Michała, po opłaceniu czynszu za mieszkanie, rachunków za prąd i za komórkę, zostało kilkaset złotych. Miesiączka się spóźniała. Marta nie zrobiła nawet testu ciążowego: męczyły ją mdłości, wymioty i jedzeniowe zachcianki. *Więc to już miesiąc minął od czasu, kiedy ostatni raz widzieliśmy się i kiedy tak odmiennie niż zwykle kochałeś się ze mną. Nazywałeś mnie nagle swoją różą, co przypomniało mi kłamliwe „moja biała lano” Pawła, a twoje pieszczoty wywoływały u mnie sprzeciw, bo znowu zamiast twoich ust, czułam na swoim ciele usta Pawła. Po spełnieniu zapytałeś mnie słowami Pawła: czy było mi z tobą dobrze. Taki zadowolony, taki syty, taki mi nagle obcy, nie mój, nie ten, którego kocham. Dlatego zażądałam od ciebie, abys żegnając, stał się znów znanym mi Michałem i powiedział: moja żono. A teraz twoja niedoszła, ciągle oczekująca na ciebie pseudożona spodziewa się dziecka. Czy naprawdę sądzisz, że wystarczy raz dziennie wyświetlić swoje imię i raz dziennie wysłać te same, identyczne, stojące się pomatu wyświechtanymi, nieniosące ze sobą już ani radości, ani nadziei cztery słowa: kocham, tęsknię, twój Michał? Naprawdę sądzisz, że potrafią mnie one uspokoić? Minął miesiąc, Michale. Żyję po omacku, błędząc w coraz gęstszym labiryncie niepewności, obaw, lęków. To ty, nie ja, roztoczyłeś perspektywy wspólnego, cudownego życia, domu, dzieci. Uwierzyłam ci. Zgodziłam się przyjąć wszystkie twoje warunki. Twierdziłeś, że zapewnią mi bezpieczeństwo, ustrzegą przed upokorzeniem. Podobno wynająłeś najlepszego adwokata od spraw rozwodowych. Jeżeli Edyta uwierzy, że zerwaliśmy ze sobą, rozwód przeprowadzę szybko, najdłużej w miesiąc, twierdziłeś. Będę cię informował na bieżąco. I co? Przez miesiąc nie usłyszałam twego głosu. Gdzie jesteś? Kocham, tęsknię, twój Michał. Cztery słowa. Uważasz, że będę im dalej, przez nie wiadomo ile czasu, ufać? Spodziewam się twego dziecka i nawet nie*

mogę ci o tym powiedzieć, ponieważ zakazałeś mi dzwonić do siebie. Jednak ja, nieposłuszna, skazana na okrucieństwo czekania, dzwonię i słyszę ten głos, brząający dla mnie jak wyrok: abonent chwilowo niedostępny, abonent chwilowo niedostępny. Chwilowo? Na pewno chwilowo? Nie potrafię znaleźć powodu, choć przysięgam, że staram się, staram się jak cholera, ze wszystkich sił staram się wytłumaczyć sobie twoje uparte milczenie oraz powód, dla którego wyłączasz komórkę? Michał, proszę, oszczędź mnie, nie istnieje gorszy koszmar od koszmaru niepewności. Muszę teraz dbać o siebie podwójnie, ponieważ za osiem miesięcy urodzę ci syna. Naszego syna. Boję się. Pieniądze się kończą. Ludzie mnie przerażają. Michał, odezwij się.

Ale się nie odzywał. Musiała zrobić jakiś krok, znaleźć pracę. Z pieniędzy, jakie wyrwała od matki, nie chciała korzystać. Nie są moje. W odpowiednim momencie, tak jak postanowiłam, zwrócę je. Wspomnienie matki i sióstr wywołało atak niepohamowanego płaczu. Tęsknię do was. Mamo, potrzebuję ciebie. I was, moje siostrzyczki. Jezu, pozwól, mi stanąć na znajomej wycieraczce, uplecionej ze słomy, kupionej na Bałuckim Rynku, zapukać w znajome drzwi, które ty mi otworzysz, mamo, a za tobą będą podskakiwały radośnie bliźniaczki, wołając: Marta wróciła, Marta wróciła! Ale to nigdy się nie spełni. Gdybyś zatęskniła za mną, mamo, nie rzucalabyś słuchawką telefonu na dźwięk mego głosu, mego drżącego nadzieją głosu: Mamo, to ty? Proszę, wysłuchaj. Ty nawet nie pozwolisz mi dokończyć zdania, ty się naprawdę mnie wyparłaś. Jezu, co ja ze sobą i swoim dzieckiem pocznę, jeśli Michał nadal zamiast siebie będzie nadsyłał tylko te esemesy i to swoje imię. Jak zapracuję na utrzymanie mieszkania, na wyprawkę, pieluszki, wózek, łóżeczko, odżywki, pudry, kocyki, zabawki? Pozostanie mi jakiś dom dla samotnych matek.

I znowu pomyślała ó peronie na Dworcu Fabrycznym.

Jedyne dla nas rozwiązanie, synku. Dla ciebie i dla mnie. Jednego syna udusiły elastyczne bandażę, drugiego zabiję sama.

Odszukała kartkę z nazwiskiem i telefonem do przyjaciela Michała. Długo musiała przekonywać sekretarkę, że dyrektor Kowalewski na pewno zechce z nią rozmawiać. W końcu ją połączyła z przełożonym.

– Nazywam się Marta Stańczyk, dzwonię z polecenia pana prezesa Michała Wierzbickiego...

– Widocznie pani nie zależało na podjęciu pracy, panno Stańczyk. Czekałem cierpliwie na wiadomość od pani bardzo długo. W dzisiejszych czasach praca jest w cenie. Michał polecał mi panią jako osobę solidną, zachwalał pani obowiązkowość, kompetencje, biegłą znajomość języka angielskiego i tylko ze względu na naszą wzajemną, wieloletnią przyjaźń, obiecałem mu, że przyjmę panią bez obligatoryjnych formalności, w rodzaju CV, referencji, opinii z poprzedniego miejsca zatrudniania. A pani zgłasza się po miesiącu – głos mężczyzny wyrażał dezaprobatę.

– Przepraszam, byłam bardzo chora... – wybąkała, zaś sufit nad jej głową zaczął niebezpiecznie wirować, ściany się rozchwiały, powietrze zgęstniało dusząco.

– Aż tak chora, że nie potrafiła pani do mnie zadzwonić? Panno Stańczyk! Na co pani liczyła? Na dalszą, nazwijmy to eufemistycznie, „opiekę” mego przyjaciela? *Jezu, ten również wie o nas? Od kogo? No dobrze. Coś spróbuję wykombinować.*

– Wszystko jedno co! Mogę sprzątać, myć okna, toalety! – wybuchła. *Cokolwiek, co pozwoli mi przetrwać, dopóki Michał nie przyjdzie po mnie, nie powie, Marta, kochanie, koniec naszej katorgi, jestem wolny i jestem twój.*

– Niech pomyślę. Panno Stańczyk, wyjaśnijmy jedno: ktoś, kogo polecał mi przyjaciel, a kto jest podobno ładną i młodą dziewczyną, nie będzie u mnie szorował toalet... Chętnie się z panią spotkam. Jestem o dziesięć lat młodszy od pani Michała, i jak sądzę nieskromnie, o wiele od niego przystojniejszy... A także równie zamożny jak on.

– Nie rozumiem?

– Niech pani nie udaje takiej skromnej – głos mężczyzny zadźwięczał śmiechem. – Jednak kota w worku nie kupuję. Muszę przekonać się na własne oczy, czy jest pani warta mego, jakby to ująć... mego zainteresowania.

Nie słuchała dłużej. Komórka wypadła z ręki, brzęknęła o podłogę. *Za co? dlaczego?!* Tylko tyle zdołała pomyśleć. Po chwili sufit wraz ze ścianami zwały się na nią.

Gdy się ocknęła, sprawdziła najpierw, czy nie oddała pod siebie moczu. Było sucho. Odetchnęła z ulgą. To zwykłe omdlenie, nic więcej, nie zaszkodzi dziecku. Rozejrzała się po swoim prawie pustym i tak nędznie umeblowanym pomieszczeniu. Przeliczyła pieniądze. Dwieście pięćdziesiąt złotych. Jest bez zatrudnienia, więc nie ma prawa do bezpłatnych świadczeń medycznych, a powinna przebadać się u ginekologa, zrobić USG: prywatnie to najmniej sto dwadzieścia, nawet sto pięćdziesiąt złotych. Ze względu na ciążę musi się dobrze odżywiać. Kiedy miała mieć dziecko z Pawłem matka, mimo wszystko, dbała o nią. Codziennie soki, jogurty, winogrona. Teraz na nikogo nie może liczyć. Nikt nie udzieli pomocy. *Michał? Co on nagadał temu okropnemu facetowi, który potraktował mnie jak sprzedajną dziwkę? Nie! Nie chcę nawet o tym myśleć, Michałowi zależało na utrzymaniu w tajemnicy naszego związku. Nie, nie Michał, to ten facet pewno sądził, że zdarza mu się okazja, bo skoro brakuje mi środków do życia przyjmę każdą propozycję, ale skąd wiedział, że jestem młodą i ładną*

dziewczyną? Od Michała. A może Michał powiedział mi, żeby uwiarygodnić zerwanie ze mną, że owszem, wiesz, kolego, jak to jest, zauroczyła mnie, ale to był przelotny romans, jednak musiałem się jej pozbyć z firmy z powodu plotek. Nie zamierzam z ich powodu rozbić mego małżeństwa. Z drugiej strony moralnie poczuwam się do winy. Dziewczyna została na łodzi, bez środków do życia. Nie sądziłeś, Michał, że twój przyjaciel to zwykła świnia? Nie miałeś podstaw, aby tak sądzić? Boże, przecież to nie wina Michała, że tamten jest świnia! Ufam ci, Michał, nadal. Wierzę w ciebie. Nie zostawisz mnie, prawda? Na pewno myślisz, że pracuję. W jaki sposób ci dać znać, że jednak nie pracuję, pieniądze się kończą, a ja spodziewam się naszego dziecka? Tak, kochany, wiem: natychmiast przybiegniesz do mnie z pomocą. Jak w ogóle śmiem wątpić, że mogłoby być inaczej? I po co te paranoiczne lęki? Obawy? Wątpliwości? Dlaczego nie doceniam tego, że codziennie wysyłasz mi na dobranoc esemesa z najpiękniejszymi słowami: kocham, tęsknię, twój Michał. Jestem histeryczką i tyle.

Sięgnęła po komórkę.

Abonent chwilowo niedostępny.

Wybrała numer na bezpośrednią linię w gabinecie Michała.

– Wierzbicki, słucham? *Mój Jezu, jaki zmęczony głos. Jezu, jak mi bije serce. Jezu, jak zaschło w ustach. Jezu, co ze mną? Zaniemówiłam?*

– Halo? Kto mówi?

– Michał, nie odkładaj słuchawki, udawaj, że rozmawiasz z klientem, musimy się spotkać, jak najszybciej, kończą mi się pieniądze, pracy nie dostałam. Muszę ci coś bardzo ważnego powiedzieć, coś niesłychanie ważnego. Michał, tęsknię za tobą nieprzytomnie, powiedz tylko jedno słowo: oddzwonię albo nie, powiedz: tak, co będzie znaczyło, że jeszcze dziś do mnie wpadniesz,

choć na pięć minut, na dziesięć. Michał? Michał? – krzyknęła. – Jesteś tam?
Na litość boską, Michał, odezwij się!

– Tak.

Trzasnęła słuchawka. *Powiedział: tak. Dziękuję Ci, Jezu. Powiedział tak, więc przyjedzie. Dziękuję Ci, Jezu. Przyjedzie. Obejmie. Przestanę być sama. Dziękuję Ci, Jezu.*

Powiem mu o dziecku, a on mi powie: moja żona urodzi mi syna. Dziękuję Ci, Jezu.

Dziękuję Ci, Jezu, za moją miłość, którą stary doktor nazwał piękną.

Dziękuję Ci, Jezu, za miłość Michała, który trwa przy mnie wiernie. Któremu za osiem miesięcy urodzę syna i damy mu na imię Adam.

O Boże, jaki tu bałagan. Michał pomyśli, że jestem fleja.

Szybko, szybko posprzątać.

Co za radość: sprzątać dla Michała.

Przydałyby się świeże kwiaty.

Ale kwaciarnia dwa przystanki dalej. Daleko. Mogę nie zdążyć przed przyjazdem Michała.

Jaka ja głupia. Dopiero dziesiąta. O tej godzinie nie urwie się z pracy.

A jeśli się urwie?

Jaka ja głupia! Przecież to on przyjedzie do mnie z kwiatami. Byle nie byłyby to róże.

Zapomniał, że nie cierpię róż. Ostatnim razem, gdy się ze mną kochał, nazwał mnie swoją różą.

Jaka ja głupia! Mogą być i róże! Róże będą piękne, jeśli przyniesie mi je Michał.

Tu jeszcze plama na drzwiach: wytrzeć do połysku. Biednie, ale czysto.

Aha: łazienka. Wyszorować brodzik.

Boże, to ja?

Szybko, szybko: umyć włosy, bo zwisają w smętnych strąkach. Szybko, szybko wysuszyć suszarką. Kilka kropli perfum, o tu: za uchem i na przegub dłoni. Michał lubi, gdy pachnę.

Ach, te policzki, takie blade !Poklepię je, o tak, mocniej, mocniej, niech się choć trochę zaróżowią.

Muszę wyglądać ładnie. Nie widział mnie ponad miesiąc.

Zegary, proszę was, przyspieszcie sekundy, poganiajcie minuty, ja czekam na Michała.

Przysunęła krzesło pod okno. Oparła się czołem o szybę. Tyle słońca. Jasny dzień. Ciągle jasny dzień.

Ach, jaka ja głupia! W jasny dzień nie przyjedzie. Jeszcze pracuje. Po pracy na pewno będzie musiał pokazać się w domu, zjeść z żoną obiad.

Naprawdę, z tej radości tracę zdolność racjonalnego myślenia! Przecież ci mówił, idiotko, że pierwsza rozprawa, próbująca nakłonić rozwodzące się strony do pogodzenia, odbywa się zazwyczaj w trzy tygodnie od złożeniu pozwu w sądzie, ale ten jego prawnik miał załatwić to w tydzień. Michał nie może jeść obiadu w domu. Edyta wie, że zamierza się z nią rozwieść, więc raczej rozbiłaby talerze na jego głowie, oblała wrzątkiem zupy, niż podała obiad.

W takim razie, gdzie mieszkasz? U kolegi? W hotelu? W takim razie, powinieneś już tu być.

W takim razie, skoro nie mieszkasz z żoną, dlaczego dotąd nie byłeś u mnie?

Jezu, jak mam to sobie wytłumaczyć?

A jeśli nie doszło do tej pierwszej rozprawy? Może jednak dotąd Edyta nie zna twoich zamiarów, ponieważ coś ci przeszkodziło?

Co?

Och, na przykład Edyta zachorowała.

I koń by się uśmieł. Michał, opamiętaj się, nie daj się nabierać, ona symuluje chorobę! Sam powtarzałeś, że jest zdolna do wszystkiego, że zrobi wszystko, aby cię zatrzymać!

Szyba zaparowała wilgocią oddechu. Przecierała ją co chwila. Słońce zapaliło się nagłym błyskiem nad linią odległego, niemal czarnego lasu i zgasło tak szybko jak zdmuchnięty płomień świecy. Natychmiast zapadła grudniowa ciemność, którą kręgami światel rozproszyły uliczne latarnie.

Dlaczego cię wciąż nie ma? Michał, mnie się nie wolno denerwować, ja spodziewam się naszego dziecka!

Jaka z ciebie idiotka! Ostatnia kretynka! Przecież jest grudzień, krótki dzień, co z tego, że ciepły i nie ma mrozu? Dopiero jest czwarta! Zapomniałaś, jak pracuje się w firmie? Ile razy siedziałaś do późnego wieczora, klnąc, kserując, drukując coraz to nowe dokumenty. Ty w sekretariacie, a Michał w swoim gabinecie, wypijając po kilka kaw oraz zamawiając pizzę przez telefon.

Już piąta.

Już szósta.

No i co z tego, że szósta? Powiedział ci „tak”, a on zawsze dotrzymuje słowa.

Plecy bolą. Oczy łzawię. Michał, miej litość, zbliża się dziewiąta!

Melodyjka komórki, zapowiadająca wiadomość tekstową, poderwała ją na nogi,

„Moje kochane biedactwo. Przepraszam, że każę ci cierpieć. Mnie samego przy życiu podtrzymuje jedynie nadzieja, iż nasze cierpienia kiedyś się skończą i

połączymy w jedno nasze losy. Proszę, zaufaj mi. Pokonam wszelkie przeszkody. Tęsknię za tobą rozpaczliwie. Nie mogę sobie jednak pozwolić na popełnienie najmniejszego błędu. Edyta ciągle pełna podejrzeń. Dziś nie przyjadę. Wybacz. Pieniądze wysłałem telegraficznym przekazem. Koniecznie kup ciepły płaszcz, synoptycy zapowiadają duże mrozy zaraz po Bożym Narodzeniu. Odżywiaj się dobrze. Myślę o tobie bezustannie. Pamiętaj, że cię kocham do ostatniego tchu. Twój i tylko twój Michał".

Mój. Tylko mój. Dobry, troskliwy. Nawet o ciepłym płaszczu pomyślał. Rozumiem. Wszystko rozumiem doskonale. Widocznie z jakichś ważnych powodów, nie doszło jeszcze do sprawy o rozwód. Może ten twój, niby najlepszy adwokat, okazał się dupkiem? To nic. Wierzę, ufam, poczekam cierpliwie, skoro wiem, że mnie nie opuścisz. Michał, dziękuję. Michał, po raz pierwszy od długiego czasu pragnę śmiać się, śpiewać. Co za radość: „myślę o tobie bezustannie, kocham cię do ostatniego tchu".

Z tą radością nie mogła zostać sama. Musiała się z kimś nią podzielić, komuś wykrzyknąć, przed kimś wypłakać.

Był taki ktoś. Znała jego imię.

Zadzwoniła po taksówkę. Ubrała, śmiejąc się i płacząc na przemian, swój, jak to mówił jej Michał, podszyty wiatrem płaszcz. Och, nie był taki zły, na podwójnej watolinie, zeszłej zimy matka również się martwiła, że i niemodny, i przepuszczający zimno, wypatrzyłam dla ciebie śliczny, Martusiu, kupimy ci go z ojcem zaraz po wypłacie. Krzyknęła: nie chcę niczego ani od ciebie, ani tym bardziej od ojczyma! Jeśli mi kupicie, potnę nożyczkami, podepczę, wyrzucę do śmietnika! Boże, za co ty tak nas nienawidzisz, jęk matki. *Tak bardzo chciałabym ci powiedzieć, mamo, że jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd, spodziewam się syna, będę miała własny dom z ogrodem, i, może, mamo,*

doczekam dnia, w którym ty przestaniesz mnie nienawidzić? Podała taksówkarzowi adres.

– Kościoły są teraz zamknięte – powiedział zdumiony.

– Nie szkodzi – odpowiedziała. – Proszę jechać.

Uklękła przed wielką, poczerniałą bramą, za którą nad bocznym ołtarzu zwisał umęczony Syn. Do Niego przybyła. Przed Nim klęczała. Tylko Jemu mogła ofiarować swoją radość. O nic w zamian nie prosząc i nie żądając. *Tak naprawdę cały czas byłeś ze mną. Nie pozwoliłeś mi rzucić się z peronu. Zawsze, jakby w ostatniej sekundzie, ratowałeś, przychodziłeś z pomocą. Dałeś mi Michała, a wraz z nim nadzieję i miłość, bez których byłam pusta, opanowana przez upiory wspomnień. Dałeś mi również cierpienie, i słusznie, bowiem dzięki niemu potrafię zrozumieć wartość życia. Co ono mi daje i co w nim tak łatwo stracić bezpowrotnie, na przykład wiarę w Ciebie.*

A ponieważ nie umiała przypomnieć sobie do końca żadnej dłuższej modlitwy, ani *Ojcze nasz*, ani *Wierzę w Boga*, pamiętała jedynie *Zdrowaś Mario*. Jednak do Matki Boskiej, tej z głównego ołtarza, tej uśmiechniętej, obwieszanej świecidełkami, nie chciała się modlić, gdyż Ona, ta Matka Syna ukrzyżowanego, Syna cierpiącego, powinna nad swoim Synem płakać, nosić żałobę, a nie ubierać się w błękity, więc odmówiła, powtarzaną co wieczór przed pójściem spać, kiedyś, jeszcze razem z babcią, tę dziecinną, ufną, naiwną, prościutką, może najszczęśliwszą ze wszystkich innych, modlitwę.

Aniele Boży, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy

Bądź mi zawsze ku pomocy.

Tej modlitwy nauczy swego syna. Nikt jej brzucha nie ścisnie bandażami. A Michał będzie szczęśliwy, prowadząc pod rękę swoją brzemienną żonę.

Aniele Boży, Strózu mój.

Mój i mego poczętego syna.

Mój i mego przyszłego męża, Michała.

Stój przy nas stale.

Nie odchodź ani na chwilę.

Czuwaj nad nami. Amen.

Michał przysłał pięć tysięcy. Postanowiła wydawać je oszczędnie. Nie zwracać się więcej o finansową pomoc. Cieszyło ją to, że o tym pomyślał, ale jednocześnie czerwień się, zażenowana, przyglądając się ułożonym w stosik banknotom. Nie jest jeszcze żoną. Fakt, że za jakiś czas nią zostanie, nie zmienia sytuacji: bierze kasę od mężczyzny, z którym przez kilka miesięcy żyła. *I po co aż tyle? Tysiąc by wystarczył. Prędzej czy później znajdę pracę. Tylko muszę się spieszyć. Nikt nie zatrudni kobiety w ciąży.*

Codziennie, z porannymi zakupami, przynosiła prasę, szukając ofert. Nigdzie nie natknęła się na ogłoszenie: poszukuję sekretarki do prowadzenia biura. Oferowano zatrudnienie księgowym, ekonomistom, inżynierom, akwizytorom z własnymi samochodami, wymagano dyplomu ukończenia wyższych studiów, przynajmniej trzyletniego stażu; praca była dla ślusarzy, murarzy, tynkarzy, szwaczek, kucharek. Nic dla niej.

Wysłała Michałowi esemesa: „Znajdziesz mnie w domu wyłącznie po południu”, ponieważ do południa chodziła po mieście, zaglądała do knajp, restauracji, prywatnych butików i sklepów, gotowa przyjąć cokolwiek, choćby sprzątanie, zmywanie naczyń. Jednak wszędzie słyszała tę samą odpowiedź: niestety, nie potrzebujemy. Wracała ledwo żywa, na obolałych, spuchniętych nogach, które, zwyczajem matki, moczyła długo w miednicy z ciepłą wodą. Od

obiadu nie ruszała się z mieszkania, zbierając siły na kolejne wędrówki i oczekując na przyjazd Michała.

Nie przyjeżdżał. Za to teraz codziennie wieczorem słał krótkie esemesy. „Dobranoc, kochanie moje. Słodkich snów. Niech ci się przyśnię. Ty śniesz mi każdej nocy”. *Michał, też mi się śniesz, ale proszę, napisz coś konkretnego, czy wniosłeś sprawę, kiedy się odbędzie i kiedy do mnie przyjedziesz. Przecież muszę ci powiedzieć, że będziemy mieli syna. Takiej wiadomości nie ogłasza się esemesem.*

Albo: „Jak się czujesz? Kupiłaś ciepły płaszcz? Daj znać, jeśli skończą ci się pieniądze”. *Michał, nie chcę twoich pieniędzy, chcę ciebie.*

Lub: „Mam nadzieję, że jesteś zdrowa. Ja, niestety, przeziębilem się, leżałem trzy dni z wysoką gorączką. Uważaj na siebie, kochanie”. *Michał, do cholery, uważam, szukam jak wściekła pracy, rzygam na potęgę, żrę kilogramy kiszonych ogórków. Kiedy zdobędziesz się na odwagę, aby do mnie przyjechać? Dlaczego ani słowa o rozwodzie? Nawet nie wiem, czy złożyłeś pozew? Michał! Zaraz minie półtora miesiąca, półtora miesiąca mojej niepewności, półtora miesiąca czekania na ciebie. Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile to dni, nocy, godzin spędzanych raz w szalonej radości, kiedy indziej w szalonej rozpacz? Bo nie pojmuję, Michał, naprawdę nie pojmuję, że nie potrafisz choć na pięć, na dziesięć minut wpaść tutaj, zobaczyć tę, do której podobno tęsknisz aż do utraty tchu? Którą podobno kochasz również aż do utraty tchu? Nie przesadzasz z tą konspiracją? Edyta założyła ci, jak w sensacyjnym filmie, podsłuch? Sądzisz, że twoje codzienne esemesy o niczym, zdołają mnie uspokoić? Michał, wręcz przeciwnie, jeśli pierwsze odbierałam, rycząc ze szczęścia jak ta głupia, to teraz czytam je i myślę: dobry Boże, kpisz sobie czy o drogę pytasz? Czuję się tak, jakbyś mi przewiązał opaską oczy, zatkał uszy i wyrzucił między ludzi, na*

ruchliwą ulicę, każąc mi trafić pod wskazany adres. A ja się obijam, ślepa i głucha, o ściany kamienic, wpadam pod samochody, hamujące z ostrym piskiem opon, trąbią na mnie, kierowcy mi wymyślają, wymyślają przechodnie. Michał, boję się z każdym otrzymanym od ciebie esemesem. Boję się aż do utraty tchu właśnie tego, że grasz na zwłokę. Michał, nie dopuść, abym zwątpiła w ciebie.

Sprawdziła. Nadawał esemesa i wyłączał komórkę, bo dzwoniła natychmiast po otrzymaniu wiadomości, że kocha, śni o niej, marzy o wspólnym, złączonym losie, ściska, całuje, martwi się o jej zdrowie: repertuar banałów miał bogaty, zasobny; lecz komórka Michała odpowiadała jednakowo: abonent chwilowo niedostępny.

Albo esemesował z innej komórki, a tę, której numer znała, wyłączył na stałe.

Nie, to niemożliwe. Musi być inny powód twego zachowania. I cofała pamięć, przypominając sobie każdy dzień z nim spędzony, każdą noc, pierwszy pocałunek, nieśmiałość jego ust, delikatność jego dłoni, jego oczy rozjaśniające się na jej widok, pobyt w Kazimierzu, gdzie był gotów wykrzyknąć pośrodku miasta: patrzcie, oto moja żona! Więc nie, i jeszcze raz nie! Muszą być istotne powody, dla których nie przyjeżdża i wyłącza komórkę. Przecież mówił jej, że żyje w piekle. Pewno Edyta, ogarnięta wściekłością, czymś go szantażuje. Ale czym? Może jakąś wymyśloną chorobą, nowotworem? Wadą serca? Diabli wiedzą, czym. Niewątpliwie to Michał najbardziej cierpi. I ogarniały ją coraz to nowe wyrzuty sumienia, że śmie wątpić w jego miłość. Jestem niewdzięczną, podłą egoistką, zajmującą się tylko samą sobą.

Zapominając o oszczędzaniu, zamawiała taksówkę, jechała po raz nie wiadomo który pod znajomą już niemal do każdego najdrobniejszego szczegółu, ciemną bramę kościoła, pod swoje wrota nadziei i wiary, nie zważając na ostro

zacinający przenikliwym chłodem, grudniowy wiatr czy deszcz, drętwiejące od klęczenia kolana; prosiła Ukrzyżowanego o łaskę dla Michała. *Bo on z pewnością męczy się nieporównywalnie bardziej niż ja. On walczy, a to niełatwa walka, bo poniżająca jego godność, zmuszająca do obrzydliwych kłamstw, kompromisów, podchodów, wykrętów, które, proszę, wybacz mu Ukrzyżowany. I mnie wybacz. A jeśli grzechem jest nasza miłość, to podziel ten grzech sprawiedliwie na pół, niech Michał nie dźwiga sam tego brzemienia.*

Lecz przychodził kolejny esemes, zapewniający o bezmiarze uczucia, i znowu targały nią wątpliwości. *Czy Edyta założyła ci również kłódkę na usta, że nawet porozmawiać ze mną nie możesz?*

Straciła apetyt. Przestała szukać pracy, jeździć pod bramę kościoła. Spędzała czas, leżąc, nadsluchując znajomych kroków. *Przecież przyjdzie. Przyjdzie i powie: jestem, moje kochanie i już nigdy cię nie opuszczę.*

Pewnego dnia, robiąc zakupy, zdumiała się ruchliwością na ulicy, tłoczącym się, podnieconym tłumem ludzi w sklepach, a najbardziej ją zdumiał facet przed supermarketem, przebrany za świętego Mikołaja. *Jezu, zapomniałam! Zapomniałam o świętach!*

Wróciła do swojej kawalerki, której porażające ubóstwo jakby dopiero teraz dostrzegła. *Jak ja żyję? Nawet te farby, najtańsze jakie były, więc i najmarniejsze, które miały być słońcem i błękitem nieba na ścianach, poszarzały, a z każdego kąta wieje pustką. Właściwie wygląda tak, jakby tu nikt nie mieszkał, jakby się ktoś stąd dawno temu wyprowadził, pozostawiając po sobie nic nie warte rzeczy: materac, jedno krzesło, mały stolik. Jezu, nawet szafy nie mam, ubrania porozwieszałam na gwoździach wbitych w ścianę, okna gołe, bez firanek, bez zasłonek. Marta Stańczyk, pustelnica, od której ma się lepiej zwykły Burek w budzie. Zawsze ktoś go pogłaszcze, zagada do niego: mój piesku, wymości mu*

budę nową, czystą słomą. A do mnie, kto zagada? Komórka, odpowiadając, że abonent chwilowo niedostępny. Boże Narodzenie się zbliża, a ja nie pamiętam, jaki dziś dzień tygodnia. Tak mi się te dni wszystkie zwały w jedno, nieustające czekanie na wiadomość od ciebie, mój Michale.

Sprawdziła datę na komórce. 21-12-2006.

Za trzy dni Wigilia. Na Sprawiedliwej w dużym pokoju matki między tapczanem a kredensem jest ustawiona wysoka do sufitu choinka. Choinka pachnie. Cały dom pachnie pastą do podłóg, tą choinką, jeszcze nieprzystrojoną, bo się ją przystroi przed południem w dniu Wigilii. Ojczym przyniesie z piwnicy drabinę, aby na jej szczycie umieścić srebrną gwiazdę, powiesić na tych najwyższych gałęziach bombki i lametę, rozwiesić na nich część lampek. Siostry podskakują niecierpliwie: szybciej, tato, szybciej! Nie mogą się doczekać na swoją kolej, bo to one stroją drzewko w dolnych partiach, kłócąc się o bombki, wisiorki, pajacyki, białe gwiazdki. W końcu matka wypada z kuchni: O Boże, dziewczynki, jeszcze wam za mało bombek? Dokupiłam w tym roku całe dwa tuziny! Z kuchni również dochodzą zapachy. Matka przygotowania do świąt zaczyna tydzień wcześniej: najpierw piecze piernik, bo on musi się „odležąć”, następnie kilka kruchych spodów, które później wypełni przeróżnymi masami: migdałową, czekoladową. O tak, matka piecze wspaniałe ciasta, a piecze ich tyle, żeby według tradycji wystarczyło do Trzech Króli. Te specjały, do spalaszowania w późniejszym terminie, owija w folie, w białe ściereczki, pakuje do kartonowych pudełek i wystawia na balkon, mówiąc, że zachowają aromat i świeżość na długo. W przeddzień Wigilii już prawie wszystko gotowe, zostaje do usmażenia karp i zrobienie sałatki. W przeddzień Wigilii matka jest tak zmęczona, że ledwo porusza się na opuchniętych nogach. Moja mamó. Czy pomyślisz za trzy dni, łamiąc się opłatkiem, o mnie? Nigdy bym nie przypuszczała, mamó, że tak mi

będzie ciebie, i was, moje siostrzyczki, brakować. Pomyśl, mamó, proszę. 21-12-2008

Co teraz przygotowujesz, mamó? Mielesz mak do makowców? Robisz czekoladową polewę do sernika, do tego twojego zawsze tak wspaniałego sernika z orzechami, rodzynkami, migdałami? A może przygotowujesz nadzienie do indyka, ponieważ zawsze na świąteczne obiady podawałaś pieczonego indyka z konfiturą żurawinową.

Wybrała numer domu. Żeby chociaż usłyszeć głos matki lub którejś z dziewczynek.

– Słucham? – zadudnił w słuchawkę ojczym.

Rozpląkała się. Zadzwoiła do Michała.

Abonent chwilowo niedostępny. Abonent chwilowo niedostępny. Abonent... Ukrzyżowany, pomóż.

Napisała esemesa: Michał, za trzy dni Wigilia. Jest to dzień, w którym nawet zwierząt się nie opuszcza. W którym przy stole wigilijnym ustawia się nakrycie dla zbląkanego i głodnego. W którym najbliżsi łamią się opłatkiem, składając sobie życzenia. Komu ja mam je złożyć? Temu krzesłu w mojej pustej kawalerce? Czy może tej patelni, jaką mi kupiłeś? Michał, po prostu nie wyobrażam sobie, że mógłbyś mnie w tym wigilijnym dniu zostawić. Z krzesłem i z patelnią.

Otarła łzy. Oczywiście, jestem głupia. Oczywiście, ten esemes był zbyteczny. Oczywiście, przyjedziesz. Przecież na pewno już od dawna nie mieszkasz z Edytą. Przecież jesteś, jak ja, sam i jak ja nie masz nikogo poza mną, więc to oczywiste, że Wigilię i święta spędzisz ze mną.

Sprawdziła godzinę na komórce. Odetchnęła z ulgą: dopiero siedemnasta trzydzieści. Supermarket zresztą jest całodobowy. Musi się pospieszyć. Tyle rzeczy należy kupić. To będzie ich pierwsza wspólna Wigilia.

Ubrała się, pojechała to supermarketu. *Mama na Wigilię podawała zupę grzybową, kapustę z grochem, rybę po grecku, szczupaka w galarecie, smażonego karpia, jarzynową sałatkę, kompot z suszonych owoców. Ach, i jeszcze były śledzie. Śledzie w oleju i śledzie w śmietanie. No nie, to na nas dwoje zbyt wiele. Wystarczy sałatka. Siedź w śmietanie też może być. Umiem go przyrządzić. Do sosu potrzebne są jabłko i cebulka, bardzo drobno posiekane. Więc tak: sałatka, śledź i smażony karp. Kompotu nie mam w czym ugotować, nie mam w ogóle ani jednego garnka. Marta, w głowie ci się miesza, najwyższy czas, żebyś sobie kupiła garnek. Marta, wariatko, a choinka? A opłatek?*

Ledwo doniosła zakupy do domu. Naprawdę, temu, kto jest pomysłodawcą umieszczenia ostatniego przystanku autobusowego w połowie długiej ulicy, należałoby zarzucić na plecy worek z kartoflami i niech je dźwiga taki kawał. Miałby nauczkę.

Rozpierała ją radość. Oto ona, Marta Stańczyk, niedługo Wierzbicka, przygotowuje swoją pierwszą wigilijną wieczerzę. Ma wszystko, co potrzebne. Choinkę również. Nie jest do sufitu, jak na Sprawiedliwej. Jest malutka, wstawiona w duży wazon po kwiatach, które tak dawno dostała od swego Michała. *Ale to nie szkodzi, nie szkodzi. Jeszcze czeka na mnie wiele bukietów.* Choinka, ubrana w bombki, lametę, ze srebrną gwiazdą na czubku, jest rozświetlona różnokolorowymi lampkami. Piękna, najpiękniejsza, bo własna, bo oczekująca na zachwyty Michała. Leży pod nią prezent: jedwabny krawat w kolorze perłowym, owinięty w elegancki papier, z przypiętą karteczką:

MICHAŁ. *Ciekawe, jaki prezent dostanę od niego? Michał! Nie potrzebuję prezentu, ty nim będziesz!*

W Wigilię wpadła w popłoch. *Nie mam serwety! Przecież należałoby ten ohydny stolik przykryć serwetą. Mama na Wigilię kładła taki wyjątkowy, używany tylko dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, jeszcze pamiętający czasy mojej prababci, atlasowy, z haftami, mereżkami, pod nim kładła sianko. A ja ani sianka, ani obrusu, chyba położę prześcieradło. Boże, i zapomniałam kupić półmisek, będziemy musieli rybę jeść z patelni, i opłatka nie mam. Bez opłatka Wigilia się nie liczy! Trudno. Pójdę do Wścibskiej.*

Wścibska zdumiała się: A po co opłatek? Do kościoła nie chodzi, żyje w grzechu, a o opłatek prosi. Dam, ale musi zapłacić. Siostra opłatków za darmo nie roznosi po domach, trzeba jej co łaska, czyli dwadzieścia złotych wsunąć.

– Zapłacę. Dwadzieścia czy pięćdziesiąt, ile pani zażąda. Wścibska zmrużyła oczy w szparki.

– Dwadzieścia starczy. Ja tam nie chcę zarabiać. A tego jej to już dawno nie widziałam. Rzucił, co?

Przeklęta Wścibska.

– Właśnie się ze mną zaręczył. – *Cholera, nie da satysfakcji tej wiedźmie.* – Widzi pani? Pierścionek z brylantem.

– To ci dopiero. Takie zawsze mają szczęście. Stary, ale bogaty. Będzie miała dobrze z takim.

– No pewno!

Mam cię gdzieś, babsztylu. Najważniejsze, że opłatek zdobyłam.

Michał od trzech dni nie przysłał mi nawet esemesa. Oj, Michał! Ja wiem: szykujesz wielką niespodziankę. Wiem, jaką. Jesteś już wolny. Jesteś już całkowicie mój. To twój prezent. Michał! Przyjeżdżaj, czekam. Stolik nakryty.

Zupa ugotowana. Sałatka pycha. Siedź również. Jak to mi się teraz przydaje, że mama uczyła mnie gotować. Będę świetną gospodynią. Zapobiegliwą, jak mama, przygotowującą na zimę konfitury, kompoty w wekach, kiszone ogórki.

Biorąc prysznic, zauważyła, że jej piersi już się powiększyły. Ale brzuch ciągle jeszcze płaski.

Michał, tak bardzo cię pragnę. Ale najpierw złożymy sobie życzenia, zjemy wieczerzę, a dopiero potem będziemy się kochać.

Ubrała się w tę suknię, w której miała pojechać z Michałem do lokalu i w której wyglądała olśniewająco. *Marta, wyglądasz olśniewająco, zawołał Michał, naprawdę nie wiem, czym sobie zasłużyłem na ciebie. Głuptas z ciebie. To samo i ja mogłabym powiedzieć: czym sobie zasłużyłam na taką miłość, jak twoja?*

Roześmiała się do lustra.

Dla ciebie, Michał. I nawet dziś nie wymiotowałam. Nawet nasze dziecko zrozumiało, że dziś, po tak długim okresie niewidzenia, powinnam wyglądać wspaniale.

Czas zacząć smażyć karpia. Godzina siedemnasta.

Zaraz dzwonek u drzwi. Zaraz przyjedziesz. Cholera, Marta, uważaj, załóż fartuch. Ale jesteś idiotka, kto to widział, żeby smażyć rybę w wieczorowej kiecce za półtora patyka.

Michał, ryba usmażona.

Michał, czekam.

Czekam.

Czekam.

Czekam.

Godzina dwudziesta.

Michał, godzina dwudziesta, ryba się przypaliła od ciągłego podgrzewania.

Godzina dwudziesta druga. Odeszła od okna. Wybrała numer.

Abonent chwilowo niedostępny. Abonent chwilowo niedostępny.

No cóż, Michał. No cóż.

Położyła się, nie zważając, że gniecie wieczorową kieckę za półtora patyka.

W mieszkaniu cuchnęło. *Skąd ten smród? Ach, prawda: to cuchnie sałatka, śledź w śmietanie i z kuchni karp. Należy posprzątać. Już dawno po świętach. Ale po co?*

Z apatii, w jakiej się pogrążała coraz silniej, wyrwała ją melodyjka komórki. Poderwała się. *Michał, kochanie, nareszcie! Dzwonisz. Boże, jak dobrze, że zamiast esemesa, dzwonisz i usłyszę twój głos. Rozumiem, rozumiem, wybaczam. Po prostu nie mogłeś spędzić ze mną świąt. Miałeś ważne powody i zaraz dowiem się jakie.*

Ale to nie Michał.

Jakaś kobieta nakazywała: Marta, przyjeżdżaj natychmiast. Marta, słyszysz mnie? Mówi sąsiadka. *Jaka, do diabła sąsiadka? Wścibska? Wścibska nie ma telefonu. Wścibska kilka razy korzystała z mojej komórki.*

– Pomyłka – powiedziała i rozłączyła, się. Jednak komórka nie ustępowała, dzwoniła i dzwoniła. *Tym razem na pewno Michał.*

– Hej, kochanie...

– Marta, na litość boską, jesteś pijana czy co? Marta, tu Kozłowska.

– Kozłowska? Nie znam.

– Nie rozłączaj się, Marta. Dzwoniłam do firmy, ale tam powiedzieli, że od dawna nie pracujesz, nie znają twego adresu. Dobrze, że odnalazłam numer komórki w notesie twojej matki. Jezu, bo już nie wiem, co robić! Dziewczynki zabrałam do siebie, są na granicy załamania nerwowego... Marta, odezwij się. Tu Kozłowska. Kozłowska ze Sprawiedliwej.

Kozłowska? Ze Sprawiedliwej? Aha, ta Kozłowska... Dlaczego zabrała dziewczynki do siebie?

– Źle się czuję, niech pani zadzwoni jutro.

Przecież dziewczynki mają rodziców, po co im Kozłowska?

– Marta! Nic mnie nie obchodzi, jak się czujesz! Stało się nieszczęście. Jeżeli nie przyjedziesz, twoja matka wyląduje w psychiatryku, a dziewczynki zabierze opieka społeczna, bo są nieletnie. Wsadzą je do domu dziecka! Czy do tego stopnia zobojętniałaś, że nie interesuje ciebie los własnej matki i sióstr?

Nie, do tego stopnia nie, ale może pani przesadza, pani Kozłowska, bo cóż takiego mogło się przytrafić matce? Pewno jej ukochany Piotruś gdzieś zabalował, nie wrócił przez kilka nocy do domu i dostała ataku hysterii.

– Jeśli muszę...

– Im szybciej, tym lepiej, Marta.

– Chodzi o ojczyma, tak?

– Chodzi o życie twojej matki i przyszłość twoich sióstr. Weź taksówkę. Zwrócę ci pieniądze. Pośpiesz się. Czekamy.

Aż o życie? Aż o przyszłość? Ojczym. Ten łajdak. Wiem: porzucił matkę, uciekł z jej pieniędzmi.

– Już się ubieram, pani Kozłowska, już zamawiam taksówkę – powtarzała do siebie, wkładając spodnie, miotając się po mieszkaniu, bo gdzieś się zapodziały klucze. – Niczego mi pani nie musi wyjaśniać. Zaraz będę. Gdzie te przeklęte klucze? Ach, mam je w nosie, zabiorę jedynie kasę od Michała. Nic tu w tym moim mieszkaniu nie skusi złodzieja, najwyżej krzesło i stolik. Mamo, trzymaj się. Boże, co tam się z nimi dzieje?

Kozłowska, blada i przerażona, czekała na klatce schodowej.

– Marta, chwała Bogu, jesteś! To się stało dwa tygodnie temu. Marta... O Boże, jak ci o tym powiedzieć.

– Mama dała ojczymowi upoważnienie do korzystania z konta, prawda? Oczekał trochę, zabrał wszystko i tyle go widziała? Dlaczego stoimy na schodach, zamiast wejść do mieszkania? Gdzie dziewczynki? Pani Kozłowska! – krzyknęła, targana niepokojem. – Co z mamą?

– Tylko nie zemdlej, bo i z tobą coś nietęgo, Marta. Wyglądasz na chorą. Na bardzo chorą. Wychudzona, aż przezroczysta na twarzy. – Kozłowska chwyciła ją za rękę, ścisnęła jakby przepraszająco. – Musiałam jej to zrobić. Po prostu musiałam. Nie miałam innego wyjścia.

– Pani Kozłowska? – zapytała, czując szum w skroniach, nagłą miękkość kolan. – Mama?

Kozłowska otworzyła drzwi. *Jezu, ja naprawdę zaraz zemdleję, jaki tu odór: moczu, kału?*

Mieszkanie, w którym spędziła większość swego życia wydało się obce, brzydkie, poszarzałe. Minęła drzwi do swojej dawnej dziupli. Kozłowska szła z tyłu, powtarzając: takie nieszczęście, takie straszne nieszczęście...

Smród tamował oddech. Matka siedziała w fotelu. Ręce ze spowitymi na przegubach bandażami były przywiązane sznurami do poręczy. Nogi też związane.

– Jezu – wyszeptała Marta. – Jezu... *Gdybym nie wiedziała, że to ty, mamo, nie poznałabym ciebie. Twarz cała w zaschniętych strupach, jakbyś ją darła pazurami. A włosy, mamo, coś ty zrobiła z włosami?* Głowa matki była prawie łysa, z kępkami wydartych czy ogolonych włosów; podarte ubranie, brudne, w resztkach jedzenia i wymiocin. I ten smród. *To od niej. Ona załatwia się pod siebie, a te twoje oczy, mamo, zmatowiały, nieruchome, wpatrzone w jeden punkt,*

usta pogryzione, zaschnięta przy nich i na nich krew. I co by pan powiedział, panie doktorze Majewski? Nadal by pan twierdził, że każda miłość, nawet ta po kres, jest piękna? Bo moja matka tak właśnie kochała swego Piotrusia: aż po kres. Boże, ulituj się nad nią i nade mnę, ponieważ nie chcę skończyć jak ona.

– Sama widzisz... Musiałam – szepnęła Kozłowska. – I dziewczynki do siebie zabrałam, żeby na to nie patrzyły.

– Należało natychmiast mnie wezwać, pani Kozłowska! Czemu pani zwlekała – krzyknęła. Podbiegła do siedzącej w otępieniu, zamkniętej w swoim odległym od rzeczywistości świecie, szalonej matki. Zajrzała w jej zastygłe, jakby martwe źrenice, nie zważając na smród, objęła, powtarzając: Mamo, to ja, Marta! Mamo, poznajesz mnie? Mamo!

– Ona nie słyszy, nie widzi, nie reaguje. Najgorsze, że od czterech dni nie pozwala się nakarmić – zrozpaczonym szeptem oznajmiła Kozłowska.

– Tym bardziej należało mnie zawiadomić!

Och, głupia kobieto, potrafiłaś ją związać, a czekałaś dwa tygodnie, przyglądając się, jak moja matka umiera. Bo ona umiera. Postanowiła umrzeć i trudno się jej dziwić. Rozumiem ją. Kiedy człowiek, którego kochasz aż po kres, zawodzi, okazuje się ostatnim lajdakiem, oszustem, łudzącym pięknymi słówkami, śmierć uwalnia nie tylko od bólu, którego znieść nie zdołasz, który cię wypełnia i nie ma nic poza nim i tą ciągle, wciąż kołaczącą się, durną nadzieją, że może jednak to nie tak, jak sądzisz. Bo jakże? Przecież tyle razy ci mówił, szeptał, zapewniał, obiecywał, przyrzekał, prawił, patrząc w oczy, całując, pieszcząc, te swoje gładkie słówka. Śmierć uwalnia nie tylko od bólu, ale od tej nadziei również. Musisz się od niej uwolnić, bo i ona jest jednym wielkim bólem, jednym wielkim krzykiem, niemym krzykiem. Nie masz w sobie na nic siły, nawet na ten

krzyk. Och, mamo, jakże doskonale cię rozumiem i może powinnam ci pozwolić odejść.

– Marta, nie miałam ani twego adresu, ani telefonu. Niby w jaki sposób mogłam cię zawiadamiać? Wysłać ci wiadomość przez gołębia? Poza tym straciłam głowę. Od starego dowiedziałam się, że dyrektor nie pokazuje się w szkole od jakiegoś czasu i krążą dziwne plotki na jego temat. Ktoś go podobno widział z jakąś młodziutką, rudą dziewczyną w kawiarni, to może z nią wyjechał gdzieś na kilka dni i dlatego nie przychodzi do pracy. Nauczyciele mieli takie dziwne miny, opowiadał mój stary. A zjrzyj ty, powiedział mi, do pani Stańczyk. Tak na wszelki wypadek. Coś tam u nich cicho, nawet dziewczynek nie widać, żeby z tego nie wynikło jakieś nieszczęście. Marta, musieliśmy drzwi otwierać wytrychem! Boże, Marta, wchodzimy i widzimy: a twoja matka siedzi w tym fotelu, co teraz, już z ogoloną głową, podrapaną strasznie twarzą, oczy w słup, a przy niej twoje siostry. Marta, one też wyglądały jak nieżywe. Musiałam każdą z nich solidnie potrząsnąć, a nawet, Marta wybaczyć, uderzyć, żeby oprzytomniały. Mój stary zaraz je zabrał do nas, nakarmił, напоił, no a jak zaczęły płakać, to uznał, że dopóki twojej matce się nie poprawi, zamieszkają z nami. Oboje ze starym sądziliśmy, że ten twój ojczym się odnajdzie. Przecież musi wrócić do szkoły, to i do domu powróci, nałga jak zwykle coś twojej matce, a ona jak zwykle uwierzy mu, wybaczy i przestanie szaleć.

– Miała pani zbyt dobre mniemanie o moim ojczymie. On uciekł na dobre. Zawsze lubił niepełnoletnie, rude dziewczynki.

Jak dobrze, że wymusiłam na tobie, mamo, przy pomocy mało szlachetnej metody szantażu, przeprowadzenie podziału majątku. Inaczej zabrałby ci wszystko. Tobie i swoim rodzonym córkom, żeby zdechł. Boże, powiedz mi, dlaczego nie eliminujesz takich, pozbawionych wszelkich zasad, osobników?

Pozwalasz im żyć, cieszyć się dobrym zdrowiem, jeszcze lepszym samopoczuciem? Co gorsze, pozwalasz im krzywdzić innych?

– Kara boska go spotka, Marta. Prędzej czy później. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Zaczynam wątpić w karę boską, kochana pani Kozłowska. Zaczynam również wątpić w istnienie łaski, bo jakoś Bóg poskapił jej mojej matce, nie obdarzył nią moich sióstr, za to, jak widać, sprzyjał temu draniowi, nawet naraił mu rudowłosą dzierlatkę.

– Zostawmy Boga w spokoju, pani Kozłowska. Jednego nie rozumiem. Znając matkę, rozpaczałaby z powodu przedłużającej się nieobecności swego Piotrusia, szukałaby go po kostnicach, szpitalach. Wreszcie zgłosiłaby jego zaginięcie na policję, lecz z tego, co pani mówi, wynika, że mama od razu wpadła w taki stan, zapominając o swoich dziewczynkach. Na ich oczach okaleczała się. Nic dziwnego, że po tym, czego były świadkiem, doznały szoku.

– Przysłał jej list – powiedziała Kozłowska. – Tam leży. Na komódce. – Kozłowska rozplakała się: – Martunia, ja go przeczytałam... Nie ze wścibstwa, ale myślałam, że w nim znajdę jakąś wskazówkę, pocieszenie dla twojej matki... Martunia... to straszny list. O Boże! Nie powinnam była do niego zaglądać...

– Jest pani dobrym człowiekiem. Miała pani prawo zapoznać się z jego treścią. Gdyby nie pani pomoc, moja matka mogła umrzeć, a moje siostry? Nawet wolę nie myśleć, co by się z nimi stało. Po swoim ojczymie mogę się spodziewać wyłącznie czegoś wyjątkowo podłego.

List był bez stempla pocztowego. Koperta z nazwiskiem matki, pewno wrzucona do skrzynki pocztowej. *Drań, zacierał za sobą ślady.*

„Żono. Zawsze byłaś, jesteś i pozostaniesz głupia. Podobnie głupiej kobiety nie spotkałem nigdy. Wystarczyło cię wyruchać dwa razy na tydzień, a ty

już wpadałaś w euforię, gotowa mnie całować po śmierdzących stopach. Czasami zastanawiałem się, czy ty kochasz mnie, czy wyłącznie mego penisa? Aż tak ci on dogadza? Że każde moje żądanie spełniałaś i specjalnie nie musiałem się wysilać, aby na przykład uzyskać dla siebie choćby otrzymanie pełnomocnictw do korzystania z twego konta. Trochę dłużej zabawić się z tobą, kilka słówek, że bardzo cię pragnę i kasa moja. No właśnie, żono, twoje konto opróżniłem do ostatniego euro. Nasze wspólne, złotówkowe konto również opróżniłem, i jeszcze, o czym cię uprzedzam lojalnie, zaciągnąłem kredyt na dziesięć tysięcy złotych. Tak więc ze swojej już tylko pensji będziesz go spłacała przez dziesięć miesięcy po tysiąc złotych plus odsetki. Pieniążki podjąłem i z tego konta, na które odkładałaś na studia naszych córek za wynajem domu swoich rodziców. Pomyślałem sobie, że pozostała ci w odwodzie kochająca cię córeczka, ta dziwka, Marta, a ja się znam na ludziach. Ona nie zostawi bez pomocy ani ciebie, ani tym bardziej swoich ukochanych siostrzyczek. Ma, kurwa, kupę szmalu! A tak na koniec, a propos Marty, dowiedz się, żono, że to nie tyle dla ciebie, ile z powodu Martusi, ożeniłem się z tobą. Bardzo mi przypadła do serca, taka śliczna, drobna, krucha i słodka jak cukiereczek. Dlaczego nie miałbym mieć naraz i mamusi, jeszcze wtedy młodej i ponętnej, oraz jej słodziutkiej córeczki? Zapewniam cię, żono, że skosztowałem nie raz i nie dwa tego słodkiego cukiereczka, jakim była Martusia. Ale to też zdzira, czekałem na nią, aż dorośnie, żeby ją rozdziewiczyć, tymczasem ona mnie zdradziła, puszczając się z tym Pawłem. Teraz, jak mnie plotki ostatnio doszły, daje dupę swemu szefowi, i kto wie, żono, czy nie uczyni cię szybko babcią? Możesz ten list pokazać policji, ale nie sądzę, abyś się odważyła. Kompromituje on nie tylko mnie, lecz i ciebie, ponieważ trudno przypuszczać, żebyś ty, matka, przez tyle lat nie spostrzegła, co robię w nocy z twoją córką. Skarzyła się na

mnie, jednak ty udawałaś ślepa, bo gdybyś uwierzyła w skargi o molestowaniu, musiałabyś stracić mnie. A do tego nie chciałaś dopuścić za wszelką cenę. Nawet za cenę, jaką kilka razy w tygodniu płaciła Marta. Wiesz, dziwię się, że Marta ciebie mimo wszystko kocha. Ja na jej miejscu oplułbym taką matkę. Życzę udanego życia oraz nowego faceta, żono. O mnie się nie martw. Moje życie z twoimi pieniędzmi i młodą dziewczyną będzie na pewno udane".

– Jezu – jęknęła Marta – Jezu. Nie do pomyślenia, żeby aż tak...

– Moje biedne dziecko – ramiona Kozłowskiej otoczyły Martę. – Moje biedne dziecko, udusiłabym drania za zło, jakie wam wyrządził...

Pozwoliła by ją przytulała, głaskała, obejmowała. Nie myślała o sobie. Myślała o tej nieszczęsnej kobiecie, która była jej matką. Czy zdoła się kiedykolwiek otrząsnąć?

Lepiej by zrobił, gdyby ją zabił. Nie wiem, mamo, czy mam prawo szukać dla ciebie pomocy u lekarzy. Nie wiem, mamo, czy mam prawo ściągać ciebie z za tej granicy, za którą się schroniłaś? Ale jeśli i tam, za tę granicą, ścigają cię upiory? Może to jedyne wyjście: pozwolić ci umrzeć?

– Dziewczynki? Dziewczynki to przeczytały?

– Nie wiem, Martusia. Pewno jednak tak... Ciągłe tylko płaczą i płaczą. Są jak dwa zwierzątka. Jeść, jedzą, ale trzeba je karmić, myć, ubierać. Gdzie się je posadzi, tam siedzą. Boże, ulituj się nad nimi i nad nami – krzyknęła Kozłowska.

– Za co taka krzywda, za co? Czym one ci zawiniły, Panie? Ja, prosta kobieta, nie potrafię już na ich krzywdę patrzeć, a Ty patrzysz i nic?

– Chodźmy do nich, pani Kozłowska.

– A matka? Zastanowiłaś się, jak jej pomóc?

– Ma mnie pani za cudotwórczynię? Muszę zobaczyć siostry. Im trzeba pomóc przede wszystkim.

Czy naprawdę chcę je zobaczyć? A jeśli spojrzą na mnie jak matka nieprzytomnie, szklanymi oczami? Boję się. Boję się ich oczu. Boję się ich strachu. Boję się tego, co musiały przeżyć. Boję się tego, co jeszcze muszą przeżyć. Boję się siebie. Że stąd w którymś momencie ucieknę. W końcu nie o siostrach ani o matce powinnam myśleć, lecz o swoim dziecku, żeby urodziło się zdrowe i o Michale, żeby mnie nie opuścił. Daj mi siły, mityczny Aniele, Stróżu mój, natchnij mnie ponownie wiarą, którą tracę, patrząc na to spustoszenie.

– Marta?

– W porządku, pani Kozłowska. Taki mały zawrót głowy. Niech pani nie patrzy na mnie z taką obawą. Wytrzymam. Muszę.

Wystarczyło, że siostry z przeraźliwym szlochem rzuciły się do niej, że ich łyzy poczuła na swojej twarzy, policzkach, ustach, że poczuła chudość ich ramionek, usłyszała ich okrzyki: ty żyjesz, Martusia, naprawdę żyjesz, nie umarłaś, i już wiedziała, że wytrzyma.

Tu teraz był jej dom.

Jej opieki potrzebowały siostry.

Jej opieki potrzebowała matka.

Wszystko zniesie. Wszystko udźwignie. Ma dla kogo.

Niewiele się namyślając, zadzwoniła do jedyne go człowieka, którego tak niedawno obraziła, ale który jest dobry i na pewno nie odmówi pomocy, rady czy wsparcia.

– Oczywiście – powiedział doktor Majewski. – Zaraz przyjedziemy.

Żona doktora, witając się, pogłaskała Martę po policzku.

– Widziałam cię kilka razy, jak wystawałaś pod naszym wieżowcem. Wiem, nie miałaś odwagi nas przeprosić. Myślałaś, że twoich złych słów nie zmażą żadne inne. Powiedziałam ci, wychodząc, że nie jesteś w stanie mnie

obrazić. Pamiętasz? Ty raniłaś siebie, nie mnie. Oboje z Markiem cieszymy się, że to nam zaufałaś teraz, w tych ciężkich dla ciebie chwilach. Zapamiętałaś nas, że nie jesteśmy złymi ludźmi. W każdym razie staramy się takimi nie być, co nie jest wcale proste – żona doktora uśmiechnęła się ze smutkiem. – Bardzo zmizerniałaś, Marta. I zbyt dużo zważyło się na ciebie. No, dość tych wstępów. Ja zajmę się twoimi siostrami. Mój Marek twoją matką. Ale musisz być z nim szczerą. Powiedzieć wszystko i o wszystkim.

Powiedziała. Pokazała nawet list. Doktor rozwiązał ręce i nogi matki. Ani drgnęła. Pozwoliła się obnażyć, obsłuchać, zanieść do łazienki, wykąpać, przebrać w świeże ubranie, położyć na tapczanie.

– Serce bardzo słabe. Ciśnienie bardzo niskie. Tętno nitkowate. Marta, ja jej nie pomogę. Twojej mamie potrzebny jest psychiatra. Dobry psychiatra. Znam takiego. Jest ordynatorem w Kochanówku. Zadzwońię do niego. Jeżeli nie będzie mógł przyjechać, zawieziemy mamę na oddział. Bez hospitalizacji się nie obejdzie. I zanoszą się na długie, bardzo długie leczenie, a do tego nie wiadomo, czy ono przyniesie skutek.

– Może lepiej ją tak zostawić, panie doktorze, i nie ruszać? Będę ją myła, karmiła, przebierała. Zaopiekuję się nią troskliwie, jakby była małym dzieckiem. Przywrócić jej pamięć, to skazać ją na ponowne cierpienie.

– Marta, jako człowiek rozumiem twoje obiekcje. Jako lekarz muszę się im stanowczo sprzeciwić. Są jeszcze twoje siostry. One potrzebują matki, skoro w tak brutalny sposób straciły ojca. Nie przeceniaj swoich sił, dziewczyno. Nie zastąpisz siostrom i ojca, i matki. One, tego musisz być świadoma, pękają psychicznie, jeśli im każesz codziennie patrzeć na matkę w takim stanie. Im również jest potrzebny psycholog lub psychiatra dziecięcy. Za dużo widziały.

Więcej nie powinny. A ty, dziewczyno, nie podołasz. Zwłaszcza, że spodziewasz się dziecka.

Właśnie: moje dziecko! Zapomniałam i o nim, i o Michale. Nawet nie sprawdziłam, czy mam od niego esemesa. Ach, co mi po esemesie? Dość mi ich nastał. Wiesz co, Michał? Wyznaczam ci termin. Miesiąc. Nie dłużej. I albo – albo. Albo podejmiesz męską decyzję, czy jesteś ze mną, albo przestań mnie zdręczać. Odzyskałam rodzinę. Spodziewam się dziecka. Mam dla kogo żyć. Nie jestem sama. Rodzina, która mnie potrzebuje, dziecko, które muszę urodzić zdrowe, oto moje priorytety. Już nie kocham cię rozpaczliwie. Rozumiesz to, Michał? Po prostu: wciąż jeszcze kocham. I wciąż jeszcze ci wierzę. Ale na tym koniec. Koniec z kiczowatymi marzeniami o domu z ogrodem, o werandzie i temu podobne. One mnie osłabiały, odbierały poczucie rzeczywistości. A ta nasza rzeczywistość, Michał, przedstawia się smętnie. Opiera się na twoich esemesach. Pamiętaj: miesiąc. Potem ja podejmę decyzję.

Od dziewczynek wróciła żona doktora.

– Marta – powiedziała – nie jest tak źle. Są osłabione, a przede wszystkim przerażone. Wypisałam kilka leków na wzmocnienie, ale to tylko chemia, Marta, pamiętaj. Moim zdaniem, dziewczynki potrzebują czulej opieki, po prostu potrzebują ciebie, Marta. No i czasu. Na razie nie powinny chodzić do szkoły. Tu masz dla nich zwolnienie z zajęć. Skonsultuję się ze swoją przyjaciółką, psychologiem, na pewno twoim siostrom będzie potrzebna terapia. Osobiście wolałabym terapię potraktować jako ostateczność. A tak na marginesie, Marta, nawet nie wiesz, jak wiele zawdzięczasz Kozłowskiemu. Rzadko spotyka się takich ludzi, którzy w tak bezinteresowny sposób są gotowi nieść pomoc innym. Marek! Uważam, że powinieneś osłuchać pana Kozłowskiego. Jest otyły i zaniepokoił mnie jego oddech, ma wyraźne kłopoty z oddychaniem i podobno, jak mówi jego

żona, czasem się skarży na bóle za mostkiem. Do lekarza nie pozwoli się zaprowadzić, bo taki z niego straszny uparciuch.

– Zbadam go, jak tylko przyjedzie Kaziu Jakubowski.

Doktor Jakubowski był prawie równie stary jak jego przyjaciel. Pod szyją miał zawiązaną staroświecką muszkę. Na długim nosie staromodne okulary. Życzliwy uśmiech, uważne spojrzenie. Badanie matki nie zajęło mu wiele czasu.

– Natychmiastowa hospitalizacja. Wyraża pani zgodę? – zapytał Martę.

Jezu, a mam inne wyjście? Mamo, kochana moja, zapomnij o swoim Piotrusiu. Wymaż go z pamięci. Wyrzuć z serca. Nie zostawiaj nas.

Dwadzieścia minut później dwóch pielęgniarzy zabrało matkę, ułożoną na noszach, całkowicie obojętną na to, co się z nią dzieje, zapatrzoną w jakiś tylko sobie widoczny punkt, i wyniosło do karetki. Po matce został jedynie śmierdzący fekaliami fotel, który sapiący pan Kozłowski z równie posapującym doktorem Majewskim wynieśli od razu na śmietnik.

– Ma jakieś szanse, panie ordynatorze?

– Na pewno ją nawodnimy, wzmocnimy kroplówkami, nakarmimy, zaordynujemy leki. Lecz czy ma szansę? Teoretycznie ma. Jak każdy. Ta szansa się zwiększy, jeśli jej pani nie opuści. Jeśli codziennie pojawi się pani przy jej łóżku. Jeśli będzie ją pani głaskać po rękę i mówić, mówić aż do znudzenia o tym, jak bardzo jest potrzebna, jak bardzo ją kochacie i tęsknicie za nią. Znajdzie pani taki czas dla matki – oczy doktora zza okularków spojrzwały surowo – i cierpliwość w sobie? Bo lepiej nie owijać w bawełnę. Przysięgać, że tak, zaopiekuję się, przyjdę, a potem mieć coraz mniej czasu, coraz więcej wymówek, aby wreszcie zostawić matkę u nas na oddziale.

– Kaziu, przestań. Zawsze musisz być taki nieufny? – wtrącił Majewski. – Wystaw lepiej Marcie stałą przepustkę.

– Przyjadę do mamy jeszcze dziś – powiedziała. – I będę u niej codziennie. Najpierw sama, a gdy już pani doktor pozwoli, z siostrami. Dziękuję panu za wszystko. Ile jestem winna za tę wizytę?

Zdenerwował się.

– Jaką znowu wizytę? Przyjechałem do chorej w czasie pracy, za co pobieram wynagrodzenie! I niech mi pani przypadkiem nie ośmieli się okazywać tak zwanej wdzięczności! Marek, powiedz tej młodej osobie, że nie przyjmuje kopertówek! Jeszcze niczego dla jej matki nie zrobiłem, żeby mi dziękowała!

– Przepraszam. Nie chciałam pana urazić...

– Urazić! Też coś! – prychnął. – Marek, daj tej młodej osobie namiary na mnie. Na szpital, na komórkę, bo ja, oczywiście... – grzebał po kieszeniach, wyciągając to grzebyk, to długopis, to jakiś stempel – oczywiście gdzieś wszystko zapodziałem, a bardzo się śpieszę do szpitala. A na nią czekam od szesnastej do dwudziestej. Żeby mi przyszła! Pomoże matkę nakarmić, umyć, wyklepać plecy, wysuszyć.

Odprowadziła ordynatora do drzwi. Znowu spojrzął na nią srogo.

– Coś mi się wydaje, że musisz lepiej dbać o siebie. Chuda jesteś okropnie. Czekają cię ciężkie chwile! Odwagi, dziecko. Miej nadzieję.

– Mam ją, panie doktorze.

– A ten ohydny list spal. Najlepiej zapomnieć. Szkoda, że nie wynaleziono do tej pory pigułki zapomnienia. Ile ja wówczas wyleczyłbym pacjentów, przynajmniej co drugiego. Połknął taki pigułkę i już zdrowy. Już nie boli przeszłość. Mijają lęki, psychozy.

– Myśli pan, że mojej matce uda się zapomnieć?

– Nie. Podobnie jak nie udało się dotąd tobie, prawda?

– Nie udało się. Ale nauczyłam się z tym żyć.

– Więc sama widzisz: jest nadzieja. Na tym polega moja praca z chorymi. Żeby zasklepić ich rany. Blizn jednak nie umiem usunąć. A matki nie wiń. Dostatecznie została ukarana.

– Wiem. Nie winię. Tym bardziej teraz.

– Jakbyś miała sama ze sobą jakieś kłopoty, to pamiętaj, że możesz liczyć na moją pomoc.

– Dziękuję, doktorze.

– Ale bez żadnych „wyrazów wdzięczności”, pamiętaj!

– Tak jest, doktorze.

Patrzyła za nim, jak zbiega ze schodów szybko, sprężysto, zdecydowanie, jakby był młodym mężczyzną. *Och, jest młody, tacy dobrzy ludzie nie starzeją się. Doktor Majewski z żoną również są młodzi. Pani Kozłowska, jej mąż. A ty, mój Michale, jakim się okażesz? Bo nagle wydaje mi się, że wcale lub prawie wcale cię nie znam. To smutne, nie uważasz? Tak bardzo nas rozdzielił czas. Tak mi z tego powodu źle. Chciałabym cię zobaczyć, jak wbiegasz po tych schodach zdecydowanie, szybko – do mnie. Teraz, kiedy czekają mnie trudne dni, powinieneś być przy mnie. Głupia jestem, co? Stałeś się jak pustynny miraż oazy, mój Michale. Muszę cię po kawałku wydzierać z pamięci. Bolesny zabieg. Lecz już nie jestem sama, Michale. Mam dla kogo żyć. I to jest piękne, ponieważ to jest dopiero prawdziwa nadzieja, dająca siłę przetrwania.*

– Marta, idę zbadać pana Kozłowskiego. Wiesz, co powinnaś zrobić?

– Nie. A co powinnam, doktorze?

– Wyrzucić z mieszkania na śmietnik wszystko, co pozostało po tym człowieku. Jola pomoże ci popakować ubrania. Zgromadź zdjęcia, bibeloty, papiery, listy. Potem zorganizujemy pomoc sąsiedzką, ponieważ meble również należy usunąć.

– Twoje siostry, Marta, muszą o nim zapomnieć jak najszybciej – wtrąciła żona doktora. – Nic im go nie powinno przypominać.

Ale obfita szafa ojczyma, który nie żałował sobie, lubił być dobrze ubrany, okazała się prawie pusta. Ojczym większość ubrań zabrał. Musiał je wynosić partiami, pod nieobecność matki w domu. Pozostało jedynie kilka par znoszonych spodni, kilka koszul. *No i dobrze. Czuję się, dotykając tych rzeczy, jakbym wsadzała dłonie w kupę. Doskonale: biurko również opróżnione. Jeszcze zwinąć dywan. Zdjąć firanki i zasłony... Szybciej, szybciej! Uwijaj się, nie domyjesz smrodu z rąk.*

– Marta, opanuj się. Masz do czynienia z rzeczami martwymi, a wyglądasz jakbyś znęcała się nad kimś żywym.

– Bo życzę mu śmierci w mękach. Żeby zdychał długo – odpowiedziała żonie doktora, kopiąc rulon dywanu. – Za mnie. Za matkę. Za siostry. Wie pani co? Kiedyś przyszedł do mnie pijany, agresywny, wściekły, bo niby tyle czasu mnie oszczędzał, a ja zdradziłam go z Pawłem, wobec tego teraz weźmie choćby siłą to, co mu się od dawna należy i rozsuwał mi nogi. Tego się nie da zapomnieć, nigdy, nigdy, rozsuwał nogi, przygniatał ciałem, a ja wsadziłam mu palec w oko. Niestety za płytko, za tchórzliwie, bo przecież mogłam mu to cholerne oko wepchnąć w głąb czaszki, i byłby wył, a on zaledwie zaskowyczał...

– Dziewczyno, przestań. Przestań! – Żona doktora objęła ją mocno. – Nie rozdrapuj rany na nowo. Myśl o swojej matce, o siostrach. A temu człowiekowi nie warto poświęcić ani jednej myśli więcej. Gdyby wiedział, że wciąż siedzi w twojej głowie i dręczy cię nadal, czułby się usatysfakcjonowany.

– Mogłabym go zabić. Zabić? O nie, rozrywać palcami w strzępy! – krzyknęła. – Jezu, a tak starałam się uchronić przed nim mamę i siostry! Tyle

zachodu i na próżno! Szantażowałam go. Że niby nagrałam na dyktafon pewną rozmowę, w której planował ukraść matce całą kasę za dom po dziadkach. Chciał prysnąć za granicę. Proponował mi, że zabierze ze sobą mnie, dokąd zechcę, bo jestem jego małą, śliczną dziewczynką! Nie do powtórzenia, co on wygadywał! Udawałam, że mam taśmę z nagraniem, która go nie tylko skompromituje, ale i sprawi, że pójdzie siedzieć za molestowanie mnie, nieletniej. Tak zmusiłam tego drania, by wymógł na mamie, aby te dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro, uzyskane ze sprzedaży domu, podzieliła i przepisała część na siostry, część na mnie, sobie zostawiając sto tysięcy. Dlatego się mnie wyrzekła, nie odbierała więcej telefonów ode mnie. Przeklęła, rozumie pani? Powiedziała: nie mam córki, wynoś się z mego domu. Boże, jaka ja byłam głupia! Sądziłam, że moja biedna matka, dla której świat zaczynał się i kończył na jej ukochanym Piotrusiu, będzie odtąd z nim szczęśliwa, że on będzie udawał miłość. Łudziłam się, że te pieniądze, wciąż duże, warte były udawania. Zresztą, on niczego innego nigdy nie robił. *Zawsze* udawał, cierpliwie czekając na śmierć dziadków; wiedząc, że tej mojej nieszczęsnej matce wystarczy powiedzieć: kocham i ona już wyrazi zgodę na każdy jego drański pomysł. *Zawsze* uważałam go za wyjątkowego łajdaka i *zbocheńca*, *ale* nie aż takiego, kto potrafiłby napisać taki list, niszcząc nim matkę, niszcząc dziewczynki, w końcu swoje córki! O, rozrywać go palcami, to ciągle zbyt mała kara!

– Kochanie, a może lepiej, że zniknął na zawsze z waszego życia? I nigdy go ani ty, ani twoja mama, ani siostry nie zobaczycie?

– Na razie mam oszalałą z bólu matkę! Siostry, które przeżyły szok.

– Kochanie, nic nie jest jeszcze przesądzone. Dziewczynki z czasem zapomną.

– Tak do końca zapomną? O tym, jakiego miały ojca? Że oglądały okaleczającą się matkę? Że bezradne, przerażone, kucnęły skulone gdzieś w kącie i gdyby nie pani Kozłowska, zamiast jednej oszalałej kobiety, byłyby jeszcze dwie oszalałe dwunastolatki?

– Niczego do końca się nie zapomina, niestety, Marta. Każdy z nas coś w sobie nosi, co go boli, co powraca w sennych koszmarach, co każe zadawać pytanie, na które nie istnieje odpowiedź. Dlaczego akurat ja? Dlaczego mnie się to przytrafiło?

A co ty możesz wiedzieć, kobieto, która całe życie spędziłaś razem ze swoim Markiem? Twoje kłopoty były malutkie, twoje cierpienia jeszcze mniejsze. Jestem ci wdzięczna za dobroć, za uczynność, za życzliwość, ale nie wygłaszaj mi tu komunalów. – A cóż takiego przytrafiło się pani doktor? – zapytała, patrząc na łagodną twarz kobiety.

Nie widać na niej żadnych bruzd, nic jej nie porało, nie naznaczyło, nie napiętnowało. Sam spokój.

– Mnie? – Żona doktora przysiadła na tapczanie ojczyma, splotła ręce. – Mnie? Przez dwadzieścia lat staraliśmy się o dzieci. Leczyłam się. Czekaliśmy. Cierpliwie czekaliśmy. No i udało się. Urodziłam. Córkę. Z porażeniem mózgowym. Daliśmy jej na imię Aleksandra. Ola. Oleńka. Pamiętam ją w trumience. Trumienka biała, nasza córka w niebieskiej sukieneczce. Żyła trzy lata.

– Przepraszam...

Czy Ty, Ukrzyżowany, nikogo nie oszczędzasz? Każdemu przygotowujesz jego własną drogę krzyżową?

– Za co, Marta? Za Boga, który ją nam odebrał, chociaż kochaliśmy ją taką, jaką była, bełkoczącą, śliniącą się, bezwładną? Za to zapalenie płuc, z którego już nie wyszła, a my staliśmy, przyglądając się jej agonii, bezradni, bezsilni?

Żona doktora wstała.

– Dość rozgrzebywania przeszłości. Rusz się, Marta. Wyniesiemy dywan i zasłony. Jeszcze dziś musisz pojechać do matki. Potem wrócić i zająć się siostrami. Moim zdaniem, o ile twoja sąsiadka się zgodzi, powinnaś dotąd, dopóki nie przemebluje się tego pokoju po ich ojcu, zostać z nimi u niej. Trzeba tu odmalować ściany. Przykryć podłogę nowym dywanem, zawiesić w oknach nowe firanki. Wstawić inne meble. To ładny pokój, słoneczny, w sam raz dla ciebie i twego dziecka. W którym jesteś miesiącu?

– W drugim.

Już w drugim, Michał, a ty gdzie?

– Ojciec dziecka wie? Nie odpowiadaj, zadałam głupie pytanie. Wszystko jasne.

Ależ nie! Pani doktor, pani się myli! Zanim urodzę, zostanę żoną Michała! Kochany, muszę z tobą jak najszybciej się spotkać. Nasz przyszły dom z ogrodem powinien być duży, nie zostawię mamy ani siostr. Teraz ja zostałam głową rodziny Stańczyków. Chyba to zrozumiesz, Michał?

Wrócili doktor Majewski z panem Kozłowskim.

– Serce ma w porządku, ale podejrzewam cukrzycę, astmę i jeśli pan, panie Kozłowski, wyrzuci do kosza moje skierowania do specjalistów, to nie chcę pana znać! No i nie jeść tyle golonek, przegryzanych tłustymi boczками. Marta, my się zajmiemy wynoszeniem gratów, tobie nie wolno dźwigać. Aha, Marta: potem podrzucimy cię z żoną do Kazika. Tramwajem się będziesz wlokła do Kochanówka godzinę. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, pożyczymy. Od Kazika należy wziąć zwolnienie, zawieszysz je jutro do szkoły, w której pracowała mama. To ważne. Pani Kozłowska wykazała na tyle przytomności umysłu, że

poszła tam i coś im nakręciła. W każdym razie wiedzą, że twoja matka jest ciężko chora. A teraz idź do dziewczynek. Pani Kozłowska ma z nimi kłopot.

Dziewczynki, posadzone za stołem, tępym wzrokiem wpatrywały się w ustawione przed nimi talerze.

– Każ im zjeść drugie danie, Marta. Zupę ledwo skosztowały. Teraz kiwają się nad gołąbkami, a przecież zawsze lubiły gołąbki – poskarżyła się Kozłowska. Dreptała wokoło okrągłego stołu, zdenerwowana, cała w wypiekach. – Rano też nie jadły, wmusiłam w nie po kubku kakao.

Marta usiadła przy siostrach. *Boże, jakie bledziutkie, jakie chude, i te wasze oczy, dziewczynki, ciągle przerażone. Jak wam pomóc? Nie wiem. Nie wiem.*

– Mam was nakarmić, jak wtedy, kiedy byliście małymi dzidziusiami w pampersach? Wiecie, ile razy was karmiłam? Najpierw z butelki, bo nasza mama od rana, z krótką przerwą na obiad, do wieczora w szkole, i pupki wam myłam, i kąpałam, a potem, pamiętacie, jak was odwoziłam i przywoziłam z przedszkola? Takim koszmarne zatłoczonym tramwajem? Byłam dla was często i za mamę, i... – urwała. *Za nic nie wymieniać przy nich słowa tato, mają to słowo zapominać.* – No, głównie za mamę. A teraz mama jest chora i jeśli chcecie, żeby szybko wyzdrowiała, zmiatać mi tu natychmiast z talerzy wszystko, do ostatniego gołąbka!

Rozpłakały się cichutko, żałośnie.

– I bez beków! – krzyknęła. – Mama martwiłaby się, gdyby wiedziała, że nie chcecie jeść i tylko beczycie i beczycie.

– Najpierw tatuś, a teraz mamusia... – odezwała się Patrycja.

– Co: tatuś? – zapytała, truchlejąc Marta.

– Umarł. Długo nie było go w domu. Potem mamusia dostała list. Sama jej ten list przyniosłam ze skrzynki pocztowej. Mamusia go przeczytała, chwyciła

się za serce, krzyknęła: wasz tatuś, umarł, nie macie już tatusia, dziewczynki! Potem przewróciła tak strasznie oczami, paznokciami rwała skórę na twarzy, krew płynęła... A my, a my chwytałyśmy ją za ręce, żeby tego sobie nie robiła. Ale ona nas odpychała i powtarzała, że zaraz też umrze... – *Jezu, dlaczego ja słucham? Nie przerwę? Nie zabronię? Ukrzyżowany, odbierz moim siostrą pamięć. One mają dopiero po dwanaście lat.* – Potem mamusia zamknęła się w łazience. Błagałyśmy, żeby nam otworzyła, bo w tej łazience cicho, cicho, jakby mamusia tam padła na posadzkę i umarła, ale nie chciała otworzyć. I tak przesiedziałyśmy pod łazienką, w której tak cicho, tak cicho, aż do wieczora, a jak mamusia wyszła, to jej nie poznałyśmy, ogoliła sobie głowę, i jakby nas już nie widziała. Mamrotała coś bełkotliwie, coś o nożu, to poszłyśmy do kuchni i pochowałyśmy wszystkie noże, nożyczki, ale mamusia zębami pogryzła sobie żyły. Najpierw na jednej, potem na drugiej ręce, a my schowałyśmy się za szafę i tam nas odnalazła pani Kozłowska. Zabrała nas do siebie – mówiła Patrycja monotonnym głosem – i uspakajała, że mamusia żyje. Ale przecież nie żyje, umarła. My to wiemy, bo jak nas pani Kozłowska zabierała, to widziałyśmy mamusię, jak siedziała w fotelu, nieruchoma. Zamiast oczu miała takie straszne, takie białe jakby dwie dziury. Dobrze, że ty nie umarłaś, bo jak ciebie nie było, to pytałyśmy się i mamusi, i tatusia, co z tobą, a oni mówili, że umarłaś. Czemu kłamali? Dlaczego do nas nie przychodziłaś, jakbyś umarła naprawdę?

– Nie mogłam, naprawdę nie mogłam.

– Ani zadzwonić?

– Ani zadzwonić. – *Opamiętaj się, Marta, tylko się nie rozplacz, one potrzebują silnej siostry.* – Ale już wróciłam. Jestem przy was.

– Gdzie byłaś? Aż tak daleko, że ani listu, ani telefonu?

– Bardzo daleko. – *Wolałabym nie wracać. Wolałabym nadal być wyklęta przez ciebie, mamo, wyrzucona poza nawias rodziny, bo wtedy nie musiałabyś przegryzać zębami żył na przegubach dłoni, odpychać dziewczynek, skazywać je na oglądanie swojej poranej paznokciami twarzy, wybuchu swego szaleństwa. Byłyby normalnymi dwunastoletnimi dziewczynkami, grającymi na komputerze, śmiejącymi się z byle głupstwa do rozpuku, chodziłyby do szkoły, do koleżanek. Ale ty im, mamo, podobnie jak mnie, i chyba z tych samych przyczyn, odebrałaś nagle dzieciństwo. Skazałaś je na strach, jaki trudno udźwignąć nawet dorosłemu, i nie wiem, nie wiem, na litość boską, jak ja sobie z ich strachem poradzę. Czy potrafię sprawić, aby się roześmiały tak po prostu i zwyczajnie? Żyły nadal po prostu i zwyczajnie, jak żyją inne dwunastoletnie dziewczynki?–* Posłuchajcie mnie uważnie, siostrzyczki. Mamusia nie umarła. – *Jezu, ale może umrzeć.* – Mamusia jest bardzo, bardzo chora. Zabrano ją do szpitala. Nigdy was nie okłamałam, więc i teraz nie okłamię. Z mamusią jest źle. Ale dotąd, dopóki żyje, jest nadzieja. Musimy ją mieć. Wierzyć ze wszystkich sił. A jakie będą wasze siły, skoro nie chcecie zjeść pysznych gołąbków pani Kozłowskiej? Musicie jeść. Pani Kozłowska, czy dla mnie się również znajdą gołąbki? Od dziś będziemy razem jadły. Śniadania. Obiady. Kolacje. Co wieczór otulę was kołderkami. Opowiem na dobranoc bajkę.

– Jak ciebie nie było, mamusia przed pójściem spać kazała nam klękać i modlić się o zdrowie dla tatusia... – powiedziała cicho Dagmara. – Ale ja za niego nie chcę się już modlić. – *Ona przeczytała list...*

– Ja też nie chcę, Martusia, modlić się za niego. – *Ona też przeczytała...*

– I nie musicie, kochane. Będziemy modlić się o zdrowie mamusi. O, dziękuję, pani Kozłowska. Nikt jak pani nie umie robić takich gołąbków.

Pan Kozłowski uznał, że trzeba albo odmalować całe mieszkanie, albo zostawić w takim stanie, w jakim jest. Pani Kozłowska mu wtórowała.

– Marta, nie wykręcaj się brakiem czasu. My tu ciebie do pomocy nie potrzebujemy. Staremu należą się dwa tygodnie zaległego urlopu. Ustal tylko kolory. Nie rozumiem, czemu twoja mama gustowała w takich ciemnych? Wszędzie zgniłozielone lub szare ściany. No, może i mniej na nich widać brud, ale jak smutno! A tu musi być wesoło. Niebiesko ma być, złoto, pomarańczowo. Ciepło. Rozumiesz? W tym twoim domu zawsze brakowało ciepła. Więc tak: dasz pieniądze na farby, lakiery. Stary odmaluje jak trzeba, wycyklinuje podłogi, polakieruje. Ja posprzątam, popiorę firanki. I tak całymi dniami siedzę w domu jak ta głupia i się nudzę. I Marta, jeśli piśniesz słówko o zapłacie, to się do ciebie nigdy więcej nie odezwę. Ludzie powinni sobie pomagać, a na ciebie dość się zwaliło. Aha, dlaczego w tym waszym domu nie ma ani jednej doniczki z kwiatami? Tak, pamiętam, pani Stańczyk twierdziła, że ziemia w doniczkach pleśnieje, staje się siedliskiem zarazków, ale to czysta głupota. Kupię kilka paprotek, one dobrze się chowają, a są takie piękne.

Tak ją zagadali, że się zgodziła. Zyskała również dobry argument, dlaczego wciąż mieszkają u Kozłowskich, ponieważ siostry dopytywały się, kiedy wreszcie wrócą do własnego mieszkania. O matkę nie pytały. Gdy wracała z miasta, biegły do drzwi i wpatrywały się błagalnie, nie śmiąc nawet wymówić słowa „mama”. Całowała je. Wszystko dobrze, mówiła.

Ale nie było dobrze. Było źle. Matkę karmiono sondą, wzmacniano i nawadniano kroplówkami. Żyła, lecz w innym świecie, do którego nikt nie miał wstępu. Nie poznawała nikogo. Nie reagowała na bodźce. Marta przyjeżdżała codziennie na kilka godzin. Siadała obok matki, przypominającej warzywo, brała ją za rękę i opowiadała o wszystkim, co się dzieje w domu. O tym, że już

największy pokój pan Kozłowski odmalował na śliczny, jasnobłękitny kolor. Że koleżanki z pracy wciąż dzwonią, dopytując o twoje zdrowie, mamó. Że dzięki życzliwości dyrektora masz przyznany roczny, płatny urlop, więc nie musisz się martwić o pieniądze. Że dziś spadł duży śnieg. Że wiatr. Że Dagusia kaszle, a Patrysia dostała kataru i nie wiadomo dlaczego się przeziębiły, skoro na razie nie wychodzą z domu? Że pani Kozłowska pozdrawia i całuje. Że państwo Kozłowscy są dobrymi ludźmi. Że takich ludzi spotkała więcej. Doktora Majewskiego i jego żonę na przykład. Że bez nich nie poradziłaby sobie. Że ją podtrzymują na duchu. Że doktor Majewski przewiózł jej rzeczy z Kusocińskiego na Sprawiedliwą. Że żona doktora przychodzi do dziewczynek często, bada je, przynosi różne smakołyki, czekoladki, toffifée, pamiętasz, mamó, jak one ubóstwiają toffifée? A Michał, mamó, poznasz go, to mój były szef. Tylko proszę, nie zamartwiaj się, że tyle lat starszy ode mnie. My się kochamy, wiek tu nie ma znaczenia, więc Michał, mamó, spójrz: kupił mi pierścionek zaręczynowy. Martwię się o Michała, mamó. Nie widzimy się od dawna. Ale to nie jego wina. Wiem, że ci ciężko tego słuchać, mamó, bo związałam się z żonatym mężczyzną. Na pewno tego nie pochwalisz, lecz ty przecież wiesz najlepiej, czym jest uczucie, dlatego nie potępiaj ani mnie, ani mego Michała. Całą winę wziął na siebie. Czekam każdego dnia na wiadomość od niego, że już jest wolny. Tęsknię do niego, mamó. Tęsknię i do ciebie. Wszyscy za tobą tęsknimy, mamó. Dziewczynki koniecznie chcą odwiedzić ciebie tutaj, w szpitalu, lecz jak ja mam im pokazać matkę, którą się karmi sondą? Która nie rusza ani ręką, ani nogą. Łyska białkami oczu. Nie poznaje. Nie rozumie. Mamó. Kochana. Wróć do nas.

Diagnoza ordynatora brzmiała: depresja endogenna w ostrej postaci, leczenie długie. EEG wykazało zmiany w płatach czołowych. Może wystąpić też

syndrom maniakalno–lękowy. Na razie najważniejsze to przywrócić matce kontakt z otoczeniem. Jedno jest pewne: matka już nigdy całkowicie nie wróci do zdrowia. Będą zdarzały się lepsze, ale i gorsze okresy. Szpital wystąpi o przyznanie renty. Na pewno dostanie pierwszą grupę inwalidzką.

Któregoś dnia ordynator Jakubowski poprosił ją do swego gabinetu.

– Marta – powiedział – wiem, sam kazałem ci przyjeżdżać do matki codziennie. Teraz uważam, że to nie ma sensu. W takim stanie twoja mama może przebywać całe miesiące.

– Ale wyjdzie z tego? Wyjdzie, panie doktorze?

– Zawsze trzeba mieć nadzieję.

– Ja kicham na nadzieję, ja muszę mieć pewność! – krzyknęła. – Czy pan to rozumie? Czy pan rozumie, że kiedy wracam do domu, widzę w oknie dwa przyciśnięte do szyby noski. Noski moich sióstr. Nim otworzę drzwi, moje siostry już są, wpatrują się we mnie, nie mając odwagi wymówić prostego pytania: Marta, jak mamusia? Żeby pan zobaczył ich oczy! Ile w nich błagania? Ile tej nadziei właśnie? Uśmiecham się. Mówię: mamusia was całuje. Ma się lepiej. Okłamuję je, rozumie pan? Codziennie czepiają się moich rąk: Martunia, my chcemy razem z tobą, do mamy. Mama na pewno za nami tęskni. I co im powiedzieć? Uśmiecham się, mówię: tam wpuszczają wyłącznie dorosłych. Dzieciom wstęp wzbroniony. Ostatnio wpadły na pomysł i piszą do swojej mamy listy. Nawet ich nie czytam, rozumie pan? Wyrzucam do pierwszego lepszego kosza na śmieci. Te ich listy. Na które składa się cała ich dziecięca, naiwna wiara, nadzieja i miłość. No i co, i co, Martusia? Przeczytała? Co kazała powiedzieć? Że was kocha i nie może doczekać się dnia powrotu do domu, kłamię. Kłamię codziennie, nieustannie, obrzydliwie. Panie doktorze! Czy nasza matka kiedykolwiek wróci do domu?

– Marta, ona jest bardzo słaba. Ona poza tym jakby zaparła się w jakiejś swojej części mózgu, postanawiając umrzeć. Nie reaguje na podawane jej leki. Walczymy o nią jednak bezustannie, nie tracąc nadziei. Bez nadziei praca lekarza nie miałaby sensu.

– Będę mimo wszystko przychodziła codziennie.

– Nie. Zabraniam. Mówiłaś o oczach swoich sióstr. A swoje widzisz? Jeszcze trochę i sama wpadniesz w depresję. Wiem również od Marka, że spodziewasz się dziecka. Twoje stesy są jego stresami, toteż musisz je ograniczyć do minimum, jeżeli chcesz urodzić zdrowe dziecko. Rozumiesz?

– Tak, ale mama...

– Marta: musimy czekać.

– A jeżeli się jej nie poprawi?

– Wtedy umrze. Zgodnie ze swoim życzeniem.

– Doktorze?

– Niech mi pan obieca: jeżeli u mamy nastąpi pogorszenie, zawiadomi mnie pan? Chcę być wtedy przy niej.

– Obiecuję.

Ta rozmowa z ordynatorem, zamiast pogrążyć ją w beznadziejnym smutku, przyniosła ulgę. *Wolę znać prawdę, niż się ludzić. Panie doktorze. Ja wiem, co moją matkę mogłoby przywrócić do życia. Wystarczyłoby powiedzieć: mamo, twój Piotruś nigdy ciebie nie porzucił, wyjechał w podróż służbową, miał wypadek samochodowy, w którym zginął, a ty, mamo, wyrzuciłabyś natychmiast z pamięci list od niego, w ten sam sposób, w jaki zamazywałaś moje skargi o molestowaniu. Rozpaczałabyś po swoim Piotrusiu, założyłabyś żałobny strój. Dla ciebie, mamo, nie to jest najgorsze, że twój Piotruś odszedł, lecz to, że ciebie tak cynicznie oszukał i wyszydził twoje uczucie do niego. Ale nie dam ci takiej*

szansy, mamó. Albo pogodzisz się, że twój Piotruś to lajdak i wtedy do nas wrócisz, albo będziesz się broniła przed prawdą ucieczką w śmierć.

Remont mieszkania był na ukończeniu. Meble po ojczymie, wyniesione pod śmietnik, ktoś szybko zabrał. I dobrze, niechaj mu służą.

Pokoje Marta podzieliła zgodnie z sugestią żony doktora: w tym po ojczymie zamieszka razem z dzieckiem, dziewczynki pozostaną w dużym, a dziupłę przygotowuje się dla matki.

Żona doktora przyjeżdżała codziennie na Sprawiedliwą. Dziewczynki nazywały ją już ciocią Jolą. Ciocia Jola zabierała je do kina, na ciastka i kremy do cukierni. Z piwnicy wyciągnęła sanki, chodziła z nimi na górkę w parku Staromiejskim. Kupiła im łyżwy, kostiumy kąpielowe; zabierała na lodowisko, na basen. Bo rozumiesz, Marta – mówiła – mając wypełniony czas, mniej myślą, szybciej zapominają, a ty, Marta, się nie rozdwoisz. I szpital, i remont, no i w ogóle musisz dbać o siebie, a na razie wyglądasz jak suchotnica.

Kiedy już wszystko było w mieszkaniu zapięte na ostatni guzik, pachniało farbą, czystością, Marta wprowadziła siostry. Spodziewała się okrzyków radości, tymczasem dziewczynki z trudem powstrzymywały płacz.

– Wiem, że wam trudno bez mamy. Ale mama do nas wróci – powiedziała, sama bliska płaczu.

– Obiecujesz? Na pewno?

– Na pewno.

– Kiedy? Kiedy będziemy mogli ją zobaczyć?

I co ja mam im odpowiedzieć. – Prawdę, Marta, prawdę. – Żona doktora weszła cicho, niepostrzegalnie. Pod pachą targała wielkie pudło. Za nią wsuwał się, też z paką, jej mąż. – Nie, nie czytam w twoich myślach, Marta –

uśmiechnęła się żona doktora. – Lecz masz to pytanie o prawdę wypisane na twarzy.

– One jej nie zniosą. One wreszcie muszą pójść do szkoły – zaprotestowała.

– Zniosą. – Żona doktora sapnęła, odstawiła pudło na podłogę. Pudło cichutko zaskomlało. *Co ona wymyśliła? Co tam ma? Pewno pieska. Chyba zwariowała, mało mam trosk, jeszcze mi potrzebny sikający co trochę psiak?* – I pójdą do szkoły. Brak ci odwagi, Marta. One powinny być przygotowane na przyjęcie najgorszej prawdy. Wówczas lepiej ją zniosą.

– To niech im pani, skoro taka odważna, powie!

– Powiem. Dziewczynki. Wasza mama ciągle jest bardzo chora. Tak bardzo chora, że mimo starań wujka Marka i innych lekarzy może umrzeć. Ej, dziewczynki! Zamiast płakać, zobaczcie, co dla was kupiliśmy!

Doktor otworzył pudło. Wyciągał z niego, sztuka po sztuce, a to sweterki, a to spódniczki, sukienki, ciepłe kurtki. *Chyba wykupili pół sklepu, zauważyli to, czego ja nie spostrzegłam, że one wyrosły z zeszłorocznych ubrań zimowych.*

– A po kozaki – odezwała się żona doktora – wybierzemy się razem. Nóżki niby macie jednakowe, ale dla pewności lepiej przymierzyć. A teraz zrobię fokus pokus, abrakadabra, bęc! i... – żona doktora przechyliła pudło. Dwa małe, identycznie wyglądające szczeniaczki, popiskując, wytoczyły się na podłogę. Jeden natychmiast przykucnął i na podłodze utworzyła się mała plamka.

Dziewczynki też pisnęły. Radośnie, niedowierzająco:

– Ciociu, kochana, to dla nas? Dla nas?

– No pewno, że dla was. Są dwa, żebyście się nie kłóciły. Jak widzicie, są maleńkie. Mają dwa miesiące. Trzeba się będzie nimi troskliwie zajmować. Będziecie ich mamusiami. Nie myślcie, że to łatwe zadanie. Należy je, jak każde małe dziecko, nauczyć wielu rzeczy. Na przykład, żeby nie siusiały na podłogę.

Więc będziecie z nimi często wychodziły na spacer. Na śniadanie mają dostawać lekko podgrzane mleczko z rozmaconym jajkiem. Na obiad... Marek, gdzie masz puszkę z mięskiem dla piesków? No tak, zostawił w samochodzie! To na co czekasz, leć i przynieś. Marta, wytrzymaj siki z podłogi. Marta, wiem, że sprawiam kłopot tymi pieskami, lecz spójrz – twoje siostry zapomniały o łzach, a ich oczy się śmieją. Gdy opowiedziałam mojej znajomej psycholożce o traumie dziewczynek, poradziła kupić im pieska. To kupiłam. Od razu dwa; żeby każda miała swojego. Nie gniewasz się, Marta?

Trudno. Jak tu się gniewać? Jezu, jak dobrze znowu słyszeć śmiech sióstr. Widzieć radość na ich buziach.

– Nie wiem, jak się pani odwdzięczę?

– A ty sądzisz, że mnie twoja wdzięczność na coś się przyda? Marta, nie bądź głupia! I przestań mówić do mnie pani. Jeżeli krępuję cię zwracanie się do mnie per ty, chętnie zostanę twoją przyszywaną ciotką Jolką.

– W takim razie nazywaj mnie wujkiem Markiem! – zawołał doktor, wnosząc potężną torbę z puszkami dla psiaków.

– Nie wiem, co bym bez was zrobiła, kochani – szepnęła Marta.

– My tobie również wiele zawdzięczamy. Nie mieliśmy rodziny, a teraz ją mamy. I nasza rodzina niedługo się powiększy. Zostaniemy dziadkami. Prawda, Jolka, że to już dla nas najwyższy czas zostać dziadkami? – powiedział doktor i objął żonę. – Moja kochana staruszko. Tylko nie płacz.

Jak dobrze nie być samą. Nawet wtedy, kiedy ty, mamo, nie zdecydowałaś, co wybierzesz? Życie czy śmierć? Nawet wtedy, gdy wciąż dostaję wyłącznie esemesy od Michała. Nie muszę ich czytać, repertuar ci się Michał, nie wzbogacił. Kocham. Tęsknię. Ufaj mi. I tak w kółko. Twoja komórka odpowiada mi tą samą formułą: abonent chwilowo niedostępny. Chwilowo? Ta chwila trwa i

trwa. A mnie brak konsekwencji. Dałam ci miesiąc. Miesiąc minął, a ja nie podjęłam decyzji. Nie zadzwoniłam do firmy, nie powiedziałam: To koniec. Nie wierzę ani jednemu twemu słowu, ani jednej twojej obietnicy. Zakończ tę grę w ciuciubabkę. Bo, Michał, ja ciągle się łudzę. Tak jak moja biedna matka nie chciała przyjąć nigdy do wiadomości, że jej Piotruś to drań, podobnie ja bronię się przed myślą, że bawisz się ze mną w ciuciubabkę i nie masz najmniejszego zamiaru dotrzymać słowa, cały czas mnie oszukując, żyjesz sobie ze swoją Edytą. Może nawet wspólnie bawicie się moim kosztem? Michał! Powiększają mi się piersi. Zaokrągla się brzuch. Niedługo poczuję pierwsze ruchy naszego dziecka. Cięża jest prawidłowa. Chyba wszystkie święte anioły czuwają nad naszym dzieckiem. Po tylu stresach, zapaści, załamaniach, huśtawkach nastrojów, od skrajnej radości do samobójczych myśli – słyszysz Michał? – jest prawidłowa! Michał, zachowuję się jak struś: głowa w piasek i niby nie ma problemu. Ale w którymś momencie powiem: dość. Na razie jednak jeszcze czekam. Wciąż czekam.

Dni miała wypełnione zajęciami. Dziewczynki poszły do szkoły. Trzeba było nadrabiać z nimi zaległości i uczyć się bieżących lekcji. Pieski rozrabiały, gryzły nogi krzeseł, buty, szarpały brzegi dywanów, zasłon, firanek. Przed południem wyprowadzała je, robiąc zakupy, na spacer, przemawiała do nich to czule: no, sikajcie, zobaczcie, tam takie ładne drzewko, lub targała smyczą: sikajcie, do cholery! A one merdały puszystymi ogonkami i natychmiast po powrocie zalewały podłogę wielkimi kałużami. Cholera jedna, jesteście dwa matoly – krzyczała, zaś psiaki przekręcały jakby w zdziwieniu łebki z oczkami jak koraliki. I gniewaj się tu na takich!

Wieczorem przyjeżdżali Majewscy. Przywozili jakieś wykwintne wędliny, sery, ciasta. Dziewczynki włożyły na kolana „wujkowi”, Marta nakrywała do

stołu, „ciocia” napełniała półmiski, rzucając płaczącym się pod nogami psiakom obfite kęsy, nalewała herbatę, siadali do kolacji.

– Nie gniewasz się, Marta, że zakłócamy twój spokój? Ale nam we dwoje tak jakoś smutno. Od rana myślimy z Markiem, co u was? Jak dziewczynki?

Kocham was. Staliście się moją rodziną. Jesteście dla nas darem. Ani ja, ani moje siostry już nigdy nie będziemy same. W razie najgorszego nieszczęścia mamy z kim to nieszczęście dzielić. Dziękuję wam za to.

– Chciałybyśmy mieć ten nasz spokój „zakłócany” od rana, przez cały dzień. Prawda, siostrzyczki?

– W takim razie, w każdy weekend zrobimy nalot już przed południem. Sama chciałaś, nieszczęsna dziewczyno – roześmiał się doktor. – Nawet nie wiesz, jak bardzo potrafimy być upierdliwi.

– Marek! Nie przy dziewczynkach! – upomniała żona doktora.

– A co to znaczy upierdliwy, ciociu? – zainteresowała się Patrycja.

I wszyscy w śmiech. *Jak dobrze was mieć.*

Dziesiątego stycznia rozdzwoniła się komórka. *To Michał! Kochany! Przecież dziś jest szósta rocznica poznania. Pamiętałeś? Jednak pamiętałeś?* I była tak przekonana, że to Michał, bo któż by inny, ponieważ Majewscy w sąsiednim pokoju bawili się z siostrami i psiakami, a ich wesołe krzyki i śmiechy słychać było chyba w całym bloku, więc tylko Michał, *mój kochany.*

– Hej, kochanie – powiedziała – wiedziałam, że mnie nie zostawisz.

Ktoś w słuchawce zasapał, potem roześmiał się kobiecym głosem.

– Chyba cię rozczaruję, Marta. To tylko ja, Janka.

– Janka?

– Chyba mnie nie zapomniałaś? Janka. Ta od bliźniaków. *Cholera ją nadała. Czego dzwoni? Na dodatek palnęłam głupstwo, myśląc, że to Michał.*

– Oczywiście, pamiętam. O co chodzi?

– Ojej, Marta, nie bądź taka naburmuszona. Po pierwsze, chciałam cię przeprosić.

– Nie masz powodu mnie przepraszać. Nigdy się na ciebie nie obraziłam.

– Ale to ja zerwałam z tobą przyjaźń. Brakuje mi ciebie, Marta. Często o tobie myślę. Zachowałam się paskudnie. Powinnam była zrozumieć, że masz ważne powody, dla których nie chcesz widzieć małych dzieci.

– No właśnie, jak tam twoje bliźniaki? – zapytała, zastanawiając się, w jaki sposób ma przerwać tę rozmowę.

– Rozrabiają. Boże, Marta, mieć bliźniaki to horror. Andrzej musiał wziąć bezpłatny urlop, bo sama nie dawałam sobie rady, a i tak oboje padamy z wyczerpania. Jak jedno zaśnie, to drugie zaczyna się drzeć. Teraz trochę pomaga nam teściowa. Marta, nigdy nie miej bliźniaków.

– To rzeczywiście przykre... Słuchaj, Janka, jestem bardzo zajęta.

– Niby czym? – w śmiechu Janki doszukała się ukrytej drwiny. – Nie pracujesz w firmie od kilku miesięcy, nawet zastanawiam się, z czego żyjesz? Taka kawalerka, chociaż na końcu miasta, kosztuje.

Skąd ona wie, że wynajmowałam kawalerkę? Na pewno doszły do niej różne ploty, skoro nawet mój ojczym się na nie powoływał. Ale że mieszkałam w kawalerce?

– Posłuchaj, Marta. Mogę ci zaproponować pracę. Dobrze płatną. Właśnie w tym celu dzwonię.

– Ty? Mnie? Pracę?

– Marta. Musi ci być ciężko. Nawet, jeśli masz kogoś, o kim sądzisz, że ciebie nie zostawi. Spotkajmy się. Wypijemy kawę, pogadamy spokojnie. Mamy sobie tyle do powiedzenia.

My? Sobie? Lekka przesada. Nie mam ci nic do powiedzenia. Cholera, co robić? A jeśli to Michał wybrał Jankę na pośredniczkę? Pewno Michał. Głupio zrobiłeś, Michał. Ja bym za bardzo jej nie ufała.

– Dobrze. Chętnie.

– Marta, możesz jeszcze dziś?

– Oczywiście. Przecież nic nie robię, leżę i dłubię w nosie.

– Oj, Marta, nie bądź złośliwa. Chcę ci pomóc. O szesnastej ci odpowiada?

– Czemu nie? Odpowiada.

– To spotkamy się w kawiarni Grand Hotelu, dobrze?

– Dobrze.

– Nie nawalisz?

– Zależy mi na pracy. Jakiegokolwiek pracy. Będę zobowiązana. Cieszę się, że pamiętałaś o mnie.

Michał! Co tam się z tobą takiego dzieje, że wybierasz pośredników, aby się ze mną skontaktować? Jednak wolę taki kontakt, niż żaden. Może nawet przez Jankę dostarczysz list? W którym wyluszczysz mi wreszcie, co z rozwodem? Co z nami? Jednak, dlaczego akurat Janka? Boże, czemu się jej czepiam! Tyle mi pomogła, okazała tyle serca, zrozumienia, wspierała na duchu, przysyłała serniki, zapraszała bezustannie do siebie do domu. Dobra, kochana Janka, którą zawiadłam. Ja, nie ona.

Nie mogła się doczekać godziny, w której spotka się z Janką i odbierze wiadomość od Michała. Snęła najrozmaitsze wariacje na temat tego, co Michał

chce przekazać. Raz się bała, że to pewno coś złego, to znowu wpadała w euforię, że przeciwnie.

Michał nie załatwiałby dla niej nowej pracy, bo ta praca, o której mówiła Janka, to na pewno załatwiona przez Michała! I powróciły wszystkie marzenia o wspólnym życiu, domu z ogrodem i werandą, kwiatach, jakie będzie sadziła, meblach, jakie będzie wybierała, radości Michała, kiedy mu powie o ciąży. Jej ciało, dotąd wyciszone, zapaliło się gorączką pożądania. Nagle pomyślała, że Janka to zmylenie tropów, że zamiast Janki będzie na nią czekał Michał, już wolny, uśmiechnięty. Nie oglądając się na ludzi, weźmie ją w ramiona i powie: witaj, moja żono, ale sprawiłem ci niespodziankę! *A ja mu powiem: też przygotowałam dla ciebie niespodziankę Michał. Zostaniesz tatusiem. Tak. Na pewno on sobie tak to zaplanował. Żadnej Janki, oczywiście.*

Weszła do kawiarni na miękkich nogach. Zmrużyła oczy, wypatrując Michała. *Spóźnia się. Nie szkodzi. Zaraz przyjdzie. Muszę zająć stolik. Co mu zamówić?*

– Dziękuję – powiedziała, gdy kelner podał jej kartę. – Na razie herbatę z cytryną. Czekam na kogoś.

– Marta! Oślepałaś? Macham i macham do ciebie, a ty nie widzisz. Siadasz oddzielnie, jakbyś nie była umówiona ze mną!

A jednak nie Michał. Pewno potem przyjdzie. Janka wyglądała ładnie. Ani trochę nie sprawiała wrażenia zmęczonej zajmowaniem się bliźniaków. Roześmiała się.

– Ty jak zwykle nieprzytomna! – Przywołała kelnera. – Dwa koniaki, dwie kawy i po szarlotce z kremem. – Odczekała, aż kelner się oddalił. – No, przyjaciółko, uściskajmy się. Mam nadzieję, że to nie nasze ostatnie spotkanie. Pamiętaj, kiedyś ci powiedziałam, że człowiek nie powinien być sam i chyba

znowu nadszedł czas, w którym moja obecność ci trochę pomoże. Nie wyglądasz dobrze, czemu się nie dziwię. Sama, bez pieniędzy, bez pracy. Chyba nie dojadasz. Pewnie masz długi?

– Jakoś sobie radzę. Miło cię widzieć, Janka. – *Jeżu, Janka, przejdź do sedna. Powiedz, co masz do powiedzenia od Michała i ten list od niego dawaj.* – A za koniak dziękuję. Nie piję. – *Boże, jeszcze szarlotka, na sam widok słodkiego dostaję mdłości. Jeśli zjem, to się porzygam, moje dziecko woli kiszone ogórki i musztardę.* – Za szarlotkę również.

– O ile dobrze pamiętam, zajadałaś się szarlotką – zauważyła Janka – ale twoja porcja się nie zmarnuje. Jestem łakomczuch, zjem obie.

– No więc, co z tą pracą?

– O, jaka niecierpliwa. Najpierw opowiedz o sobie. Bo wiesz? Krążą o tobie i Wierzbickim niebywałe ploty.

– Nie interesuję się plotami.

– Marta, przecież prawdy nie ukryjesz. Wszyscy wiedzą o waszym związku.

– Wolałabym o tym nie mówić.

– Powinnaś się przed kimś otworzyć. Będzie ci lżej. – *Nic nie ma od Michała. To nie on ją przysłał.* – Ja, jak wiesz, jestem lojalna i dyskretna. Wszystko, co powiesz, jak kamień w studnię.

– Wierzę ci, ale to był przelotny romans. I tyle.

– E tam, Marta, nie wmawiaj mi, że przelotny. Ktoś ci musiał dawać kasę, bo za co byś żyła? I ta wasza konspiracyjna kawalerka na końcu miasta? Wierzbicki to facet z zasadami. On nie robił skoków w bok. Musiał się w tobie piekielnie zakochać. Gratuluję. Jak nic rozwiedzie się z żoną. Może już złożył pozew o rozwód?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Zerwaliśmy ze sobą. Nie spotykamy się od trzech miesięcy... – urwała, bo kelner przyniósł zamówienie. Krem na porcjach szarlotki miał żółtawy kolor. Poczowała mdlący zapach nieświeżej śmietany. Żołądek zbuntował się. – Przepraszam...

Ledwo zdążyła do toalety. Potem musiała odczekać, aż jej twarz z zielonkawej odzyska normalny kolor.

– Wymiotowałaś? Moja biedaczko.

– Często ostatnio mi się to zdarza. Choruję na nieżyt jelit – powiedziała.

– O, to przykra dolegliwość. Twój Michał o tym wie? – Niby głos Janki w porządku, niby jej uśmiech też w porządku, a jednak. .. *Ona zachowuje się dziwnie. Skąd te przepytywanki o Michała? Zwykła babska ciekawość czy coś się za nimi kryje? Ale co? Janka to porządna dziewczyna. Chce mi pomóc. Ma jakąś pracę dla ciebie. Wstydź się, Marta.*

– Uwierz mi, zerwaliśmy ze sobą.

– Musisz być w takim razie okropnie nieszczęśliwa – westchnęła Janka.

– Było, minęło.

O Jezus, nie mogę patrzeć, jak ona wcina to słodkie świństwo, Marta, opamiętaj się. Spokój, spokój. Napij się kawy, mdłości miną.

– Nie wierzę. Nie zerwaliście. Po prostu lepiej się ukrywacie. Twoje oczy nie kłamią. Są zmęczone, ale jest w nich radość. Kochasz Michała. On ciebie kocha. To nie grzech, Marta, ale skoro mi nie ufasz, nie mów.

– Ufam ci, Janka – zapewniła szybko, odwracając wzrok od szarlotki, która zajadała się Janka, oblizując po każdym kęsie usta różowawym językiem.

– Jak byś ufała, nie byłabyś tak oszczędna w wypowiedziach. – Janka znowu westchnęła, popatrzyła z wyrzutem na Martę. – Ja zresztą cię rozumiem. Teraz, gdy twój Michał przejął stanowisko naczelnego, musicie się pilnować.

Michał awansował? Cholera, Michał, nawet nie poinformowałaś mnie esemesem o zajęciu stołka po naczelnym. Cholera.

Michał, czyżby to miała być twoja słodka tajemnica? Awansowałaś mimo plot o nas? Dziwne. Firma podobno piętnuje niemoralne zachowanie.

– Nie powiedział ci? – zdumiała się Janka.

A więc ona cały czas odrzuca moje słowa. Jest przekonana, że jesteśmy razem albo sprawdza, czy jesteśmy razem. Ktoś ją napuścił. Kto? Pytanie retoryczne: żona Michała! Ale to niemożliwe. Janka jest dobrą dziewczyną. Janka też nie cierpiała Wierzbickiej.

– Jak miał mi powiedzieć, skoro dawno zerwaliśmy!

– Słusznie. Nie mógł. Kelner! Jeszcze jedną porcję szarlotki, z podwójnym kremem! Boże, jaka jestem łakoma! Ale te ich szarlotki są takie pyszne, że nawet mój Andrzej takiej nie potrafi upiec. Kruche ciasto rozpływa w ustach, a krem, krem: sama rozkosz. Może jednak się skusisz na kawałek?

– Nie skuszę. Powiedz, co ta praca...

– Boisz się znowu rzygać, prawda? – przerwała Janka. – Kelner, rezygnuję z szarlotki! Moją przyjaciółkę widok kremu przyprawia o mdłości! Marta, nie oszukasz mnie. To samo przechodziłam w trzecim miesiącu ciąży. Nic słodkiego, wszystko na ostro. Poza tym powiększyły ci się piersi, co prawda jeszcze nieznacznie, i brzuch, taki zawsze u ciebie płaski, nagle się zaokrąglił. Jesteś w ciąży. W ciąży z Michałem Wierzbickim, Marta. Nie wypieraj się. Cięża murowana, pewne jak w banku. No a z kim, jeżeli nie z Wierzbickim? I nie patrz na mnie z takim przerażeniem. Biznes to biznes.

– Janka, jaki biznes? – *Jezu! Ją naprawdę przysłała Wierzbicka.*

– Biznes to znaczy po prostu kasa, Marta – Janka uśmiechnęła się. – A co? Zawiodłam cię? Spodziewałaś się po swojej przyjaciółce lojalności? Jakaś ty

głupia, Marta. A wiesz, od kiedy zaczęła was podejrzewać Wierzbicka? Od czasu, w którym twój szef stanął w twojej obronie, za co zresztą otrzymał od żony niezły wycisk. Pamiętasz? Sama mi opowiadałaś o tej śliwce pod okiem.

– Boże, Janka...

– Zaczynasz kapować? Trochę za późno, kochana – roześmiała się Janka. – Prostolinijność nie zawsze jest zaletą. Wystarczyło rzucić ci kilka zgrabnych, niby troskliwych słówek, coś o samotności itede, a ty od razu to kupiłaś. Fajnie cię było podpuszczać. Łatwizna. Wierzbicka, jak tylko pierwszy raz zobaczyła cię w sekretariacie, kazała mi mieć na ciebie oko.

– Cały czas udawałaś przyjaźń? Wprost nie potrafię w to uwierzyć! – *Janka, powiedz, że żartujesz. Głupio, podle, ale żartujesz! Nie możesz być taką kanalią!*

– Od lat byłam wtyczką Wierzbickiej. Płaciła mi za informacje o swoim mężu. Straszna z niej zazdrośnica. Ale mnie, co tam! Chciała płacić, więc donosiłam. Dobrze płaciła. W końcu miała wiadomości z pierwszej i jak bliskiej ręki: pięć lat pracy u jej męża. Zastanawiasz się teraz, dlaczego nagle stałam się taka szczerą?

– Zastanawiam się, do jakiej podłości może posunąć się człowiek.

– Ojej, po co takie mocne słowa? Jaka znowu podłość? Powiedziałam ci: biznes to biznes. Pieniądze nie śmierdzą, kochana.

– Jak komu.

Czekasz na to, abym się rozplakała? Nic z tego. Nie doniesiesz Wierzbickiej, że mnie zlamalaś.

– Dziwne: jesteś taka opanowana. Sądziłam, że będziesz szlochać.

– Sprawiłoby ci to przyjemność?

– Och, wiele razy sprawiałaś mi przyjemność, Marta. Dowiedziałam się od ciebie sporo. Zapadałaś w swój trans i gadałaś różne rzeczy, kochana. Bardzo ciekawe rzeczy.

– Jedno mi nie pasuje w tych twoich klockach, Janka: skoro jesteś na usługach Wierzbickiej, to dlaczego zerwałaś ze mną?

– Bo uznałam, że jesteś stuknięta. I prędzej czy później pęknieš psychicznie, wylądujesz w Kochanówku. I tak powiedziałam Wierzbickiej. Wydawałaś się niegroźna. Po prostu wariatka z psychozami i tyle. Tak nimi zajęta, że nie w głowie ci romans z Wierzbickim. A to twoje obrzydzenie do mężczyzn... No, zrozumiałe, skoro cię molestował ojczym, o czym mi sama, nie wiedząc nawet, że myślisz na głos, powiedziałaś przez telefon.

– To również zdradziłaś Wierzbickiej?

– Tego akurat nie, Marta. Aż taka świnia nie jestem.

– Dzięki ci chociaż za tyle.

– Tak naprawdę, to ja ciebie lubiłam i lubię, Marta.

– Ale biznes to biznes – powiedziała i położyła na stoliku dwadzieścia złotych. *Tyle za jedną kawę wystarczy.* – Miło cię było widzieć, Janka. Pozdrów ode mnie swoją pracodawczynię, a nie zapomnij poinformować ją o mojej ciąży. Pewno za tę wiadomość dorzuci ci premię.

Jedyny możliwy do wyciągnięcia wniosek z zasadzki urządzanej przez Jankę, wydawał się, mimo wszystko, optymistyczny. Michał wniósł pozew o rozwód, bo Edyta zbierała dowody jego winy. Jak mówił Michał: wszelkimi dostępnymi środkami. Musiała nieźle opłacać Jankę. Biedny Michał! Przez pięć lat zatrudniał donosicielkę. Nieważne. I tak na niego nic nie miała. Są ludzie i ludziska. Jankę da się zakwalifikować do tej drugiej kategorii. Czort z nią. Niech donosi. Tylko ciebie, Michał, szkoda. Teraz jestem w lepszej sytuacji niż ty.

Mam rodzinę. Ty, dla odmiany, jesteś sam. Z rozwścieczoną Edytą jako przeciwnikiem. W firmie ci jednak nie zaszkodziła, skoro dostałeś taki awans. Gratuluję ci, kochany. Jeżeli chodzi o mnie, mógłbyś być nawet woźnym, jak pan Kozłowski, i też bym cię kochała. Żałuję jednego: że nie ode mnie się dowiesz o naszym dziecku. Że twoja żona wyzwie nasze dziecko w plugawy sposób, Michał. Kochany, już nie ma sensu dalej się ukrywać. Zdradziłeś żonę, na co ona ma dowody i świadków. Nie uda ci się przeprowadzić sprawy bez obrzucania się błotem. Spakuj walizkę i wyjdź, zamykając za sobą drzwi. Czekam. Na razie twój dom będzie tutaj, na Sprawiedliwej. Poznasz moją rodzinę. Zyskasz w niej oparcie. I będziesz ze mną. A ten cholerny rozwód niech się nawet ciągnie miesiącami. Co to nas obchodzi, skoro będziemy wreszcie razem? I będziesz obserwował, jak powiększa się mój brzuch. Położysz na nim rękę i poczujesz, jak nasz syn kopie, rusza się, jest coraz silniejszy. Tak, Michał: nie zostawiono ci wyboru. Może jestem podła, ale się z tego cieszę i zaczynam być wdzięczna tej kreaturze, że wywęszyła wszystko dokładnie, łącznie z ciążą. Bo to wieczne trwanie w niepewności, niepokój, zwątpienia w końcu się skończą. Nawet dzwonić do ciebie nie będę, bo po co? Przecież Edyta wyrzuci cię jeszcze dziś z domu. Właściwie, to zastanawiające, dlaczego dotąd cię nie wyrzuciła? Może wciąż miała nadzieję przekonać cię, żebyś wycofał pozew. Pewno tak było. Wiesz, Michał, mnie jednak jej żal. I wiesz co? Miała szansę. Wtedy, kiedy przyszła do mnie. Gdyby powiedziała: dziewczyno, posłuchaj, wiem, że kochasz mego męża, ale i ja go kocham. Kocham go tyle lat. Oddaj mi go, zwróć. Ty jeszcze kogoś spotkasz. A ja? Ja nikogo, nikogo. Michał jest całym moim światem. Gdyby tak powiedziała... Ale ona ze mnie drwiła, nazwała dziwką, szukała dowodów, że jestem z tobą z powodu niskich pobudek, z chęci dorwania się do twojej kasy, więc nie, i jeszcze raz nie! Boże, czy ja do końca życia

zostanę głupią? Skąd u mnie to współczucie do kogoś, kto nasyła na mnie opłaconą donosicielkę? Należy nam się, Michał, nasza osobista porcja szczęścia. Zasłużyliśmy na nią. O Boże, kochany, spotkamy się za kilka godzin! Janka prosto stąd pojechała do twojej żony. Najdalej za godzinę żona wyrzuci cię z domu. Muszę się spieszyć. Zrobić zakupy. Boże, zapomniałam, jakie wino lubisz? Nie szkodzi, kupię po prostu martini. A może szampan? Nie, szampan zostawimy na inną okazję. Oblejemy nim twój rozwód. Chyba mały łyceczek nie zaszkodzi naszemu dziecku? O Boże, Michał, czy ty sobie wyobrażasz? Dziś wieczorem będziemy się kochali. Jutro: obudzimy się, wtuleni w siebie. I tak już zawsze. To ty jesteś głupia, Janko. Nie wiesz, jaką w gruncie rzeczy oddałaś nam przysługę. Trzymaj się. Do zobaczenia wieczorem.

– Spotkanie się udało? – zapytała żona doktora, wychodząc z pokoju dziewczynek i wlokąc za sobą po podłodze długie pasma kolorowych wstążek, przyczepione do włosów. – Ty widzisz, co one ze mną wyprawiają? Obecnie nie jestem ciocią, ale królową, okrytą płaszczem z gronostajów – roześmiała się – i czekam w nim na rycerzy, którzy przyjadą na białych koniach prosić mnie o rękę księżniczki Dagmary. Patrycja ma wyższe aspiracje: albo księżę, albo nikt – roześmiała się znowu. – Grozi, że jeśli księżę się nie znajdzie, pójdzie do klasztoru.

– Rozpuszczasz moje siostry, ciociu Jolu.

– Ale sama się przy tym doskonale bawię i czuję się nie tak staro.

– Nie jesteś stara, ciociu – zaprzeczyła Marta, wypakowując zakupy.

– Marta? Szykujesz uroczystą kolację? Z jakiej okazji martini? Boże, Marta, ty cała dygoczesz! Więc on? On przyjdzie?

– Tak sędzę, ciociu Jolu. Przyjdzie. Przyjdzie i zostanie – rozplakała się.

– Nie płacz, głuptasie. Masz być piękna, a od płaczu opuchną ci powieki.

– Tak jest, ciociu Jolu. Zaraz mi przejdzie.

– To ja dzwonię po Marka, niech mnie zabiera... Marta? A dziewczynki? To taki ważny moment w twoim życiu. Nikt wam nie powinien przeszkadzać. Pozwól dziewczynkom nocować u nas.

– Dziewczynki muszą jutro do szkoły...

– Marta! Zawieziemy je, co za problem? No, kochanie, dość szlochów. Na którą się umówiliście?

Właśnie, na którą? Ile czasu mu zajmie ostatnia awantura z żoną? Och, nieważne, i tak poda same zimne przekąski, przybierze półmisek listkami sałaty, zapali świece. Na stole dwa nakrycia. Moje i twoje. Będziemy sami. Będziemy się całować. Będziemy się kochać.

– Na ósmą, ciociu Jolu. – *Tak, najwcześniej o ósmej. Teraz na pewno wysłuchujesz obelg Edyty. Teraz mówisz do niej: między nami wszystko skończone. Odchodzę. Spotkamy się w sądzie.*

– Od ósmej zaczynam ścisnąć kciuki.

– To zbyt uczucie, ciociu. Już mnie nie opuści. Wiem to na pewno.

Jaki piękny stół. Wszystko lśni: biel talerzy, srebro sztuczków, szkło kieliszków na wysokich nóżkach, które mama wyjmowała z kredensu tylko na wyjątkowe okazje, bo te kieliszki jeszcze po pradziadkach, są zabytkowe. Butelka martini. *Martini sam otworzysz, Michał. Wybacz, zapomniałam o cytrynie. Nie mam też oliwek.*

Dobrze tak siedzieć przy stole i czekać na ciebie i Michał.

Ale już mógłbyś przyjechać. Niepokoję się o ciebie. Edyta gotowa na wszystko. A jeśli cię zamknęła na klucz?

Bzdura. Masz po prostu dużo ubrań. Nie zmieszczą się w dwóch walizkach? Skąd mi do głowy przyszło, że dwie walizki?

Michał, i tak nie zmieścisz się w dwóch walizkach. Po co ci tyle ubrań?

A może ci zabrała kluczyki od wozu?

W takim wypadku zadzwoń po taksówkę. Zostaw jej ten cholerny samochód.

I tak będziesz musiał przeprowadzić podział majątku.

Zgaszę świece. Bo się już do połowy wypaliły.

Listki sałaty zwiędły. Szkoda, ładnie z nimi wyglądał półmisek.

Chyba ciociu Jolu zbyt słabo ściskasz za mnie kciuki.

Edyta ci coś zrobiła. Przecież pamiętam śliwę, jaką nosiłeś pod okiem.

Michał, zachowaj spokój. Ona specjalnie tak głośno wrzeszczy, wzywając pomocy, ponieważ chce sprowadzić policję.

Może już sprowadziła?

Jezu, jak ja się niepokoję.

Schowam półmisek do lodówki, wędlina wyschnie. Dzwoni komórka. To Michał! Boję się odebrać. Bardzo się boję.

– Marta. Musimy się spotkać. – O dobry Boże, pewno, że musimy. Jutro. Na Placu Wolności jest kawiarnia. O dziesiątej.

– Michał, dlaczego w kawiarni? Przyjeżdżaj zaraz do mnie na Sprawiedliwą! Przecież już spakowałeś walizki! Ja...

– O dziesiątej – przerwał.

Przerwał, nie pozwolił dokończyć zdania. Rozłączył się, ani kochanie, ani nic. Dobrze, że nie otworzyłam wina. Dlaczego w kawiarni? Ta Edyta, co ona takiego mu zrobiła? A może jeszcze nie spotkała się z Janką i Michał o niczym nie wie? To prawdopodobne. Nie spotkała się, spotka się jutro, a Michał zadzwonił, nareszcie zadzwonił, bo chce mnie zobaczyć, spotkać się ze mną, i ja wiem, dlaczego. Bo już jest po rozwodzie, wolny, mój. Plac Wolności, ta kawiarenka jest malutka, dwa czy trzy razy byłam w niej na lodach z Pawłem.

Lody kiepskie, oszukane, sama woda, powiedział Paweł. Co ja? Co ja? O lodach, o Pawle? Kawiarenka mała. Pewno ją otwierają dopiero o dziesiątej, więc będzie prawie pusta. Kto chodzi na kawę o dziesiątej, o tej godzinie się pracuje. Pewno będziemy jedynymi gośćmi. Mądrze wybrałeś miejsce spotkania. Nikt znajomy nas nie spotka, nikt nie podsłucha. Tam będziesz mógł mnie objąć, przytulić, powiedzieć: moja żono. Och, Michał, jak dobrze, że Edyta jeszcze nie rozmawiała z Janką, i to ja, ja ci powiem o dziecku, i powiem, żebyś wprowadził się na Sprawiedliwą. Bo ty pewno zamierzasz mieszkać w hotelu do naszego ślubu, a po ślubie wprowadzić mnie do naszego nowego mieszkania. Może je już kupiłeś, co, Michał? Teraz musimy mieć duże mieszkanie, dwie moje siostry i moja mama, która wyzdrowieje, teraz wiem, że wyzdrowieje. Zaniosę jej swoją radość i wyzdrowieje na pewno! Może nie od razu, lecz kiedyś? Będziemy ci wciąż powtarzać, mamo, jak bardzo cię kochamy; jak jesteś nam niezbędna! Wrócisz do nas, wiem! Rozumiesz, Michał, że twoja żona ma obowiązki wobec matki, sióstr? Rozumiesz! Jesteś dobry, uczciwy, szlachetny, a ja chyba nie doczekam świtu, nowego dnia, godziny dziesiątej, w której cię po trzech miesiącach wreszcie zobaczę, i chociaż z tej kawiarni odjedziesz beze mnie do firmy, a potem do domu, rozmówić się ostatecznie z Edytą, zabrać trochę swoich osobistych rzeczy, to pożegnam się bez żalu. Wrócę na Sprawiedliwą, ugotuję obiad nie na trzy osoby, lecz na cztery, zdążę nawet upiec ciasto, ale broń Boże nie szarlotkę. Jedyne, co nasze dziecko toleruje, to zwykle drożdżówki, bez wanilii i innych zapachów.

Wstała rano, umyła włosy, wzięła długi prysznic, wyciągnęła z szafy wszystkie swoje ciuchy, przymierzała po kolei, złościła się. Te, w których, jak się jej wydawało, wyglądała najładniej, okazały się za ciasne w talii. Trzeba pomyśleć o szerokich, maskujących brzuch kieckach. Cholera, nie mam się w co

*ubrać. Ostatecznie założyła spódnicę, najbardziej rozciągnięty, pamiętający jeszcze dni żałoby, czarny sweter. Na śniadanie wmusiła w siebie kilka łyżek płatków owsianych, wypila kubek herbaty z mlekiem, po którym ją zemdliło. Zwróciła uwagę swemu dziecku, że zachowuje się niegrzecznie. *Ponieważ twoja mamusia idzie na spotkanie z twoim tatusiem i jej cera nie powinna wyglądać jak u zielonego ufoludka. Tak, kochanie, nie będziesz miał w metryce, w rubryce ojciec symbolu NN, lecz bardzo piękne nazwisko: Wierzbicki, Adam Wierzbicki, synku. Toteż proszę, nie przynieś mi wstydu i nie każ rzygać tylko dlatego, że ci się nagle jakiś zapach nie spodoba. Okropnie jesteś wybredny. Przysięgam ci, że nie zamówię ani żadnego kremu, ani ciastka z kremem.**

Zimno. Nocą napadało dużo śniegu. Nie wszędzie dozorczy zdołali się z nim uporać. Chodniki śliskie. Samochody wlokły się, bo jezdnia jak szklanka. *Żebyś tylko uważał, Michał, no i zapiął pasy.*

Przyspieszyła: za dziesięć dziesiąta, a ona dopiero w połowie Lutomierskiej. *Należało wziąć taksówkę. Spóźnię się. Michał będzie się niepokoił. Ale ja głupia! Zadzwońię i uprzedzę o spóźnieniu.*

Zdjęła rękawiczkę. *Ale mróz !Wybrała numer. Abonent chwilowo niedostępny. Abonent chwilowo niedostępny.*

Wyłącza, bo nie chce wysłuchiwać Edyty.

Zadyszała się. Zatrzymała się przed wejściem do kawiarni. *Muszę ochłonąć. O Jezu, znowu dygoczę jak w delirium. Przestraszę Michała. O Jezu, już dwadzieścia po dziesiątej, nie zdążę dla nas z obiadem.*

Weszła.

Od razu ich spostrzegła. Siedzieli pod ścianą, wykładaną boazerią. Na wprost drzwi. *O Jezu...*

Ten postarzały facet z pobrużdżoną twarzą to Michał. Ta kobieta w futrze z czerwonymi ustami to Edyta. Tego drugiego gościa nie widziała nigdy. Otaczał go obłok papierosowego, sinawego dymu.

Uciekaj.

Udawała, że się rozgląda. *Uciekaj, Marta. To koniec.* Tamci się jej przyglądali.

Nie, tylko Edyta i ten gość z papierosem. Michał, gdy weszłam, natychmiast opuścił głowę.

Stała. W kawiarni, poza nimi, nikogo. Kelnerka za ladą.

Nie, nie ucieknę. Michał. Jeszcze masz szansę. Nikłą, ale masz. Zachować godność. Wiem, że to między nami koniec. Ale, Michał, błagam cię, nie daj im ani siebie, ani mnie poniżyć.

Podeszła do stolika, przy którym siedziała Edyta, Michał i facet palący papierosa. Milczeli.

Nie pozwolę się upokarzać. Usiądę, chociaż nie proszą.

Odsunęła krzesło. Usiadła. Michał na krótką chwilę uniósł głowę, spojrzał na nią zażawionymi oczami.

– Uprzedzałam, moja droga, że mój mąż jest tchórzem. Nie wyciągnęłaś z tego wniosków. Twoja strata. Wiele by to nam i tobie oszczędziło kłopotów. Poza tym, nie tylko jest tchórzem, lecz i karierowiczem. Również uprzedzałam. Zapomniał ci powiedzieć, że pracuje w firmie wyłącznie dzięki mnie. Awans na naczelnego prezesa dostał również ode mnie. Tak się składa, moja droga, że mój brat pracuje w odpowiednim ministerstwie. Jedno słowo brata i mój mąż wylatuje. Albo awansuje. Takie układy rodzinne, moja droga.

– Pani Edyto – wtrącił się gość, zapalając kolejnego papierosa – może przejdziemy do meritum? Panna Stańczyk nie musi...

– Panna Stańczyk, owszem, musi wysłuchać kilku słów prawdy. Panna Stańczyk to pospolita dziwka. Powinna pracować w agencji towarzyskiej. Miałaby wzięcie.

– Pani Edyto, naprawdę, z całym szacunkiem dla pani...

– Z całym szacunkiem, panie mecenasie, niech się pan zamknie.

– Edyto, kochanie. Umawialiśmy się inaczej – głos Michała zabrzmiał jak jęk.

– Ty w ogóle milcz. No więc, panno Stańczyk, postanowiłaś dopiąć swego i złapać mego męża, jak poprzednio syna sędziny Domańskiej, na ciążę? Nic z tego, panienko. Albo urodzisz bękarta, albo się, póki czas, wyskrobiesz.

– Panno Stańczyk...–prawnik zapalił kolejnego papierosa. – Państwo Wierzbiccy są gotowi pokryć kosztą zabiegu i... nazwijmy to tak: dołożyć za straty moralne.

Co za ohyda.

– Więc jak? Suma wcale nie jest mała – powiedział prawnik. – Piętnaście tysięcy za zabieg pod ogólnym znieczuleniem...

– Dziękuję, doceniam, ale nie skorzystam – przerwała.

– Żeby potem ciągać mego męża po sądach, dziwko – zasyczała Wierzbicka – wyłudzać od niego alimenty? Upokarzać jego i mnie ustalaniem ojcostwa?

– Edyta, błagam – zajęczał ten, *który mówił do mnie moja żono, który mówił, zaufaj mi, który obiecywał, że obroni, ochroni? Jesteś żaloszny, Michale. Tak ci współczuję. Tak bardzo, że nawet nie mam do ciebie żalu. Żal zostawię tobie. Będiesz z nim odtąd na zawsze. Będiesz, widząc jakiegoś malucha w wózku, myśleć: tak może wygląda moje dziecko. Serce będzie ci się zaciskało na widok każdej rudowłosej dziewczyny. Pieszcząc swoją żonę, będziesz*

przypominał sobie moje piersi, mój brzuch, moje uda, moje ciało, gładkie, jak aksamit, tak mówiłeś.

– Widzi pan sam, mecenasie, jaka z niej cwana dziwka?

– Pani Edyto, z całym szacunkiem dla pani... – mecenas zapalił kolejnego papierosa – i tak mam do spełnienia przykre zadanie...

– Zapłaciłam panu za mało? Od kiedy to pan taki delikatny? Spodobała się panu panienka? Jest ładna, przyznaję, i młoda, a wy, mężczyźni po czterdziestce lubicie młode tyłki.

– Tu już pani przesadziła – powiedział prawnik, zakrztusił się dymem. – Rozumiem pani zdenerwowanie, ale to nie upoważnia do obrażania ani tej dziewczyny, która, wbrew pani opisom, nie wygląda na osobę złego prowadzenia się, ani tym bardziej nie upoważnia do obrażania mnie. Moja rola w tej nad wyraz przykrej sprawie miała ograniczyć się do przygotowania umowy oraz negocjacji z panną Stańczyk. Panno Stańczyk, państwo Wierzbiccy pragną się zabezpieczyć przed pani ewentualnymi roszczeniami. Nie zaprzeczy pani, iż miała pani romans z panem prezesem Wierzbickim?

– Nie zaprzeczę – spojrzała na Michała. – *Nie powiesz im, ile razy przyjeżdżałeś pod mój dom, szukając w oknie mego cienia? Nie powiesz, jakimi słowami zapewniałeś mnie o swojej miłości? Naprawdę, Michał, nie myśl, że cię potępiam. Ja się nad tobą lituję. Jeżeli jednak sądzisz, że będę po tobie płakać, to się mylisz. Nie zasługujesz na łzy. Ułożyłeś ten swój niby plan strategiczny, ale on miał osłaniać ciebie, nie mnie. Może i chciałeś odejść od Edyty. Może. Wierzę, że kochałeś mnie rozpaczliwie. Rozpaczliwie dlatego, że sam od początku wiedziałeś, że nie starczy ci odwagi, że stchórzysz i każde nasze spotkanie było dla ciebie jakby ostatnim.*

– Nie zaprzeczy pani, że prezes Wierzbicki panią utrzymywał?

– Zaprzeczę.

– Kłamiesz. Co prawda w tej twojej, wynajętej i opłacanej przez mego męża, kawalerce nie dopatrzyłam się oznak luksusu, lecz co miesiąc odkładałaś na konto niezłą sumkę. Przyznał mi się.

– Proszę, Edyta. Proszę...

– Ty nie masz prawa o nic mnie prosić. Ciesz się, że ci wybaczyłam. To już jest duża wspaniałomyślność z mojej strony. Mogłam cię zniszczyć. Zabrać ci wszystko. A dostałeś awans.

Ohyda. I ty, Michał, i ona, twoja żona: ohyda.

– Panno Stańczyk – adwokat najwyraźniej miał dość tej rozmowy, nerwowo wydmuchiwał dym. – Ponawiam pytanie: jaką kwotę co miesiąc otrzymywała pani od pana prezesa?

– Ile panu zapłacono, panie mecenasie, żeby pan udowodnił, iż jestem prostytutką?

Poczerwieniał.

– Zapewniam, że w ten sposób o pani nie myślę...

– Owszem, myśli pan. O to chodzi w tym przepytywaniu. Wynajmował mi kawalerkę, opłacał i płacił za moje seksualne usługi. Tylko prostytutki biorą kasę. Dziewczyny, które kochają, kochają za darmo.

– Panno Stańczyk. Przykro mi, ale proszę odpowiedzieć.

– Bo co? Wezwie pan policję?

– Widzi pan, jaka z niej zdzira? Brała pieniądze. Pięć tysięcy miesięcznie – powiedziała Wierzbicka.

– Gdzie pan schował dyktafon, panie mecenasie? Pod tą elegancką chusteczką w eleganckiej butonierce? Państwo Wierzbiccy, poza jakąś umową, z którą na pewno zaraz mnie pan zechce zapoznać, potrzebują dowodu. Nagranego

na taśmę. Żeby w razie moich roszczeń zamknąć mi usta. Boże, co za ohyda. Otóż oświadczam do tego pańskiego, ukrytego mikrofonu, że wbrew temu, do czego pan prezes był łaskaw przyznać się przed swoją żoną, nie opłacał moich usług seksualnych. On mnie kochał, panie mecenasie, a ja kochałam jego. To wszystko. A teraz proszę mi pokazać umowę. Chcę na własne oczy przekonać się, jak bardzo oboje państwo Wierzbiccy zamierzali mnie upokorzyć. *Bo ty, Michał, też. Ty, który miałeś mnie bronić. Ohyda.*

– Marta. Ja... uwierz mi, nic nie mogłem... – w oczach miał łzy. *Nie wzruszę nimi, Michał. Ohyda.*

– Pani Edyto – powiedział prawnik – sędzę, że ta umowa jest zbyt uczciwa. Panna Stańczyk jej nie podpisze. Ani nie weźmie pieniędzy.

– Pan, mecenasie, studiował poza prawem, także i psychologię? – zapytała Wierzbicka. – Nie tylko weźmie. Jeszcze się będzie targować. Takie jak ona, gdy poczują pieniądze, chcą zawsze uzyskać więcej. Ona tylko wygląda na niewiniątko.

„Ja, niżej podpisana, Marta Stańczyk, legitymująca się dowodem osobistym nr..... serii....., wydanym przez....., PESEL....., oświadczam, że nie roszczę żadnych pretensji do pana mgra Michała Wierzbickiego, i kwituję jako rekompensatę moralną kwotę piętnastu tysięcy złotych". *Ohyda.*

– Ma pani dowód przy sobie? Trzeba uzupełnić umowę o brakujące dane.

– Tu nie ma wzmianki, że płacicie mi za wykonanie skrobanki – powiedziała.

– Pani przecież wie, że aborcji można dokonać legalnie jedynie w wyjątkowych przypadkach.

– Ogromnie żałuję, że i ja nie wzięłam ze sobą dyktafonu. Ta rozmowa jako szantaż działałaby w obie strony.

– Nie stawiaj się. Podpisuj. I zejź z drogi naszego życia. Raz na zawsze – zapiszczała Wierzbicka.

Z tej nigdy nie zejđę. Na zawsze zostanę pomiędzy wami. Odłóżyła pismo. Wstała.

– To ile chcesz? Dam dwadzieścia. To dziecko nie ma prawa się urodzić! Za mało? Dam trzydzieści! Stać nas na to, żeby cię opłacić!

Roześmiała się.

– To dziecko się urodzi. Nie utrzymuję kontaktów fizycznych z pani mężem od czterech miesięcy, a jestem w dwunastym tygodniu ciąży. Pani mąż odbył ze mną romantycznie pożegnalną podróż do Kazimierza, i bądź zdrowa, wspominaj mnie dobrze. Łatwo obliczyć: to nie jego dziecko.

– Michał! Ona łże! Łże w żywe oczy! Potem cię oskarży o ojcostwo.

– Ona mówi prawdę. Dlaczego wciąż nie wierzysz? Nie ufasz mi? Przecież natychmiast z nią zerwałem, gdy tego ode mnie zażądałaś, potem wyliczałaś mój czas co do minuty. Czego ty jeszcze chcesz ode mnie? To nie moje dziecko – zajęczał.

Co za ohyda.

Wstała, wyszła, zamknęła drzwi do kawiarni. Owionęło ją mroźne powietrze. Oddychała nim głęboko, oczyszczając płuca, po tamtym kawiarnianym, podłym, nikczemnym, obrzydliwym.

Dziwne, ale nie czuję się przegrana. To oni przegrali ze mnę. Wyobrażali sobie, że mogą mnie zranić i przekupić. Naprawdę, biedni ludzie. Dziwne. Czuję się tak, jakby mi ktoś zdjął z pleców ogromny ciężar. I jakby ktoś otworzył klatkę, w której mnie zamknięto i trzymano przez długi czas, a teraz oto idę, lekka i wolna.

Uśmiechnęła się. *Tak, tak! Lekka i wolna.* Odezwała się komórka. To Michał.

Przerwała połączenie. Wybrała jego numer, potem opcję: SKASUJ.

Skasowała. Schowała komórkę. *Abonent dla ciebie niedostępny.* Przyspieszyła kroku.

Na obiad ugotuję zupę szczawiową, bo za nią przepadacie, siostrzyczki i usmażę wam naleśniki z bananami, chociaż moje dziecko będzie protestowało, ale postaram się je uspokoić kiszonymi ogórkami.

Przystanąła przy wystawie.

Jakie ładne śpioszki. Nie wariuj, Marta. One są niebieskie, a ty nie wiesz jeszcze, czy twoje dziecko jest dziewczynką, czy chłopczykiem? Masz czas, masz przed sobą dużo czasu na kupowanie śpioszków, kaftaników, kocyków. Masz przed sobą, Marta, całe życie.